

CANDICE PROCTOR

Tasamnia

Tasmania, wrzesień 1840

Jesmonda Corbett zacisnęła dłoń w rękawiczkę na skórzanym uchwycie. Wykrochmalona spódnica popelinowej sukni podróżnej zaszeleściła, gdy Jessie pochyliła się naprzód i wbiła wzrok w dobrze znane drzewa gumowe, buki i srebrzyste akacje australijskie, przesuające się za otwartym oknem powozu. Już niedługo, pomyślała z radością i jej serce zabiło żywiej.

Ostry świst bata woźnicy przeszył rześkie wiosenne powietrze, po czym dołączył do stukotu kopyt końskich na wyboistej drodze i skrzypienia uprzęży, towarzyszącego galopadzie po pochyłości. Delikatny powóz, ciągnięty przez parę jabłkowitych koni, podskakiwał i kołysał się na zakręcie, a potem gęsty las bukowy skończył się, przechodząc w ścianę piaskowca, i Jessie ujrzała łagodnie pofalowaną dolinę, porośniętą soczyście zielonymi trawami. Z zachwytu aż wstrzymała oddech.

Dwa lata. Od czasu, gdy opuściła rodzinne strony, minęły dwa lata. Nigdy przedtem nie ruszała się z domu i nie spodziewała się, że tak bardzo będzie jej go brakowało. Oczywiście starała się, by nostalgia nie psuła przyjemności poznawania nowych miejsc i spotykania nowych ludzi, tęskniła jednak bardzo. Na widok domu dzieciństwa, z unoszącym się z kominów dymem i ze złocistą kamienną wieżą, górującą nad pierzastymi koronami drzew, poczuła wzbierający w sercu natłok emocji i łaskotanie łez na policzkach.

- Warrick... - Chwyciła ramię elegancko ubranego młodego mężczyzny, który rozwalał się niedbale na skórzanym siedzeniu obok niej. - Zatrzymajmy się tutaj. Proszę. Chcę wysiąść.

Brat rozejrzał się, a potem popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Wysiąść? Tutaj? W kamieniołomie? - Postukał w dach powozu, nakazując woźnicy, by się zatrzymał. Popatrzył znacząco na zbocze, wznoszące się ponad drogą, gdzie kilkunastu posępnych skazańców w łachmanach mozoliło się w kamieniołomie należącym do Corbettów, krusząc bloki złocistego piaskowca za pomocą kilofów, klinów i oburęcznych młotów. - Po co?

- Bo stąd najlepiej widać dom. - Jedną ręką zgarnęła obfite spódnice, a drugą energicznie otworzyła drzwi powozu.

- Tak bardzo za nim tęskniłaś? - zapytał Warrick i na jego delikatnie wykrojonych wargach pojawił się dziwny uśmiesek. - Zdawało mi się, że chciałaś wyjechać.

Nie czekając, by któryś z mężczyzn opuścił dla niej schodki, zeskoczyła na drogę. Buciki z kozłej skórki miękko wylądowały w pyłe, popelinowe spódnice zawirowały wokół kostek, gdy dziewczyna obejrzała się na brata, który podnosił się leniwie.

- To, że pragnęłam studiować w Londynie, nie oznacza, że chciałam na zawsze opuścić Tasmanię. Czy ty nigdy nie pragnąłeś dwóch różnych rzeczy jednocześnie?

Warrick zatrzymał się w drzwiach powozu i obrzucił siostrę smutnym spojrzeniem.

- Nie. Nigdy. Prawdę powiedziawszy, już od wielu lat niczego nie pragnę.

Owszem, pragniesz, miała ochotę krzyknąć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Warrick wahał się chwilę, po czym zeskoczył lekko na drogę obok siostry. Spostrzegła, że jej dwudziestodwuletni brat urósł i zmężniał, gdy przebywała poza domem, jednak nadal był szczupły i miał bardzo jasną cerę. Z płowymi lokami i nieomal zbyt piękną twarzą przypominał jednego z aniołów Botticellego,

tylko że w leniwym uśmiechu, który często wykrzywił kształtne i pełne wargi, oraz w groźnym ogniu, który zapalał się w głębi jego dziwnych, lodowato szarych oczu, nie było nic anielskiego.

Zapanowało milczenie, wypełnione niewypowiedzianymi myślami i postukiwaniem metalu o skały. Woń pyłu i potu mieszała się z zapachem eukaliptusów, kołyszanych wrześnie wietrzykiem. Jessie spojrzała na zbocze nad drogą, gdzie kilofy i zgarbione plecy skazańców unosiły się i opadały miarowo.

Urodziła się i wychowała tutaj, w koloniach, więc widok pracujących więźniów nie szokował jej tak, jak osiedleńców świeżo przybyłych z Anglii. Skazańcy stanowili część krajobrazu Tasmanii, podobnie jak stada owiec i pola zbóż, które zapewniały dostatek tutejszym posiadaczom ziemskim. Większość ludzi nazywała skazańców „zatrudnionymi przez rząd”, jakby termin „skazaniec” był bardziej uprzejmy niż łańcuchy, skuwające ich dłonie i stopy, oraz baty, którymi ich chłostano. Bez względu na to, jak ich nazywano, nic nie mogło zmienić warunków, w jakich żyli zatrudnieni w kamieniołomie mężczyźni.

Nagle jeden z robotników pracujących blisko grani wyprostował się. Był to wysoki, mocno umięśniony mężczyzna. Jego nagi spocony tors był szczupły, lecz zgrabny, regularne rysy twarzy zastygły w twardym, gniewnym wyrazie. Sądząc po budowie ciała i czarnych włosach, pewnie Irlandczyk, pomyślała Jessie. I młody, prawdopodobnie niewiele starszy od Warricka. Na krótką zaskakującą chwilę jego zmrużone oczy napotkały wzrok dziewczyny. Wtedy jeden z mężczyzn pracujących obok klepnął go w ramię i coś powiedział. Irlandczyk pokręcił głową i wrócił do swego zajęcia.

Jessie dorastała w otoczeniu zesłanych na Tasmanię skazańców. Pracowali w domu w charakterze służących, zajmowali się końmi w stajniach. Nawet jej nauczyciel tańca był skazańcem. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale dzisiaj, być może z powodu długiej nieobecności w rodzinnych stronach, widok twarzy nieznanego mężczyzny oraz myśl o jego zrujnowanym życiu napełniły ją nieoczekiwanym smutkiem.

Odwracając się plecami do robotników, wskazała ruchem głowy grubo ciosane bloki piaskowca na poboczu drogi.

- Co budujesz?

- Sama zobaczysz. - Warrick westchnął. - Chciałem powiększyć stajnie, ale matka zdecydowała, że stare ogrodzenie wokół cmentarza należy zastąpić kamiennym murem, więc stajnie muszą, oczywiście, poczekać.

Jessie roześmiała się.

- Widzę, że nic się nie zmieniła.

- A myślałaś, że się zmieni? - Warrick ze zdziwienia aż uniół brwi.

- Sądziłam, że może po śmierci papy... - Z trudem przełknęła ślinę. Zdanie było tak bolesne, że nie zdołała go skończyć. Gdy odpływała do Anglii, Anselm Corbett był zdrowym, energicznym mężczyzną po pięćdziesiątce. Trzy tygodnie po jej odejściu zmarł nagle na atak serca, o czym dowiedziała się dopiero po upływie sześciu miesięcy. Jeszcze teraz nie mogła uwierzyć, że nie czeka na nią w wielkim kamiennym domu, który zbudował w dolinie.

- Jest taka sama jak zawsze - powiedział Warrick, spoglądając beznamytnie na kamieniołom. - Tyle tylko, że obecnie odgrywa rolę wdowy i robi to z taką samą brutalną poprawnością, jak poprzednio odgrywała rolę żony i matki.

- Nie wyrażasz się o niej zbyt pochlebnie, Warricku.

- Nie? - Spojrzał na nią wielkimi, nieco dzikimi oczyma. - A czy ona kiedykolwiek była dla nas dobra?

- Wiele razy - odparła Jessie, wzruszona ciepłymi wspomnieniami kołysanek oraz przyjęć dla lalek, które matka organizowała na werandzie. - Dobrze wiesz, że nas kocha.

- Aha. - Warrick uśmiechnął się i wargi mu zbieleły. - Ale jest to rodzaj miłości wymagający i nie znający przebaczenia, prawda?

- Po prostu chce dla nas jak najlepiej - odparła Jessie cicho. - Wszystkie matki pragną tego dla swoich dzieci.

Warrick miał zamiar jej odpowiedzieć, ale nim zdążył się odezwać, jego uwagę zwróciło dobiegające od strony

drogi nerwowe rżenie; wspaniały rumak czystej krwi irlandzkiej wyraźnie się niecierpliwił. Koń wyginał w łuk piękną szyję i grzywa mu falowała, gdy tańczył wokół chłopaka, trzymającego postronek. Ogier wabił się Luck Finnegana. Jessie na prośbę brata kupiła go i przywiozła z Anglii. Podziwiając lśniąca sierść konia, Warrick wyraźnie się odprężył. W jego oczach pojawił się błysk podniecenia, zastępując wyraz zaciętej złości.

- Wyrazy uznania, Jess. Nigdy dotąd nie oglądałem tak wspaniałego zwierzęcia. - Uśmiechnął się szeroko. - Wiedziałem, że dobrze wybierzesz. Jego źrebięta staną się przedmiotem zawiści całej wyspy.

Jessie spojrzała na brata i uznała, że lepiej będzie, gdy nic na to nie odpowie.

- Chcesz używać go do polowania? - spytała, nie mogąc się powstrzymać.

- Jest mistrzem skoków, prawda? Oczywiście, że będę na nim polował. Masz coś przeciwko temu?

Jessie rozluźniła wstążki czepka, bo nagle poczuła, że ją duszą.

- Chodzi o to, że ten koń ma jeden zły nawyk...

Warrick przerwał jej ze śmiechem.

- A któż ich nie ma? Jestem pewien, że ze wszystkim sobie poradzę.

- Muszę ci coś powiedzieć...

- Powiesz mi wieczorem. - Ujawszy siostrę pod łokieć, poprowadził ją w stronę powozu. - Jest późno. Matka na pewno zamartwia się, że zatonełaś.

Jessie wyswobodziła rękę.

- Muszę ci coś powiedzieć o Lucku Finnegana, zanim go dosiądziesz.

- Co mi zrobi? - zapytał Warrick z uśmiechem. - Zrzuci mnie z siodła i skręć sobie swój beczenny kark? Co wtedy poczniesz biedna mateczka? - dodał złośliwie. - A co ważniejsze, co poczniesz ty, droga siostrzo? Cały ciężar utrzymywania honoru i pozycji rodziny spadnie wtedy na ciebie. A przecież i bez tego trudno ci zadowolić matkę.

Jessie poczuła dziwny ucisk w piersi, jakby miało z niej ująć życie. Odpędziła to uczucie i roześmiała się sztucznie.

- Ale przy tobie mogę chyba być sobą, prawda?

Twarz Warricka złagodniała. Ucisnął dłoń siostry.

- Zawsze - odparł żarliwie.

Trzymając się za ręce jak wtedy, gdy byli dziećmi, ruszyli w stronę powozu. Jessie obróciła się, by spojrzeć na rozposcierającą się przed nimi dolinę.

- Jak dobrze być w domu - powiedziała cicho, napawając się widokiem soczyste zielonych pól, przeciętych głęboką doliną rzeki. Woda wciąż była brązowa od zawiesiny naniesionej przez wiosenne potoki, spływające z widocznych w oddali stromych i purpurowych gór porośniętych lasem tropikalnym. - Tak tu pięknie.

Warrick parsknął gniewnie i pokręcił głową.

- Doprawdy? Zdaje się, że zawsze byłeś do tego miejsca przywiązana o wiele bardziej niż ja.

- Pięknie tu. - Odetchnęła świeżym, wonnym powietrzem wyspy. - Uważam, że Tasmania to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Nie mam zamiaru więcej się stąd ruszać.

Lucas Gallagher zamachnął się kilofem i poczuł, jak ostry koniec zagłębia się w skale. Mięśnie naprężyły mu się i rozluźniały, naprężyły i rozluźniały, kiedy bez wysiłku wykonywał swoją pracę.

Walął kilofem rytmicznie, płynnie zginał i rozprostowywał plecy. Gdy człowiek przywyknie do tej katoggi, gdy skóra dłoni zgrubieje, pokryje się odciskami i przestanie krwawić, gdy odpowiednie mięśnie ramion, nóg i pleców wzmocnią się i przestaną rwać z bólu, każde uderzenie staje się łatwe, pozbawione wysiłku i niewymagające zastanowienia.

Gallagher nawykł do tej harówki dawno temu. Zanim przydzielono go do kamieniołomu w posiadłości Corbetta, spędził rok, pracując w grupie aresztantów, skutych wspólnym łańcuchem. Tam musiał się nauczyć wymachiwania kilofem w lo-

dowatym deszczu i o głodzie, wlokąc trzydzieści funtów żelaznego łańcucha, skuwającego mu kostki.

Tutaj mógł się nareszcie porządnie wyspać i napełnić żołądek. Nic dziwnego, że pracował rytmicznie i bez wysiłku, chłodzony powiewami miłego wiosennego wietrzyku. Jego myśli błądziły daleko od zapyłonego kamieniołomu i od mechanicznie wykonywanego zajęcia.

W porównaniu z więźniami skutymi wspólnym łańcuchem, skazańcy przydzieleni do prywatnych posiadłości w rodzaju kamieniołomu Corbetta mieli znacznie lepsze życie. Lecz człowiek taki jak Lucas Gallagher źle znosił świadomość, że jest czymś poddanym i że nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie poczuje na plecach bata ani czy nie zostanie odesłany do jakiegoś gorszego miejsca, jak Port Artur lub wyspa Norfolk, gdzie ludzie woleli popełnić morderstwo tylko dlatego, że grożąca za to szybka śmierć przez powieszenie była stokroć lepsza niż egzystowanie w piekle stworzonym na ziemi.

Kiedyś Gallagher wierzył, że wytrzyma siedem lat ciężkich robót, po których otrzymywałoby się zwolnienie warunkowe i związaną z nim względną wolność. Ale potem zorientował się, że człowiek, który dopuścił się takiego przestępstwa jak on, nigdy nie dostanie zwolnienia warunkowego. Zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze: że nie da się znosić upodlenia i nie zostać upodlonym ani nie ulec zezwierzęceniu, jeśli jest się wciąż traktowanym jak zwierzę. Lucas zauważył, że już zaczyna się zmieniać, i nie chciał stać się kimś, kim z pewnością będzie choćby po jednym roku takiego życia. Stanowczo się na to nie godził. Dlatego jeszcze podczas długich nieznośnych miesięcy pracy w grupie skazańców skutych wspólnym łańcuchem postanowił, że gdy tylko przeniosą go do pracy u prywatnego właściciela, spróbuje zbiec.

Albo zginie podczas próby ucieczki.

- To z całą pewnością najpiękniejszy koń w tej stronie świata - powiedział Daniel O'Leary, przystając obok Lucasa i wskazując głową rumaka, brykającego na drodze w dole

kamieniołomu. O'Leary, podobnie jak Gallagher, pochodził z Irlandii. Był to rostry mocny mężczyzna o grubych rysach twarzy, rudych włosach i wielkich piegach na skórze tak jasnej, że australijskie słońce wciąż ją boleśnie przypiekało. Zesłano go tu osiemnaście lat temu, gdy był dziesięcioletnim chłopcem, za to, że zabił psa należącego do angielskiego urzędnika. Wprawdzie powinien wreszcie zostać zwolniony, lecz ponieważ był niecierpliwy i wciąż rwał się do ucieczki, naruszył prawo tak wiele razy, że w końcu dostał wyrok dożywotni. Tak samo jak Gallagher.

Lucas wyprostował grzbiet i z uśmiechem patrzył na konia.

- Oho, jeśli ten koń jest taki, jak myślę, Warricka Corbetta spotka niemiła niespodzianka, gdy spróbuje dosiąść go po raz pierwszy.

Nagle uwagę Gallaghera zwrócił niezwykle mocny i niski głos młodej kobiety, która wraz z Warrickiem Corbettem patrzyła na wielki dom w dolinie. Lucas był tu dopiero od dwóch tygodni, ale wiedział, że to panna Jesmonda Corbett, jedyna córka zmarłego właściciela posiadłości. W wieku osiemnastu lat namówiła ojca, by pozwolił jej studiować geologię, i odpłynęła do Londynu, gdzie uczyła się w Akademii Nauk dla Panien. Teraz, po dwóch latach, wróciła do domu.

Ta młoda kobieta, ciesząca się reputacją niekonwencjonalnej i awanturniczej osoby, intrygowała Lucasa. Widział, jak bez żadnej pomocy wyskakuje z powozu, a potem śmieje się serdecznie, odrzuciwszy głowę do tyłu. Nie jest tak piękna jak jej brat, pomyślał, patrząc, jak dziewczyna podchodzi do wielkiego ogiera. Zaśmiała się, gdy koń polizał jej palce. Rysom jej twarzy brakowało klasycznej doskonałości, a włosy, w odróżnieniu do płowych włosów Warricka, miały ciepły odcień złota. Lecz było w niej coś, co przykuło uwagę Gallaghera.

- Ach, dziewczyna! - Daniel roześmiał się cicho. - Lepiej będzie, jeśli utkwisz swój pożądlivy wzrok w koniu. Bogate angielskie panienki nie są dla takich jak my, kolego.

- Tak samo jak czystej krwi ogier - odparł Lucas ze śmiechem.

Ujął kilof i jeszcze raz spojrzął na kobietę w sukni z różowej popeliny. - Niezła, prawda?

W powietrzu rozległ się świst bata i ostrzegawczy okrzyk dozorca. Daniel odskoczył do tyłu, a Gallagher powrócił do miarowego wymachiwania kilofem. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy powóz i jego pasażerowie dawno zniknęli z pola widzenia.

2

Długa aleja wjazdowa, wysypana tłuczonymi muszlami, lśnącymi w jaskrawym wiosennym słońcu, wiodła przez starannie utrzymany park, w którym posadzono sykomory, brzozy, angielskie dęby i czarne akacje oraz holenderskie wiązki i jesiony. Będąc dzieckiem, Jessie traktowała rozległe trawniki, rozłożyste angielskie drzewa oraz otoczony murem ogród z rabatami róż, bzów i kamelii jak coś naturalnego. Teraz, wróciwszy z kraju macierzystego kolonistów, spojrzała na ogród nowym okiem i zdała sobie sprawę z tego, jak ciężko musieli pracować jej rodzice, by w samym sercu tasmańskiej puszczy stworzyć miniaturową enklawę Anglii.

Anselm Corbett wznosił dwupiętrowy dom ze starannie obrobionych bloków piaskowca. Mimo że na Tasmanii słońce świeciło mniej ostro niż w innych częściach Australii, lata były bardzo upalne, zwłaszcza dla ludzi nawykłych do łagodnego klimatu angielskiego. Dlatego, zgodnie ze zwyczajem kolonizatorów, otoczył dom dwupoziomowymi werandami, które zrobiono nie z drewna, lecz również z piaskowca, i nadano im kształt obszernych łuków gotyckich. W efekcie powstała budowla przypominająca skrzyżowanie średniowiecznego klasztoru i orientального zamczyska krzyżowców. Anselm nadał swojej siedzibie nazwę Zagroda Kruka, lecz gdy napaści australijskich opryszków zmusiły go do dobudowania rozległego ganku, zwieńczonego wysoką, kwadratową wieżą, ludzie zaczęli nazywać

jego dom Zamkiem Corbetta. Anselm nie miał im tego za złe. Dla syna prostego młynarza z Lancashire posiadanie domu zwanego zamkiem stanowiło nie lada honor.

Jadąc w stronę domu, wśród dobrze znanych jesionów, Jessie wsłuchiwała się w chrobot muszelek pod kołami powozu, ze smutkiem wspominając ojca. O powrocie marzyła przez wiele długich miesięcy spędzonych na statku. Wyobrażała sobie, że matka usłyszy podzwanianie upręży i stukot kół i wybiegnie na ganek u stóp wieży, aby ją powitać. Z tym że Beatrice Corbett nigdy nie uczyniłaby czegoś tak wulgarnego jak śpieszne pojawienie się przed domem tylko po to, by wyjść naprzeciw jedynej córce, bez względu na to, jak długo trwała jej nieobecność. Gdy powóz wyszedł z ostatniego zakrętu, Jessie ujrzała ganek, ocieniony i pusty.

Warrick pierwszy zeskoczył na ziemię, otoczył ramionami talię siostry i zastygł, ujrawszy wyraz jej twarzy.

- Tylko mi nie mów, że się spodziewałaś ujrzeć czekającą na ciebie matkę - powiedział sarkastycznym tonem i postawił , Jessie na podjeździe.

- Nie spodziewałam się. - Wyswobodziła się z ramion brata i spojrzała na masywną fasadę domu. - Ale chyba jakaś cząstka mnie wciąż łudziła się nadzieją.

Warrick lekko dotknął łokcia siostry i zatrzymał ją, zanim ruszyła w stronę ganku. Na jego twarzy pojawił się cień.

- Prawdopodobnie czeka na ciebie od śniadania w pokoju porannym, udając, że jest zajęta haftowaniem. Tęskniła za tobą. Bardzo.

- Wiem - powiedziała Jessie, uśmiechając się do brata, a potem wbiegła po stopniach i otworzyła szerokie dwuskrzydłowe drzwi. W Anglii w takim dworze czekałby na nich kamerdyner lub przynajmniej lokaj, zawsze gotowy, by otworzyć drzwi przed państwem, ale na Tasmanii ze służbą były pewne problemy. Londyńscy kieszonkowcy i członkowie irlandzkiej organizacji wyzwoleńczej nie zawsze nadawali się na lokajów.

Szybkie kroki Jessie rozbrzmiewały w przepastnym holu, wyłożonym czarnym i białym marmurem. Mimo średniowiecz-

nego dostojęstwa murów wewnątrz przypominało obszerną willę przeciętą na krzyż dwoma korytarzami: głównym holem, prowadzącym do tylnego wyjścia, i mniejszym, biegnącym ze wschodu na zachód. W jednym jego końcu znajdowały się szerokie schody z wypolerowanego drewna, w przeciwnym węższe schody dla służby.

Pokój poranny zajmował północno-wschodni narożnik domu. Rano wpadały tu promienie słońca, jednak Beatrice zazwyczaj trzymała przymknięte okiennice, tak że przez podwójne balkonowe okna do pokoju wpadało nikiłe blade światło. Był to typowo kobiecy pokój, umeblowany sprzętami z różanego drewna, krytymi kremowym adamaszkiem we wzory kwiatowe, z kominkiem z białego marmuru, nad którym wisiało duże lustro w pozłacanej ramie. Tam właśnie Jessie odnalazła matkę, przystrojoną w żałobną suknię z czarnego jedwabiu i usadowioną na kozetce z poprzedniego wieku. Na kolanach trzymała robótkę.

W latach młodości Beatrice Corbett uchodziła za piękność. Była wysoka i szczupła, rysy twarzy miała regularne i władcze. Nadal była urodziwa; włosy miała starannie uczesane i trzymała się prosto, choć dostatek i liczne, porody zniekształciły jej sylwetkę, a upływ czasu sprawił, że niegdyś łagodne i pięknie wykrojone usta stały się wąskie i zacięte.

Nie wstała na widok córki, lecz odłożyła na bok haft i wyciągnęła do niej białe smukłe dłonie, a w jej bladoszarych oczach zalśniła podejrzana wilgoć.

- Jesmonda. Chwała Bogu. Zaczynałam się niepokoić, że coś się stało. Wiatry wiejące wzdłuż wybrzeża stały się ostatnio niebezpieczne.

Jessie odłożyła czepek, rękawiczki oraz torebkę i, przystąpiwszy do matki, ujęła czubki jej wypielęgowanych palców. Słowa wypowiedziane przez Beatrice nawiązywały do najstraszliwszej tragedii, jaką przeżyła, tragedii, która wyjaśniała, dlaczego nie pojechała do małego portu w pobliskiej zatoce Blackhaven, aby wyjść naprzeciw małemu przybrzeżnemu keczowi, którym córka przypłynęła z Hobart Town, gdzie przybijały wszystkie statki

Londynu. Ta sama tragedia była źródłem ponurego niepokoju i bezsensownego buntu Warricka, ale nikt w rodzinie nigdy o niej nie wspominał.

- Wszystko w porządku, mamó. Podróż upłynęła spokojnie. Przybywam nieco później, bo uprosiłam Warricka, byśmy się zatrzymali przy kamieniołomie. Stamtąd jest najpiękniejszy widok na dom. Przepraszam.

Beatrice pokiwała głową.

- Powinłam się była domyślić - powiedziała z uśmiechem i uściśnęła mocniej dłonie córki. - Ach, jak dobrze mieć cię znów w domu. - Nieoczekiwanie podniosła się z pełną wdzięku elegancją, z której słynęła, i uściśkała Jessie tak mocno, że ta poczuła szybkie i mocne bicie jej serca. Przez długą, niezapomnianą chwilę Jessie tuliła się do matki, wdychając dobrze znaną woń perfumowanego talku i wspominając minione dzieciństwo. Potem Beatrice opuściła ramiona i odwróciwszy wzrok od córki, z roztargnieniem poprawiła włosy, zwinięte w luźny kok na karku.

Jessie patrzyła, jak matka znów zasiada na kozetce i sięga po robótkę. Dobrze wiedziała, że nigdy więcej nie będą rozmawiać o tym, jak Beatrice zareagowała na jej powrót do domu. W kregach, w których obracała się Jesmonda Corbett, nigdy nie roztrząsano emocjonalnych ani tragicznych przeżyć. Był to angielski sposób bycia. Podążano przez życie z kamienną twarzą, niezależnie od tego, jak niemiłe czy bolesne niosło zdarzenia. I nigdy o nich nie wspominało. Nikt nie okazywał, a często nie zdawał sobie nawet sprawy z tłumionej złości i bólu. Manifestowanie takich uczuć byłoby nie tylko sprzeczne z angielskim sposobem bycia, lecz również nieeleganckie. Gdy się mieszkało na końcu świata, w otoczeniu angielskich kryminalistów i irlandzkich buntowników oraz ich wolnych, lecz obciążonych dziedzicznie potomków, należało szczególnie przestrzegać dobrego tonu.

- Wyprawę przyjęcie z okazji twego powrotu - oświadczyła Beatrice, błyskając igłą. - Oficjalne wprowadzenie do tutejszego towarzystwa odbędzie się w przyszłym miesiącu. Nalegam, abyś

do tego czasu odpoczywała. Żadnych przejażdżek konnych po okolicy, żadnego badania formacji geologicznych czy też poszukiwania nowych i dziwnych egzemplarzy orchidei... nic z tych rzeczy. Potrzebujesz czasu, by dojść do siebie po podróży.

- Nie jestem zmęczona, mamu. - Jessie opadła na mały stołeczek u stóp matki. - I z całą pewnością nie potrzebuję długiego miesiąca, by dojść do siebie - dodała, zastanawiając się, po co się sprzeciwia, skoro i tak dobrze wie, jak matka na to zareaguje.

- Dama zawsze powinna wypocząć po dużym wysiłku. Twoje siostry to rozumiały.

Jessie siedziała milcząca. Od wczesnego dzieciństwa porównywano ją z dwiema zmarłymi siostrami. Bez względu na to, jak bardzo się starała, owe porównania zawsze wypadały na jej niekorzyść.

- Nie miałam nawet zamiaru prosić Harrisona i Philippę na dzisiejszą kolację - ciągnęła Beatrice, skupiając całą uwagę na hafcie. - Tylko że Harrison nie mógł się doczekać, kiedy cię zobaczy. - Podniosła wzrok i spojrzała na córkę z ciepłym uśmiechem. - Straszliwie za tobą tęsknił. Nie miałam serca kazać mu czekać.

Harrison Tate był ich najbliższym sąsiadem i przyjacielem Jessie. Od pięciu lat, to jest od chwili, gdy w wieku dziewiętnastu lat odziedziczył wielką posiadłość ojca, był również jednym z najbogatszych mężczyzn w kolonii. W dzieciństwie on, Jessie, Warrick oraz młodsza siostra Harrisona, Philippa, spędzali czas na wspólnych zabawach. A dwa lata temu, w osiemnaste urodziny Jessie, Harrison delikatnie ujął jej dłoń i spytał, czy może ogłosić ich zaręczyny.

Była to jedynie formalność, ponieważ ich ojcowie, Anselm Corbett i Malcolm Tate, dawno uzgodnili między sobą, że Warrick poślubi Philippę, a Harrison ożeni się z Jesmondą. Jessie dorastała z tą świadomością. Nikomu nie przyszło do głowy, że mogłaby się temu przeciwstawić, i rzeczywiście nigdy nie protestowała, tylko że najpierw chciała trochę postudiować w Londynie. Harrison nie miał nic przeciwko temu i nawet

posunął się do tego, że obiecał, iż wyjedzie na spotkanie jej statku z bukietem czerwonych róż i z obrączkami. Jessie skwitowała ten pomysł wybuchem śmiechu, uznając to za dobry żart. Harrison był zbyt konwencjonalny, zbyt angielski, by uczynić coś równie emocjonalnego i demonstracyjnego. Wszelkie publiczne okazywanie uczuć zawsze wprawiało go w zakłopotanie.

- Kiedyś nawet rozmawiał z Warrickiem na temat wspólnego wyjazdu po ciebie - mówiła Beatrice, jakby kontynuując tok myśli córki. - Ale mu odradziłam.

- Odradziłaś mu? - Jessie wsparła ręce na kolanach i pochyliła się do przodu. - Dlaczego?

Beatrice zerknęła na nią znad robótki.

- Pomyślałam, że twoje spotkanie z narzeczonym powinno się odbyć w bardziej... oficjalnym otoczeniu.

Jessie wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Mój narzeczony? Na Boga, mówisz o nim jak o jakimś budzącym postrach nieznajomym, przed którym powinnam popisywać się nienagannymi manierami, a przecież znamy się od chwili, gdy ja byłam stawiającym pierwsze kroki dzidziusem, a on umorusanym chłopczykiem w krótkich spodenkach.

- Nie przypominam sobie, by Harrison był kiedykolwiek umorusany, nawet gdy był mały. Pomyliłaś go pewnie z Warrickiem. - Jessie znów się roześmiała, a Beatrice rzuciła jej karcące spojrzenie. - Możesz się śmiać, ile tylko zechcesz, Jesmondo, ale od dawna nie jesteś dzidziusem, a Harrison Tate dobrze wie, co uchodzi młodej damie.

Śmiech zamarł na ustach dziewczyny. Nagle posmutniała, wstała ze stołeczka i podeszła do częściowo przysłoniętych okiennicą drzwi balkonowych, by spojrzeć na ogrody za domem.

Wszystkie okna miały wewnętrzne okiennice, które można było szybko zatrzasnąć przed atakami zbiegłych skazańców oraz włóczących się aborygenów. Obecnie wszyscy aborygeni odeszli i nawet rozbójnicy nie stanowili już zagrożenia, ale okiennice i pieczołowicie skonstruowane otwory na muszkiety pozostały... milczący świadkowie niebezpiecznych czasów oraz ukochanych bliskich, którzy zginęli jako ofiary gwałtu i przemocy.

To była kolejna tragedia rodzinna, którą wspominało się w bólu i samotności.

Jessie pchnęła okiennice. Teraz mogła spojrzeć nad murem ogrodu na czworokątny dziedziniec z zabudowaniami gospodarczymi. Na prawo od niego usytuowana była ozdobna sadzawka, która w istocie była glinianką; niegdyś wydobywano z niej materiał na cegły, z których pobudowane zostały stajnie, szopy i chaty. Obok sadzawki położony był cmentarz rodzinny. Z okna pokoju porannego Jessie dostrzegła lśniąca wodę i nowy mur, który Warrick budował na życzenie matki. Jeżeli nawet wznie-siono już pomnik Anselmowi Corbettowi, przysłaniały go drzewa. Jessie postanowiła, że później zmusi się, by tam pójść i zobaczyć miejsce, w którym, obok zmarłych synów i córek, pochowano ojca. Ale jeszcze nie teraz.

- Zamknij okiennice, Jesmondo. Dywan zblaknie od słońca.

- Tak, mamó. - Dziewczyna już miała się odwrócić od okna, lecz znieruchomiała, bo jej uwagę przykuł inny cmentarz, za sadzawką, obok baraków, w których mieszkali skazańcy. Nie było tam marmurowych pomników, tylko proste drewniane krzyże. Spoczywało pod nimi kilkudziesięciu przydzielonych do posiadłości służących, bariery między skazańcami i ludźmi wolnymi były tu bowiem tak nieprzeniknione, że sięgały nawet za grób.

- Jesmondo - ponagliła ją matka. - Dywan.

Jessie posłusznie zamknęła okiennice.

Jessie szła śpiesznym krokiem w stronę sadzawki. Chylące się ku zachodowi słońce kładło długie cienie na starannie wystrzyżony trawnik, gdzie została nakrywająca do kolacji matka.

Większość rodzin wielkich posiadaczy ziemskich w okolicy chowała swoich zmarłych na cmentarzu przy kościele w Blackhaven Bay, lecz nie Corbettowie. Kościół w Blackhaven Bay został wybudowany na malowniczym wzgórzu, z którego roz-taczał się widok na morze. A Beatrice Corbett unikała morza.

Między dwoma nowymi kamiennymi słupami, które znaczyły

wejście na teren, gdzie Anselm Corbett pochował zmarłych synów i córki, nie było jeszcze furtki. Wybrał takie miejsce, które nie przypominałoby żonie, odwiedzającej groby dzieci, jak zmarło pierwsze z nich. Jessie zawahała się chwilę, zanim weszła. W ręce ścisnęła bukiet z kwiatów jabłoni. Na widok najnowszego grobu poczuła ucisk w gardle.

Dwa lata. Po dwóch latach ziemia osiada, a trawa staje się gęsta i zielona. Jej ojciec spoczywa tutaj od dwóch lat. A ona aż do teraz nie mogła w to uwierzyć.

Z trudem przełknęła ślinę, minęła słupy znaczące wejście i podeszła do najnowszego marmurowego nagrobka. Ukłękła na trawie. Buki po drugiej stronie kamiennego muru kołysały się na wietrze, niosącym woń świeżo skoszonej trawy i kwiecica jabłoni.

Tego dnia, gdy ojciec pocałował ją na pożegnanie, również kwitły jabłonie. Nie chciał, by jechała do Londynu; uważał pomysł studiowania w Akademii Nauk dla Panien za niedorzeczność, a nawet za coś niewłaściwego. A jednak wziął stronę córki i wspólnie odpierali sprzeciwy matki. Dzięki niemu Jessie uzyskała zgodę na rozwijanie swych mało kobiecych zainteresowań. Już nigdy nie zobaczy ojca.

- Och, tatusiu - szepnęła, kładąc kwiaty jabłoni na białym marmurze nagrobka. - Tak bardzo za tobą tęsknię. - Zaciśnęła powieki, aby powstrzymać łzy, i zakryła twarz dłonią.

Nie wiedziała, jak długo tam kłęcz, pogrążona w smutku. Dwie pszczoły wleciały, bzycząc, z kępy białych kwiatów łośownicy, rosnącej przy wejściu na cmentarz.

Jessie odjęła rękę od twarzy i spojrzała za siebie. Spozstrzegła jednego z pracujących w posiadłości skazańców, który przyglądał się jej, stojąc przy bramie. Obutą w gruby bucior stopę wsparł na kamieniu. Pod pachą trzymał drewnianą skrzynkę na narzędzia. Miał teraz na sobie bawełnianą koszulę, wepchniętą w poszarpane płócienne spodnie, ale Jessie i tak go rozpoznała. Był to mężczyzna z kamieniołomu. Ten przystojny ciemnowłosy Irlandczyk o niepokojąco gniewnych oczach.

- Myślałam, że skończył się wasz dzień pracy - powiedziała, podnosząc się z kłęczek, zakłopotana i niezadowolona, że ktoś zakłócił jej chwilę zadumy przy grobie ojca.

Mężczyzna ruszył w kierunku Jessie, co zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Cofnęła się o krok, ale on ciągle szedł ku niej.

- Zostało niewiele do zrobienia - powiedział, wskazując głową na róg muru, obok którego stała z usztywnionym karkiem i zaciśniętymi pięściami. - Zgłosiłem się na ochotnika, że przyjdę tu po kolacji i dokończę.

Zatrzymał się w odległości dwóch stóp od niej. Jessie spojrzała na niedokończony fragment muru, a potem na mężczyznę.

- Na ochotnika?

- Rany, toż ona mówi zupełnie jak chłopaki z baraków. - Białe zęby błysnęły w uśmiechu, który rozjaśnił jego oczy do barwie wody morskiej. - Oni także uważają, że mam hysia.

Nie myliła się. Był Irlandczykiem. Podejrzała, że mówi do niej tak przesadną gwarą specjalnie, by się z nią drażnić.

- Widziałam cię dziś w kamieniołomie - powiedziała bez zastanowienia.

- Cha. - Podszedł do muru, by przyjrzeć mu się z bliska. Ręce wsparł na szczupłych biodrach i odwrócił się plecami do Jessie. - Dzięki temu jutro rano zaczniemy budować nowe stajnie.

Wtedy zrozumiała.

- Nie taki znów głupi, raczej sprytny. Stawianie murów to znacznie lżejsza praca niż harówka w kamieniołomie.

- Otóż to. - Obejrzał się na nią. Miał interesującą twarz. Szerokie kości policzkowe i proste ciemne brwi nad głęboko osadzonymi, tajemniczymi oczami.

Jessie stwierdziła, że nie potrafi patrzeć w te oczy. Dlatego spojrzała na mur.

- Masz chociaż pojęcie o murarstwie?

Znów odwrócił się do niej plecami, pochylił i z wdziękiem zaczął szukać czegoś w skrzynce z narzędziami.

- Po roku pracy przy budowie dróg i mostów dla Jej Królewskiej Mości? - Zamilkł na chwilę. - Chyba mam.

- Byłeś skuty z innymi skazańcami - powiedziała, zastana-

wiając się, dlaczego tak ją to niepokoi. Nie wiedziała, czemu tu stoi i gawędzi z tym szorstkim i dziwnie opanowanym więźniem.

Powiał wiatr, teraz chłodniejszy, zapowiadający nadejście wieczoru. Jessie zerknęła w stronę domu, gdzie w oknach zajaśniało ciepłe złote światło pierwszych świec. Wiedziała, że czas wracać i ubierać się do kolacji z Harrisonem i Philippą Tate'ami, a jednak zwlekała z odejściem, nie wiedząc, co powiedzieć na odchodnym. Zwrócony plecami do niej mężczyzna jakby zapomniał o jej obecności. Był przecież tylko przydzielonym do ich posiadłości skazańcem, zajęтым pracą. Nie wiedziała, dlaczego rozmawiała z nim tak swobodnie.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła przez trawnik w stronę oświetlonego domu. Nie obejrzała się, by sprawdzić, czy odprowadza ją wzrokiem, ale przez całą drogę czuła za sobą jego obecność.

3

Harrison Winthrop Tate przechadzał się tam i z powrotem przed szerokimi schodami prowadzącymi do Beaulieu Hall. Na plecach czuł ciepłe promienie wieczornego słońca, przenikające przez czarną tkaninę surduta. Pod podszewami jego butów łagodnie chrzęścił drobny żwir. Podszedł do odkrytego powozu, zaprzęzonego w parę śnieżnobiałych kłaczy, a potem zawrócił i skierował się do czarnego podpalanego psa myśliwskiego, który pomachał ogonem w oczekiwaniu wieczornej przebieżki, lecz wkrótce zrozumiał, co oznacza oficjalny strój Harrisona, jego dobrze skrojone spodnie i elegancka laseczka ze srebrną rączką, którą pan zabierał wyłącznie na wizyty oraz w podróże w interesach.

- Nie dzisiaj, piesku - powiedział Harrison i osłodził odmowę, skrobiąc psa między obwisłymi uszami. - Przykro mi.

Zwierzę westchnęło z rezygnacją i położyło się na ziemi, wsparło łeb na przednich łapach i utkwilió wielkie zatroskane oczy w swym panu.

Harrison obrócił się i przebiegł wzrokiem po górnym rzędzie podwójnych okien domu. Zazwyczaj widok wspaniałej fasady jego piętrowego domu, ozdobionego kutymi subtelnie w żelazie barierkami werandy, które przywieziono wprost ze Szkocji, napełniał go spokojnym poczuciem dumy i sensu istnienia. Lecz dzisiaj Harrison Tate pozostawał pod wpływem emocji, na którą rzadko sobie pozwalał. Niecierpliwił się.

Wsunął starannie utrzymane palce do kieszonki aksamitnego surduta i wyciągnął z niej pięknie wygrawerowany złoty zegarek, który otrzymał od ojca na osiemnaste urodziny. Otworzył go i z trudem stłumił okrzyk niezadowolenia. Planował, że przyjedzie do zamku o siódmej, a był już dziesięć minut spóźniony.

Poważnie rozważał uczynienie czegoś całkowicie niezgodnego z jego charakterem, jak wtargnięcie do domu i zakrzyknięcie podniesionym głosem czegoś w rodzaju: „Pośpiesz się, Philipppo”, gdy wreszcie ukazała się jego siostra, niosąc zwiewny szal i parasolkę. Za nią dreptała zdenerwowana pokojówka, poprawiając fałdy żółtej taftowej spódnicy na mocno wykrochmalonych halkach.

Harrison wydał ciche westchnienie ulgi, ale ostentacyjnie trzymał otwarty zegarek dłużej, niżby należało, aby dać siostrze do zrozumienia, że jest z niej niezadowolony.

- Przestań miażdżyć mnie wzrokiem, Harrisonie - powiedziała Philippa, wsuwając parasolkę pod ramię i naciągając na dłonie rękawiczki z cieniutkiej kozłej skórki. - Mieścimy się w czasie i dobrze o tym wiesz.

- Nigdy nie miażdżę cię wzrokiem.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie robisz niczego, co jest nieeleganckie. Ty tylko marszczysz czoło i spoglądasz w dół na twój długi nos jak srogi sędzia Sądu Najwyższego, który zaraz wyda polecenie egzekucji następnego skazańca.

Harrison otworzył przed nią drzwi powozu.

- Skąd możesz wiedzieć, jak wygląda sędzia Sądu Najwyższego?

- Nie mam pojęcia. - Przyjęła jego rękę i uśmiechnęła się, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. Uśmiechała się samymi oczami, czego większość ludzi nie zauważała. Prawdę powiedziawszy, Harrison często podejrzewał, że większość ludzi niewiele wie o Philippie. Był jej jedynym bratem, a jednak i on nieraz miewał niemiłe uczucie, że wcale jej nie zna. Spokój, afektowana skromność i układny wyraz twarzy, które prezentuje światu, są jak fasada jego domu: eleganckie, sztuczne i obliczone wyłącznie na efekt.

- Ile sukien przymierzyłaś? - zapytał, siadając obok niej.
 - Tylko dwie. - Otworzyła parasolkę i umieściła tak, by przysłonić swoją delikatną cerę. W przeciwieństwie do Jesmody, Philippa dobrze wiedziała, że jasną skórę należy chronić przed promieniami australijskiego słońca.

- Warrick może być poza domem.

Parasolka drgnęła nieznacznie.

- Oczywiście, że będzie w domu - powiedziała pogodnym tonem, a jej jasnobrażowe oczy, ukryte pod spuszczoneymi rzęsami, nie wyrażały żadnych emocji. - To pierwszy wieczór Jessie.

Harrison odchylił się na oparcie, gdy stangret zaciał konie i powóz ruszył naprzód.

- Cóż, jego strata, jeśli go nie będzie. Nie zobaczy, jak pięknie wyglądasz.

Odwdzięczyła mu się pięknym uśmiechem, który rozświetlił jej całą twarz. Tego wieczoru wygląda nadzwyczaj ładnie, pomyślał Harrison, spoglądając na jej pokryte rumieńcem, pełne policzki i opadające w lokach jasnokasztanowe włosy.

Od chwili narodzin była przyrzeczona dziedzicowi Zamku Corbetta i chociaż imię dziedzica zmieniało się z latami, gdy zmarł pierworodny, a potem następny syn Anselma, przeznaczenie Philippy pozostało to samo. Jeżeli przedwczesna śmierć Cecila lub Reida Corbettów napełniły ją smutkiem, to nigdy tego nie okazała. Zaakceptowała Warricka na przyszłego małżonka z takim samym spokojem, jaki okazywała najpierw wobec Cecila, a potem wobec Reida.

Ale Harrison wiedział, że Warrick nie był pewny przejęcia narzeczonej po zmarłych braciach wraz z resztą rodzinnego dziedzictwa. Miał ją oficjalnie poprosić o rękę, gdy skończy osiemnaście lat. Jednak osiemnaste urodziny Phillipy nadeszły i minęły kilka miesięcy temu, a Warrick nie powiedział ani słowa.

Ta myśl przypomniała Harrisonowi, że chociaż Jesmonda przyjęła jego oświadczenia przed dwoma laty, wciąż jeszcze nie została jego żoną. Wolała pojechać do tej swojej dziwacznej szkoły. Czasami zastanawiał się, jakie skutki będzie miała jej

długa nieobecność w domu i studia w Londynie. W przeciwieństwie do Warricka Jesmonda nie była prowokacyjnie dzika ani zbuntowana, ale bywała nieprzewidywalna i nonkonformistyczna, co napawało Harrisona troską, ilekroć był wobec siebie wystarczająco szczerzy, by to przyznać.

- Ściskasz tę łaskę, jakbyś ją chciał udusić - powiedziała Philippa, gdy powóz podskakiwał i dygotał, zjeżdżając z podjazdu na główny trakt. - Od kilku dni jesteś taki zniecierpliwiony i niespokojny. Nie mogę zrozumieć, dlaczego po prostu nie pojechałeś z Warrickiem do Blackhaven Bay na spotkanie Jessie.

Harrison spojrział na siostrę, ale szybko odwrócił głowę i utkwiał wzrok w mijanych pastwiskach. Jego policzki poczerwieniały, zdradzając zakłopotanie. Jakaś jego cząstka rozpaczliwie pragnęła znaleźć się tam dzisiejszego ranka, by ujrzeć ukochaną kobietę zaraz po jej przybyciu, by dotknąć jej policzków, zobaczyć usta rozchylone w powitalnym uśmiechu. A jednak doznał sekretnej ulgi, gdy Beatrice Corbett łagodnie zasugerowała, żeby powitał jej córkę podczas kolacji w Zamku Corbetta. Ponieważ prawda była taka, że w uczuciach, jakie żywił do Jesmody, było coś nieeleganckiego i nieomal zwierzęcego. Na wietrznym brzegu morza, pod palącymi skórę promieniami słońca, przy huku fal rozbijających się wokół mógł się zapomnieć i oddać przepętniającej go namiętności w sposób, który przeraziłby Jessie, a jego wprawiłby w zakłopotanie. Pośród chłodnych marmurów i sztywnych brokatów nieskazitelnego salonu Corbettów nic takiego mu nie groziło.

- Doprawdy, Philippo - rzekł ostrym tonem. - Jesmonda przepłynęła pół świata. Spodziewałbym się, że kto jak kto, ale ty doskonale powinnaś zrozumieć, że matka chce jej zapewnić trochę spokoju, by doszła do siebie po długiej podróży.

Philippa roześmiała się cicho.

- Ja z pewnością z pół roku dochodziłabym do siebie po takiej podróży, ale nie Jessie. Czy widziałaś, by ona kiedykolwiek potrzebowała odpoczynku?

Powóz właśnie zaczął zwalniać na zakręcie w trzypasmową

aleję prowadzącą do zamku. Bez trudu mogliby przebyć pieszo dzielącą ich przestrzeń, zwłaszcza że jako dzieci często to robili, ale teraz nie byli już dziećmi, a poza tym na oficjalną kolację nie przybywa się piechotą.

Harrison wyrozumiale uśmiechnął się do siostry.

- Jesmonda jest teraz dorosłą kobietą, Philippo. Nie możesz oczekiwać, że będzie tą samą, raczej niekonwencjonalną młodką, jaką pamiętasz, która wiecznie tłukła skały na klifie w poszukiwaniu skamieniałości i ryzykowała życie, włócząc się po pieczarach.

Philippa pokręciła głową.

- Ona się nigdy nie zmieni.

- Oczywiście, że się zmieni. - Harrison poczuł, że jego oddech staje się szybszy, w miarę jak powóz zbliża się do zwieńczonego wieżą zamku. - Taki sposób spędzania czasu jest do przyjęcia w przypadku młodej dziewczyny, lecz nie uchodzi żonie mężczyzny o mojej pozycji.

Philippa, która właśnie zbierała szal, parasolkę i torebkę, zamarła nagle i spojrzała na brata, unosząc leciutko brwi.

- Skoro Beatrice Corbett nie była w stanie zmienić jej przez wszystkie te lata, nie wyobrażaj sobie, że tobie się to uda.

Harrison zacisnął dłoń na lasce i lekko wyskoczył z powozu.

- Nie martw się - odparł ze śmiechem. - Jesmonda może mieć niezwykle zainteresowania, ale została dobrze wychowana i wie, czego się oczekuje po kobiecie z jej sfery.

Zaczekał, aż chłopak stajenny pomoże siostrze wysiąść, podał jej ramię i starannie skrywając niecierpliwość, odwrócił się w oczekiwaniu, że ich przyjazd zostanie zaanonsowany kobiecie, która już wkrótce zostanie jego żoną.

Jessie właśnie podążała przez ogród, gdy doleciało do niej dzwonienie uprząży i turkot kół powozu na podjeździe.

- O, Boże -jęknęła pod nosem i uniósłszy spódnicę, pobiegła przez obsadzony różami trawnik w stronę bramy w kamiennym murze, który oddzielał ogród od podjazdu. Znalazła się tan" akurat w chwili, gdy wysoki, chudy dżentelmen w cylindrze

i eleganckim surducie podawał ramię drobnej kobiecie o jasno-kasztanowych lokach i z koronkową parasolką w dłoni.

Przybyła podniosła wzrok i powiedziała:

- Jessie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca spowiły park złocistym światłem, mieniając się na tafcie sukni Philippy i lśniąc na gorsie białej koszuli Harrisona. Powóz odjechał w stronę stajni. Jessie nie widziała Tate'ów od ponad dwóch lat, ale byli jej najbliższymi przyjaciółmi, więc szybko zapomniała o dręczących ją od pół godziny niepokojach. Była teraz u siebie w domu, za którym tak bardzo tęskniła, z ludźmi, których jej brakowało, więc czuła się szczęśliwa.

Szybkim ruchem wygładziła poplamioną trawą spódnicę i ruszyła naprzód, śmiejąc się radośnie i wyciągając ręce.

- Zaskoczyliście mnie, zanim się przebrałam do kolacji. Pewnie pomyślicie, że nic się nie zmieniłam od czasu, gdy byliśmy dziećmi.

Pierwsza podeszła do niej Philippa i ze śmiechem objęła przyjaciółkę.

- Och, Jessie, mam nadzieję, że się nie zmieniłaś. Jak dobrze, że już jesteś.

Jessie odsunęła się od niej na długość ramion, by się jej lepiej przyjrzeć. Chociaż w chwili wyjazdu Jesmondy Philippa miała zaledwie szesnaście lat, minione dwa zmieniły ją w niewielkim stopniu. Z całej ich czwórki Philippa zawsze była najcichsza, miała też spokojne usposobienie i poczucie humoru tak subtelne, że brat prawie go nie zauważał. Charakteryzowała się łagodną pogodą ducha i dziwnie dojrzałym stosunkiem do zaskakujących wydarzeń niesionych przez życie, czyli cechami, których Jessie brakowało.

- Ja też się cieszę, że wróciłam - odparła Jessie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

- Witaj, Jesmondo - odezwał się Harrison, postępując krok naprzód z rozświetlonymi uśmiechem szarymi oczyma, aby ująć jej dłoń.

Był wysoki, wyższy i chudszy od Warricka. Nosił się z dumą

i pewnością siebie, jakie zawdzięczał licznym pokoleniom przodków cieszących się wpływami i autorytetem. Jessie odwzajemniła uśmiech, patrząc na jego arystokratyczną twarz o kształtnym nosie, cienkim wąsiku i obfitych bokobrodach, i przez chwilę czuła się tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Zawsze nazywał ją Jesmondą, nawet gdy byli małymi dziećmi. Oprócz matki tylko Harrison zwracał się do niej pełnym imieniem i pewnego razu zapytała, dlaczego nie używa zdrobnienia. Działo się to wiele lat temu, podczas upalnego słonecznego dnia, gdy spędzali wszyscy czas na plaży w Błackhaven Bay, przed śmiercią Cecila. Harrison zatrzymał się i spojrzął na nią z góry, bo już wtedy, mając trzynaście lat, znacznie przewyższał wzrostem dziewięcioletnią Jessie.

- Jessie to nie jest imię dziewczyńskie - powiedział poważnie. - To imię odpowiednie dla chłopca. A ty i bez tego zachowujesz się jak chłopak.

- Wcale nie - odparła, kładąc mu dłonie na piersi i odpychając go tak mocno, że mimo przewagi wieku i wzrostu zatoczył się i wpadł do rozfalowanej morskiej wody.

- Właśnie że tak - rzekł z triumfalnym uśmiechem. - Dziewczynki nie popychają. I się nie kłóca.

To wcale jej nie powstrzymało od dalszych sprzeczek, ale nie zdołała zmienić jego zdania na swój temat. Nadal nazywał ją Jesmondą, a ona wiedziała, że już zawsze będzie się tak do niej zwracał.

- Harrison - powiedziała, uśmiechając się do wspomnień z dzieciństwa. - Nic się nie zmieniłeś. Wciąż z uporem zwracasz się do mnie pełnym imieniem.

Roześmiał się i Jessie pomyślała, że obejmie ją tak jak Philippa, lecz nie uczynił tego, tylko mocno uściśnął jej dłonie i spojrzął na nią nadspodziewanie poważnie. Przez krótką szaloną chwilę wydawało jej się, że ją pocałuje, i poczuła nagły przypływ wstydu, ale puścił jej ręce i odstał do tyłu, jakby chciał zachować dystans.

- Odwiedziłaś grób ojca - rzekł, spoglądając w kierunku,] z którego nadeszła. - Nie znajduję odpowiednich słów, by wyrazić, jak bardzo ci współczuję.

Dziękuję - odparła szybko, czując ucisk w gardle. Wiedziała, że Harrison mówi szczerze, lecz wolała, by nie poruszał tego tematu. Nie była jeszcze gotowa do rozmów na temat śmierci ojca, w każdym razie nie z Harrisonem. W jego obecności zawsze starała się być silna, aby ukryć swoje wrażliwe punkty i zachowywać się równie spokojnie i beznamiętnie, jak on.

Po tym powitaniu odeszła w pośpiechu, by przebrać się do kolacji. Gośćmi zajęła się Beatrice, która poprowadziła ich do obszernego, zdobionego stiukami salonu z białym marmurowym kominkiem i francuskimi meblami z orzechowego drewna, krytymi brzoskwiniowym adamaszkiem.

Kiedy wróciła ze swego pokoju, stwierdziła, że Warrick jeszcze się nie pokazał. Matka była zła.

- Gdzież on się podziewa? - zapytała oschle.

- Przyjdzie - uspokoiła ją Jessie. - Coś go musiało zatrzymać. Beatrice gniewnie rozdeła delikatne chrapki nosa.

- Jego bracia nigdy by się tak nie zachowali.

Jessie westchnęła głęboko, lecz nie uśmierzyło to jej bólu, który obudziły słowa matki. Cecil i Reid, tak jak ich zmarłe siostry, Catherine i Jane, byli posłuszni, spokojni i przestrzegali form towarzyskich. Nieustającym źródłem smutku Beatrice był fakt, że spośród sześciorga rodzeństwa przeżyło tylko dwoje najmłodszych i to takich, z których rzadko była zadowolona.

- Mamo, on tylko spóźnia się na kolację.

Beatrice wygładziła fałdy spódnicy.

- Obawiam się, że chodzi o coś więcej.

Jessie spojrzała na pełną napięcia twarz matki, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Harrison usłużnie podał ramię gospodyni. Jessie ruszyła za nimi wraz z Philippa.

Warrick pojawił się dopiero wtedy, gdy podano zupę, a Jessie i Harrison toczyli dyskusję na temat konieczności edukowania dziewcząt w tym samym stopniu co chłopców.

- Niby po co? - mówił Harrison. - Muszę wprawdzie przyznać, że istnieją nieliczne inteligentne kobiety, lecz większość przedstawicielek płci żeńskiej, ze względu na ich temperament i naturę, nie nadaje się do poważnego długotrwałego studiowania. Byłaby to tylko strata społecznych środków.

- Możliwe - powiedziała słodko Jessie - że gdyby kobiety lepiej wykształcić, ich temperament zmieniłby się.

Harrison pokręcił głową.

- Nie można zmienić natury, Jesmondo. I niby po co mielibyśmy to czynić? - Uśmiechnął się do niej przymilnie. - Jesteście takie zachwycające.

Jessie wiedziała, że miał to być komplement, lecz jej policzki powlekł rumieniec gniewu.

- Kłopot z tobą, siostrzyczko, jest taki - usłyszała od strony holu - że zapominasz o podstawowej zasadzie, która rządzi naszym światem. - Warrick stał w drzwiach, trzymając kieliszek brandy. - Zasada owa mówi, że społeczeństwo składa się z mężczyzn. Podczas gdy kobiety... - Wkroczył do salonu, wznosząc kieliszek w kpiarskim geście. - Kobiety mają stanowić jedynie ozdobę. Och, i oczywiście pomagać w reprodukcji gatunku.

- Warrick - odezwała się Beatrice lodowatym tonem. - Skoro] raczyłeś zaszczycić nas wreszcie swoim towarzystwem, zechciej usiąść przy stole, abyśmy razem zjedli drugie danie.

Warrick dopił resztę alkoholu, zanim odparł:

- Z przyjemnością.

Zesztywniała z zakłopotania Jessie patrzyła, jak brat zajmując miejsce u szczytu stołu. Miał przekrzywiony fular; na czoło opadały romantycznie wzburzone włosy. Wiedziała, że brat dołożył wszelkich starań, aby wszyscy widzieli, że spóźnił się na kolację nie dlatego, że zatrzymało go ważne zajęcie, lecz jakiś dziki impuls przekory. Szybko przebiegła wrokiem gniewne oblicze matki, zaciśnięte szczęki Harrisona oraz pogodną twarz Philippy i nagle pojęła, dlaczego Warrick zachowuje się tak nieodpowiednio i czemu stara się zasłużyć na dezaprobatę matki.

Philippa gładko sprowadziła rozmowę na mniej drażliwe tematy. Służba cicho uwijała się wokół stołu, usuwając talerze po zupie. W miarę upływu czasu Jessie zaczęła zdawać sobie sprawę z dziwnego uczucia, którego nie potrafiła nazwać. Dopiero gdy uprzątnięto ze stołu i damy wstały, by pozostawić dżentelmenów przy porto i cygarach, zrozumiała, jakie było źródło jej dziwnego zasmucenia.

Zazdrościła Warrickowi.

Szykowała się do snu, gdy spostrzegła brata, stojącego samotnie w pobliżu jego pokoju w odległym końcu werandy na piętrze. Stał zwrócony do niej plecami, rozstawione ręce wsparł na balustradzie, wzrok utkwiał w tonącym w ciemnościach parku i w odległych wzgórzach. Cicho otworzyła drzwi; poczuła chłodny powiew, który poruszył loki na jej karku, i mocniej otuliła się szalem, narzuconym na nocną koszulę. Zawahała się, ale po chwili ruszyła do brata.

- Popsułem ci powitalną kolację, prawda? - zapytał Warrick, nie patrząc na siostrę. - Mam cię przeprosić?

- Nie. - Stanęła obok niego, opierając się o słupek werandy. Uśmiechnął się i zapytał:

- Więc o co chodzi?

- Nie oświadczyłeś się Philippie, prawda?

Pokręcił głową.

- Zrobisz to?

Odrzucił od niej wzrok.

- Nie.

- Ale... tego od ciebie oczekują.

- A czy ja kiedykolwiek robię to, czego po mnie oczekują? Matka stale podkreśla, że lubię robić wszystko na przekór.

- Zawsze myślałam, że lubisz Philippę.

Wiedziała, że tak jest. Harrison był jej towarzyszem, a Warrick bliskim przyjacielem Philippy. Zawsze pomagał jej nadziać robaka na haczyk wędki i brał jej stronę w sprzeczkach z Harrisonem. Lecz teraz tylko westchnął i pokręcił głową.

- W przeciwieństwie do ciebie pragnę znaleźć w małżeństwie coś gorętszego niż zwykła sympatia.

- Nie powinienes tak mówić.

Roześmiał się cicho.

- Niby czemu? Dlaczego nigdy nie wolno nam mówić niczego, co byłoby choć odrobinę kłopotliwe? Co ci się wydaje takie niewłaściwie? Fakt, że musiałbym otwarcie wyznać, że nie kocham Philippy? Czy to, że ośmielam się pragnąć zaznać w ramionach żony prawdziwej namiętności? Co sobie wyobrażasz? Że to, co nie zostanie wypowiedziane, w ogóle nie istnieje?

- Nie, ale...

Puścił barierkę i odwrócił się do siostry.

- Usiłujesz mi wmówić, że kochasz Harrisona?

- Oczywiście, że kocham. Zawsze go kochałam.

- I nic się nie zmieniło?

- Nie. Dlaczego coś miałyby się zmienić?

Pochylił się nad nią.

- Bo ty się zmieniłaś, Jessie. Nie jesteś już dzieckiem. Wszyscy dorośliśmy. Nie przeszkadza ci to, że darzysz przyszłego męża tym samym uczuciem, które żywiłaś kiedyś wobec dziesięcioletniego chłopca?

Patrzyła na niego, oddychając szybko i płytko.

- Uważam, że Harrison nadaje się na mego męża.

- Co to znaczy?

- Jak to co? Wiesz, jaki on jest. Jest w każdym calu dżentelmenem. Zawsze spokojny i opanowany. Zawsze bardzo pewny siebie. Wie, kim jest i czego pragnie od życia.

- W przeciwieństwie do ciebie. Co ty sobie wyobrażasz, Jessie? - Głos Warricka złagodniał. - Że poślubiając Harrisona, staniesz się taka jak on?

Spojrzała na jego piękną, poważną teraz twarz i wydało jej się, że w bladym nienaturalnym świetle księżycy wyraźnie przejęty brat wygląda na dziwnie postarzałego i mądrzejszego niż dotąd.

- Harrison mnie kocha - powiedziała.

- Masz rację. Kocha cię. Niestety, nie sądzę, by cię kochał tak samo jak wtedy, gdy miał lat dziesięć, a ty sześć.

Jessie przypomniała sobie wyraz dziwnego napięcia, który dostrzegła na twarzy Harrisona, z jakim przyglądał się jej tego wieczoru, i poczuła, że narasta w niej dziwny wstyd. Zakłopotana, odwróciła wzrok i popatrzyła na ogród.

— Przyszłam tu, aby porozmawiać z tobą o Philippie.

- Naprawdę? Nie byłbym tego taki pewien. - Chwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie. - Jessie... małżeństwo jest na całe życie. Nie wiąż się, jeżeli nie jesteś pewna, że tego chcesz. Nieważne, czego chce Harrison ani czego chce matka. Liczy się to, czego pragniesz ty.

- Już jestem związana, nie pamiętasz? Zresztą mylisz się. Chcę wyjść za mąż za Harrisona. Naprawdę - powiedziała z mocą, jakby wymawiając te słowa mogła sprawić, żeby to była prawda.

Następnego ranka obudziła się wcześniej. W pierwszej chwili zdziwiła się, że leży w łóżku, które się nie kołysze, dopiero potem przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Przeturlała się na bok, nasłuchując pokrzykiwania srok i polinezyjskich papug, i leżała, przyglądając się tapecie i cedrowym meblom w sypialni, którą zajmowała od wczesnego dzieciństwa. Ach, jak dobrze być w domu.

Założyła ręce nad głowę i przeciągnęła się. Potem zsunęła się z łóżka i przeszła boso po dywanie do drzwi balkonowych, wiodących na werandę. Otworzywszy okiennice i drzwi, spojrzała na park skąpany w ciepłym złocistym świetle poranka i uśmiechnęła się z zachwytem.

Tak samo jak położony niżej poranny pokój matki, sypialnia Jessie usytuowana była w północnym rogu domu. Roztaczał się stąd widok na stojące w czworoboku zabudowania gospodarstwa za murem ogrodu. Szopy, stodoły, kuźnia i wędzarnia, baraki skazańców i stajnie, przy których już pracowali robotnicy Warricka. Jessie zastanawiała się, czy jest wśród nich Irlandczyk,

z którym wczoraj rozmawiała. A potem zdziwiła się, że ją to interesuje.

Zadrzała w porannym chłodzie i objęła się ramionami. Na drewnianej barierce werandy usiadła wielka papuga. Jessie spojrzała na jej ogromny dziób i roześmiała się, słuchając znajomego gdakania ptaka.

Wyszła na werandę, czując pod stopami jej gładkie drewno. Stąd widać było ogród ze słodko pachnącą lawendą i tymiankiem, hyzopem i szałwią. Dojrzała wysokiego, smukłego młodzieńca o jasnych lokach i anielskiej twarzy, który szedł wzdłuż muru, wymachując batem.

Wstrzymała oddech. Nie spodziewała się, że zobaczy go tak wczesnym rankiem, ponieważ wczoraj rozmawiali do późna., Poruszyli wiele tematów, lecz nie powiedziała mu o dziwactwach Lucka Finnegana. Teraz patrzyła ze zgrozą, jak Warrick wychodzi przez furtkę tylnego ogrodu i kieruje się do stajni i swojego nowego ogiera.

- O, Boże! - wyszeptała, chwytając się barierki, ale zaraz obróciła się i podbiegła do szafy w sypialni.

4

Pokryte rosą kamienie były śliskie i chłodne pod bosymi stopami Jessie, biegnącej w stronę stajni. Rozpuszczone włosy powiewały w rzeźkim powietrzu. W pośpiechu zrezygnowała z gorsetu i włożyła tylko jedną z sześciu halek, które zazwyczaj nosiła, oraz długą spódnicę, którą przytrzymywała, by w czasie biegu nie płątała się wokół kostek.

Furtka w murze ogrodu zamknęła się z trzaskiem i Jessie wybiegła na dziedziniec. Było tam teraz niemal zupełnie pusto. Przy murach nowej stajni pracowało trzech czy czterech mężczyzn. Jessie dostrzegła stojącego tuż za nimi Warricka. Jedną stopę ustawił na specjalnym klocku i, niecierpliwie postukując batem o lśniąca cholewę buta, patrzył, jak chudy chłopak stajenny o brązowych włosach i perkatym piegowatym nosie z uśmiechem prowadzi nowego konia.

- Warrick! - krzyknęła Jessie. - Zaczekaj!

Na dźwięk jej głosu koń uniósł łeb i rozdał chrapy z przesadną nerwowością. Warrick zdjął stopę z pieńka i obejrzał się. Widok bosych stóp i rozwianych włosów siostry wywołał na jego twarzy wyraz lekkiego zdziwienia.

- Na miłość boską, co się z tobą dzieje, Jessie?

- Luck Finnegana - wydyszała, zatrzymując się obok brata. Jej bosa pięty zapadły się w pył. - Mówiłam ci, żebyś nie próbował go dosiadać, zanim ci o nim nie opowiem.

Zaintrygowany Warrick uniósł brwi.

- O co chodzi?
- Wierzga i zruca z grzbietu każdego nowego jeźdźca, który usiłuje go dosiąść zaraz po osiodłaniu.

Przekrzywił głowę i spojrzał na rumaka. Piękny gniadosz potrzasał grzywą i szybko poruszał ogonem. Warrick z niedowierzaniem popatrzył na siostrę.

- Chcesz powiedzieć, że kupiłeś dla mnie konia, na którym nie można jeździć?
- Nie. Mówię ci, że świetnie skacze i doskonale nadaje się do polowania. Nie zawsze zruca z siodła, tylko za pierwszym razem. Gdy ktoś dosiada go po raz drugi, już nie bryka i nie stara się zrzucić jeźdźca. Nigdy.

Warrick parsknął.

- Dziwne. Koń zruca albo nie.
- Ten zruca za pierwszym razem.

Wetknął pejcz pod lewe ramię i nachylił się nad siostrą.

- I ty go mimo wszystko kupiłeś?
- Nie wiedziałam o tym. Jeździłam na nim dwukrotnie, tylko, że za każdym razem pan Finnegan przejechał się na nim przede mną, więc ani razu nie dosiadałam Lucka pierwsza.

Warrick popatrzył na wielkiego gniadego ogiera, który stał potulnie, badając miękkimi chrapami kieszenie stajennego, jakby szukał smakołyków.

- Pewnie dlatego nazwano go Luck Finnegana - powiedziała Jessie. - Podobno pan Finnegan sprzedawał go kilka razy do roku, a potem odkupywał go z powrotem za niewielką część ceny i polował na nim przez resztę sezonu. Najwyraźniej nie przeskadzało mu, że każdego ranka ląduje na ziemi.

Zazwyczaj blade policzki Warricka pokryły się gorącym rumieńcem.

- Więc czemu się go, do diabła, nie pozbyłeś?
- Bo to naprawdę piękne zwierzę. - Jessie podeszła do konia i pogłaskała go w czoło pomiędzy wielkimi inteligentnymi oczami. - I płodzi dobre żrebaki. Miałam też nadzieję, że znajdziemy kogoś, kto go oduczy tego brzydkiego zwyczaju.

Warrick uśmiechnął się.

I chciałaś odpłacić właścicielowi konia za to, że cię okpił. Przyznaj się.

Masz rację. To prawda. Gdy opuszczałam Anglię, nie-szczesny pan Finnegan tonął we łzach, proponując, że odkupi ode mnie Lucka za połowę sumy, którą za niego zapłaciłam - odparła Jessie ze śmiechem.

- Nie sądzisz, że taka nauczka byłaby dla niego wystarczająca?
- Jessie pokręciła głową i pogłaskała konia po pięknie wygiętej szyi.

- Nigdy nie jeździłam na takim koniu. Sam się przekonasz. Warrick odchrząknął i przejął wodze z rąk stajennego.

- Dobrze. Zobaczmy.

Jessie poczuła, że jej rozbawienie znika bez śladu.

- Co masz zamiar zrobić?
 - Przejechać się na nim.
- Chwyciła brata za ramię.
- Ale on cię zrzuci.

Urodziwa twarz Warricka pojaśniała radośnie. Strącił z ramienia dłoń siostry i sięgnął po strzemień.

- No i co z tego?
- Każ, by najpierw dosiadł go któryś z twoich ludzi. Jeśli coś ci się stanie, matka będzie niepo...

Przerwała, widząc wyraz twarzy brata. Jego oczy płonęły.

- Zamknij się, Jessie. I zejdź mi z drogi.

Zamknęła usta i szybko cofnęła się o dwa kroki.

Luck Finnegana stał podejrzenie spokojnie i czekał z udawaną cierpliwością, aż jeździec powoli i ostrożnie umieści stopę w strzemieniu. Warrick uśmiechnął się triumfalnie do siostry i usadowił się w siodle...

Luck Finnegana tylko na to czekał. Jak burza ruszył naprzód, odbił się od ziemi wszystkimi czterema kopytami i skoczył, wyrzucając jeźdźca w górę. Warrick rozpaczliwie usiłował utrzymać stopy w strzemionach. Nagle pięknie uformowany łeb konia opadł w dół, a zad zadął się ku niebu. Warrick wytrzeszczył oczy i wyleciał w powietrze, a po chwili opadł w pobliżu końskiego ogona. Luck Finnegana znowu wierzgnął, wyrzucając

do góry obie tylne nogi w zadziwiającym kopniaku. Warrick wznosił się w powietrze i wylądował na ziemi, opadłszy płask na brzuch.

Gniady rumak zarżał triumfalnie, po czym okrążył dziedziniec, rzucając łbem i wierzgając kopytami, wlokąc za sobą cugle i powiewając imponującym ogonem. Warrick leżał tam, gdzie upadł, nieruchomy, z twarzą w pyłe.

- Warrick! - krzyknęła Jessie i z sercem w gardle podbiegła do brata. - Co ci jest?

Dotknęła dłonią jego ramienia. Jęknęła z ulgą, widząc, że odtrąca jej rękę i siada. Otarł rękawem pył z twarzy i spojrzał na umykającego ogiera.

- Nie stój tak, Charlie! - krzyknął do osłupiałego stajennego, który podniósł z ziemi kapelusz Warricka i podał go swemu panu. - Do diabła, złap tego cholernego konia, zanim przesadzi mur i stratuje nam park.

- Tak, proszę pana - wyjąkał chłopiec, spoglądając z nabożnym podziwem na wyczyny ogiera. - Tylko niby jak mam go złapać?

Warrick odebrał od chłopaka swój kapelusz.

- Biegnij za nim.

Jessie usłyszała krzyki i spojrzała w stronę nowych stajen. Jeden z więźniów, pracujących przy budowie muru, porzucił swoje zajęcie i pędził przez podwórze, by odciąć rumakowi drogę. Był to szczupły mężczyzna o bardzo ciemnych włosach i znanych Jessie rysach twarzy; biegł jak pantera, wdzięcznie, szybko i bez wysiłku. Usłyszała, jak przemawia pieszczotliwie do spłoszonego konia, a potem coś krzyknął na temat cugli, akurat w chwili, gdy jedno z błyskających kopyt konia wylądowało ciężko na skórzanym pasie. Gniadosz podrzucił głową i z kwikiem upadł na bok. Leżał bez ruchu.

- O, mój Boże - wyszeptała Jessie. Uniosła spódnicę i ruszyła biegiem w stronę konia.

Gallagher odskoczył do tyłu przed wierzgającymi kopytami, gdy Luck Finnegana zerwał się na nogi, dysząc z podniecenia.

Spokojnie, stary - przemawiał do niego, podchodząc bliżej. Chwytał cugle i pogłaskał konia po nosie, uszach i lśniącej szyi. Potem przejechał wprawna dłonią po jego przedniej i tylnej nodze. Koń parsknął i dygotał, a Lucas nie przestawał łagodnie pomrukiwać.

- Jest ranny?

W pyłe obok niego pojawiła się para drobnych zakurzonych stóp. Nie zdejmując dłoni z tylnej pęciny wierzchowca, Lucas spojrzał na pobladałą, zaniepokojoną twarz panny Jesmondy Corbett. Przykucnęła obok niego, zaciskając dłonie na fałdach spódnicy, i zmarszczyła czoło. Wiatr rozwiewał jej rozpuszczone złociste włosy. Gdy westchnęła, jej nieskrępowane gorsetem jędrne piersi zakołysały się pod koszulą. Przez chwilę wyglądała tak, jakby właśnie opuściła łóżko kochanka. Niczym nie przypominała młodej, do bólu konwencjonalnej damy, jaką z pewnością była.

Lucas szybko się podniósł.

- Myślę, że tylko się spłoszył - powiedział i, odwróciwszy się do niej plecami, obmacał pozostałe nogi zwierzęcia. Po chwili spojrzał na nią ponad kłębem konia i zapytał: - Dlaczego pozwoliła pani, by brat dosiadł wierzchowca na nieogrodzonym podwórzu? Przecież pani wiedziała, że Luck Finnegana go zrzuci.

Po ponad trzech latach spędzonych w nieludzkich warunkach brytyjskiego więziennictwa Lucas nadal czasami się zapominał. Nie nawykł do okazywania służalczości. Wciąż nie mógł się nauczyć, że nieposkromiony język, a nawet niepokorne spojrzenie mogą mu przysporzyć kłopotów za zuchwalstwo.

Patrzył, jak na gładkie policzki dziewczyny występują gorące rumieńce, jak jej zdumione oczy mrużą się z oburzenia. Uniosła głowę, a on czekał na nieuniknioną i poniżającą reprimendę.

- Wygląda na to, że zapomniał pan o akcencie irlandzkim, którym tak ostentacyjnie posługiwał się pan we wczorajszej rozmowie, panie... - Urwała wyczekująco.

Tego się nie spodziewał.

- Gallagher - powiedział. - Lucas Gallagher.

- Panie Gallagher.

Przyglądała się mu. I choć wiedział, że to z jego strony

bezczelność, nie mógł się powstrzymać i również nie spuszczał z niej wzroku.

Mimo że nieubrana i z rozwichrzonymi włosami, wyglądali na bogatą, dobrze urodzoną Angielkę. Niższa od brata, ale wysoka jak na kobietę, miała szczupłe, pięknie ukształtowane ciało i długie, smukłe nogi. Rysy twarzy nie były tak doskonałe jak u brata, nos nieco zadarty, dolna warga zbyt pełna, lecz oczy miała niezwykle. Ciemnobłękitne. Lśniły żywą inteligencją i dumą, która go nie dziwiła. Zdziwił się, gdy dostrzegł w nici coś w rodzaju nerwowej wrażliwości, kiedy zwróciła głowę w stronę nadchodzącego brata.

- Nic mu nie jest? - Warrick Corbett zbliżał się do nich powolnym krokiem. Jego doskonale skrojony surdut był pokryty pyłem i miał wydarty rękaw. Fular zwiślał przekrzywiony.

- Nic - odparł Gallagher. - Chociaż lepiej obejrzeć ścięgna prawej przedniej nogi.

Corbett skinął głową.

- Hej, Charlie - zwrócił się do chudego chłopca stajennego, który podszedł za nim. - Idź i sprowadź Starego Toma. Powiedz mu, że mam tu konia, na którego trzeba rzucić okiem. A ty... - przesunął wzrok na Gallaghera - zabierz ogiera do stajni i zostań z nim, dopóki nie doprowadzę się do porządku.

Jessie położyła dłoń na ramieniu brata.

- Warricku...

- Ani słowa - powiedział, odtrącił jej rękę i pokuśtykał w stronę domu.

Panna Jesmonda Corbett stała jak wmurowana. Poranne słońce rozświetlało jej gładką skórę. Marszcząc czoło, patrzyła na oddalającego się brata. W końcu westchnęła ciężko i zwróciła się w stronę skazańca.

- Muszę panu przyznać rację - powiedziała lodowatym tonem. Lucas pomyślał, że jej wielka wrażliwość chyba mu się przywidziała. - Nie należało dosiadać tego konia na nieogrodzonym terenie. - Tu skierowała na niego palec wskazujący, jakby pouczała dziecko. - Ale nigdy więcej nie zwracaj się do mnie takim tonem.

Poczuł, że narasta w nim pałący gniew. Czasami zdawało mu się, że się udławi powstrzymywaną złością, lecz nie mógł uczynić nic więcej, tylko stać nieruchomo, nienawidząc jej, nienawidząc narodu i systemu, do którego należała, nienawidząc samego siebie. Zaciskał szczęki, powstrzymując się od odpowiedzi, na jaką nie pozwoliłby sobie żaden zdrowy na umyśle skazaniec.

Jessie ruszyła za bratem, lecz nagle przystanąła.

- Skąd pan wiedział? - spytała, spoglądając na Lucasa.

- Co?

Odgarniając z twarzy złociste włosy, skinęła głową w kierunku stajni.

- Że koń wabi się Luck Finnegan?

Gallagher uśmiechnął się leniwie.

- Poznałem go.

Zaskoczenie sprawiło, że stała się nieco mniej władcza. Wydawała się teraz bardziej ludzka, chociaż nadal była niesympatyczna.

- Poznał go pan?

- Tak. - Uśmiechnął się szerzej. - Gallagherowie i Finneganowie są ze sobą spokrewnieni. W pewnym stopniu.

Przyglądała mu się w niemym oburzeniu.

- A więc wiedział pan, że będzie wierzgał i brykał, a mimo to nie powiedział pan, że powinno się go dosiadać na padoku?

Lucas pogładził konia po lśniącej szyi i powiedział z silnym irlandzkim akcentem:

- To by znaczyło, że się wymądrzam i nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

- Panie Gallagher, nie sprawia pan wrażenia człowieka, który przejmuje się tym, gdzie jest jego miejsce - oświadczyła Jessie i odwróciła się na pięcie.

A on został i trzymając konia, przyglądał się, jak dziewczyna odchodzi w stronę domu.

A więc teraz pracujesz w stajni - powiedział Danii O'Leary. - I nie zawracasz sobie głowy murarką. - Przesunął prymkę tytoniu do żucia spod jednego piegowatego policzka pod drugi, usadowił się na krześle, wspartym o kamienną ścianę baraku, i rzucił woreczek Lucasowi. - Zdziwiasz mnie chłopie.

Lucas stał wsparty o z gruba ciosany słupek werandy. Zręcznie chwycił woreczek w powietrzu i wepchnął go do kieszeni kurtki która chroniła go przed wieczornym chłodem. Warrick Corbett nie żuł tytoniu, lecz zaopatrywał w niego wszystkich swoich pracowników, nawet skazańców. Większość z nich uważała, to z jego strony bardzo szczerze, lecz Lucas dobrze wiedział że powoduje nim jedynie ostrożność. Krążyły pogłoski, skazańcy w Port Arthur i Macquarie Harbor gotowi są zabić porcję tytoniu.

Poznał Daniela ponad rok temu, gdy pracowali w grupie więźniów skutych łańcuchem. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie on, nie wytrzymałby beznadziei i rozpaczy pierwszych tygodni. Pewnego razu, gdy pracowali przy budowie drogi południe od Hobart Town, Daniel wpadł do rzeki i byłby utonął ciągnięty w głąb skuwającym go łańcuchem. Lucas, wbrew zakazom nadzorca, skoczył do wody i wyciągnął ogromnego Irlandczyka. Daniel stale powtarzał, że zawdzięcza mu życie, ale Lucas dobrze wiedział, że gdyby prowadzili punktację, to on byłby jego dłużnikiem. Bo to, co spotkało Daniela, to był wypadek, Lucas natomiast dawno by się zabił, gdyby nie obecność przyjaciela.

Przednie nogi krzesła opadły z hałasem na bruk, gdy Daniel pochylił się do przodu i, wsparłszy łokcie na kolanach, ściągnął usta i strzyknął żółtawobrazowym sokiem na zakurzoni podwórkę. Szybko rozejrzał się i mimo że pozostali mężczyźni znajdowali się zbyt daleko, by mogli ich usłyszeć, ściszył głos.

- Nic łatwiejszego, jak wziąć jednego z tych koni na przejażdżkę, żeby go rozruszać, i nigdy z niej nie wrócić. Jeśli wybierzesz gniadego ogiera, nigdy cię nie schwytają.

- Pierwszego dnia na pewno by mnie nie złapali - odparł

Lucas. - A może nawet drugiego. Ale w końcu by mnie dopadli i powiesili za kradzież konia.

Uniósł głowę i rozejrzał się po polach ozłoconych światłem zachodzącego słońca, które rzucało długie niebieskawe cienie na zieloną dolinę. Ze swego miejsca nie widział morza, ale czuł jego obecność za grzbietem wzgórz. Kiedy głęboko wciągnęło się powietrze w płuca, można było wyczuć zapach nadmorskiej bryzy. Woń, która obiecywała wolność.

- Któregoś dnia na pewno stąd odjadę - powiedział cicho, nie spuszczać wzroku z fioletowiejących wzgórz. - Ale dopiero wtedy, gdy będę pewien, że wydostanę się z wyspy. - Spojrzał na wielkiego rudowłosego Irlandczyka. - I zabiorę cię ze sobą, chłopie. - Uśmiechnął się i zwrócił się twarzą w stronę mężczyzny nadchodzącego od strony podwórza. - Ciebie i Lisa.

- Cześć - mruknął Lis, podchodząc do towarzyszy. W rzeczywistości nazywał się Todd Doyle z Tipperary. Był drobnej budowy, o kościstej twarzy i wielkich szpiczastych uszach, więc wszyscy przezywali go Lisem od tak dawna, że przestał reagować, gdy ktoś zwracał się do niego po imieniu. Zanim został skazany za malwersację, był głównym ogrodnikiem u hrabiego Swathmore'a. Niestety, miał pociąg do wystawnego życia i pensja ogrodnika mu nie wystarczała.

Pracował w Zamku Corbetta o rok dłużej niż Daniel i Lucas. Ale Lis i Lucas znali się już wcześniej; przeszło dwa lata temu zostali wrzuceni do cuchnącej ciemnej ładowni statku, który wywiózł ich przez dwa oceany do południowych kolonii Jej Królewskiej Mości. Gdyby Lucas był jego pracodawcą, nie powierzyłby mu nawet drobnej opłaty dla dostawcy, ale przyjacielowi Lis był gotów oddać ostatni kawałek chleba i Lucas szybko się o tym przekonał.

- Coś wam powiem - oświadczył Lis, siadając na werandzie i wspierając kościste ramiona na szpiczastych kolanach. - Obawiam się, że gdybym uciekł stąd na grzbiecie któregoś z czworonogów, do końca swoich dni podlewałbym róże pani Beatrice Corbett. - Spojrzał dzikimi żółtymi oczyma na Daniela. - A jeżeli

ten wielki nedorajda kiedykolwiek dosiadał konia, to ty jest angielskim lordem, a ja arcybiskupem Canterbury.

- Słuchając twojej gadaniny, można by pomyśleć, że jesteś co najmniej angielskim wikarym - odparł Daniel, zaciskając wielkie pięści na zniszczonych oparciach fotela.

Daniel nie lubił jego wyszukanych zwrotów, podobnie jak Lii nie przepadał za gwałtownymi reakcjami Daniela. I Lucas dobrze o tym wiedział, lecz dawno przywykł do takiej wymiany zdań, więc tylko się roześmiał.

- W takim razie będziemy potrzebowali powozu.

- Będzie nam potrzebna łódź - powiedział Daniel.

- To się da zrobić. - Lucas uśmiechnął się. - Ale nie warta sobie nią zawracać głowy, dopóki nie znajdziemy jakiegoś miejsca, by ją ukryć.

- Niby gdzie mamy go szukać... - zaczął Daniel, lecz szybko zamilkł, słysząc coś przypominającego bolesny okrzyk dziecka, a potem brutalny śmiech mężczyzny i łkanie.

Lucas, mrużąc oczy, spojrzał na podwórko. Zobaczył chłopca stajennego, który wyrwał się ciemnowłosemu niedźwiedziowatemu Anglikowi z Newcastle, zwanemu John Pike, tutejszemu kowalowi. Pike zacisnął potężną pięść na kędzierzawych włosach Charliego, a drugą ręką wykręcał do tyłu jego ramię, tak że chłopiec musiał uklęknąć. Na brudnych policzkach chłopca widoczne były smugi łez. Przestraszonym wzrokiem spoglądali na słoń z zielonego szkła, leżący w pyłe o jakieś dwa, trzy kroki od niego. Lucas dostrzegł, że w dzbanku coś się porusza. Coś dużego, brązowego i kosmatego, co po dłuższych oględzinach okazało się pajakiem.

Lucas powoli się wyprostował.

- To nie nasza sprawa - powiedział Lis.

- Nie - zgodził się Lucas. - Nie nasza.

- Lubisz pająki, chłopcze? - mówił Pike. - Bo mam tu jednego dla ciebie. A tam, skąd pochodzi, jest ich znacznie więcej. - Wykręcił mocniej ramię chłopca, który skrzywił się boleśnie, ale już nie płakał. - Masz do wyboru dwa wyjścia z sytuacji. Pierwsze już znasz. A drugie? - Pike pochylił się tak, że ich

twarze były na jednym poziomie. - Drugie wyjście polega na że masz zjeść tę wielką, kosmatą matkę na jutrzejsze śniadanie. A pojutrze? Cóż, będzie na ciebie czekał kolejny pajak. I tak każdego dnia. Codziennie. Pomyśl o tym, chłopcze. Mam mnóstwo pajaków, nigdy mi ich nie zabraknie.

Lucas zszedł z werandy i szurając ciężkimi buciorami, przeszedł przez podwórze.

_ Puść chłopaka - powiedział cicho. Zabrzmiało to złowróźnie.

5

John Pike uniósł głowę, spojrział wyłupiastymi oczami w zimne źrenice Gallaghera, który przystanął w pewnej odległości od niego. Potężny kowal wyprostował się powoli i obrócił, wlokąc za sobą chłopca.

- Do mnie mówisz?

Gallagher zrobił następny krok do przodu. Ręce zwiślały mu luźno wzdłuż tułowia. Przystąpił znacząco z nogi na nogę.

- Powiedziałem, puść go.

John Pike cieszył się reputacją podłego skurwiela i przewyższał wagą Gallaghera o wiele kilogramów, ale Lucas słyszał jako zabijaka. Kowal pchnął chłopca, aż ten wylądował na płask, twarzą w pyle.

- Puściłem go. Na razie.

- No, dobrze. - Lucas patrzył, jak chłopak odczołguje się na czworakach, byle dalej od kowala. - Pike, poszukaj sobie kogoś, kto ma na to ochotę.

Powiał wieczorny wiatr. Chłodny, niosący woń pyłu. Słońce już zaszło. Błede niebo jaśniało nad ich głowami. Wkrótce wszyscy zostaną zamknięci na noc we wspólnym pomieszczeniu. Gallagher spostrzegł jakiś ruch w kamiennym baraku, gdzie w otwartych drzwiach pojawił się nadzorca Corbetta, Dalton. To, co byczysko w rodzaju Pike'a ukradkiem wyrabia z młodymi wrażliwymi chłopcami, to jedna sprawa. Jednak bijatyka wręcz,

na odkrytym podwórzu, między dwoma mężczyznami to całkiem co innego. Zwłaszcza że mógł ich dostrzec sam właściciel.

Pike także zauważył nadzorcę. Zwrócił głowę w stronę baraków i jego usta wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Wiesz, po co mi ten chłopak, prawda? - Pochylił się do przodu i zatknął palce za pasek grubych płóciennych spodni. - Może chcesz zająć jego miejsce? Słyszałem, że masz w tym doświadczenie.

Daniel w ostatniej chwili zdołał przytrzymać zaciśniętą pięść Gallaghera.

- Nie rób tego - powiedział i spojrział znacząco w kierunku nadzorca, który spoglądał na nich spod przymkniętych powiek. Gdyby Lucas przyłożył teraz Pike'owi, spędziłby tydzień w kozie albo zostałyby wychłostany.

Odetchnął głęboko, a Daniel zaczekał, aż przyjaciel odejdzie.

- Pamiętaj o jednym, Pike - powiedział Lucas na odchodnym. - Jeśli jeszcze raz tkniesz tego chłopaka, wypruję ci flaki i zrobię z nich gniazdo dla tych pajaków, które tak lubisz. - Obrócił się plecami do tęgiego Anglika i pomógł wstać stajennemu.

- Nic ci nie jest, chłopcze?

- Nic - odparł Charlie, ocierając rękawem pył z twarzy. - Ale nie powinien pan tego robić. On sobie zapamięta i zemści się tak czy owak. Pan jeszcze nie wie, jaki jest Pike.

- Wiem dobrze. - Lucas schylił się, podniósł czapkę chłopca i nasadził mu ją na głowę. - Pan Corbett powiedział, żebym od rana zajął się Luckiem Finnegana. Chcesz mi pomóc?

Charlie spojrział na niego wielkimi szarymi oczami i Lucas zdał sobie sprawę, że to jeszcze dziecko, mimo że został tu zesłany za kradzież, mimo że wie o życiu znacznie więcej, niż dziecko wiedzieć powinno, mimo że zaznał głodu i deprawacji ze strony mężczyzn, których na zbyt długi czas pozbawiono kobiet.

- Naprawdę? - wyszeptał Charlie. - Mówi pan o tym wielkim czerwonym ogierze?

- Naprawdę. - Lucas uniósł głowę i spojrział w dal, na fio-

letowe wzgórze, za którymi rozpościerało się morze. - Robi się ciemno. - Uśmiechnął się do chłopca. - Obok Lisa jest wolne miejsce. Jeśli chcesz, możesz tam rozwiesić swój hamak.

Chłopiec skinął głową i odszedł. Lucas został jeszcze chwilę. Wdychał słodkie, wonne powietrze nocy i wpatrywał się w gwiazdy na ciemniejącym niebie, aż rozboleły go oczy. Potem ruszył w stronę baraku o zakratowanych oknach i ciężkich drzwiach które za nim zatrzaśnięto.

Wiedziała, że to on.

Widziała go, stojącego samotnie na szybko ciemniejącym podwórzu. Z daleka trudno było dostrzec rysy twarzy, jednak rozpoznała dumnie podniesioną głowę i wyprostowane plecy gdy spoglądał w wieczorne niebo, a potem ruszył powoli w stronę baraków. Na krótką chwilę zatrzymał się, ona zaś odczuła cały jego ból, rozpacz i strach. Potem zniknął z pola widzenia. Była zbyt daleko, by usłyszeć hałas zatraskujących się drzwi i zgrzyt zasuw, ale wyobraziła je sobie.

Wsparła dłoń na framudze okna sypialni, lecz go nie otworzyła. Weszła na piętro, by się przebrać do kolacji, jednak coś ją pociągnęło i kazało wyjrzeć przez okno, wychodzące na ogród za domem i rozciągające się za nim podwórze. Nie wiedziała, co to za siła, nie rozumiała jej i nie pragnęła zrozumieć.

- Tę jedwabną, panienko?

- Tak, proszę. - Jessie zaciągnęła zasłony z ciemnoniebieskiego adamaszku i odwróciła się od okna. Patrzyła na dziewczynę, która wstydliwie poruszała się po jej pokoju. Wyglądała na niecałe szesnaście lat. Miała chudą, płaską twarz i krótkie, wepchnięte pod czepek, ciemne włosy o trudnej do określenia barwie. Zawsze obcinano włosy kobietom, które załadowywano w Londynie na statek. Dziewczyna musiała niedawno przybyć na Tasmanię.

- Jak masz na imię? - spytała Jessie.

Służąca dygnęła, ściskając w dłoniach jej suknię.

- Emma, panienko. Emma Pope.

Jessie patrzyła, jak służąca pochyla głowę i rusza przez pokój w jej stronę. W przeciwieństwie do mężczyzn, kobiety spały dwóch pokojach w piwnicy, obok kuchni, ale gdy kończyły swoje obowiązki, zamykano je na noc, tak samo jak mężczyzn. Jessie zastanawiała się, co wtedy myślą, co czują, słuchając zgrzytu klucza przekraczającego się w zamku.

Z pełnym zachwytem uszanowaniem Emma rozłożyła lśniąca jedwabną suknię na puchowym łożu z czterema wysokimi kolumienkami i baldachimem z adamaszku. Mężczyźni spali na hamakach. Jessie wiedziała o tym, ponieważ jako dziecko zerkała czasami przez uchylone drzwi kamiennego baraku. Słyszała, że służące, które nocują w domu, śpią na składanych łóżkach, ale nigdy nie zeszła wąskimi schodami wiodącymi do piwnicy, aby to sprawdzić na własne oczy.

- Czy macie tam wygodnie? - spytała niespodziewanie, gdy Emma rozpinała jej dzienną suknię. - Tam, gdzie sypiacie, pod schodami?

Służąca spojrzała na nią, wytrzeszczając niebieskie oczy.

- Tak, panienko.

Jessie zrzuciła suknię i podeszła do toaletki. Sięgnęła po oprawną w srebro szczotkę do włosów. Spojrzała w lustro i napotkała wzrok Emmy.

- Naprawdę?

- O tak, panienko. Nigdy w życiu nie miałam takich wygod. Mam swoje własne łóżko, z dwoma kocami. I codziennie tyle jedzenia, ile zapragnę. Nigdy przedtem nie było mi tak dobrze.

Jessie przeciągnęła szczotką po długich włosach, śledząc odbicie służącej w lustrze. Pochodziła z przedmieścia Londynu i mówiła z silnym akcentem. Pewnie wychowała się w slumsach, w ciasnej dusznej izdebce bez okien, gdzie tłoczyło się dziesięć do dwadzieścioro zagłodzonego i zawszonego rodzeństwa. Życie służącej w Zamku Corbetta wydawało jej się znacznie wygodniejsze. Być może tylko zesłańcy, w rodzaju tego Irlandczyka, Gallaghery, uważali swoją sytuację na Tasmanii za uciążliwą. Więźniarki, takie jak Emma Pope, nie narzekały, że odebrano im wolność, domy, rodziny. A jednak...

- Co to znaczy?

- Co usłyszą trzy osoby, przestaje być tajemnicą.

Jessie uśmiechnęła się i spojrzała na leżącą na stole kobzę.

- Wciąż ci za nią tęskno? - spytała. - Za Irlandią.

- o, tak. - Jego twarz pozostała nieporuszona, ale zanim odwrócił głowę, Jessie usłyszała ton wzruszenia w jego głosie i spostrzegła łzę w wyblakłych oczach.

- Dlaczego tam nie wrócisz? Mogłeś wyjechać już dawno temu. Twoje zwolnienie nie jest warunkowe.

Spojrzał na nią, gwałtownie przełykając ślinę. Myślała, że coś powie, ale on tylko pokręcił głową i powrócił do strugania.

- Nie chciałyby panienka o tym słuchać.

- Owszem, chciałabym.

Powoli zestrugał kawałeczek drewna, patrząc, jak opada na podłogę ganku. A potem następny i jeszcze jeden.

- Dobrze - odezwał się wreszcie, nie podnosząc na nią wzroku. - Powiem panience. Wolałem, żeby mnie powieszono w Irlandii, niż zesłano tutaj. Błagałem, żeby mnie powiesili. Ale gdy żołnierze zawlekli mnie na statek, poprzysiągłem sobie na głowę mojej matki, że... nigdy nie wrócę. Dopóki z ziemi irlandzkiej nie zniknie ostatni Anglik.

- Przecież tutaj żyjesz wśród Anglików - powiedziała Jessie zdumiona.

- Tak. Ale to nie jest mój kraj, no nie?

Patrzyła na cieniutkie strużyny, opadające na drewnianą podłogę. Nigdy się nie zastanawiała, dlaczego Stary Tom został zesłany. Przypuszczała, że co najwyżej mógł kłusować na króliki lub pędzić samogon. Teraz nie była tego taka pewna.

- Tak bardzo nas nienawidzisz? - zapytała cicho. - Nie wiedziałam.

- Ale nie panienkę.

- Dlaczego? Przecież jestem Angielką.

- Jest panienka i nie jest. A poza tym jest panienka bardziej ograniczana i kontrolowana niż wszyscy skazańcy.

- Nie rozumiem.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią z ukosa. - Po tylu latach?

- Sama nie wiem.

A potem zmienili temat. Rozmawiali o kłaczy Cimmerii, o psach Warricka i o powitalnym przyjęciu, które planowała jej matka. Ale Jessie nie zapomniała jego słów. Zapamiętała je bardzo dobrze.

_ Panno Corbett? Panienko?

Głos Emmy Pope wyrwał ją z zamyślenia. Pokojówka czekała z gotową suknią wieczorową. Jessie podniosła ramiona i dziewczyna narzuciła jej suknię przez głowę. Błękitny jedwab załśnił zmysłowo w świetle świec, a potem miękko otulił ściągnięte gorsetem ciało Jessie.

6

Następnego ranka Jessie udała się do stajni popatrzeć, jak Irlandczyk próbuje oduczyć Lucka Finnegana złych nawyków. Powiedziała sobie, że interesuje ją to ze względu na konia. Gdy słabiutki głosik wewnętrzny podpowiadał uczciwie coś innego, udała, że go nie słyszy.

W nocy padał deszcz i pozostawił ziemię ciemną i wilgotną a roślinność w ogrodzie jaskrawozieloną i ociekającą wodą. Nad doliną wciąż wisiały niskie i ciężkie chmury. Drzewa zdawały się płynąć w przyćmionym świetle. Woń mokrego siana i parujących końskich grzbietów, roznosząca się w rześkim porannym powietrzu, zapowiadała dalsze opady.

Zbliżając się do małego padoku na lewo od stajni, usłyszała stukot kopyt i łagodny męski głos. Siedzący na pobielonym parkanie Warrick burknął coś na jej widok. Całą uwagę kierowa na wielkiego irlandzkiego ogiera, który truchtał wokół padoku, prowadzony pewną ręką i głosem Lucasa Gallaghery, napinając silne mięśnie, dumnie unosząc szlachetny łeb i powiewając ciemną grzywą i ogonem. Jessie przystanęła obok brata i zacisnęła obciążone rękawiczkami dłonie na najwyższej poprzeczce parkanu, przyglądając się wspaniałemu wierzchowcowi i mężczyźnie, który go szkolił.

Lucas stał pośrodku padoku na szeroko rozstawionych nogach. Jego ciemne włosy rozwiewał wiatr. Wokół lewej dłoni miał kilkakrotnie owinięte lejce. Powoli odwijął je prawą dłoń

i popędzał konia, który przeszedł z kłusa w galop. Obok skazańca stał chudy wyrostek i z uwagą śledził każdy jego ruch.

Wiedziała, że Lucas jest brutalnym i samowolnym buntownikiem. Wychowano ją tak, by się takich ludzi obawiała i by ich miała w pogardzie. Jednak pełne piękna współgranie energii mężczyzny i zwierzęcia, nad którym panował, zapierało jej dech w piersiach. Przyglądała się ruchom pokrytych bliznami męskich dłoni, zarysowi umięśnionych pleców i silnym rozstawionym udom. Nagle uniósł wzrok i ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Poczula dziwny ucisk w gardle, zakręciło jej się w głowie i na chwilę straciła oddech. Przeniknął ją rytmiczny, prymitywny, hipnotyzujący stukot kopyt konia i jej serce zabiło mocniej.

Przestraszona i zakłopotana, odwróciła wzrok.

- Nie rozumiem, jak on chce oduczyć Lucka Finnegana rzucania jeźdźca z siodła - powiedziała kwaśnym tonem, zwracając się do Warricka.

Brat odchrząknął, nie spuszczać oczu z ogiera.

- Na razie stara się poznać konia, Jess. Powiedział, że w tych sprawach nie można się śpieszyć.

- Mhm. Dlaczego nie zleciłeś pracy nad koniem Staremu Tomowi?

Warrick spojrzął na nią ze swego miejsca na płocie i uniósł delikatnie zarysowane brwi.

- To właśnie Stary Tom doradził mi Gallaghera. Tom twierdzi, że on zna się na rzeczy, i ja mu wierzę. A ty?

- Oczywiście. Ja tylko...

Usłyszała za sobą kroki i odwróciła głowę. Zobaczyła wysoką, chudą postać Harrisona, który pośpieszał w ich kierunku. Miał na sobie kosztowną zieloną kurtkę do konnej jazdy, skórzane bryczesy i lśniące buty do kolan. Wyglądał tak znajomo i bezpiecznie, poruszał się z tak pełną spokoju dumą i pewnością siebie, że Jessie poczuła ulgę. Zdawało jej się, że na chwilę pozwoliła sobie dryfować ku nieznanemu przerażającemu światu, a on sprowadził ją na bezpieczny ład.

- Harrison - powiedziała, ruszając w jego stronę i wyciągając do niego obie ręce. - Sprawileś mi miłą niespodziankę.

- Twoja matka powiedziała, że znajdę cię w pobliżu stajni. Ujął jej dłonie i delikatnie je ucisnął. - Zapropnowała, że pośle kogoś po ciebie, ale nie mogłem się oprzeć pokusie, by na własne oczy zobaczyć tego irlandzkiego ogiera, o którym tak wiele słyszałem.

- Popełniłeś *faux pas* - powiedział Warrick, śledząc konia. Obawiam się, że nierozsądnie pozbawiłeś naszą matkę jedynej możliwości ściągnięcia córki z padoku do jej salonu, gdzie powinny przesiadywać wszystkie szanujące się damy.

W szarych oczach Harrisona pojawił się błysk rozbawienia.

- Tak, myślę, że sprawiłem jej zawód, ale wkradłem się z powrotem w jej łaski, obiecując, że przyprowadzę Jesmondę do domu na herbatę.

Jessie roześmiała się cicho, a Harrison odpowiedział jej swoim charakterystycznym uśmiechem, który tak lubiła. Potem spojrział na galopującego konia i rzekł:

- A więc to jest Luck Finnegana. - Podszedł do parkanu i patrzył, jak Irlandczyk nakazuje ogierowi przejście z galopu w kłus. - Piękny. Jeździłeś na nim, Warricku?

Warrick pochwycił znaczące spojrzenie siostry i uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że lepiej będzie oddać go na kilka dni stajenemu - odparł.

- Hmmm. - Harrison zmrużył oczy, przyglądając się Gallagherowi, który zrećcznie radził sobie z koniem. - Nowy człowiek? i Warrick skinął głową.

- Rzadko spotyka się skazańców tak dobrze obeznanych z końmi.

Gallagher zatrzymał konia. Harrison nadal im się przyglądał z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Irlandczyk podniósł wlokące się leje i ruszył wokół padoku, prowadząc posłusznego konia. Chłopiec podreptał za nimi.

- Może to złodziej koni - powiedział Harrison.

- Możliwe. - Warrick roześmiał się. - Chociaż podejrzewałbym go raczej o zdradę i bunt. W końcu jest Irlandczykiem. I był kiedyś dżentelmenem. Poznać to po sposobie, w jaki się wyraża, gdy zapomni mówić z irlandzkim akcentem.

Gdy tak rozmawiali, Gallagher zaczął się cofać, coraz dalej od konia, aż znów znalazł się pośrodku padoku, a ogier posłusznie obchodził go wkoło.

Jessie spojrzała na brata. Był kiedyś dżentelmenem. Słyszała sformułowanie wielokrotnie. Mówiono tak o tych dobrze urodzonych ludziach, którzy ulegli degradacji. Nigdy nie podobało jej się to określenie, przyrównujące byłego dżentelmena do kogoś na kształt upadłego anioła wyrzuconego z raju.

- Cóż za dziwaczne określenie - powiedziała, wyrażając swe myśli na głos. - Był kiedyś dżentelmenem. Naprawdę, Warricku, zastanów się nad tym. Mogę zrozumieć, gdy się o kimś mówi: był wikarym albo... był lekarzem. Ale jak człowiek może przestać być dżentelmenem, skoro jest nim z urodzenia i z wychowania?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - powiedział Warrick zniecierpliwionym tonem. - Na miłość boską, spójrz na niego.

Jessie zrobiła to. Mimo porannego chłodu Irlandczyk miał na sobie tylko krótką kurtkę i koszulę ze zgrzebnej bawełny. Jego ciemne długie włosy opadały na ramiona. Lata pracy pod gorącym australijskim słońcem spaliły jego twarz i ręce. Stał na szeroko rozstawionych nogach, obracając się powoli i śledząc ruchy konia. Panował nad nim samym głosem i siłą osobowości. Sprawiał wrażenie dzikiego i groźnego. Nie miał w sobie nic z dżentelmena.

- Szczerze mówiąc - Harrison strzepnęła wymaginowany pyłek z rękawa kurtki z cienkiej wełny - zawsze uważałem, że tacy skazańcy zasługują na większą pogardę od tych, którzy wywodzą się z niższych klas społecznych. Przecież mężczyzna dobrze urodzony może uczynić ze swym życiem, cokolwiek zechce. A on wybrał sobie to. - Rzucił wzgardliwe spojrzenie na skazańca na padoku i westchnął. - Jego charakter i moralność muszą pozostawiać wiele do życzenia.

Jessie zapomniała, jak pompatycznie potrafi się wyrażać Harrison i jak zadziera nosa, gdy ktoś lub coś budzi w nim pogardę. Spoglądając na narzeczonego, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo ucieleśniał to wszystko, czym powinien być angielski dżentelmen, prezentujący chłodne obejście i niezmiennie

sztynne zasady. Nie była w stanie wyobrazić sobie, by kiedykolwiek w życiu miał uczynić coś, co mogłoby go pozbawić przywilejów i wygod, dla których się urodził. Znała go od najwcześniejszego dzieciństwa, ale w tej chwili uderzyło ją to, że właściwie wcale go nie zna. W każdym razie nie tak, jak kobieta powinna znać męża. Nie miała pojęcia o marzeniach i namiętnościach, które przepełniały jego serce i duszę.

- Mrozisz mnie wzrokiem, Jesmondo - powiedział Harrison żartobliwym tonem. - Czyżbyś uważała, że zbyt surowo oceniam nowego stajennego twego brata?

- Uważam, że zbyt szybko osądzasz człowieka, o którym nic nie wiesz.

W pierwszej chwili spojrzął na nią szeroko otwartymi oczyma, ale potem je zmrużył. Ujął jej dłoń w swoje chłodne ręce.

- Masz rację, kochanie - przyznał. - To bardzo nie po chrześcijańsku. Jednak żeby ci wykazać, że nie jestem całkowicie stracony, śpieszę ci poinformować, że w najbliższą sobotę profesor Heinrich Luneberg wygłosi w Towarzystwie Naukowym w Blackhaven wykład z dziedziny speleologii. Wiedząc, że się interesujesz tym przedmiotem, przybywam, by ci zaproponować swoje towarzystwo. A potem Philippa i ja pragniemy zaprosić cię na jutrzejszą kolację. Jak widzisz, dbam o zaspokojenie twego głodu wiedzy oraz mniej wyszukanych potrzeb cielesnych. Czy mi przebaczysz?

Harrison zawsze gadał takie bzdury, aby ukryć głębsze emocje. Jessie roześmiała się posłusznie, lecz zauważyła pełen napięcia wyraz jego oczu.

- Dziękuję ci, Harrisonie. - Splotła palce z jego palcami. - Bardzo się cieszę.

- Speleologia? - Warrick ześlizgnął się z płotu i objął ramieniem przyjaciela. - Dobry Boże, Harrison, to znacznie przekracza twoje obowiązki, nawet jeżeli zamierzasz ją poślubić.

- Nie mam nic przeciwko wysłuchaniu wykładu na temat jaskiń - powiedział Harrison, umieszczając dłoń Jessie w zgięciu swego łokcia i ruszając w stronę domu. - Dopóki Jesmonda nie każe mi eksplorować prawdziwych jaskiń, nie będę protestował.

Warrick i Harrison roześmiali się, jednak żaden z nich nie zauważył, że Jessie wcale nie podziela ich wesołości.

Szła razem z nimi przez podwórze, trzymając narzeczonego d rękę, ale jej myśli krążyły daleko stąd. Nie mogła pojąć, dlaczego broni tego ciemnego gniewnego Irlandczyka, który rzucał jej wrogie, przepełnione pogardą spojrzenia.

Przyśpieszyła kroku, z trudem powstrzymując odruch, by ucieść spódnicę i puścić się biegiem. By uciec od dudnienia kopyt ogiera i ciepła pieścizotliwego głosu, którym Irlandczyk przemawiał do konia, budząc w niej dzikie, niebezpieczne i niezrozumiałe emocje.

Nad głową Gallaghera zamknęły się czyste i chłodne wody. Zanurkował, płynąc wzdłuż brzegu rzeki, a potem wygiął się w łuk i, pracując nogami, wynurzył się na powierzchnię. Od strony leszczyny, porastającej wzgórza w pobliżu stajni, dolatywał melodyjny gwizd drozda. Lucas potrząsnął głową, odrzucił włosy z oczu i uśmiechnął się, wdychając wieczorne powietrze i czując, jak pot i pył spływają z jego ciała. Pracując w grupie więźniów skutych wspólnym łańcuchem, nie mógł znieść ciągłego cuchnącego brudu. Skuci więźniowie nie myli się całymi miesiącami. Teraz, gdy tylko mógł, przychodził kąpać się i pływać w Diamentowej Rzece wijącej się po terenie, na którym Anselm Corbett pobudował kamienny, podobny do fortecy dom oraz otaczające go zabudowania. Raz albo dwa razy w tygodniu, gdy udało mu się wygospodarować chwilę, zanim zaszło słońce, Lucas starał się wyprać ubranie. Z nadejściem wiosny, gdy dzień staje się dłuższy, będzie to łatwiejsze.

Pływał z prądem i pod prąd, pozwalając, by nurt oczyszczał jego umysł i ciało. Przyszedł na świat w niskim, rozległym domu o pobielonych murach, z którego roztaczał się widok na dzikie i wzburzone Morze Irlandzkie. Jako dziecko często pływał wśród niebezpiecznych prądów, które obmywały tę część wybrzeża. Teraz, gdy zamknął oczy, czuł się prawie... mógł sobie wyobrazić, że znów jest tam, dokąd nigdy nie powróci.

Po chwili ocknął się, otworzył oczy i ruszył w stronę porośniętego trawą brzegu. Powietrze było ciężkie od zapachu drzew gumowych i akacji australijskich, budzącego tęsknotę za domem. Sięgnął po leżące na brzegu świeże ubranie i wciągnął płócienne spodnie na wilgotne biodra. Wszedł do płytkiej wody, niosąc brudne ubranie; ciepły wiosenny wiatr suszył jego nagi tors.

Problem z pracą fizyczną, stwierdził, zanurzając starą koszulę w płynącej wodzie, polega na tym, że pozostawia ona człowiekowi zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Dzień w dzień mijają owe niekończące się godziny, gdy ciało haruje, lecz umysł pozostaje wolny i błędzi po niebezpiecznych ścieżkach. Stwierdził to patrząc w oczy starych recydywistów, którzy od dwudziestu lub trzydziestu lat musieli znosić brutalność penitencjarnego systemu brytyjskiego. Gdy człowiek wreszcie uzna, że jego przeszłość jest zbyt boleśnie słodka, by ją wspominać, a przyszłość zbyt beznadziejna, by jej wyczekiwać, stara się nie myśleć.

Kucając nad wodą, Lucas spoglądał na piaszczyste dno rzeki. Kiedyś myślał, że wykorzysta tę rzekę, aby dotrzeć do morza ale wkrótce odkrył, że Rzeka Diamentowa uchodzi do zatoki Blackhaven. A Blackhaven Bay była portem Królewskiej Floty, która nie nadawała się dla zbiegłych skazańców.

Słyszał o innym dostępie do morza, poprzez zatoczkę na północ od Blackhaven Bay. Nie miał jeszcze okazji, by tam dotrzeć, ale teraz, gdy pracował w stajni, znajdzie jakiś sposób, by się tam dostać. Już zaczął gromadzić materiały: smołę i konopie, budulec i narzędzia, na wypadek gdyby nie znaleźli łodzi i musieli wybudować własną. Poświęcił mnóstwo czasu na projektowanie w myślach tej łodzi i planowanie ucieczki. Oto jak Lucas Gallagher uciekał przed wspomnieniami z przeszłości, broniąc się przed tym, by na jego twarzy nie pojawił się wyraz pustki i braku wszelkiej nadziei.

Wyciągnął koszulę z wody i wykręcił w dłoniach, a potem rozwiesił ją na przybrzeżnych krzakach. Sięgał po spodnie, kiedy usłyszał cichy odgłos kroków. Uniósł głowę.

Ciepły i łagodny wietrzyk wieczorny pieścił jego nagi tors. Spodziewał się ujrzeć niewielkiego kangura albo jakieś inne

miejscowe zwierzę, które zeszło nad rzekę, aby się napić wody, a nie elegancko ubraną damę w sukni w białe i liliowe pasy, z obszytymi koronką mankietami wokół drobnych nadgarstków. Złociste kręcone włosy dziewczyny wymykały się spod słomkowego kapelusza z fioletową wstążką, powiewającą na wietrze.

- A, pan Gallagher. - Panna Jesmonda Corbett przystanęła, rozchyliła pełne wargi i uniosła dłoń do piersi.

7

Patrzył, jak dziewczyna się waha, przystanąwszy na porośniętym trawą brzegu, jedną ręką przytrzymując powiewająca wstążki kapelusza, drugą zaciskając na fałdach spódnicy, jakby miała zamiar unieść ją i umknąć. Wstrzymał oddech i czekał, by odeszła. Chciał, żeby stąd odeszła.

Ale ona powiedziała:

- Widziałam dziś rano, jak trenował pan Lucka Finnegana. - Jakby nie widział, że przyglądała mu się z nienaturalnym natężeniem. - Jest pan w tym dobry.

- Słuchając pani, można by pomyśleć, że miała pani nadzieję, że nie mam pojęcia o pracy z końmi - rzekł rozbawiony.

- Niech pan nie będzie śmieszny - odparła wyniośle, leci zdradził ją żywy rumieniec występujący na policzki.

Przekonawszy się, że miał rację, zamilkł i po prostu patrzył na nią, wyprostowaną, smukłą i elegancką. Wiatr krążył wokół nich, ciepły i słodki, niosący woń z pobliskich ogrodów. Lucas nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed nią w podartych spodniach, boso i z obnażonym torsem. Zastanawiał się, czy spostrzegła pod opaloną skórą na jego plecach krzyżujące się blizny, poniżające świadectwa upadku i upokorzenia. A potem zdziwił się, dlaczego troszczy się o to, co pomyśli o nim ta kobieta.

Z rozmysłem odwrócił się do niej plecami. Chwycił brudni spodnie i zanurzył je w chłodnej rwącej wodzie. Ale nawet nil

patrząc na nią, boleśnie odczuwał jej obecność i wzrok. Nie odchodziła.

Co pan robi? - spytała.

Chyba widać - parsknął, nie podnosząc głowy.

Nie ma kobiety, która wyprałaby ubrania skazańców? Dotychczas zawsze była.

- Owszem, jest - odparł. - Tylko, jak na mój gust, nie robi tego wystarczająco często.

- Więc przychodzi pan tu wieczorami, by pracować własnoręcznie?

Zdumienie w jej głosie dotknęło go do żywego. Przestał wykręcać wodę ze spodni i z rozstawionymi na boki łokciami spozjrzał na nią ponad nagim ramieniem.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? Przecież my, Irlandczycy, jesteśmy takimi brudasami. Brudni, samowolni, zbuntowani i dzicy.

Zesłańcy z Irlandii cieszyli się w Australii złą opinią. Mówiono o nich, że są pełni nienawiści i zgorzkniałej wrogości. Większość angielskich kolonistów bała się ich. A Jessie bała się jego. Widział to w jej szeroko otwartych oczach. Miała najpiękniejsze oczy na świecie, aksamitne, ciemnoniebieskie, z plamkami jakiegoś nieziemskiego blasku, jak poświata księżycowa, odbijająca się we wzburzonym morzu.

Pomyślał, że teraz odejdzie, i czekał na tę chwilę w napięciu i z nieoczekiwanym żalem, lecz nie odeszła. Zeszła bliżej rzeki, szeleszcząc spódnicą i halkami i odstawiając szczupłe kostki i drobne stopy w małych bucikach. Wiedział, że powinien odwrócić od niej wzrok, ale nie mógł.

Przechyliwszy głowę, spojrzała na niego spod słomkowego kapelusza, przez który przeświecało słońce, rozsiewające jasne plamki na jej delikatnej twarzy.

- I jest pan z tego niesłychanie dumny, prawda? - powiedziała z lekkim uśmieszkiem. - Nie tylko ze swojej irlandzkości, ale również z dzikości, samowoli i rozgłosu.

Podniósł się jednym zręcznym ruchem i odwrócił do niej. Miał na sobie tylko stare spodnie i Jessie cofnęła się, o kilka

kroków, wpatrując się w jego nagą pierś i nerwowo przełykając ślinę. Zatknął kciuki za pasek spodni i stanął w typowo męskiej pozycji, wysuwając jedną nogę do przodu.

- Na tym polega bycie Irlandczykiem, prawda? - powiejdział. - Tak samo jak bycie Anglikiem polega na zachowaniu umiaru, opanowania i powagi.

Chciał, żeby sobie poszła i trzymała się od niego z daleka. Drgnęła lekko, jakby miała zamiar się odsunąć, lecz została.

- Nie wydaje się panu, że to wielkie uproszczenie sprawy? spytała chłodnym i opanowanym tonem.

Uśmiechnął się leniwie, odsłaniając zęby, ale jego oczy pozostały poważne.

- A więc nie podoba się to pani? Wszystko jest w porządku, gdy się mówi, że Irlandczycy to leniwe łobuzy, które bardziej dbają o dobrą zabawę niż o pracę i o bogactwo. Ale gdy ktoś się ośmiela stwierdzić, że Anglicy są pompatycznymi nudziarzami, którzy uwielbiają autorytety i boją się prawdziwej niezależności, to zupełnie inna sprawa.

Oburzona, nabrała powietrza w płuca, co zwróciło uwagę Lucasa na jej biust.

- Istnieje różnica pomiędzy uwielbieniem autorytetów a poszanowaniem prawa - powiedziała, unosząc głowę wyniosłym gestem, którego nienawidził. - Brytyjskie prawo jest przedmiotem zazdrości całego świata.

Roześmiał się ochryple.

- Doprawdy? Pewnie dlatego tak chętnie narzucacie je innym. Chciwość i samolubstwo nie mają z tym nic wspólnego, co?

Gniewnym ruchem zawiązała rozluźnioną wstążkę kapelusza.

- Chciwość i samolubstwo?

Pochylił się ku niej.

- Tak. Chciwość i samolubstwo, zamaskowane wyższością moralną. Co wy sobie wyobrażacie? Że Bóg stworzył cały świat wyłącznie dla was? Że możecie każdemu narzucać wasze brytyjskie prawo i brytyjską wolność i cholerne brytyjskie imperium, jak gdyby Bóg wyznaczył was do cywilizowania całego świata?

Stała bez ruchu, tak nieruchomo, że widział pulsującą żyłkę na jej białej szyi, tuż nad koronkowym kołnierzykiem.

Stworzyliśmy największe imperium w dziejach ludzkości - oświadczyła bardzo spokojnym, opanowanym i cholernie angielskim tonem. - Wspaniałe, niedoścignione imperium...

Machnął dłonią gniewnym gestem.

- Wspaniałe, tak? Znakomite? Nie będzie w nim żadnej wielkości dopóty, dopóki będziecie uciskać tych, nad którymi panujecie. Bez względu na to, czy będą to Afrykanie, Hindusi czy Irlandczycy. I dlatego kiedyś je stracie. Caluteńkie.

Dyszała szybko i głośno. Dygotała na całym ciele, ale jej głos nadal brzmiał obojętnie.

- Pan jest szalony.

Uśmiechnął się pogardliwie.

- Wcale nie. Po prostu jestem Irlandczykiem. Zapomniała pani?

Przez chwilę spoglądała na niego ze zdumieniem. A potem zaskoczyła go, wybuchając głośnym śmiechem. Nie układnym chichotem, który nie odsłania serca ani duszy, lecz serdecznym śmiechem, który rozjaśnił jej twarz i dziwnie się kłócił z koronkową bluzką, fioletowymi wstążkami i wspaniałymi manierami. Patrzył na nią, na jej zaskakująco pełną dolną wargę i wdzięczny zarys policzków. Po chwili zapanowało dziwne milczenie, cisza wypełniona jękiem wieczornego wiatru, bulgotaniem wody w rzece i odgłosem ciężkich, miarowych kroków, które zbliżały się w ich kierunku. Jessie obejrzała się w stronę, z której dochodziły.

- Tu jesteś, chłopie - powiedział Daniel O'Leary i wśród krzaków ukazała się jego marchewkowa czupryna. - Tak długo nie wracałeś, że zacząłem się o ciebie niepokoić. Słońce szybko zachodzi i... - Przerwał, wybałuszając oczy na widok panny Jesmody Corbett.

Była dobrze wytrenowana. Jeśli nawet poczuła zakłopotanie, że ktoś zastał ją tutaj, na brzegu rzeki, o zachodzie słońca w towarzystwie półnagiego irlandzkiego skazańca, niczym tego nie okazała.

- Nie powinien pan pływać samotnie, panie Gallagher -

powiedziała z przesadnym angielskim akcentem. - Może się pan nabawić kłopotów. - To powiedziawszy, odeszła z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami. Za nią powiewały fioletowe wstążki.

Daniel stał, patrząc na nią z rozdziawionymi ustami.

- Co ona tutaj robi? - zapytał cicho, gdy zniknęła z pola widzenia.

Lucas wzruszył ramionami, schylił się i podniósł czystą koszulę.

- Myślę, że spaceruje.

Daniel pokręcił głową i z roztargnieniem potarł dłonią kark.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, stary?

Lucas wciągnął koszulę przez głowę i roześmiał się głośno.

- O czym ty mówisz?

Ale Daniel tylko pokiwał głową i wymierzył palec wskazujący w pierś przyjaciela.

- Bądź ostrożny, słyszysz?

Następnego wieczoru Jessie wraz matką i z bratem udała się powozem do Beaulieu, posiadłości Harrisona, na kolację.

Pyzaty księżyc wisiał nisko na fioletowym niebie, rzucając niebieskawe światło na pograżone w ciszy pola i oświetlając twarze milczących pasażerów powozu. Jessie spojrzała na klasycznie rzeźbiony profil brata. Nie podobało jej się dziwni zatrzważające lśnienie widoczne tego wieczoru w jego oczach. Popołudnie spędził w wózku u stóp wzgórz za domem, strzelając z nowych, oprawnych w srebro pistoletów i popijając francuski koniak. Zaproponował siostrze, by poszła razem z nim co chętnie uczyniła, bo nie miała innego pomysłu na spędzenie czasu. Nie mogła zrozumieć, skąd wziął się jej dziwny nastrój, pełen niepokoju, a jednocześnie ospałości.

Cieszyła się, że jedzie na kolację do Beaulieu i że spotka się z Harrisonem. Tęskniła za jego flegmatyczną powagą typowego Brytyjczyka. Ta myśl rozbawiła ją, więc uśmiechnęła się pod nosem.

Czemu się tak dziwnie uśmiechasz? - spytała Beatrice, przerywając milczenie.

- Przypomniałam sobie coś, co niedawno słyszałam - odparła dziewczyna spokojnie, widząc, że Warrick przygląda się jej z zainteresowaniem. Starła się więcej nie uśmiechać.

Salon w Beaulieu, bardzo podobny do salonu w zamku, umeblowany francuskimi meblami z drewna orzechowego, z białym marmurowym kominkiem, był gustownie wykończony brokatami, aksamitami i jedwabiami. Jadalnia też była prawie taka sama jak w zamku. Stał tam mahoniowy kubański stół, wystarczająco duży, by usiadły przy nim dwadzieścia cztery osoby, a może nawet więcej. Wokół niego ustawiono krzesła wyściełane włoskim jedwabiem w kolorze czerwonego wina, który idealnie harmonizował z wzorzystym brokatem pokrywającym ściany. Na środku stołu znajdował się ciężki srebrny kandelabr, a na kredensach z drewna sandałowego, ustawionych pod bliźniaczymi łukami, pyszniły się masywne srebrne wazy.

Wokół stołu uwijało się mrowie zdumiewająco dobrze wyszkolonych służących, donosząc coraz to nowe dania z kaczek, łabędzi, kangurów i jagniąt. Harrison był sędzią obwodu i wybierał sobie najlepszych skazańców.

Jessie zdała sobie sprawę, że przygląda mu się z wielką uwagą. W tej chwili siedział nieco na uboczu, wsparłszy rękę na oparciu krzesła, odprężony, bo posiłek dobiegał końca. Miał na sobie frak z wyłogami i długimi połami oraz haftowaną kamizelkę, w czym wyglądał przystojnie i elegancko, a jednocześnie bardzo po angielsku. Patrzyła, jak wyciąga białą wypielęgowaną dłoń, aby nabrać kawałek mięsa ze srebrnej tacy. Uznała, że w obecności jego dobrze znanej, przewidywalnej i wytwornej osoby czuje się bezpiecznie. To był jej świat.

Harrison rozmawiał z Beatrice o nowym serwisie, który zamówił w Worcester. Miał być w kolorze czerwonego wina z wzorem niebieskim, ze złoceniem w kształcie rodzinnego herbu. W przeciwieństwie do Anselma Corbetta, którego ojciec Pojawił się znikąd i dorobił majątku na młynach w North Lancashire, Tate'owie wywodzili się ze starej szlachty, właścicieli

niewielkich, lecz pradawnych dóbr w Hampshire. Jednak ród Harrisona nie był tak świetny jak pochodzenie Beatrice. Jej ojciec był zaledwie najemnym oficerem, który stracił rękę na jakimś mało znanym polu walki we Francji, ale jej rodzina należała do znacznie starszych, bardziej znanych i wyżej sokoligaconych niż Tate'owie. Tutaj, w koloniach, urodzenie wciąż miało swoją cenę, ale liczyły się również pieniądze, i to nawet bardziej niż w Anglii. Obie rodziny, Tate'ów i Corbettów, były równie zamożne, więc można je było połączyć związkami małżeńskimi.

Jessie sięgnęła po kieliszek wina i stwierdziła, że jej dłoń lekko drży. Pieniądze i urodzenie. Dwa fundamenty, na których wspierał się jej świat. Kryteria, według których osądzano ludzi. Pieniądze, urodzenie i wolność.

Po kolacji, gdy Philippa i Beatrice grały na fortepianie, a Warrick, rozwalony na fotelu w ciemnym rogu pokoju, popijał nieodłączną brandy, Harrison poprosił Jessie, by wyszła z nim na zewnątrz, aby podziwiać pełnię księżyca.

Księżyc wzniósł się wyżej i na tle ciemnych niebios stał się teraz mniejszy i jaśniejszy.

- Masz rację - powiedziała Jessie z uśmiechem. - Jest piękny.
- Prawda?

Poczuła na włosach oddech Harrisona, gdy wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie patrzysz na księżyc? - spytała wesoło. A potem spojrzała na niego i uśmiech zamarł na jej ustach.

- Nie. - Wykrzywił wargi w dziwnym uśmiechu. - Wyważyłem cię z domu, posługując się pretekstem. W rzeczywistości chciałem patrzeć na ciebie. - Teraz na jego twarzy pojawił się pełen napięcia wyraz, który przyprawił ją o drżenie z emocji.

Ma zamiar mnie pocałować, pomyślała, tak jak mężczyzna! całuje kobietę, którą ma poślubić. Kobietę, którą pewnego dnia weźmie do łóżka. Ta myśl bardzo ją zawstydziła. A potem powiedziała sobie, że jest głupia, że zna tego człowieka całe życie

i że przecież wkrótce zostanie jego żoną. Musi się przyzwyczaić do nowej fizycznej intymności między nimi.

- Jesmondo - wyszeptał, owiewając jej policzek ciepłym oddechem. Oparł dłonie na jej ramionach i przyciągając ją do siebie, zsunął dłonie na jej biodra. Potem pochylił głowę i pocałował ją.

Wargi miał miękkie, chłodne i wilgotne i Jessie pomyślała, że może to jest nawet przyjemne. Potem jego uścisk się wzmocnił, a usta natarły silniej, zmuszając ją do rozchylenia warg. Jessie poczuła panikę i obrzydzenie. Przez chwilę zносиła to bez ruchu, wstrzymując oddech, wytrzeszczając oczy i ściskając go za ramiona. Potem wydała zduszony okrzyk protestu i oparła dłonie na piersi Harrisona.

Pozwolił się odepchnąć, cofając się do słupka werandy z głową odchyloną do tyłu, zakrywając dłonią oczy. Ramiona miał sztywne, plecy wyprostowane. Jessie stała jak wmurowana. Czowała się głupio i nie na miejscu. Była straszliwie zakłopotana.

- Przepraszam - powiedziała cichutko, zadowolona, że odwrócił się plecami do niej i nie widział, jak ocierała z ust wilgoć, którą pozostawiły jego wargi. - Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Nie. Nie, nie mów tak. To moja wina. - Znów stanął naprzeciw niej, ujął jej dłonie i przytrzymał na piersi. - Przebac mi, najdroższa. Nie powinienem był... - Dyszał głośno i chrapliwie, lecz przełknął ślinę i mówił dalej: - Mężczyźni są bardziej namiętni niż kobiety. To naturalne. Powinienem się tego... spodziewać. Gdy mężczyzna ma do czynienia z damą, musi działać ostrożnie, powoli. A ja cię wystraszyłem. Wybacz mi, proszę.

Jessie pokręciła głową.

- Mówisz o mnie jak o jakimś dziwnym skrzyżowaniu płochliwego konia i cennej porcelanowej filiżanki.

Roześmiał się, a ona dotknęła jego policzka.

- Pocałujesz mnie, gdy się zgodzę zostać twoją żoną, Harrisonie. Następnym razem, kiedy będę wiedziała, czego się spodziewać, uda się lepiej.

Niedługo potem wrócili do salonu. Harrison przewracał siostrze kartki z nutami, a Jessie usiadła koło brata. Warrick był zbyt zajęty swoimi myślami, by zwracać na nią uwagę, ale Jessie spostrzegła, że wyraz twarzy Beatrice stwardniał na widok rumieńców na policzkach córki. Wiedziała, że nie minie rozmowa na ten temat. Jeśli nie dziś wieczorem, to następnego ranka.

Gdy Jessie, wracając ze śniadania, mijała pokój poranny, usłyszała słowa matki.

- Wejdz na chwilę i zamknij za sobą drzwi - powiedziała* Beatrice znad swojej niekończącej się robótki. - Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Dziewczyna weszła do pokoju i posłusznie zamknęła drzwi. Tej nocy me spała dobrze, roztrząsając sprawy, o których nie pomyślałaby za dnia. Wcale nie miała ochoty na omawianie z matką minionego wieczoru.

- I okiennice - syknęła Beatrice, gdy córka chciała usiąść na kozetce obok niej.

Jessie przeszła przez pokój, aby zamknąć okiennice z cedrowego drewna przed niebezpiecznym światłem poranka i uszami potencjalnego podsłuchiawcy. Oparła się o nie plecami i przechyliła głowę na bok.

- O co chodzi, mamó?

Beatrice błyskała igłą. Ta robótka to jej schronienie, uznała Jessie, podobnie jak kieliszek brandy dla Warricka. Schronienie albo tarcza. Jessie nie umiała się zdecydować.

- Wczoraj wieczorem dość długo byłaś z Harrisonem na werandzie - odezwała się Beatrice.

Jessie westchnęła przeciągle.

- Mamó, jesteście zaręczeni.

Beatrice na chwilę przerwała haftowanie, a potem podjęła je znowu.

- Wiem. I właśnie to mnie niepokoi. Harrison jest dżentelmenem i w innych okolicznościach zaufałabym mu bez wahania,

ale teraz gdy macie się pobrać, będzie mógł sądzić, że z tego tytułu może sobie pozwolić na pewną... - zdecydowanym gestem wbiła igłę w tkaninę - poufałość.

- Co ty mi próbujesz powiedzieć, mamó?

Jessie patrzyła ze zdumieniem, jak na zazwyczaj białych liczkach matki występują kolory. Przez krótką niezręczną chwilę patrzyły sobie w oczy, a potem Beatrice odwróciła wzrok.

Niektóre kobiety... nie potrafią się oprzeć męskim awansom. Pozwalają się ponieść chwili i robią rzeczy, których robić nie powinny. - Beatrice ściszyła głos i pochyliła się do przodu. - Rzeczy, które można robić tylko w poświęconym miejscu, którym jest łóżko małżeńskie.

- Mamó. - Jessie poczuła, że teraz ona się rumieni. Odeszła od okna i rozejrzała się po pokoju. - Doprawdy... - Odwróciła się do matki. - Harrison tylko mnie pocałował. A to chyba jest dozwolone między narzeczonymi?

- Pocałunki mogą doprowadzić do innych rzeczy. - Teraz Beatrice nie udawała już zainteresowania robótką. - Gdyby do tego doszło, musisz go powstrzymać, Jesmondo. Rozumiesz? Nawet gdybyś nie miała ochoty. Musisz poczekać, aż wypowiecie małżeńską przysięgę.

Jessie wydała dźwięk przypominający stłumiony śmiech i usiadła na kozetce obok matki.

- Mamó, uwierz mi, nie ma powodu do takich zmartwień. Nie wydaje mi się, by mi groziło, że dam się ponieść namiętności do Harrisona.

- Dla każdego, kto widział twoją twarz wczoraj wieczorem, jest jasne, że coś pomiędzy wami zaszło.

Jessie spłótła ręce na podołku.

- Powiedziałam ci, mamó. Pocałował mnie. Uznałam to za nieprzyjemne i wcale nie miałam ochoty, by to powtórzył. Więc nie masz powodu do niepokoju.

Zapadło długotrwałe niezręczne milczenie. Słychać było tykanie pozłacanego zegara na kominku oraz odgłosy dochodzące ze śniadaniowego pokoju, gdzie służba sprzątała po posiłku.

- Wybacz mi, moja droga - odezwała się Beatrice tonem

pełnym napięcia. - Jesteś do niej taka podobna, że pomyślałam, że także w tym względzie...

Jessie szybko podniosła oczy.

- Do kogo, mamó? O kim ty mówisz?

- Nieważne, moje dziecko. - Beatrice uściśnęła dłoń córki. - Mam nadzieję, że nie powiedziałaś i nie zrobiłaś nic, przez co Harrison mógłby pomyśleć, że czujesz do niego awersję.

Jessie zamruwała z niedowierzaniem i pewnie by się roześmiała gdyby nie to, że poczuła w piersi dziwne pieczenie.

- Przed chwilą przestrzegałaś mnie, bym nie pozwalała Harrisonowi na zbyt dużą poufałość. Teraz mówisz mi, że mam uważać, by go nie zniechęcać.

- Jesmondo... - Beatrice zamilkła, jakby zbierając myśli. - Niezręcznie jest mówić o tych sprawach, ale teraz, kiedy macie się pobrać... - Westchnęła głęboko i utkwiała wzrok w dużym ozdobnym wazonie obok okna. - Większość kobiet uważa mężczyzn za groźnych i odpychających, a intymność małżeńskiego łoża za nieprzyjemną. Jednakże jest to coś, co musimy znosić; gdy nadejdzie po temu pora. To jest cena, jaką płacimy za posiadanie dzieci, domów i pozycji w towarzystwie. - Spojrzała córce w oczy. - Pamiętaj o tym.

Teraz Jessie odwróciła wzrok. Słowa matki zawisły w powietrzu, smutne i zatrącające o sprawy, które nie zostały i nigdy nie zostaną wypowiedziane. Dziewczyna wstała i podeszła do marmurowego kominka, wpatrując się w wygasłe palenisko. Nie miała złudzeń co do małżeństwa rodziców. Jakżeby mogła, skoro nigdy nie widziała, by się całowali, a gdy tylko mogli, unikali wszelkiego kontaktu fizycznego. Wiedli życie niezależnie, spędzając dni we wspólnym domu, jednak nigdy nie dzieląc się smutkami i radościami. Ich wzajemna antypatia, skrywana pod pozorami uprzejmości, była niewątpliwa i wszechobecna. Zatręła dzieciństwo ich latorośli i spowodowała zgorzknienie Beatrice. Jessie zastanawiała się, czy twardy grymas na ustach matki nie wziął się z tego, że wbrew sobie zmuszała się do wypełniania małżeńskiego obowiązku.

- Czy to już wszystko, co chciałaś mi powiedzieć? - spytała cicho.

Matka znów pochyliła się nad robótką, błyskając igłą.

Tak sędzę. Nie widzę powodu, by mówić o tym dłużej.

Jessie była już przy drzwiach, gdy matka znów się odezwała.

- Wybierasz się na konną przejażdżkę?

Jessie obejrzała się, trzymając dłoń na klamce.

Powiedziałaś, że nie życzyś sobie, abym jeździła konno do czasu przyjęcia.

Ach, tak... - Beatrice machnęła ręką. - Wydawało mi się, że ostatnio stałaś się jakaś niespokojna. Idź na górę i przebierz się. Poproszę Warricka, żeby wysłał kogoś z wiadomością dla stajennych.

Jessie powoli wspinała się po stopniach. Czuła się winna, zakłopotana i zawstydzona. Nie chciała sprawiać matce zawodu. Nie okłamała jej, mówiąc, że pocałunek Harrisona nie sprawił jej najmniejszej przyjemności. A jednak... jednak wiedziała, że nie należy do tych kobiet, które uważają mężczyzn za odpychających. Zadrzała, wyobrażając sobie, jak matka by zareagowała, gdyby знаła prawdę. Gdyby wiedziała, że córka, stojąc nad rzeką w promieniach zachodzącego słońca, podziwiała nagą męską pierś, wyrzeźbioną latami pracy fizycznej. I że od tamtej pory wciąż wspomina nagie plecy owego mężczyzny, silnie umięśnione i poznaczone bliznami, pozostawionymi przez bat.

8

Lucas siedział na pobielonym parkanie. Ręce wsparł na i kolanach, obute stopy podłożył pod dolną poprzeczkę. Nie spuszczał oczu z wielkiego gniadego ogiera, który galopował wzdłuż padoku, błyskając podkowami i powiewając w słońcu jedwabistą grzywą.

Padok był wystarczająco duży, by dać koniowi iluzję wolności, przynajmniej do chwili, gdy dobiegł do ogrodzenia i zatrzymał się, wyginając szyję w łuk, rozdymając chrapy i strzygąc uszami. ;

- Możesz sobie biegać - wyszeptał Gallagher - ale nie jesteś wolny, stary. Otoczyli cię ze wszystkich stron.

- Spróbuj go pan ujeźdźca? - zapytał Charlie z przejęciem i wspiął się na dolną poprzeczkę parkanu.

- Jeszcze nie. - Lucas uśmiechnął się. - Najpierw muszę go trochę podszkolić. - Spojrzał na chłopca kątem oka. - Chciałbyś go potrenować, popuszczając cugli?

- Pewnie! - Charlie uśmiechnął się z takim zachwytem, że Lucas musiał odwrócić głowę.

Nagle zobaczył, że Warrick Corbett zmierza do nich przez podwórze.

Nie miał na jego temat wyrobionego zdania. Pod wieloma względami Warrick Corbett wydawał się człowiekiem, u którego dobrze było pracować. Nie wykazywał sadystycznych skłonności, które angielski system edukacji wpajał swoim wychowankom wraz z zamiłowaniem do krykieta, Cicerona i poezji Szekspira.

Bo też Corbett nigdy nie uczył się w Eton czy Winchester, a więc nie był prawdziwym Anglikiem, chociaż Gallagher podejrzewał, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Corbett urodził się i kształcił tutaj, w Australii, i czy o tym wiedział, czy nie, był inny niż typowi Anglicy.

A jednak w jego oczach pojawiał się czasem dziki błysk, a twarz oblekał dziwny uśmiech upadłego anioła. Owa niedojrzałość i zmienność napawały Gallaghera nieufnością.

- Hej, Charlie! - zawołał. - Przyrowadź klacz mojej siostry, Cimmerię, i osiodłaj ją. A przy okazji zabierz tego deresza dla Gallaghera - dodał, gdy chłopiec przesadził płot i ruszył biegiem przez padok. Przekrzywił głowę i spojrzał na Irlandczyka ze złowrogim uśmiechem. - Mam dla ciebie zajęcie.

Lucas uniósł nogi na wyższą poprzeczkę i, rozstawiwszy ramiona, balansował na parkanie.

- Myślałem, że pan chce, abym dziś popracował nad Luckiem Finnegana.

- Bo chciałem. Ale wygląda na to, że trzeba to będzie odłożyć na później. - Corbett stanął przy parkanie, przyglądając się niespokojnemu ogierowi. - Moja siostra potrzebuje stajennego.

Lucas lekko zeskoczył z parkanu. Żadna młoda Angielka z pretensjami do szlacheckiego pochodzenia nie jeździłaby po Hyde Parku ani po wzgórzach Hampshire bez towarzyszącego jej stajennego. Jednak tutaj, gdzie stajenni najczęściej byli więźniami, zwyczaj ten wydawał się dziwaczny.

- Myślałem, że jej stajennym jest Stary Tom - powiedział Gallagher ochrypłym głosem, czując, że z napięcia traci oddech i ściska mu się żołądek. Fakt, że za chwilę będzie zmuszony jechać za tą piękną i wyniosłą Angielką, że będzie jej stajennym i służącym, wydał mu się bardziej poniżający i trudniejszy do zniesienia niż skucie łańcuchami, chłosta i codzienne zniewagi, które cierpiał przez trzy długie upokarzające lata.

Corbett oparł łokieć na parkanie i znów skupił całą uwagę na koniu.

- Tom nie może już jeździć tak daleko. A zresztą dziś rano poczuł się tak źle, że powiedziałem mu, żeby się położył.

- A Charlie?

Corbett spojrział na niego przez ramię.

- Charlie jest za młody, by jej bronić, gdyby natrafiła na bandę opryszków.

Lucas wiedział, że przeciąga strunę, lecz nie mógł się powstrzymać.

- Z pewnością któryś z ludzi...

- Żaden z nich nie jeździ wystarczająco dobrze, by dotrzymać jej kroku. Jesteś nowym stajennym, Gallagher, i koniec dyskusji - powiedział Corbett, wyraźnie zniecierpliwiony.

Zbliżając się od strony ogrodu, Jessie rzuciła okiem w kierunku stajni i zobaczyła szczupłego ciemnowłosego mężczyznę, prowadzącego dwa konie. Zachwiała się na nogach, wypuściła z dłoni fałdy ciemnoniebieskiej długiej spódnicy do konnej jazdy i patrzyła z niedowierzaniem. Odwrócił się, by zaciągnąć popręg przy siodle nieznanego jej deresza, ale Jessie rozpoznała go po pełnych wdzięku ruchach.

Ignorując dziwnie przyśpieszone bicie serca, znów uniosła spódnicę i ruszyła przez oblane słońcem podwórze w kierunku koni. Od strony jabłoni, które rosły wokół pobliskiej sadzawki, dobiegł pełen słodkiej melancholii śpiew drozda. Jessie podeszła do drobnej czarnej klaczy z czterema białymi skarpetkami i z białą gwiazdką nad aksamitnym nosem.

- Witaj, piękna - mruknęła dziewczyna, głaszcząc Cimmerię po chrapach i lśniącej czarnej szyi. - Tęskniłaś za mną? Bo ja za tobą okropnie. - Uśmiechając się, przytuliła policzek do jedwabistej grzywy. Nawet nie patrząc w stronę Irlandczyka, czuła jego obecność.

- Pani brat powiedział mi, że wybiera się pani do zatoczki - odezwał się Gallagher z ostentacyjnym akcentem irlandzkim.

Obejrzała się i spojrzała na niego. Nadal stał zwrócony do niej plecami, majstrując coś przy siodle deresza, ale poznała po głosie, że się uśmiecha.

- Tak. - Pragnęła uciec. Nie mogła pojąć, dlaczego ten

człowiek tak na nią działa. Sprawiał, że czuła się podniecona i niespokojna, zupełnie jak nie ona. - Gdzie jest Stary Tom?

- Źle się poczuł. Pani brat wysłał go do łóżka.

Drgnęła zaskoczona.

- Do łóżka? - Nigdy w życiu nie widziała, by Tom przyznał, że czuje się tak źle, by zostać w łóżku. - Co mu dolega?

Podobno rwie go w kościach. - Gallagher opuścił strzemię. - Ale to raczej serce. Wskazują na to wszystkie objawy.

Serce? - Jessie spojrzała na chaty w oddali. Doznała czegoś dziwnego, jakby cały świat lekko się przechylił i musiała wesprzeć się o siodło klaczy. Świat natychmiast wrócił na miejsce, ale... Ale ona wiedziała, że nic nie jest takie jak przedtem. Tom zawsze stał u jej boku, silny i pomocny. Wspominając dzieciństwo, często stwierdzała, że Starego Toma pamięta lepiej niż ojca i matkę.

To właśnie on, a nie Anselm Corbett, posadził Jessie na jej pierwszym kucyku, gdy jeszcze nawet nie zaczęła chodzić. Tom zachęcał ją do poznawania radości i tajemnic otaczającego ją świata, uczył nazw wielu fascynujących rzeczy i stworzeń, które występowały wokół niej. Wraz z Tomem badała labirynt jaskiń pobliskich gór, a gdy była starsza, przeżywała z nim niekończące się przygody. Zawsze nazywano go Starym Tomem, ale Jessie nigdy nie uważała go za starego. Nie był na tyle stary, by chorować, a może nawet umierać. Wczoraj spędziła z nim wiele czasu i ani słowem nie wspomniał, że źle się czuje. A ona nie powiedziała mu, że wkrótce pojedzie nad zatoczkę.

- Co pan tu robi? - spytała nagle, mrużąc oczy.

- Pani brat wyznaczył mnie na pani stajennego.

- Pana?

Jej ton sprawił, że Lucas się uśmiechnął, jego oczy pojaśniały, a twarz złagodniała.

- Tak.

Ale pan tego nie chciał, omal nie powiedziała na głos. Raptem zabrakło jej tchu. Martwiła się o Toma, a jednocześnie poczuła dziwne rozczarowanie.

Irlandczyk klepnął swego deresza i podszedł do Jessie. Jego twarz, ocieniona kapeluszem z liści palmowych, pozostała niewzruszona. Nie był specjalnie wysoki, a jednak górował nad nią i sprawiał wrażenie groźnego. Pilnowała się, by nie cofnąć się o krok. Usiłowała wyobrazić go sobie w roli swego stajennego jadącego na koniu obok niej, tak jak Stary Tom. Bezskutecznie.

Zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, do którego nawykła od wczesnego dzieciństwa, powiedziała:

- Dziękuję, panie Gallagher, ale nie chcę pana odrywać od pańskich nowych obowiązków w stajni. Proszę powiedzieć temu młodemu parobkowi, Charliemu, że ja...

- Nie.

Gwałtowność tej odmowy wprawiła ją w osłupienie. Takiego służącego jeszcze nigdy nie widziała. Był zbyt opanowany, zbyt pewny siebie, zbyt agresywnie męski, a ona takich nie lubiła.

- Sam zaproponowałem, by pojechał Charlie - wyjaśnił, sięgając po cugle jej klaczy. - Ale pani brat uznał, że mały chłopiec nie stanowi wystarczającej obrony przed opryszkami. - Uniósł głowę i słońce oświetliło jego męskie rysy. - Jest pani gotowa, panienko?

Jessie słyszała o opryszkach, którzy grasują na wyspie, w większości zbiegłych skazańcach; byli to zdesperowani mężczyźni, wygłodzeni i obdarci, bo życie na Tasmanii nie było łatwe dla ludzi nieobeznanych z tutejszą przyrodą. Tuż przed jej wyjazdem do Anglii w pobliżu Blackhaven Bay trzech opryszków napadło na żonę farmera. Roztrzaskali główkę jej dziecka o pień drzewa, a kobietę zgwałcili. Problem polegał na tym, że im dłużej zesłańcy pozostawali na wolności, tym bardziej stawali się niebezpieczni i okrutni, wiedzieli bowiem, że gdy zostaną schwytani, czeka ich śmierć albo coś jeszcze gorszego. Większość schwytanych uciekinierów odsyłano na wyspę Norfolk lub do Port Arthur, co uważali za znacznie gorsze niż śmierć. I z tego, co Jessie słyszała o tych miejscach, mieli rację.

Irlandczyk nie odwracał od niej oczu, twardych i wyzywających, jakby oczekiwał, że Jessie zmieni zamiar i zrezygnuje z przejażdżki.

Testem gotowa - oświadczyła. W obecności tego człowieka, zastępującego Starego Toma, nie będzie mogła odwiedzić domku na Przylądku Ostatniej Szansy, ale przynajmniej przejedzie się do zatoczki.

Wzięła od niego cugle i pozwoliła, by jej pomógł dosiąść klaczy. Szybko się odsunął, jakby się nie mógł doczekać, kiedy się znajdzie jak najdalej od niej, ale mógł się cofnąć tylko na tyle, na ile pozwalała odległość między ich wierzchowcami.

Patrzyła spod przymrużonych powiek, jak wskakuje na siodło, jego ruchy były płynne i pewne, świadcząc o tym, że dzieciństwo spędził na końskim grzbiecie. Niewielu skazańców zesłanych na Tasmanię znało się na koniach, a ci, którzy się na nich znali, najczęściej pracowali w starym kraju w charakterze stajennych lub parobków. Ale nie Gallagher. Choć bardzo starał się to ukryć, wyglądał na człowieka, który dosiadał swego pierwszego kucyka w obecności własnego stajennego. Ciekawa była, co też uczynił, że tak nisko upadł.

Spojrzał jej w oczy i przez chwilę widziała całą jego buntowniczą dumę, cały gniew, który go zżerał. Miał bardzo interesującą twarz i piękne, błyszczące i przerażające oczy. Przeróżające. Nie odezwawszy się ani słowem, spięła konia i ruszyła naprzód, nie oglądając się, czy jedzie za nią.

Miała nadzieję, że został na miejscu, choć wiedziała, że nie wolno mu jej puścić samej. Oba konie pocwałowały przez podwórze i skierowały się na drogę.

Nakłoniwszy klacz do szybkiego galopu po nasłonecznionej, rozjeżdżonej nawierzchni, wdychała aromat rozmiękłej ziemi i słodką woń kwitnących pól i pastwisk. Wiatr chłostał jej policzki i rozwiewał włosy, wymykające się spod kapelusza. Wyczuwając siłę mięśni klaczy, Jessie poddawała się rytmicznemu stukotowi kopyt.

Ale bez względu na to, jak szybko jechała, wciąż czuła za sobą obecność Irlandczyka. Wkradł się w jej myśli i odebrał spokój. Świadomość jego bliskości psuła jej nastrój. Dudnienie

kopyt deresza ścigało ją i prześladowało, więc ciągle popędzała swoją klacz.

Dojechali do pasma wzgórz, które odcinało żyzne ziemi*] uprawne od morza. Droga zaczęła się wznosić. Tutaj pola pszenicy i jęczmienia oraz pastwiska ustępowały miejsca lasom niebieskawych drzew gumowych i potężnych buków, które rzucały na ziemię splątane cienie. W powietrzu unosił się zapach, eukaliptusów i wilgotnej gleby. Jessie zwolniła niechętnie] Teraz, gdy nie słyszała dudnienia kopyt i nie czuła na twarzy wiatru, jeszcze bardziej prześladowała ją milcząca obecność Irlandczyka, który podążał za nią. Dwukrotnie omal się nie obejrzała. Czuła się nieswojo na myśl, że patrzy na nią, podczas gdy ona go nie widzi. Nagle wstrzymała klacz i zaczęła, by deresz się z nią zrównał.

Obrzuciła Lucasa zagadkowym spojrzeniem.

- A więc, panie Gallagher - powiedziała, pochylając się i poklepując klacz po spotniałych kłębach - niech mi pan powie, czy próbował pan już dosiąść Lucka Finnegana?

Zerknęła na niego spod wąskiego ronda kapelusza. Nie odrywał wzroku od drogi, ale spostrzegła, że lekko się uśmiechnął.

- Jeszcze nie.

- Jeszcze nie? Pan mnie zadziwia, Gallagher. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do pańskiego kuzyna Finnegana, nie lubi pan zaczynać dnia od spadania z końskiego grzbietu.

- No właśnie - odparł z irlandzkim akcentem.

- Jak pan zamierza odczytać Lucka tego nawyku? Powiedział pan Staremu Tomowi, że ma pan na to jakiś sposób, prawda?

- Jest kilka możliwości. - Uniósł głowę i śledził wzrokiem śmigające między gałęziami papugi. - Ale na razie nie będę się do niego zbliżał na odległość mniejszą niż długość lejc.

Przyjrzała mu się. Jego policzki pokrywał kilkudniowy zarost, włosy miał zmierzwiłone i tak długie, że gdy odchylił głowę da tyłu, sięgały aż do ramion. Sprawiał wrażenie brutalnego, ponurego i niebezpiecznego, ona jednak wiedziała, że w rzeczywistości jest zupełnie inny.

- Dlaczego pan to robi? - spytała nagle.

- Co? - spojrzął na nią zaskoczony.

Mówi z irlandzkim akcentem. Jest pan wykształconym człowiekiem. Słyszę to po sposobie, w jaki się pan wyraża, gdy się pan nie pilnuje i zapomina o gwarze. Celowo robi pan z siebie... - Zawahała się.

- Prymitywnego Irlandczyka? - zapytał ochryple, mrużąc zielone oczy. - Wszyscy jesteśmy dla was prymitywnymi Irlandczykami- Przecież podbiliście tych pożeraczy kartofli, którzy do niczego się nie nadają, więc muszą nimi rządzić wyrafinowani synowie Brytanii.

Wstrzymała oddech. Znow utkwiał wzrok w drodze przed nimi.

- A poza tym nikogo z siebie nie robię - dodał ciszej, tym razem z lekkim irlandzkim akcentem. - Tak właśnie mówią kobiety i mężczyźni, wśród których się wychowałem. Rybacy i farmerzy, sklepikarze i robotnicy. Dla nich wasz angielski jest równie obcy, jak wasza królowa. To coś narzuconego przez intruzów. We własnych domach, pośród bliskich, mówią swoim własnym językiem.

Owinął cugle wokół wolnej dłoni. W przeciwieństwie do Jessie nie miał rękawiczek do konnej jazdy, które chroniłyby zniszczone ciężką pracą ręce.

- Moja matka zawsze mówiła w domu po celtycku. Kochała Irlandię równie gorąco, jak wszystkie swoje dzieci, i dopilnowała, abyśmy nauczyli się jej języka. Chciała, żebyśmy mogli nauczyć go nasze dzieci i wnuki.

- A pański ojciec?

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Mój ojciec? Och, on jest patriotą, ale jednocześnie człowiekiem praktycznym. Więc gdy matka uczyła nas celtyckiego, on skupił się na angielskim. Zawsze twierdził, że zachowywanie tradycji to ważna sprawa, ale rodzina musi jeść i dubliński adwokat nie może sobie pozwolić na mówienie irlandzką gwara, jak pani to nazwała.

Nie mogła dłużej patrzeć na jego twarz. Opuściła oczy i utkwiała wzrok w jego dłoniach. Trzymał cugle tak lekko, tak bez wysiłku. Miał pięknie ukształtowane, niemal delikatne dłonie,

choć zniekształcone i pokryte bliznami od ciężkiej pracy. Zdjął kurtkę i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając silne, spalone słońcem przedramiona oraz szczupłe nadgarstki, poznaczone paskudnymi bliznami.

Oglądała takie blizny całe swoje życie. Zostawiały je żelazne kajdany, które mężczyźni nosili miesiącami, w upale i w deszczu. Czasami wpijały się w ciało aż do kości. Nawet gdy wreszcie zdejmowano okowy, pozostawały po nich ślady, świadectwo wstydlivej przeszłości. Takie same ma na kostkach nóg, pomyślała Jessie. Tyle blizn.

- Był pan dublińskim adwokatem? - spytała cicho.

Pokręcił głową, a jego usta rozciągnął złośliwy uśmiezek. I

- Miałem nim zostać. Byłem wtedy pełnym ideałów, naiwnym młodzieńcem. Miałem walczyć o wolność Irlandii w sądach i w parlamencie, posługując się wielkimi słowami i ideałami, a nie karabinem i pałką.

A więc co się stało, chciała go spytać, lecz milczała. Poczowała ucisk na gardle i oczy zaszyły jej łzami. Dziwne, dlaczego zbierało jej się na płacz? Żałowała, że rozpoczęła rozmowę na temat jego przeszłości. Nie chciała się zastanawiać nad życiem, jakie ten człowiek wiódł w Irlandii. Nie chciała nic wiedzieć o jego braciach i siostrach, których musiał pozostawić. Nie chciała myśleć, że kiedyś był kimś innym, niż jest teraz: zesłańcem i stajennym.

Spięta klacz i, utkwivszy wzrok w drodze przed sobą, ruszyła) przodem, tak jak należało.

Gdy wyjechali z lasu, owionął ich silny wiatr od morza. Na falach lśniły promienie słońca. Woda miała barwę akwamaryny z odbłaskami srebra.

Na prawo znajdowało się miasto Blackhaven Bay. Widać było jego schludne kamienne domy i sklepy oraz szare doki, magazyny i wojskowe baraki, ciągnące się wzdłuż brzegu na odcinku dwóch mil. Dalej od brzegu, w spokojnych wodach zatoki, kołysały się stojące na kotwicy łodzie rybackie i przybrzeżne

obok dwóch wielkich statków wielorybicznych, których wysokieokie maszty rysowały się na tle czystego błękitu nieba.

Spokojna zatoka Blackhaven oddzielona była od Zatoczki Rozbitków wąskim pasem zalesionej ziemi, zwanym Przylądkiem Ostatniej Szansy. Jeżeli statek zarzucił kotwicę za daleko od Blackhaven Bay, a wiał akurat wiatr pędzący fale, nieostrożny żeglarz mógł zostać zniesiony poza cypel i rzucony na skały u podstawy czarnego klifu, które otaczały zatoczkę. Jednak tego słonecznego dnia zatoczka była spokojna, a skały zakrywał przypyływ, którego fale załamywały się na piaszczystej plaży.

Tutaj, na skraju urwiska, ich droga rozwidła się na trzy odnogi. Główny trakt wiódł dalej do zatoki Blackhaven. Podrzędna droga skręcała w lewo, prowadząc do zatoczki. Trzecia ścieżka wiodła do pobielanego domku, widocznego na szczycie stromego przylądka, który rozpościerał się przed nimi, oddzielając zatokę od zatoczki.

Jessie przystanęła na rozstaju dróg. Miała ochotę skierować się w stronę domku, lecz rozsądek podpowiadał jej, by zjechać w dół, do zatoczki. Nie mogła znieść myśli, że nie złoży wizyty w dobrze znanym domku, lecz nie wyobrażała sobie, by było to możliwe z nowym stajennym, który zajął miejsce Starego Toma. Stała, namyślając się, co robić, a klacz cały czas rzucała niecierpliwie głową.

- To mi wygląda na Zatoczkę Rozbitków, tam na dole, po lewej - odezwał się Irlandczyk, leniwie prostując nogi i wspinając się na strzemionach.

- Dziękuję, panie Gallagher. Zdaję sobie z tego sprawę - warknęła i zaraz tego pożałowała, czując na sobie jego groźne spojrzenie.

- Wiem o pani wizytach w domku na cyplu, jeżeli tym się pani niepokoi.

Ruszyła przed siebie tak gwałtownie, że spłoszona klacz wspięta się na tylne nogi.

- Spokojnie. Dobra dziewczynka - powiedziała, głaszcząc klacz po spoconych kłębach. Uniosła głowę i napotkała spojrzenie

Gallaghera. - Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi. - Starła się, by jej głos zabrzmiał chłodno.

- O Genowefie Strzelecki - odparł, niezrażony wyniosłym parsknięciem Jessie. - Tutejszej upadłej kobiecie. Mieszka samotnie w domku na cyplu. Wszyscy porządni chłopcy i dziewczyny w okolicy mają się od niej trzymać z daleka. Jednak pani odwiedza ją regularnie od wielu lat. - Posłał jej uśmiech, którego tak bardzo nie lubiła. Szeroki, odsłaniający białe zęby, lecz nieogrzewający chłodnego spojrzenia przenikliwych oczu. - Taki był pierwotny cel pani przejażdżki, czyż nie?

9

Lucas patrzył, jak oczy dziewczyny rozszerzają się ze zdumienia, a na policzki wypływa gorący rumieniec. Widział, że ma zamiar zaprzeczyć. I poznał, że rezygnuje z kłamstwa.

- Skąd pan wie? - zapytała. Ładna drobna klaczka zaczęła tańczyć w miejscu, wyginając szyję w łuk i unosząc ogon. Panna Jesmonda Corbett z łatwością nad nią zapanowała, nie spuszczać wzroku z twarzy Lucasa. - Nie wmoi mi pan, że od Starego Toma.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Mamy w Irlandii takie przysłowie: *Chan sgeul ruin a chluinneas triuir*. Co oznacza...

- Co usłyszało trzech ludzi, przestaje być tajemnicą - dokończyła za niego.

Uśmiechnął się szerzej.

- Zupełnie niezłe tłumaczenie.

Patrzyła na niego uważnie pięknymi niebieskimi oczami spod nieco opuszczonych powiek. I wtedy zdał sobie sprawę, że źle ją ocenił i że właściwie nie wie, co ta dziewczyna naprawdę myśli. Nagle spięła klacz kolanami i ruszyła ścieżką w stronę domku, pozostawiając go w tyle.

Jechali w milczeniu. Kopyta, grzęznące w grubej warstwie humusu, pokrywającej rzadko uczęszczaną drogę, wydawały stłumiony odgłos. Wielkie drzewa gumowe oraz pnące się po nich wonne krzewy klematisu i derenia rzucały głębokie cienie.

Lucas słyszał szum fal, roztrzaskujących się o strome skały klifu cypla, i krzyki mew, wlatujących w powiewach wiatru. Uniósł głowę i spojrzął na niebo, którego błękit żywo kontrastował z chmurami nadciągającymi od strony horyzontu. Niechętnie przeniósł wzrok na jadącą przed nim kobietę.

Była wprawdzie wyniosła, dumna i bezsensownie angielską ale mężczyzna musiałby chyba być na pół żywy, by nie podziwiał jej szczupłej, wyprostowanej sylwetki i złocistych włosów. Siedziała na koniu z naturalnym wdziękiem, bez wysiłku dostosowując się do rytmu, w jakim poruszała się jej klacz. Miała na głowie lekki kapelusik do konnej jazdy z czarnym kogucim piórem, które odcinało się od jej złocistych włosów. Ciemnoniebieski żakiet z białym koronkowym kołnierzem podkreślał świeżość jasnej cery. Lucas przyjrzał się zdecydowanej linii podbródka i policzka. Spozrzegł cień rzucany przez długie rzęsy i poczuł przypływ gwałtownej żądz, niechcianej, lecz niezaprzeczonej.

Absurdalność tej dziwkiej tęsknoty, której nigdy nie będzie mógł zaspokoić, sprawiła, że omal się nie roześmiał. Jesmonda była dla niego tak nieosiągalna, jak cztery wiatry w niebiosach, jak najmroczniejsze głębie oceanu. Warrick Corbett musi mieć źle w głowie, skoro wysłała swoją piękną, budzącą pożądanie siostrę na przejażdżkę w towarzystwie krewkiego młodego Irlandczyka, który od trzech długich lat ani razu nie poczuł dotyku kobiecej dłoni. Ale taki był tutaj zwyczaj. Czasami Lucas zastanawiał się, czy wielcy posiadacze ziemscy w rodzaju Warricka Corbetta i Harrisona Tate'a zdają sobie sprawę, że służący u nich więźniowie są mężczyznami, a nie jakimiś dziwnymi eunuchami, stworzonymi dla ich wygody i żyjącymi wyłącznie po to, by zaspokajać potrzeby właścicieli.

Wreszcie dostrzegł domek. Z niskim, łukowato wygiętymi dachem, otynkowanymi murami, pomalowanymi na czarno ramami okien, wyglądał jak żywcem przeniesiony ze środkowej Anglii. Panna Jesmonda Corbett zatrzymała konia i obróciła go przodem do Lucasa. Spojrzała na swego stajennego z pełną pogardy dumą, ale wspomniała niebieskie oczy miała zatroskany wyraz.

- Nie powie pan o tym?
 - Nie - odparł, patrząc jej prosto w oczy.
- Uniósła głowę wyżej i przełknęła ślinę.
- Dlaczego?

Lucas wsparł dłoń na udzie i spojrzął na niebieskie fale na wąskiej smudze złotego piasku. Mówiono, że przy silnym wietrze w czasie przypływu Zatoczka Rozbitków jest śmiertelnie groźna. Ale owego dnia, przy prawie bezwietrznej pogodzie, wyglądała jak bezpieczna zapowiedź oceanu, który zaczynał się dobre pięćdziesiąt mil stąd, na północ i na południe od Blackhaven Bay. Lucas uważał, że usługiwanie tej wyniosłej i budzącej pożądanie młodej Angielce jest denerwujące i przykre, ale, prawdę mówiąc, miał powody, by lepiej poznać te okolice.

Usłyszał o zatoczce zaraz po przybyciu do zamku, a potem starał się o niej dowiedzieć jak najwięcej. Z wyjątkiem tego jedyne domku na cyplu sąsiedztwo zatoczki było niezamieszkałe. Inny dom, który stał na wzgórzach przy plaży, został spalony i pozostały po nim tylko ruiny. Powiadano, że rozegrała się tam jakaś straszliwa tragedia, tak wstrząsająca, że ludzie omijali to miejsce, co bardzo odpowiadało Gallagherowi, który podejrzewał, że dom ów musi mieć własną przystań. A pusta przystań bardzo interesowała skazańca, który pragnął uciec z wyspy, odpływając z niej łodzią.

Nie miał zamiaru opowiadać panie Corbett tego wszystkiego, więc zamiast odpowiedzieć na pytanie, zadał swoje.

- A dlaczego Stary Tom by się nie wygadał?
- Bo to nie w jego stylu.

Przyjrzał się Jesmondzie i zrozumiał, że nawet nie mając własnych powodów, by poznać Zatoczkę Rozbitków, i tak by jej nie zdradził.

- W moim też nie - powiedział.

Patrzyła na niego spod ściągniętych brwi oczami pociemniałymi jak morze podczas sztormu. Oczywiście, nie ufała mu. Nie było powodów, by mu ufała. Ale nie miała wyboru. I tak już znał jej tajemnicę.

Genowefa Strzelecki obciąła na wpół rozwinięty pączek żółtej róży, która się pięła po pobielonym murze domku. Róże musiały być bardzo odporne, żeby rosnąć w słonej i wietrznej atmosferze tego przylądka. Większość energii zużywały na przetrwanie, więc gdy udawało im się zakwitnąć, Genowefa zwykle je pozostawiała jako hołd złożony wytrzymałości rośliny. Ale tę różę zapragnęła zabrać do domu. Czasami tak bardzo pragnęła czyjegoś towarzystwa, że zabierała choćby taki nieugięty kwiat.

Usłyszała daleki, stłumiony odgłos dochodzący spoza ogrodu i uniosła głowę, podtrzymując ręką słomkowy kapelusz. Dotykała kapelusza jedynie nadgarstkiem, bo wewnątrz dłoni i palce miała ubrudzone ziemią i sokiem roślin. Pewnego dnia, wiele lat temu, na wyspie Capri przytrzymała w ten sam sposób swój czepek i przystojny ciemnowłosy mężczyzna o płonących oczach wyszeptał jej do ucha, że wygląda bardzo pięknie. Że jest urocza i budzi pożądanie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. To był Francuz, pomyślała, a może Włoch. Nie była pewna.

Kiedyś była piękna. Piękna i młoda. Z falującą grzywą złocistych włosów i najgładszą, omal przezroczystą porcelanową cerą, przyprószoną cynamonowymi piegami. Teraz była stara, miała siwe włosy i głębokie zmarszczki pod oczami. Ale o swoim wieku pamiętała tylko wtedy, gdy patrzyła w lustro, albo w ciągu zimowych dni, gdy wiał wiatr od bieguna południowego, a ona rano wstawała z łóżka po ciemku z obolałymi kośćmi. W głębi duszy pozostała nadal tą samą Genowefą, która wiele lat temu tak bardzo wszystkich szokowała.

Kiedyś uciekła, aby być z mężczyzną, którego pokochała. Kiedyś tańczyła walca w ramionach królów, lecz uciekła z kochankiem. Kiedyś, strojna w jedwabie i aksamity, obwieszona brylantami, podróżowała po świecie. Teraz jej świat ograniczał się do małego pobielonego domku, dziwacznej kolekcji ulubionych przedmiotów oraz tuzina kotów, do targanych wichrami eukaliptusów, do czarnych skał przylądka i do niekończącego się morza, wiecznego, lecz wciąż zmieniającego wygląd, morza, które było jej równie niezbędne do życia, jak powietrze. Nie

skarżyła się na zmianę swojej sytuacji. Bo Genowefa czerpała teraz z życia w swoim ukochanym domku i z obecności morza równie wiele przyjemności, co dawniej z kolacji przy świecach, luksusowych jedwabnych strojów i z uścisków mężczyzn. Już dawno przekonała się, że przedmiot naszych pragnień może się zmieniać, ale najważniejsze, by się nauczyć rozpoznawać, czego naprawdę chcemy, i by mieć odwagę przyznać się do tego i zrealizować pragnienie.

Znow usłyszała ten dźwięk. Nie myliła się. Tętent końskich kopyt. Umieściła żółty pączek w słomianym koszyku i poczuła, że jej serce bije żywiej.

Została odrzucona przez socjetę, ale miała przyjaciół wśród drobnych sklepikarzy, rybaków i okolicznych farmerów. Wiedziała o przybiciu kecza, którym kilka dni temu powróciła Jesmonda Corbett, lecz zdawała sobie sprawę, że młoda kobieta może się bardzo zmienić w ciągu dwóch lat, spędzonych z dala od domu i od rodziny.

Stała nieruchomo, obawiając się rozczarowania. A potem ich zobaczyła. Szczupłą złotowłosą dziewczynę i ciemnego stajennego, którego nigdy przedtem nie widziała. Genowefa patrzyła, jak zatrzymują konie. Mężczyzna wdzięcznie zeskoczył z konia i po krótkiej chwili wahania odwrócił się, by pomóc zsiąść swojej pani. Ale się spóźnił, bo dziewczyna sama zsunęła się z siodła, zanim wyciągnął ku niej rękę.

Genowefa odłożyła koszyk i sekator i uśmiechnęła się szeroko. Jessie ruszyła ku niej biegiem, a Genowefa roześmiała się radośnie.

Jessie usadowiła się na parapecie okna w kuchni. Długowłosy kot czekoladowego koloru mruzczał na jej podołku. Była bosa; buty i pończochy beztrasko zrzuciła na nierówne cegły podłogi.

Zawsze lubiła kuchnię Genowefy. Był tam wielki czarny piec i pęki ziół zwisające z półek i z dużych okien, które można było otwierać w słoneczną i w deszczową pogodę. Jessie nigdy nie

wchodziła do kuchni w swoim domu, ale tutaj spędziła wiele szczęśliwych godzin.

- Dosyć opowieści o jaskiniach, trupach i eksperymentach z elektrycznością - powiedziała Genowefa, wstając z fotela na biegunach, gdy zawrzała woda w czajniku. - Bardzo to wszystka interesujące, ale ja chcę wiedzieć... - Umilkła z parującym czajnikiem w dłoni i przesadnie uniosła brwi. - Znalazłaś sobie w Londynie kochanka?

- Genowefo! - Po wielu latach znajomości ta kobieta wciąż potrafiła ją zaszokować, choć teraz Jessie była wystarczająco mądra, by zdać sobie sprawę, że przyjaciółka robi to celowo. Roześmiała się nerwowo. - Wiesz, że obiecano mnie Harrisonowi.

Genowefa trzymała w ręku niebiesko-biały dzbanuszek ze śmietanką.

- Wiem, że twój ojciec obiecał cię Harrisonowi. Ale to nie ojciec za niego wyjdzie.

Na widok śmietanki kot zeskoczył z kolan dziewczyny i zaczął miauczeć z nadzieją. Jessie się roześmiała.

- Ja także obiecałam rękę Harrisonowi, nie pamiętasz? - Wstała, by wyjąć filiżanki i spodeczki ze starego walijskiego kredensu stojącego obok drzwi, po czym podała je gospodyni. - Dwa lata temu.

Genowefa sięgnęła po kamionkowy garnek, w którym zawsze przechowywała zapas biszkoptów.

- A teraz, co o tym myślisz?

Jessie wróciła do kredensu po talerz. Przez chwilę spoglądali przez otwarte drzwi w stronę szopy. Wcześniej wysłała tal Irlandczyka, aby napoił spragnione konie. Nie było go widać.

- Chcę wyjść za Harrisona - oświadczyła stanowczo i postawiła talerz obok czajnika na dużej cynowej tacy.

Genowefa uśmiechnęła się.

- Cieszę się z twojego szczęścia. - Sięgnęła po małą, idealnie gładką kulę z wypolerowanego różowego kwarcu, która leżała na parapecie obok zlewu. - Pamiętasz ją?

- Oczywiście, że tak - odparła Jessie i przyjaciółka położyła

gładką, chłodną kulę na jej dłoni. - Gdy byłam mała, ten kwarc bardzo mnie intrygował. - Z uśmiechem uniosła kulę do światła, kryształ zdawał się świecić własnym blaskiem. Genowefa powiadała jej, że dostała tę kulę wiele lat temu od Cyganki. - Pamiętam, że wpatrywałam się w nią godzinami. Wierzyłam, że jeśli się bardzo postaram, zobaczę w niej moją przyszłość. Ale zawsze dostrzegałam tylko własne odbicie.

- Pamiętam. - Genowefa zaczęła układać biszkopty na talerzyku. - Pamiętam także, że zastanawiało mnie, dlaczego tak cię ona fascynuje, skoro wiedziałas, że gdy dorośniesz, zostaniesz żoną Harrisona.

Kula zrobiła się ciepła i zaciążyła w dłoniach Jessie. Dziewczyna odłożyła ją i splótła ramiona na piersi.

- Zawsze chciałam ci ją ofiarować - mówiła Genowefa. - Ale twoja matka zaczęłaby się zastanawiać, skąd ją masz. - Miauczenie kota stało się napastliwe i jego pani schyliła się, by nalać śmietanki do spodeczka, który stał obok pieca. - Jak się miewa twoja matka i brat?

Było to pytanie, które zadawała przy każdym spotkaniu, chociaż Jessie sądziła, że chyba nigdy ich nie poznała.

- Jak zwykle.

- Wieść o śmierci twego ojca bardzo mnie zasmuciła. Dziewczyna skinęła głową.

- Matka zniosła ją bardzo dobrze.

Przez chwilę zdawało się, że Genowefa coś powie, ale tylko krzątała się w milczeniu.

- Chodź - powiedziała wesoło, biorąc pomalowaną tacę. - Wypijmy herbatę w ogrodzie. Nie, zostaw - dodała, gdy Jessie sięgnęła po buty. - Ile czasu minęło, odkąd chodziłaś boso po trawie?

- Dwa lata. - Dziewczyna roześmiała się.

- Zbyt wiele.

Z miejsca obok szopy, gdzie siedział Lucas, roztaczał się widok na szeroki spokojny strumień, który kończył swój bieg

w zatoczce, tworząc rozległe stożkowate ujście, rozcinające piaszczystą plażę na dwie części. Zmrużywszy oczy przed lśniącymi od słońca falami, dostrzegł poczerniałe grube mury spalonego domu, ale nigdzie nie widział przystani. Będzie musiał zejść niżej, do samej zatoczki.

Wzgórza za półokrągłą plażą były faliste i porośnięte drzewami i krzewami, lecz po przeciwnej stronie zatoczki ląd wznosił się wyżej i stawał się bardziej skalisty niż Przylądek Ostatniej Szansy. Morze u podstawy klifu było białe od piany rozbijających się fal. Lucas schylił się i zerwał źdźbło trawy. Bawił się nim, nie odrywając wzroku od klifu po przeciwnej stronie zatoczki i od skał ukrytych pod rozfalowaną wodą. Przy gorszej pogodzie albo w bezksiężycową noc te wody mogą być śmiertelnie niebezpieczne, pomyślał.

- Piękne, prawda? - odezwała się za nim panna Jesmonda Corbett. - Piękne i niebezpieczne.

Przystanęła w pewnej odległości od niego, pod wielkim starym dębem, który rósł obok szopy. Nie słyszał, jak nadchodzi, i nie miał pojęcia, jak długo za nim stoi. Zsunął się z muru i odwrócił do niej, a ona drgnęła i szybko odwróciła wzrok, jakby nie chciała, by wiedział, że mu się przyglądała. Roześmiała się na myśl, że taka dama jak ona przypatruje się skazańcowi.

- Gdyby pani wysłała do mnie kogoś z wiadomością, że pani nadchodzi - powiedział, sięgając po kapelusz - klacz byłaby już osiodłana.

Wzruszyła ramionami i podeszła do otwartych drzwi szopy.

- Potrafię sobie osiodłać konia.

- Naprawdę? - zapytał, wracając do irlandzkiego akcentu, i ruszył za nią do starej wilgotnej szopy, by wyprowadzić klacz, z boksu. - Do czego to doszło, żeby szlachetnie urodzona, wytworna dama sama sobie siodłała konia?

Wyglądziła derkę na grzbiecie klaczy.

- Sądzi pan, że nie dam rady?

Podał jej damskie siodło i patrzył, jak je zarzuca na koński grzbiet. Zrobiła to bez wysiłku, ze zręcznością wskazującą na duże doświadczenie. Nie był zaskoczony. Wiedział, że to potrafi,

choć nie mógł powiedzieć skąd. - Jest pani bardzo zdolna - stwierdził i podszedł, by osiodłać swego deresza.

- Jest tutaj ścieżka wiodąca wprost na plażę - rzekła Jessie z wystudiowaną beztroską. - Pojedziemy nią.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Dlaczego?

Wyprowadziła klacz z szopy. Lucas szedł za nią.

- Powiedziałam rodzinie, że wybieram się nad zatoczkę. - Chwyciła cugle i uniosła nogę. - Nie lubię kłamać.

Podsadził ją, lecz zamiast odwrócić dyskretnie wzrok, gdy sadowiła się w siodle, nie odrywał oczu od jej twarzy.

- A gdy ktoś zapyta, czy była pani na Przylądku Ostatniej Szansy, co pani odpowie?

- Nikt mnie nigdy nie zapyta - odparła i spięła konia kolanami.

10

Owionął ich silniejszy wiatr napełniający powietrze wonią słonej wody i rozbryzgujących się fal. Zjeżdżali w stronę zatoki stromą wąziutką ścieżką. Końskie kopyta strącały grad drobnych kamyczków i wzniecały pył. Ścieżka prowadziła ku wąskiej piaszczystej plaży, na której rozbijały się fale, gnane gwałtownym wichrem. Jessie wstrzymała klacz i zaczęła na Irlandczyka.

- Cudowne miejsce - powiedział z zachwytem, gdy deresz zrównał się z klaczą Jessie.

Nogi wierzchowców obmyła fala, wzbijając w powietrze drobiny wilgoci. Jessie spojrzała na Lucasa i jej serce zabiło mocniej.

- Ma mi pan za złe, że utrzymuję w tajemnicy moje wizyty w domku na cyplu, prawda?

Pokręcił głową.

- Nie mam zwyczaju osądzać ludzi. Jestem pewien, że ma pani swoje powody.

Nie spuszczać wzroku z turkusowo-niebieskiej wody, Jessie siępięta klacz, która powoli ruszyła wzdłuż brzegu. Nad ich głowami pokrzykiwały mewy. Wzmagający się wiatr wyszarpnął spod kapelusza pasmo długich włosów dziewczyny. Wpatrując się w piękną i śmiertelnie niebezpieczną morską toń, uniosła jedną rękę i przytrzymała złocisty lok.

- Znała pani kogoś, kto tutaj zginął? - zapytał Lucas, gdy ich konie znów się zrównały.

- Skąd pan wie? - spytała, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Przy każdym spojrzeniu na zatoczkę ma to pani wypisane na twarzy.

Jessie poczuła ucisk w gardle i z trudem przełknęła ślinę.

- Mój brat. Mój brat Cecil.

W miarę jak teren pokryty piaskiem stawał się coraz mniej stromy, plaża stawała się szersza, ale Irlandczyk wciąż jechał na krawędzi fal. Jessie mogłaby się teraz od niego odsunąć, lecz tego nie uczyniła.

- Kiedy to się stało? - zapytał cicho.

- Dziesięć lat temu. W tamtych czasach spędzaliśmy nad zatoczką dużo czasu, ale najchętniej przebywał tam Warrick. Wciąż myślał tylko o tym, by pójść nad morze. - Te wspomnienia wywoływały drżący uśmiech. - Miał małą żaglówkę, którą przemocowywał do pomostu, o tam, gdzie kończy się ścieżka prowadząca z przylądka. - Zamilkła zasmucona. - Już go tam nie ma. Sztorm zniszczył go jakieś pięć lat temu i nikt go nie odbudował.

Lucas spojrzał na Przylądek Ostatniej Szansy, gdzie na szczycie spoza drzew widoczny był biały domek Genowefy.

- W tamtych czasach Różany Domek należał do mojej babci. Na początku używano go tylko latem, ale po śmierci dziadka babcia zostawiła dom w Hobart i przeprowadziła się tutaj.

Lucas spojrzał na nią spod szerokiego ronda kapelusza.

- Cecil był najstarszym pani bratem, prawda? - Gdy spojrzała na niego ze zdziwieniem, dodał: - Widziałem jego grób.

- Tak. - Skinęła głową. - Miał być dziedzicem majątku. Papa był z niego bardzo dumny. Myśleliśmy, że Cecil nie dba o nic oprócz posiadłości, ale on musiał chyba zazdrościć Warrickowi, bo któregoś dnia uparł się, że weźmie jego żaglówkę. - Spojrzała na zatoczkę, nie wiedząc, dlaczego mu to wszystko opowiada. - Był piękny słoneczny dzień, ale wiał silny wiatr i pędził wielkie bałwany. Warrick nie chciał puścić Cecila.

- Ale puścił?

- Moja matka... powiedziała, że Warrick jest egoistą i dlatego

- Dziwi mnie, że pani tu przyjeżdża - powiedział, zatrzymując się obok niej, gdy dojechali do ujścia strumienia. - Mimo że to miejsce wiąże się z takimi przeżyciami.

- Przyjeżdżam, żeby się spotkać z Genowefą. - Spojrzała na poczerniałe ruiny domostwa Grimesów. Jej przyjaźń z Genowefą zawsze sprawiała kłopoty. Przez całe życie Jessie walczyła za swoją prawdziwą naturą, aby przypodobać się matce i zachowywać tak, jak przystało młodej damie, którą Beatrice chciała w niej widzieć. A mimo to od wielu lat uparcie utrzymywała tę zabronioną znajomość. - Właściwie nie wiem dlaczego - powiedziała w końcu, chociaż to nie była cała prawda. Przyjaźń z Genowefą stała się dla Jessie niezbędna, tylko że nigdy nie miała odwagi przyznać się do tego, ile ta znajomość dla niej znaczy. - Przyjeżdżam tu, bo muszę.

Dotknął jej policzka. Poczują zgrubiałą od pracy skórę, gdy delikatnie odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nikomu nie powiem - zapewnił cicho i opuścił rękę na siodło.

Jego dotyk powinien być dla niej przykry, a jednak nie był. Wydał jej się naturalnym, spontanicznym gestem pociechy i pozostawił dziwne ciepło i wzruszenie.

Spojrzała na spaloną słońcem twarz Lucasa, na wystające kości policzkowe i głęboko osadzone oczy i poczuła, że coś w niej drgnęło. Miała go za niebezpiecznego brutala, za samowolnego buntownika, który pogardza autorytetami i zagraża wszystkiemu, w co ona wierzy. I rzeczywiście był taki. A jednak...

- Dlaczego? - spytała szeptem.

Uśmiechnął się z chłopięcą nieśmiałością. Jego zielone oczy załśniły przekornie. Na brązowym gładkim policzku pojawił się uroczy dołeczek.

- Dlatego, że każdy ma prawo do tajemnic. - Spojrzał na zgłiszcząca domu na wzgórzu niedaleko od ujścia strumienia i wskazał głową potrzaskane mury. - Wygląda na opuszczony.

- Większość ludzi omija go z daleka. To smutne miejsce. - Jessie skierowała klacz wzdłuż plaży.

- Słyszałem, że w ruinach straszy.

twierdzi, że wiatr jest niebezpieczny. Dzień był taki piękny. - Zamilkła i przełknęła ślinę. - Warrick miał wtedy zaledwie dwanaście lat, a Cecil prawie osiemnaście, jednak w trudnych warunkach nie potrafił zapanować nad żaglówką. Zniosło go na tamte skały u podnóża skarpy.

Patrzyła, jak Lucas bada przeciwległy brzeg zatoczki, mrużąc oczy przed słońcem. Z miejsca, w którym się znajdowali, skały wyglądały jak czarne cienie widoczne zza niebiesko-zielonych fal.

- Nie umiał pływać?

- Umiał, ale nie dość dobrze, by walczyć z morzem. Wypadł z łódki i fale tłukły nim o skały. Matka... - Jessie zaczerpnęła powietrza. - Cecil zawsze był jej ulubieńcem. Tego popołudnia specjalnie zeszła na dół, by podziwiać, jak syn żegluje. Nie mogła nic poradzić. Stała na plaży i patrzyła, jak jej dziecko umiera.

- Dlatego nie chce teraz oglądać morza? Obwinia je o śmierć syna?

Jessie patrzyła, jak wiatr oblepia koszulę na torsie Irlandczyka. Słońce skryło się za grubą warstwą chmur i nagle zrobiło się chłodno.

- Moja matka nigdy nie potrafiła przyznać się do winy - powiedziała Jessie.

- A pani ją oskarża?

- Nie o śmierć Cecila.

- Więc o co?

Pomiędzy nimi śmignęła mewa. Jessie spojrzała na nią, wzdychając przeciągle.

- Chyba o to, że Warrick od tamtego czasu żyje w poczuciu winy.

- To nie była jego wina.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jemu się wydaje, że zawinił. Wiedział, że Cecil nie poradzi sobie z żaglówką, ale nie przeciwstawił się matce. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Od tamtej pory nigdy więcej nie popełnił tego błędu.

- Tak. Ja też o tym słyszałam.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Pani chyba nie wierzy w duchy, panno Corbett?

Klacz uniosła łeb i zarżała niecierpliwie, gdy Jessie ściągnęła cugle.

- Właściwie to ani wierzę, ani nie wierzę. Ale myślę, że jeśli gdzieś wydarzy się coś okropnego, to miejsce nasiąka emocjami ludzi, którzy tam cierpieli.

- A tutaj stało się coś okropnego?

- O, tak - odparła i przynagliła klacz do galopu, byle dalej od tego domu i jego strasznej przeszłości.

Lucas został tam nieco dłużej, oglądając opuszczony dom i pustą przystań w jego sąsiedztwie.

Burza zaczęła się zaraz po kolacji.

Lucas stał na werandzie baraku, opierając się o jej narożny słupek. Z pociemniałego nieba spływały strugi deszczu, zasłaniając dom, który wznosił się jak forteca, daleki i groźny. Lucas patrzył na ciepłą poświatę w oknach na piętrze i zastanawiał się, które należą do jej pokoju. A potem zdziwił się, że go to interesuje. Co go obchodzi, gdzie ona teraz jest i co robi? Uczucia, których doświadczał w stosunku do tej kobiety, nie miały sensu. Wystarczająco dziwne było już to, że wydawała mu się tak bardzo pociągająca. Jakby tego nie było dość, zaczynało mu na niej zależeć. Im prędzej stąd odejdę, tym lepiej, myślał, gdy wiatr targał mu włosy i owiewał twarz kropelkami deszczu. Westchnął głęboko, czując woń soli i odległych miejsc.

- Daniel mi powiedział, że znalazłeś miejsce na łódź - cicho odezwał się Lis, podchodząc do niego.

Lucas skinął głową. Stał i patrzył, jak w dolinie zapada noc.

- Strumień uchodzący do Zatoczki Rozbitków. Jest tam przystań z dobrym wyjściem na zatoczkę i zarośnięta wystarczająco wysokimi krzewami, by ukryć łódź, gdy już będzie gotowa. Ludzie trzymają się z daleka od zgłiszcz zrujnowanego

domu, więc jest mało prawdopodobne, że ktoś zobaczy łódź, zanim ja. ukończymy.

- Zgłiszcza domu? Nad Zatoczką Rozbitków?

- Tak. - Lucas spojrział na chudą, kościstą twarz Lisa. - Słyszałeś o nich, prawda?

- Piękne, naprawdę piękne - powiedział Lis, jakby się zwracał do wiatru. - Przed odjazdem z kolonii zachciało mu się tańczyć kotyliona z duchami z domu Grimesów.

- Przecież nie wierzysz w duchy, prawda?

Przez dłuższą chwilę Lis wpatrywał się w strugi deszczu.

- Owszem, wierzę.

Lucas wyjął z kieszeni woreczek z tytoniem i rzucił przyjacielowi.

- Masz. Pożuj sobie.

Lis zręcznie chwycił woreczek i odciął sobie plasterek.

- Teraz, gdy już masz ją gdzie ukryć, skąd weźmiesz tę łódź?

Lucas odsunął się od słupka i zszedł na błotniste podwórze.

- Znajdziemy ją. - Zadarł głowę i poczuł na twarzy strugi chłodnej wody. - Tu czy tam.

- A jeśli nie znajdziemy?

Lucas przeszedł się kawałek, chlupiąc butami w błocie. Otwarte drzwi baraku ciemniały złowrogo, jakby czekały, aż zatrzasną je na noc. Odetchnął głęboko, czując, jak wiatr przylepia mu do pleców mokrą koszulę, a oczyszczone przez burzę powietrze wypełnia jego płuca.

- Jeśli nie znajdziemy? - Uśmiechnął się komicznie. - Wtedy będziemy ją sobie musieli wybudować.

Następny ranek Gallagher spędził na trenowaniu wielkiego gniadego ogiera. Myślał, że może Jessie znów przyjdzie do stajni, lecz tak się nie stało. Następnego ranka też nie.

Nie chciał, żeby przyszła. Nie chciał, by na niego patrzyła, rozpraszając go w pracy nad ogierem, a nade wszystko nie chciał znowu odgrywać roli służalczego stajennego, który posłusznie trzyma się krok za nią. Oczywiście, musiał znowu pojechać do

zatoczki i przyjrzeć się zrujnowanemu domostwu i opuszczonej przystani. Musiał tam posiedzieć i popatrzeć, jak fale rozbijają się na piasku i wałą o groźne skały klifu. Musiał poznać ich drogę na otwarte morze, zanim spróbuje poprowadzić tam łódź. Ale zaczął sobie zdawać sprawę, że panna Jesmonda Corbett może być dla niego równie niebezpieczna, jak skały Zatoczki Rozbitków.

Nie, nie chciał, aby przyszła do stajni. Ale nie mógł się powstrzymać i wciąż jej wypatrywał.

Dopiero w sobotę rano, gdy był w stajni i przygotowywał sil do osiodłania Lucka Finnegana, poczuł lekkie nieokreślone drganie powietrza i podniósłszy wzrok, zobaczył, że dziewczyna stoi w szeroko otwartych drzwiach na podwórzu. Miała na sobie prostą poranną suknię z jakiejś granatowej tkaniny i białą tiulową chusteczkę na szyi. Jej włosy wymykały się z koka i w złocistych lokach opadały na ramiona. Świeże powietrze poranka zaróżowiło jej gładkie policzki. Przez jedną szaloną chwilę jej widok pozbawił go tchu.

- A więc - powiedział, odwracając się w stronę, gdzie wisała lina, na której prowadzał konia - przyszła pani popatrzeć?

11

Siodło, panie Gallagher? - Lucas patrzył, jak idzie ku niemu z rękami założonymi za plecy, kołysząc sutą spódnicą i uśmiechając się lekko. - Chyba nie zamierza pan dosiąść tego irlandzkiego ogiera?

- Zamierzam.

- Tak szybko? Jestem pod wrażeniem.

Patrzył na nią, stojąc obok potężnego wierzchowca. Pomyślał, że przyszła tu, bo żałuje, że podczas owej dziwnej, nieoczekiwanej intymnej rozmowy na plaży okazała tyle emocji, i że teraz będzie musiał za to zapłacić. Schylił się po popręg.

- A pani zrobiłaby to wcześniej, tak?

- Warrick mówi, że poświęca pan tyle czasu, aby jak najlepiej poznać konia, z którym pan pracuje. - Zerknął na nią i dostrzegł uśmiezek, którego nie lubił. - Ale on nie orientuje się, jak bardzo już zapoznał się pan z Luckiem.

- Nie za bardzo - odparł.

Z namysłem zmarszczyła czoło.

- Ale dowiedział się pan czegoś nowego, prawda?

- Coś niecoś.

- Naprawdę? Na przykład?

Luck Finnegana obwąchał chustkę Jessie w poszukiwaniu cukru i innych smakołyków, po czym parsknął zawiedziony, dmuchając jej prosto w twarz. Roześmiała się, zaskoczona, złapała łeb konia i odwróciła go od siebie.

- Nie, nie mam dla ciebie nic do jedzenia, ty okropnie niegrzeczny Irlandczyku - powiedziała, głaszcząc go po pyskuj
Lucasowi podobał się uśmiech Jessie, który wygładził i złagodził jej rysy. Odwrócił się i wziął uzdę.

- Wygląda na to, że pani też się czegoś nauczyła. Ten łobuz bardzo lubi jeść. I ma mocne zęby.

Powiodła dłonią po aksamitnej szyi konia.

- Bez wątpienia ciekawe spostrzeżenie, ale niewiele ma wspólnego z jego złym nawykiem.

- To zależy - odparł Lucas, nakładając ogierowi uzdę.

- Od czego?

- Od tego, czy już jadł śniadanie.

- A jadł?

- Nie. - Lucas wyprowadził konia na mały padok.

Ruszyła za nimi.

- Na tym polega pański wspaniały plan? Chce pan głodem zmusić brutala do uległości?

Zatrzymał się i poprawił strzemiona.

- Ja go nie głodzę. Ja tylko wmagam jego zainteresowania nagrodą.

- Jaką nagrodą?

Lucas zebrał lejce w jednej ręce i wskazał głową w kierunku wiązki świeżej zielonej lucerny, która zwisała z parkanu na wysokości siodła, jakieś pięć kroków przed nosem ogiera.

- Jak pani myśli? Na czym mu bardziej zależy? Na zrzuceniu mnie z siodła, czy na tej słodkiej przekąsce?

- Na zrzuceniu pana - odparła z uśmiechem i usunęła się z drogi.

Gallagher roześmiał się i wskoczył na siodło.

Koń przez chwilę stawał dęba, ale nie spuszczał oczu z wonego poczęstunku, który go nęcił i był w zasięgu pyska. I nił zrzucił jeźdźca z siodła.

- Dobry konik - wyszeptał Lucas. Poluzował cugle i pokierował konia w stronę parkanu, tak aby mógł dosięgnąć wiązki lucerny. Powietrze wokół jakby zastygło w bezruchu. Lucas wsłuchał się w odgłosy dochodzące z mleczarni po przeciwnej

tronie podwórza, w skrzypienie siodła, na którym się poruszył. Spodziewał się, że panna Jesmonda coś powie, lecz ona milczała. - No i co? - odezwał się wreszcie, schylając się ponad lśnjącymi kłębami gniadosza. - Chce się pani na nim przejechać? Nie jest pani odpowiednio ubrana.

- Nie. Wybieram się na wykład do Blackhaven Bay. Skąd pan wiedział?

Spojrzał na nią przez ramię. Stała, opierając się plecami o płot. Miała zdziwioną minę i lekko rozchylone wargi. Zapatrzył się na nie i z wrażenia na chwilę stracił głos.

- Co, skąd wiedziałem? - zapytał w końcu.

- Skąd pan wiedział, co robić?

Lucas zwrócił konia w jej stronę.

- Pewien bardzo mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że najlepszym sposobem na to, by koń stał się posłuszny, jest postaranie się o to, by posłuszeństwo sprawiało mu większą przyjemność niż nieposłuszeństwo.

Przeglądała mu się, odchylając głowę do tyłu, w miarę jak się przybliżał.

- Nie spodziewałam się, że się panu uda - przyznała.

- Wiem. - Zatrzymał konia tuż przed nią i zsunął kapelusz z czoła. - Przyszła tu pani zobaczyć, jak otrzepuję pył ze spodni?

W jej nieprawdopodobnie błękitnych oczach pojawiła się iskierka wesołości.

- Tak. Chyba tak.

- Dlaczego? - zapytał poważnie. - Dlaczego chciała pani, by mi się nie udało?

Pokręciła głową. Lucas dostrzegł, że dziewczyna przełyka ślinę.

- Nie wiem. Może dlatego, że... nie zachowuje się pan tak, jak należy.

Wsparł dłoń na wzniesionym łęku siodła i pochylił się nad Jesmondą.

- Pani przywiązuje wielką wagę do tego, by zachowywać się tak, jak należy, prawda?

- Tak. - Wiatr rozwiał białe wstążki jej kapelusza. Luck Finnegana parsknął nerwowo. Jessie przytrzymała wstążki i owi-

nęła je wokół dłoni. - Tak. Czasami nie jest to łatwe, ale staraj się zachowywać tak, jak tego po mnie oczekują. Staram się być córką, jaką zawsze pragnęli mieć moi rodzice.

- Dlaczego?

Wzdrygnęła się.

- Co znaczy: dlaczego? Nie rozumiem, cóż to za pytanie?

Uśmiechnął się leniwie.

- Najwyraźniej dobre pytanie, skoro nie potrafi pani na nie odpowiedzieć.

Dumnie uniosła głowę.

- Myślałam, że odpowiedź jest oczywista. Gdyby pan w swoim życiu złamał nieco mniej zakazów, nie znalazłby się pan w takiej opłakanej sytuacji.

Lucas zeszywniał. Wyprostował się i ściągnął cugle wierzchowa.

- Być może. Pani sytuacja również byłaby inna, gdyby pani złamała kilka zakazów.

- Co złego widzi pan w mojej sytuacji? - spytała, odchodząc od parkanu i otwierając wrota przed Lucasem.

- Nie wiem. - Zatrzymał się i spojrzał na Jessie. - Niech mi pani powie.

Miał ochotę zostać i przekomarzać się z nią, patrzeć, jak na jej gładkiej młodzieńczej twarzy malują się różne emocje; wiedział jednak, że mężczyzna w jego sytuacji nie powinien tego nawet zauważać, więc tylko przełknął przekleństwo, spiął konia kolanami i wyjechał przez otwarte wrota na pastwisko.

Comiesięczne wykłady Towarzystwa Naukowego w Blackhaven Bay odbywały się w jedynym tamtejszym kościele, wybudowanym z grubo ciosanych bloków piaskowca. Był to kościół anglikański pod wezwaniem świętego Antoniego i wznosił się na porośniętym trawą wzgórzu, z którego roztaczał się widok na morze.

Herr profesor Heinrich Luneberg okazał się tyczkowatym, mężczyzną o kanciastej twarzy, w której dominowały obfite

czarne wąsy i uderzająco grube brwi, które profesor miał w zwyczaju unosić lub opuszczać dla podkreślenia wagi swych słów. Wygłaszała wykład na temat speleologii, która stanowiła jedną z ulubionych przez Jessie dziedzin nauki. Informacje Niemca były dla niej bardzo cenne, lecz mimo to nie mogła się skupić.

Jasne wibrujące światło w pobliżu morza ma w sobie jakąś magię myślała, wodząc wzrokiem po pobielenych ścianach i suficie kościoła. Genowefa dlatego tak kochała swój domek. Przyjemnie byłoby zamieszkać w sąsiedztwie morza, uznała Jessie. Budzić się co ranka w świetle skąpanym w owym szczególnym świetle. I wtedy sobie przypominała. Przecież już wie, gdzie spędzi resztę życia. W Beaulieu Hall, z Harrisonem.

Siedział obok w ławce kościelnej i Jessie zaczęła mu się przyglądać. Harrison Tate był przystojnym mężczyzną. Miał regularne rysy, które w niczym nie przypominały uderzająco pięknych rysów Warricka ani też poruszająco wyrazistych Lucasa Gallaghery. W Harrisonie nie było nic przesadnego. Był kwintesencją angielskiego dżentelmena z kolonii: zrównoważony, umiarkowany i zawsze opanowany.

Czując na sobie jej spojrzenie, zerknął na Jessie i lekko się do niej uśmiechnął. Ale ten uśmiech wydał jej się nieco wymuszony, jakby Harrison dawał do zrozumienia, że powinna przynajmniej udawać, iż z uwagą słucha wykładu profesora, a nie podziwiać grę światła na łukowatym sklepieniu kościoła lub zastanawiać się nad tym, dlaczego perspektywa spędzenia życia w Beaulieu Hall u boku Harrisona przyprawia ją o ból serca.

Po wykładzie zeszli ramię w ramię z porośniętego trawą wzgórza, klucząc wśród granitowych grobowców, do miejsca, w którym zostawili powóz. Wiał porywisty wiatr, pędzący po niebie białe obłoki. W widocznej w dole zatoce woda była ciemna i wzburzona, fale rytmicznie rozbijały się o piaszczysty brzeg.

- Interesujący wykład - stwierdził Harrison, podając Jessie ramię. - Choć może nieco mniej niż ten, podczas którego ten naukowiec reanimował żabę za pomocą elektrowstrząsów.

- Biedny Herr profesor Luneberg. - Jessie roześmiała się. - Powinien był wygłosić wykład w jaskiniach Paprociowego Wąwozu, wśród tajemniczych stalaktytów i stalagmitów. Wtedy na pewno uznałbyś, że jaskinie są znacznie bardziej interesujące od zdechłych żab.

- Gdyby profesor wygłaszał wykład w Paprociowym Wąwozie, z całą pewnością nie zaliczałbym się do jego słuchaczy. Nil podobało mi się, gdy w dzieciństwie kazałaś mi szwendać się po jaskiniach. I nie mam najmniejszej ochoty do nich wracać.

- Nie wydaje ci się, że teraz, gdy wiesz o nich więcej, ciekawie byłoby znów je zobaczyć?

Zapanowało niezręczne milczenie.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - zapytał w końcu Harrison. - Masz zamiar znów je zwiedzać?

- Oczywiście, że mam zamiar.

Harrison pokręcił nosem, ale nie przestał się uśmiechać.

- Doprawdy, Jesmondo. Słuchanie wykładów na temat speleologii to jedno, ale dorosła kobieta włączająca się po jaskiniach jak jakiś poszukiwacz przygód to zupełnie inna sprawa.

Spróbowała zajrzeć mu w oczy.

- Zupełnie inna sprawa? A niby jaka, Harrisonie?

- Tego się po prostu... nie robi. - Starał się mówić beztróskim tonem, lecz Jessie dostrzegła w jego oczach niepokój. - Nawet ty musisz rozumieć, że to niewłaściwe.

Gnany wiatrem obłok rzucił cień na porośniętą trawą wzgórze zaszeleściły suche liście eukaliptusów, rosnących wzdłuż ścieżki

- To aż tak ważne? Zawsze robić tylko to, co elegancki świat uważa za właściwe?

- Oczywiście! - wykrzyknął, szczerze wstrząśnięty.

Spojrzała na jego arystokratyczną twarz, na starannie wykrochmalony kołnierzyk i pedantycznie zawiązany fular.

- Nigdy w życiu nie zrobiłaś nic, co elegancki świat uznałby za niewłaściwe?

Lekki uśmiezek uniósł kąciki warg Harrisona.

- Bardzo chciałbym powiedzieć, że nigdy, ale muszę ci wyznać pewien sekret: gdy miałem czternaście lat, zakochałem się do szaleństwa w pewnej pięknej, fascynującej i nieco nieprzewidywalnej dziewczynce. I moja obsesja na jej tle trwa do dzisiaj.

- Czy to oznacza, że miłość jest czymś niewłaściwym? - spytała cicho. - Nie jest czymś, co czuć wypada?

Ścisnął jej rękę.

- Myślę, że tak nieumiarkowana jak moja musi być niewłaściwa. Ale jest jeszcze coś niewłaściwego, z czego nie zamierzam zrezygnować.

Obłok odpłynął i zbocze wzgórze pojaśniało. Jessie pomyślała, że powinna czuć się zaszczycona i podniecona tym, że Harrison kocha ją z taką dziwną u niego intensywnością. Kobieta powinna się cieszyć, że mężczyzna, któremu oddaje rękę, kocha ją tak namiętnie.

Ona jednak poczuła się tak, jakby się zsuwała do czarnej studni bez dna, z której nie ma ucieczki.

Jessie prawie osiodłała Cimmerię, gdy do stajni wpadł Charlie, pogwizdujący jakąś nieznaną jej melodię.

Oślepiony jaskrawym słońcem poranka, nie zauważył jej w mrocznej stajni. Gdy ją spostrzegł, zatrzymał się, gwałtownie przerywając gwizdanie.

- Panienko - wyjąkał z pobladałą twarzą. - Nie wiedziałem, że wybiera się pani na przejażdżkę. - Osiodłam klacz.

- Nie było cię tutaj, zanim wyjechałam do Londynu? - spytała z uśmiechem.

- Nie, panienko. Proszę mi pozwolić...

- Często sama siodłałam swoją klacz - powiedziała i poprowadziła Cimmerię na podwórze.

Chłopak ruszył za nią, wytrzeszczając oczy.

- Ale chyba nie zamierza pani jechać sama, bez stajennego? Obejrzała się przez ramię.

- Boże, daj mi cierpliwość. Jakbym słuchała Harrisona.
- Że co?
- Nieważne. - Uśmiechnęła się do chłopaka, żeby wiedział, że się na niego nie gniewa. - Zajrzałam do Starego Toma, ale on źle się czuje, więc nie chciałam go trudzić. - Położyła dłoń na łoku.
- Mogę sprowadzić Gallaghera - zaofiarował się Charlie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. - Jest na południowym padoku z kasztanowatym wałachem, z którym pan nie może sobie poradzić.

Zanim dodał coś więcej, Jessie spięta klacz piętami i pogalopowała przed siebie.

Skierowała się w stronę wzgórz porośniętych tropikalną puszcza, choć nie miała zamiaru dojechać aż tak daleko. Ciepłe słońce jaśniało na bezchmurnym błękitnym niebie. Z przyjemnością wjechała do lasu, gdzie porośnięte mirtem i piżmowym zieleń drzewa gumowe i buki zamknęły się wokół niej, pograżając w chłodnym cieniu. Nie rozumiała, skąd brały się zmienne nastroje, które ścisnęły jej serce i kazały tęsknić za czymś nieokreślonym. Jechała szybciej, niż zamierzała, nie wiedząc, dlaczego wybrała tę drogę ani dlaczego odczuwa tak silną potrzebę samotności. A przecież niezamężna młoda kobieta nie powinna być sama.

Kiedy wyjdę za Harrisona, myślała, skończą się zakazy, które tak mnie krępują. Ale myśl o zamażpójściu nie przyniosła jej pociechy, tylko wywołała ucisk w żołądku, który ją zdziwił i przestraszył. Nagle przyszło jej do głowy, że od pewnego czasu nie rozumie własnych uczuć. Kiedy zaczęła skrywać swoje potrzeby i chęci tak głęboko, że sama przestała je rozpoznawać?

Ściągnęła cugle. Uniosła głowę i rozejrzała się; zdała sobie sprawę, dlaczego tu przyjechała. Znalazła się na małej polance, porośniętej zieloną trawą oraz niebieskimi orchideami, płomiennie czerwonymi dzwoneczkami i białymi irysami. Otoczona pierzastymi paprociami, ukryta za wysokimi kauczukodajnymi drzewami i srebrzystymi akacjami łączka obiecywała spokój. A jednak to właśnie tutaj siedem lat temu został zabity jej brat, Reid,

a Beatrice Corbett straciła drugie dziecko. Miał wtedy zaledwie siedemnaście lat, gdy niewielka banda aborygenów schwytała go, kiedy wracał z polowania. Zmasakrowali go dzidami i maczugami tak strasznie, że trumnę wystawiono zamkniętą. Lecz teraz nie było tu aborygenów. Ostatnie ich niedobitki zagnano jak dzikie zwierzęta na małą odległą wysepkę, gdzie powoli wymierali od chorób przywleczonych przez białego człowieka, a także z alkoholizmu i poczucia beznadziei. Jessie mogła być tutaj zupełnie sama.

Ciężar uciskający jej pierś stał się nagle dotkliwszy. Zsunęła się z siodła i zapadła w wysokiej trawie, porastającej polankę. Na skraju polanki leżał pień zwalonego drzewa. Jessie podeszła do niego i usiadła. Westchnąwszy głęboko, otoczyła ramionami podkulone nogi i przycisnęła czoło do kolan.

Nie wiedziała, jak długo tam siedzi, zaciskając powieki, czując pieczenie łez spływających do nosa. Różowa raszka, która wywodziła swe trele, nagle zamilkła. Serce dziewczyny zaczęło dziko galopować w jakimś nieznanym strachu. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nie jest już sama.

Obejrzała się i spostrzegła przed sobą chudą, brudną męską nogę, pokrytą bliznami i pokłutą cierniami, w postrzępionych resztkach grubych drelichowych spodni, jakie nosili zesłańcy. Mężczyzna nie miał butów; stopy owinał kawałkami kangurzej skóry i przywiązał je rzemykami do kostek, poznaczonych bliznami, które pozostawić mogły jedynie żelazne kajdany.

12

Ogarnęło ją zimne przerażenie. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Podniosła głowę.

Mężczyzna był wymizerowany, miał pochylone ramiona i przygarbione plecy. Skóra, widoczna przez dziury w podartych spodniach, była usiana sączącymi się rankami i zaschniętym błotem. Miał na sobie koszulę z cienkiego lnu, jaką noszą dżentelmeni, rozchełstaną na piersi i lekko przybrudzoną. Jego ciemnokasztanowe włosy i broda były długie, brudne i pokryte pyłem. Tkwiły w nich żdźbła trawy i patyki. Spod zasłony brudnych włosów spoglądały na Jessie lśniące oczy, dzikie i szalone, w niczym nie przypominające oczu człowieka.

Zerwała się na nogi i cofnęła się z takim pośpiechem, że się potknęła. Mężczyzna rozciągnął wargi w uśmiechu, odsłaniając poczerwiałe zęby.

- No, pięknie - powiedział. - Co my tutaj mamy?

Rozległ się śmiech innego mężczyzny. Teraz zdała sobie sprawę, że jest ich jeszcze dwóch. Młodszy, brodaty blondyn o brudnych włosach, ubrany w coś, co wyglądało jak surdut włożony na gołe ciało, oraz w podarte spodnie skazańca, i czarnoskóry mężczyzna. Nie aborygen, lecz Afrykanin, choć musiał przebywać w buszu od bardzo dawna, bo jego ubranie w całości składało się ze zwierzęcych skór. Nie był tak brudny jak dwaj pozostali, ale z jakiegoś powodu przerażał ją najbardziej.

- Czego chcecie? - zapytała, a właściwie usiłowała zapytać, bo gardło miała tak ściśnięte strachem, że z trudem wydobywała głos.

Młodszy mężczyzna, blondyn, miał na sobie porządne buty. Trzymał dwulufowy pistolet z zamkiem skałkowym. Był to pistolet dżentelmena o rękojeści inkrustowanej masą perłową. Jessie zastanawiała się nad tym, czy pistolet należał do tego samego właściciela co marynarka, buty i cienka koszula, oraz nad tym, co się z nim stało.

Patrzyła, jak jasnowłosy skazaniec gładzi rękojeść pistoletu, a jednocześnie pochłania ją takim wzrokiem, że ścisnęło ją w żołądku.

_ A jak myślisz? - zapytał kpiącym tonem.

- Jeżeli chcecie mego konia - starała się, by jej głos nie drżał - weźcie go sobie i odejdźcie, zanim ktoś was złapie.

- Owszem, weźmiemy twego konia - powiedział ten z brudnymi kasztanowymi włosami i paskudnym uśmiechem. - Ale najpierw inaczej sobie pojeździmy.

Jessie dorastała z trzema braćmi, którzy nie zawsze liczyli się ze słowami. Nieraz słyszała to wyrażenie i wiedziała, co oznacza.

Rzuciła się do ucieczki.

Jasnowłosy mężczyzna zagroził jej drogę w dół wzgórza, więc pobiegła w jedynym możliwym kierunku, nurkując pod niskimi akacjami, rosnącymi wokół polanki. Musiała unieść długi i ciężki tren stroju do konnej jazdy, który napinał spódnicę wokół kolan i pętał jej nogi. Ogromny liść drzewiastej paproci smagnął ją po oczach, więc okryła twarz wolną ręką. Zapewne dlatego nie zauważyła skały, wystającej spod zeschłych liści, potknęła się, i upadła, grzęznąc w wilgotnej gąbczastej próchnicy.

Rozpaczliwie chwytając powietrze, usiłowała wstać, gdy poczuła, że koścista dłoń łapie ją za nogę w kostce.

- Chyba nie usiłujesz nam uciec? - zapytał ten jasnowłosy.

- Puść mnie! - Kopnęła go w twarz wolną nogą, ale on tylko pokręcił głową i wybuchnął śmiechem.

- Durnie. - Usłyszała głos Murzyna. - Puśćcie ją i uciekajmy. Zróbcie to, a jej ludzie nie spoczną, dopóki nas nie złapią.

- Nie chcesz swojej kolejki, to jej nie dostaniesz. - Ciemnowłosy brudas pochylił się nad nią, jego biała koszula załsnij w mrocznym gąszczu. - Niech mnie diabli, jeśli nie wykorzystam takiej szansy.

- Lepiej będzie, jeśli usłuchacie waszego przyjaciela - powiedziała Jessie. Czuła w gardle piekący strach, ale szybko, przełknęła ślinę. - Mój stajenny jedzie niedaleko za mną. - Starła się, by jej głos brzmiał pewnie i wiarygodnie.

- Jakoś ci nie wierzę. - Blondyn uśmiechnął się.

- Ktoś nadjeżdża - rozległ się ostrzegawczy szept czarnoskórego.

Uśmiech zwiądnął na twarzy blondyna, który boleśnie chwycił Jessie za ramię i postawił na nogi. Usiłując się wyrwać, poczuła na głowie chłodną lufę pistoletu. Stała, wdychając lepką woń gnijących liści i zapach prochu. Wydała cichy skowyt.

- Zamknij się - wyszeptał blondyn, ciągnąc ją z powrotem na polankę. - Piśnij jeszcze raz, to cię zabije. I tego, co jedzie za tobą.

Zacisnął palce na jej ramieniu, wpijając je w ciało, i pociągnął ją tak, że stanęli na wprost drogi. Na odkrytej, oblanej słońcem polanie było gorąco. Jessie zorientowała się, że zgubiła kapelusz. Na jej czole zbierały się kropelki potu i spływały po twarzy. Słyszała bzyczenie much i miarowy tętent końskich kopyt. Nagle spostrzegła wynurzającego się spomiędzy drzew lśniącego kasztanka.

- Zrobisz gwałtowny ruch - blondyn przytknął wylot lufy do policzka Jessie tak mocno, że poczuła ją pomiędzy zębami - a jej mózg rozbryzgnie się po całej polanie.

Kasztanowy wałach nieustannie sprawiał kłopoty. Szedł bokiem, nerwowo rzucając głową, jakby coś zwietrzył w gęstym powietrzu. W ułamku sekundy Lucas Gallagher pochwycił spojrzenie Jessie po przeciwnej stronie rozgrzanej polanki, lecz

zachował niewzruszony wyraz twarzy. Nie odczytała w jego ciemnych, głęboko osadzonych oczach ani cienia współczucia, trwogi czy pociechy. Cóż się dziwić, skazaniec, jak pozostali trzej zdesperowani opryszkowie, którzy ją pojмали. Nie miał powodu, by jej pomagać, za to wszelkie powody, by jej nienawidzić. Jessie przygryzła wargę zębami, aby nie drżała.

Gallagher bez trudu opanował niespokojnego konia i wyprostował się w siodle.

- Niby dlaczego miałbym się przejmować jej mózgiem? - zapytał spokojnie.

Blondyn roześmiał się i wycelował w niego pistolet.

- No właśnie. Nie chcemy nic więcej prócz wierzchowca i twoich ubrań.

Gallagher przełożył nogę przez łęk. Spojrzał na skazańca. Uciekinierzy często kradli ubrania i konie. W buszu trudno coś zdobyć, a zbiegli więźniowie nie potrafili sobie radzić ze skórami kangurów.

- Nie mam nic przeciwko oddaniu konia. Nie należy do mnie. - Zgrabnie zeskoczył na ziemię. - Ale ubranie to zupełnie inna sprawa.

- Dlaczego? Dadzą ci nowe - powiedział ciemnowłosy i drapiąc się w pierś, podszedł do konia. Wielki wałach podrzucił głowę i zarżał. Opryszek natychmiast się cofnął.

- Po powrocie do posiadłości - powiedział Gallagher. - Ale nie uśmiecha mi się spacer na bosaka. A poza tym nie mogę się rozebrać w obecności damy.

Blondyn spojrział na Jessie i przesunął gorącą łapę z jej ramienia na pierś.

- I to wcale apetycznej damy.

- Zabierz swoje brudne łapska - powiedziała groźnie, szarpiąc się i strzepując jego rękę, jakby to był jakiś ogromny owad. Podniosła wzrok i spojrzała wprost w dwa bliźniacze wyloty luf pistoletu.

- Zrób to jeszcze raz, to cię zastrzelę - zagroził blondyn.

- Macie jej konia - powiedział Gallagher, zaczynając zdejmować swoją poszarpaną szarą kurtkę. Przewrócił ją na lewą

stronę i rzucił ciemnowłosemu. Następnie zdjął kamizelkę.-
Czemu nie pozwolicie jej odejść?

Blondyn popatrzył na niego.

- Nie masz za grosz wyobraźni, przyjacielu - odparł ze śmiechem. Chwycił Jessie za kark i potrząsnął nią brutalnie. Tym razem nie zaprotestowała. - Ale i tak dostaniesz swoją kolejkę - powiedział, skinąwszy głową w stronę czarnoskórego, który trzymał się na uboczu, jakby się odcinał od tego, co robili dwaj pozostali.

- Ja nie - rzekł Murzyn, splatając ramiona na czarnej piersi. - Nie robię tego z przymuszonymi kobietami.

Ciemnowłosey zajęty był przewracaniem kurtki Gallaghera na prawą stronę.

- Niby czemu? I tak cię powieszają, a Pan Bóg wie, że czeka cię piekło.

Murzyn pokręcił głową, a blondyn znów skierował pistolet na Gallaghera.

- A ty co? Masz jakieś moralne obiekcje?

Gallagher zmrużył oczy.

- Nie.

Jessie z trudem przełknęła ślinę, tłumiąc łkanie.

- To dobrze. - Blondyn uśmiechnął się przerażająco i wycełował lufy pistoletu w pierś Gallaghera. - Rozbieraj się.

Dziewczyna pochwyciła wzrok Irlandczyka, ale on tylko wzruszył ramionami i odwrócił oczy.

- Dobrze - rzucił i Jessie poczuła tajemną nadzieję. Patrzyła, jak Lucas rozwiązuje tasiemki przy koszuli i zdejmuje ją jednym, zdecydowanym ruchem. - Masz! - Zmiał grubą koszulę i rzucił ją blondynowi, który musiał uwolnić kark Jessie, by ją schwytać. - Łap!

Gallagher przycupnął i zaczął rozwiązywać sznurowadła.

- Myślisz, że będą pasowały na twoje wielkie stopy? - Popatrzył na czarnoskórego, który stał nieporuszony.

- Nie potrzebuję ich - odrzekł Murzyn.

- Ale możesz przymierzyć. - Gallagher zdjął jeden but i rzucił go w wysoką trawę przed czarnoskórym.

Ten schylił się, by go podnieść, a Jessie nagle spostrzegła błysk noża, który pojawił się w dłoni Gallaghera. Szybkim ruchem nadgarstka rzucił lśniące ostrze tak, że śmignęło ze złowróżbnym świstem i utkwilo w nagiej piersi blondyna.

Jessie poczuła, że w jej gardle narasta krzyk, ale zdołała go stłumić. Blondyn zatoczył się, deptając trawę. Rozdziawił usta i spoglądał wybałuszonymi oczami na pierś, jakby nie mógł zrozumieć, skąd wziął się w niej nóż. Przez chwilę chwiał się w ciepłych promieniach słońca, lecz światło życia gasło już w jego oczach. Jessie zakryła usta dłonią i przyglądała się, jak uchodzi z niego dusza. Umarł, zanim upadł na ziemię.

Tymczasem Gallagher przeturlał się poprzez polankę w stronę kasztanka. Gdy wstał, trzymał oburącz grubą gałąź, którą zamachnął się i niczym pałką uderzył w brudną głowę ciemnowłosego mężczyzny. Ten zsunął się po lśniącym boku kasztanka. Koń stanął dęba, wierzgając przednimi kopytami. Ciemnowłosey zniknął.

Jessie upadła na kolana, szlochając głośno, i popełzła na czworakach w stronę blondyna, który wciąż trzymał pistolet.

- Dawnośmy się nie widzieli, Gallagher - usłyszała słowa Murzyna.

Spojrzała na Lucasa, który przykucnął w pozycji wojownika, twarzą do ostatniego z opryszków.

- Nic do ciebie nie mam, Parker.

- Nie - powiedział Murzyn, gdy Jessie ujęła pistolet. - Ale ona ma.

Dziewczyna zerwała się na nogi, trzymając oburącz pistolet i celując w nagą pierś czarnoskórego. Oddychała głośno i chrapliwie, dygocząc na całym ciele, ale broń trzymała nieruchomo.

- To prawda - przyznała zimnym głosem. - I zamierzam dopilnować, by cię powieszono.

Czarnoskóry skazaniec zastygł nieruchomo.

Gallagher obrócił się do Jessie. Przez chwilę trwała cisza, przerywana tylko szelestem wiatru w trawie.

- Umiesz się tym postugiwać? - zapytał.

Skinęła głową, nie patrząc na niego.

- Kiedy miałam dwanaście lat, strzelałam lepiej niż ojciec.
- Zastrześliś kiedys człowieka?
- Nie. Ale zrobię to, jeśli będę musiała.

Zrobił krok w jej kierunku, a potem drugi i jeszcze jeden, aż znalazł się tak blisko, że spostrzegła błysk rozbawienia w jego głęboko osadzonych oczach.

- Wierzę ci. - Wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoniach, zaciśniętych na ozdobnej rękojeści pistoletu. Nagle stał się bardzo poważny. - Ale proszę cię, żebyś tego nie robiła.

- Co?

Trzymał ją lekko, ale nie cofnął ręki. Poprzez cienką skórę rękawiczek wyczuwała blizny na jego gorącej dłoni. Był tak blisko, że widziała jego nagą opaloną pierś, która unosiła się i opadała z oddechem, oraz pracę mięśni szyi, gdy przełykał ślinę.

- Proszę, żebyś mu pozwoliła odejść. Znam go. Nie jest niebezpieczny. I nic ci nie zrobił.

Włosy opadły jej na twarz, więc potrząsnęła głową, by je, odrzucić do tyłu.

- Nic mi nie zrobił? Gdybyś nie nadjechał, ci mężczyźni by mnie zgwałcili.

- Nie brałem w tym udziału - powiedział Parker, patrząc okrągłymi oczami na pistolet Jessie, jakby się spodziewał, że w każdej chwili może wystrzelić.

- Byłeś z nimi - oświadczyła lodowato.

- W tym buszu człowiek nie przetrwa w pojedynkę - powiedział Gallagher spokojnym głosem. - Dobrze o tym wiesz.

Spojrzała na niego, uważając, by nie patrzeć zbyt długo. Był zbyt blisko niej, zbyt nagi, zbyt... męski.

- Pamiętam przysłówie, które kiedyś słyszałam. Coś o tym, że jeżeli człowiek śpi z psami, musi się spodziewać, że wstanie zapchlony.

- *An te a luidheas leis na madraidh, eireochaidh se leis na dearnadaidh.* - Uśmiechnął się leniwie. - Zbyt wiele czasu spędzasz ze Starym Tomem. - Patrzyła, jak uśmiech znika z jego twarzy, a na jego miejscu pojawia się inny, przerażająco inten-

sywny wyraz. - Proszę mi dać ten pistolet, panno Corbett. Jeżeli odda pani skazańca władzom, odeślą go do Port Arthur albo na wyspę Norfolk. Albo go powieszają.

przyszło jej do głowy, że powinna się go bać. I że Gallagher może jej zabrać pistolet, wcale o niego nie prosząc. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby odmówiła. Spojrzała w jego ciemne oczy.

-Chcesz go puścić wolno? - spytała.

- Tak.

Z głębi lasu doleciał przenikliwy krzyk papugi kakadu. Jessie zauważyła, że wkrótce zapadnie zmierzch. Spojrzała niepewnie na Gallaghera, potem na czarnoskórego mężczyznę, wreszcie znów na Irlandczyka. To, o co ją prosił, było sprzeczne z wszystkim, czego ją uczono. Ale przecież uratował jej życie, ryzykując własne. Teraz prosił ją, a ona nie wiedziała, jak mu odmówić.

- Nie będę kłamała. Kiedy Warrick się dowie, że był tutaj, będzie ścigał pańskiego przyjaciela, dopóki go nie zabije.

- Tak.

Oddała mu pistolet i odeszła.

Przysiadła na pniu zwalonego drzewa, dygocząc na całym cieple.

- Jeżeli chcesz coś z ubrań zabitych, bierz szybko i znikaj - powiedział Gallagher, zwracając się do Parkera. Tamten odpowiedział tak cicho, że Jessie nie dosłyszała.

Spojrzała na przeciwległą stronę polanki, gdzie pasł się spokojny teraz kasztanowy wałach. Słońce lśniło na jego starannie wyczesanej sierści. Nieopodal leżały zwłoki opryszka. Do uszu Jessie doleciało bzyczenie much. Przez chwilę wydawało jej się, że zwymiotuje, więc odetchnęła głęboko, oparła głowę na kolanach i zacisnęła powieki. Słyszała, jak dwaj mężczyźni obchodzą polankę.

Po chwili usłyszała głos Gallaghera.

- Jeśli zostaniesz na tej wyspie, złapią cię prędzej czy później.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na rozmawiających mężczyzn.

- Tak? - zapytał Parker, krztusząc się bezgłośnym śmiechem. - A niby co mam zrobić? Popłynąć wpław do Afryki?

Człowieku, nawet gdyby to było możliwe, tobym tego nie zrobił, bo urodziłem się w Georgii.

Jessie patrzyła, jak Gallagher podpira się pod boki. Stał zwrócony plecami w jej stronę. Jeszcze nie zdążył włożyć koszuli, więc widoczne były jego szczupłe umięśnione plecy pięknie opalone i pokryte bliznami po uderzeniach bata. Ktoś musiał go chłostać długo i bezlitośnie. Na tę myśl westchnęła boleściwie. Nieraz widziała, jak chłostano więźniów. Widziała, jak ich rozbierano i przywiązywano do trójkąta, a potem bito do krwi, aż ich ciała dygotały z bólu. To samo spotkało Gallaghera.

- Możesz pójść na północny zachód, gdzie czasem przybijają statki żaglowe. Zawsze potrzebują ludzi do pracy i nie przejmują się, że Jej Królewska Mość może upomnieć się o zbiega.

Parker pokręcił głową.

- Taaa. Słyszałem o tych żaglowcach. Biorą ludzi, ale nie traktują ich dobrze. Już dwukrotnie byłem niewolnikiem. Najpierw w Georgii, a teraz tutaj. Wolę umrzeć.

- Niewolnik zawsze może uciec - powiedział Gallagher po chwili namysłu. - Nieboszyk nie może.

Murzyn wzruszył ramionami i obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nieboszyk jest przynajmniej wolny. - Wyciągnął rękę do Gallaghera, który mocno ją uściskał. - Dziękuję, stary.

Jessie poczuła się jak intruz. Odwróciła głowę w przeciwną stronę i spostrzegła małe brązowe zwierzątko z nastawionymi uszami i wężącym nosem.

Na jej nogi padł cień, więc uniosła wzrok. Obok niej stał Gallagher na szeroko rozstawionych nogach. W opuszczonej ręce trzymał pistolet. Murzyn zniknął. Zostali na polance sami.

- Proszę to wziąć - powiedział, podając jej pistolet zwrócony rękojeścią w jej stronę.

Popatrzyła na broń, a potem na niego.

- Niech pani weźmie - powtórzył. - Jeżeli złapią mnie z bronią, czeka mnie pewna śmierć.

Wzięła od niego pistolet i położyła go w trawie.

_ Nie powinien być pan tego robić.

_ Naprawdę? - Postawił stopę na pniu obok Jessie i oparł łokieć na kolanie. - Parker to dobry człowiek. Nie zasłużył na to, by go powieszono.

- Dobry człowiek? - powtórzyła z niedowierzaniem. - To zbiegły przestępca i złodziej. I Bóg jeden wie, za co go tutaj zesłano.

- Myślę, że za morderstwo. - Gallagher zerknął na nią, sprawdzając, czy jest wstrząśnięta. Jego usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu, ale oczy pozostały poważne. I smutne. - Człowiek nie zawsze potrafi zaplanować swoją przyszłość, panno Corbett. Czasami coś się po prostu... zdarza.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Jessie słyszała własny oddech, zdawała sobie sprawę, że jej pierś unosi się i opada, czuła wypieki na policzkach. A on nie spuszczał z niej wzroku. Intensywność jego palących ciemnych oczu stała się nie do zniesienia. Spuściła wzrok, lecz wtedy zobaczyła, że jego podwinięta nogawka odsłania nagą kostkę ze starą blizną po kajdanach.

Wstała z pnia i szybko się oddaliła. Miała zamiar podejść do klaczy, która pasła się po przeciwnej stronie polanki, ale zobaczyła ciała dwóch opryszków, przewieszonych przez siodło twarzami w dół. Nagle zatrzymała się, skrzyżowała ramiona na piersi, zadarła głowę i spojrzała w niebo.

- Nie podziękowałam panu za uratowanie mi życia - powiedziała zduszonym głosem.

Słyszała, że podchodzi bliżej. Przez chwilę myślała, że jej dotknie, ale nie uczynił tego.

- Owszem. Podziękowała mi pani, pozwalając Parkerowi odejść. A poza tym nie wiadomo, czyby panią zabili.

- To, co chcieli mi zrobić... - Z trudem przełknęła ślinę. - Słyszałam, że to gorsze niż śmierć.

- Nie.

- Co nie? - spytała, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Nie jest gorsze niż śmierć. To upokarzające i najpierw człowiek myśli, że wolałby umrzeć, a potem można się pozbierać i żyć dalej.

Wpatrywała się w jego zdecydowany profil, piękny zarys policzka i nieoczekiwanie zmysłową linię ust. Był taki piękny, piękny i dumny, i przerażająco pociągający, że czasami wydawało jej się, że spłonie od środka od samego patrzenia na niego.

- Dlaczego pojechał pan za mną? - spytała nagle. - Warrick pana wysłał?

- Nie, - Odwrócił się i schylił po koszulę, która leżała zapomniana na trawie. - Charlie powiedział mi, że wzięła pani Cimmerię i pojechała zupełnie sama. Wiedziałem, że w pobliżu są zbiegli skazańcy.

- Skąd pan wiedział?

- Po prostu wiedziałem. - Jessie zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu się przyglądać, kiedy wkładał koszulę, ale nie mogła oderwać wzroku.

Miał wspaniałe ciało, opalone i umięśnione po latach fizycznej pracy. Patrzyła na pięknie wykształcone ścięgna i mięśnie szerokiej piersi i płaskiego brzucha, silnych ramion i szerokich barków. Chłoneła jego ciało wzrokiem, zastanawiając się, jakie może być w dotyku. Straciła oddech, bo zdała sobie sprawę, czego pragnie. Dotykać go, położyć dłonie na jego piersi. Był to niegodny impuls, nieprzyzwoita myśl. Zabroniona tęsknota. Nie mogła pojąć, skąd się wzięły, ale musiała przyznać, że ją nawiedziły.

Zawiązując pod szyją tasiemki koszuli, skierował się w stronę porzuconego buta. Jessie stała i z bijącym sercem patrzyła, jak jego mięśnie rysują się pod płótnem koszuli, gdy schylił się po but. Widziała, jak słońce rzeźbi cieniem rysy jego twarzy, gdy się podnosił. Widziała zarys łuków brwiowych i wystających kości policzkowych. A potem zdała sobie sprawę, że Lucas za chwilę znów się schyli, i szybko odwróciła głowę.

Słońce schowało się za korony drzew i polanka pogrążyła się w cieniu. Szeleszczący w liściach wiatr stał się chłodniejszy i niósł woń zapowiadającą nadejście wieczoru. Powinna być o tej porze w domu i przebierać się do kolacji. A nie tutaj, na zagubionej wśród drzew polance, ze zwłokami dwóch opryszków,

przytroczonymi do siodła jej klaczy, i z prześladowającymi ją dziwnymi myślami i pragnieniami, które zapierają jej dech piersi, wprawiając w drżenie i zakłopotanie.

Lucas dosiadł konia i skierował go w stronę Jessie, prowadząc za sobą klacz.

- Proszę mi podać rękę - powiedział i schylił się.

Wyciągnęła dłoń w miękkiej rękawiczce do konnej jazdy i patrzyła, jak jego silne i pokryte bliznami palce obejmują jej nadgarstek. Usiadła za nim, z przyjemnością czując jego pośladki pomiędzy udami. Przypomniało jej się, że kiedyś czytała o szlachciankach, które w średniowieczu odbywały długie podróże, siedząc tak za swymi stajennymi.

Gallagher spiął konia kolanami i skierował go na leśną drogę.

Wydało jej się bardzo naturalne, że siedzi na koniu okrakiem, blisko mężczyzny i dotyka go w tak intymny sposób, opierając dłoń na jego biodrach. Poprzez grubą płócienną koszulę czuła jego ciepło i siłę szczupłego, umięśnionego ciała, poruszającego się wdzięcznie, w zgodzie z rytmem biegnącego konia. Nie był to już zwykły stajenny, lecz mężczyzna, który uratował jej życie, ryzykując własne. A potem zaryzykował je jeszcze raz, ratując życie przyjaciela. Widząc go półnagiego, zastanawiała się, chcąc nie chcąc, jak by wyglądał całkiem rozebrany.

Jego bliskość sprawiała, że jej serce galopowało radośnie, gdy poddawała się zabronionemu podnieceniu i nieodpartej żądzy.

13

Owej nocy wiał ciepły i gwałtowny wiatr. Jessie narzuciła płaszcz na koszulę i wyszła w niespokojną ciemność.

Zeszła z werandy i wiatr natarł na nią, zapierając oddech i rozwiewając poły płaszcza tak silnie, że z trudem je przytrzymywała. Powietrze było przesycone pyłem. Wiatr huczał, w koronach drzew w parku i niósł zapach deszczu, choć księżyc nadal przeświecał przez pędzące chmury. Nad głową Jessie wirowały zeschnięte liście, gdy szybko szła wyłożoną cegłami ścieżką, nie wiedząc, dokąd zmierza, pragnąc jedynie otworzyć się na dzikość wiatru i na niebezpieczeństwa nocy.

Weszła w trawę i pod bosymi stopami poczuła chłodną wilgotną ziemię. Dotarła do rozfalowanej, oświetlonej księżycem sadzawki i przystanąła, oparłszy jedną rękę na niskiej gałęzi starej jabłoni, na którą często wdrapywała się w dzieciństwie. Jakies dwa tygodnie po jej powrocie do domu wszystkie jabłonie przekwitły. Nawet nie spostrzegła, kiedy to się stało, ale teraz odczuła bolesny smutek.

Spojrzała na dom, który wznosił się, wielki i masywny, w ciemnościach nocy. Znała i kochała każdy załom muru, każdy okopcony komin, a jednak teraz wydał jej się inny, niż go zapamiętała. A może to nie dom się zmienił, pomyślała, wdychając pachnące burzą powietrze. Może to ona się zmieniła, a przynajmniej jej sytuacja. Bo w pewnym sensie dom nie był już jej domem albo raczej wkrótce przestanie nim być. Jeżeli

wyjdzie za mąż, będzie tu przychodzić tylko z wizytą i za każdym razem go opuści.

Zdziwił ją tok własnych myśli, bo przecież było oczywiste, że poślubi Harrisona. Zawsze o tym wiedziała. Był najbliższym przyjacielem z dzieciństwa, a w przyszłości stanie się idealnym mężem. Wszyscy tak mówili. Był miły, przystojny, dobrze urodzony i bogaty. Ich wspólne życie potoczy się gładko. I jeśli nawet jakiś podstępny głos podszeptował jej, że nie o takiej przyszłości marzyła, wcale nie musiała go słuchać. Nie powinna wspominać zielonych irlandzkich oczu, które rozjaśniały się na jej widok, ani dziwnego podniecenia, jakie odczuwała, gdy owe oczy napotykały jej wzrok.

Zesztywniała na widok długiego cienia, zbliżającego się od strony werandy. Cień dobrze znanej sylwetki zatrzymał się dopiero wtedy, gdy ukazał się na wzburzonej wodzie sadzawki, obok cienia Jessie.

Warrick wciąż miał na sobie strój do konnej jazdy, wysokie buty do kolan i bryczesy z irchy, bo do późna oglądał z innymi mężczyznami miejsce, w którym Jessie została zaatakowana. Wrócił do domu już po kolacji, więc kazał sobie podać tacę z jedzeniem i zamknął się w bibliotece z butelką brandy.

- Czy możesz mi wyjaśnić, skąd się u ciebie wzięła ta nagła predylekcja do samotnych wędrówek? - zapytał, wpatrzony w powierzchnię wody.

Odgarnęła z oczu potargane wiatrem włosy.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

Opuścił głowę, ale siostra zdążyła spostrzec uśmiezek na jego wargach.

- Zobaczyłem cię. Z werandy.

- Może to z powodu nadchodzącej burzy - odparła, starając się, by jej głos brzmiał pogodnie i naturalnie.

- Nie możesz spać, Jess? - zapytał.

Zacisnęła dłoń na gałęzi i poczuła chłodną i chropowatą korę.

- Wydarzenia dzisiejszego popołudnia wytrąciły mnie z równowagi.

- Nic dziwnego, omal cię nie zgwałcili.

- Proszę. Oszczędź mi twego zrządzenia. Dosyć nasłuchiwałam się od matki.

Warrick parsknął śmiechem.

- Nie jestem jakimś świętoszkowatym osłem, żeby cię beszczać za to, co zrobiłaś. Dobrze o tym wiesz. Tak samo jak ja wiem, że nie stoisz tu z powodu spotkania z opryszkami. Domyślam się, że spacerujesz sama nocą z tego samego powodu, który cię wygnał dziś po południu na samotną przejażdżkę w stronę gór.- Nagle spoważniał. - Co się z tobą dzieje, Jessie? Co ci doskwiera?

Odsunęła się od drzewa i stanęła obok brata, krzyżując ramiona na piersi i otulając się płaszczem. Czując, że patrząc mu w oczy nie potrafi wypowiedzieć pytania, które chciała mu zadać skierowała wzrok na sadzawkę.

- Czy wiesz, czego oczekujesz od życia? - spytała wreszcie. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na brata.

Zobaczyła gorzki grymas, który wykrzywił jego wargi.

- Do diabła. - Wydał dźwięk, który miał być śmiechem, ale nie był. - Mam szczęście, jeżeli wiem, czy w danej chwili chcę sobie łyknąć brandy, czy też wolę pół kwarty piwa.

- Kiedyś wiedziałeś.

Zapatrzył się w pogrążony w ciemnościach park.

- Wiedziałem? No tak, wiedziałem. Miałem zamiar żeglować po wszystkich morzach świata, nawet po tych, których jeszcze nie odkryto. Miałem zostać oficerem w wieku szesnastu lat i kapitanem własnego statku, zanim skończę dwadzieścia pięć lat. - Zamilkł. - Wszyscy chłopcy mają takie marzenia. Ale niewielu wprowadza je w czyn.

- Niektórym to się udaje.

Spojrzał na nią swymi nieco dzikimi oczami, dysząc gwałtownie.

- Naprawdę? Cecil marzył o tym, że gdy dorośnie, uczyni ty posiadłość większą i lepiej prosperującą, niż była kiedykolwiek za życia ojca.

- Cecil nie żyje - powiedziała cicho.

- To prawda. Cecil nie żyje. A moje marzenia o pływaniu po morzach umarły razem z nim. Z nim i z Reidem.

Wiatr stał się chłodniejszy i nabrzmiały obietnicą zbliżającego się deszczu.

- Jak myślisz, o czym marzył Reid? - spytała Jessie, czując uścisk w gardle.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie mówił. - Warrick zmrużył oczy. - To dlatego pojechałaś dziś na tę polankę? Z powodu Reida?

- Nie jestem pewna.

- Myślałem, że zawsze wiesz, czego pragniesz, Jess. Małżeństwo. Dzieci. Ta dolina. I nie próbuj mi wmawiać, że nagle poczułaś potrzebę wyjazdu i studiowania budowy geologicznej Mongolii, bo i tak ci nie uwierzę. Ty kochasz tę wyspę.

- Bo kocham. Nie o to chodzi. Idzie o to, że... - Chwyliła go za nadgarstek. Z namysłem dobierała słowa. - Przez całe życie... toczy się we mnie walka. Walka pomiędzy Jessie, pragnącą robić rzeczy, które nie przystoją damie, studiować botanikę i astronomię czy galopować konno, a Jesmondą chcącą zadowolić matkę i ojca i stać się córką, z której byłiby dumni.

- To znaczy, zmienić się w Catherine i Jane.

- Nie. Tak. Sama nie wiem. Na tym polega problem. Już sama nie wiem, kim jestem. Kim chciałabym być.

- Naprawdę?

Spuściła głowę, czując, że nie potrafi mu odpowiedzieć i nie może znieść jego natarczywego spojrzenia. Zaczęło padać. Rozległy się uderzenia pierwszych wielkich kropli, rozpryskujących się o liście drzew. Jessie poczuła wilgoć na policzkach, lecz nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki Warrick nie przytulił jej mocno do piersi, mówiąc:

- Przepraszam, Jess. O, Boże, tak mi przykro.

Wczesnym rankiem Warrick i Harrison spotkali się na podwórzu z aborygeńskim przewodnikiem oraz posterunkowym i jego ludźmi z Blackhaven Bay. Jessie patrzyła z górnej werandy, jak rozprawiają. Psy szczełyły, konie potrząsały głowami i nie-

cierpliwie stukały kopytami. Odprowadziła ich wzrokiem, gdy odjeżdżali w kierunku okrytych chmurami gór, a potem wróciła do pokoju.

Spędziła rano na zajęciach godnych damy. Najpierw haftowała pączki róż na jednej z wyprawnych koszul nocnych. Następnie czytała matce na głos *Klub Pickwicka*. Beatrice cierpiała na nerwowe załamanie z powodu wczorajszego incydentu.

Po południu Jessie poszła pieszo do Beaulieu Hall, by spędzić trochę czasu z Philippą Tate. Przecięła park, jak to czyniła jako dziecko, ciesząc się świeżym, oczyszczonym przez deszcz powiewem trzem i chłodnym powiewem wiatru na policzkach.

Wybrała drogę z dala od stajni.

Mężczyźni wrócili późnym wieczorem, rozgrzani i zmęczeni. Nocny deszcz zmył wszelkie ślady i psy nie zwietrzyły żadnego tropu. Jessie stała w holu, słuchając wyrzekania mężczyzn. Odczuwała ulgę, która zdziwiła ją i wprawiła w zakłopotanie.

Następnego ranka pojechali jeszcze raz. Dzień wstał słoneczny i suchy. Posterunkowy był pewien, że psy do południa złapią trop zbiegłego opryszka.

Tym razem Jessie nie patrzyła, jak odjeżdżają. Udała się na górne piętro domu. W domu wybudowanym przez Anselma Corbetta mieściło się osiem sypialni, bo jego rodzina była kiedyś liczna.

Najpierw weszła do pokoju Catherine, potem do sypialni Jane. W obu pomieszczeniach niewiele się zmieniło. Stały w nich ciężkie mahoniowe łóżka z kolumienkami oraz toaletki, umywalki i wanienki do nasiadówek. Osobiste rzeczy, jak słomiane kapełuszki, muszelki, wazony, oprawione w srebro szczotki do włosów, Beatrice usunęła bezlitośnie. Potrafiła bez końca rozprawiać o cnotach zmarłych dzieci, lecz najwyraźniej nie znosiła widoku rzeczy, które do nich należały.

Jessie stanęła na środku mrocznej sypialni Jane i, obracając się wkoło, usiłowała sobie przypomnieć, jak ów pokój wyglądał za życia siostry. Na próżno.

Tamtego lata wszystkie trzy zachorowały na szkarlatynę: Catherine, Jane i Jessie. Catherine miała wtedy dwadzieścia

jeden lat i przygotowywała się do ślubu z bogatym kupcem i Launceston. Jane miała siedemnaście lat. Jessie zapamiętała je jako spokojne, dobrze ułożone młode kobiety, pełne wdzięku, przesadnie skromne i należycie przytłumione. Ale ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy zapamiętała je takimi, jakimi były rzeczywiście, czy też takimi, jakie pragnęła je zapamiętać matka. Kiedyś, gdy Jessie uczyniła coś szczególnie niegodnego, Beatrice wpadła we wściekłość i powiedziała, że lepiej by było, gdyby to Jessie umarła, a nie jej siostry. Nigdy więcej nie powiedziała czegoś podobnego, ponieważ uleganie złości nie należy do dobrego tonu, więc będąc damą, starała się jej nie ulegać. Ale Jessie nie zapomniła słów matki. I nigdy ich nie zapomni.

Poczuła ucisk w piersi. Podeszła do okna i otworzyła cedrowe okiennice, wpuszczając do pokoju światło. Ale nawet słońce nie było w stanie ogrzać tego pokoju. Pozostał zimny, pusty i martwy.

Przez dłuższą chwilę pozostała z dłońmi opartymi o okiennice, z czołem przyciśniętym do szyby okna. Następnie cicho zamknęła okiennice i wróciła do swego pokoju. Szybko, tak by nie zdążyła zmienić zdania, włożyła strój do konnej jazdy i zeszła do stajni.

Rwiesz się do galopu, co? - Lucas pogłaskał pysk młodego siwka i roześmiał się cicho, gdy wałach przytknął mu nos do piersi i parsknął w odpowiedzi.

Irlandczyk uniósł wzrok i spojrzał na dziewczynę, która siodłała klacz. Dziś miała na sobie inną suknię do konnej jazdy; ciemnozieloną z obfitym koronkowym żabotem i mocno podkreśloną talią, która uwydatniała kształt bioder. Lucas pomyślał, że suknia, którą przywdziewała dotychczas, została zniszczona podczas zajścia z opryszkami. Starał się zapomnieć, jak panna Corbett wyglądała z potarganymi włosami i w podartej sukni, z wargami drżącymi ze strachu.

Dzisiaj nie sprawiała wrażenia delikatnej ani przerażonej. Zachowywała się buńczucznie i wyzywająco, co go zaniepokoiło. Nie rozumiał tej dziewczyny i nie potrafił przewidzieć jej

postępowania. Teraz zaczynał pojmować, że nie jest taka, na jaką ją wychowano. I to niepokoiło go jeszcze bardziej.

Przekonał się, że nie tylko umie samodzielnie osiodłać konia, lecz w dodatku woli robić to sama. Podczas gdy większość kobiet z jej sfery przesadnie eksponowała słabość i brak jakichkolwiek umiejętności, aby podkreślić swą kobiecość, ona lubiła sprawiać wrażenie silnej i zaradnej. Silnej, zaradnej i mądrej. To mu się w niej podobało i za to ją podziwiał, choć robił to wbrew sobie. Na początku sądził, że jest wyniosła i zepsuta. I pod wieloma względami miał rację, ale było w niej coś więcej, o wiele więcej. Miał ochotę poznać ją lepiej i zrozumieć. Gdybyś tylko nie był skazańcem, a ona... panną Corbett.

Patrzył zaintrygowany, jak dziewczyna przymocowuje do siodła skórzaną torbę.

- Dokąd dziś pojedziemy? - zapytał, nakładając siwkowi uzdę.

Spojrzała na niego zdziwiona. Jej usta wygięły się w imperytenckim uśmiechu, który sprawił Lucasowi ból.

- Nie jest to pytanie, jakiego można by się spodziewać od pokornego sługi, panie Gallagher.

- Doprawdy? - zapytał przeciągle, nie spuszczać oczu z jej warg. - Cóż, zawsze miałem kłopoty z okazywaniem pokory.

Odwróciła się gwałtownie i ujęła cugle.

- Na wschód od domu, w miejscu o nazwie Paprociowy Wąwóz, znajduje się kilka jaskiń. Chcę je obejrzeć.

- Jaskinie?

- Nie lubi pan jaskiń, panie Gallagher?

- To zależy - odparł, wyprowadzając obydwa konie na podwórze. - Są w porządku, jak sądzę, dopóki nie trzeba w nich mieszkać. - Kiedyś ukrywał się w jaskini w górach Comeragh. Było to w czasie, gdy wyznaczono nagrodę za jego głowę, kiedy uciekł z armii brytyjskiej. Jednak nie miał zamiaru opowiadać jej o tym okresie swego życia.

- Nie zamierzam zamieszkać w Paprociowym Wąwozie - odparła ze śmiechem. Poprawiła cugle i szykowała się, by dosiąść konia. - Chyba że tam zabłądzimy.

- Nie powinna pani powiedzieć komuś, dokąd jedziemy? Na wypadek, gdybyśmy rzeczywiście zabłądzili.

- Powiedziałam Staremu Tomowi - odparła, strzepując fałdy spódnicy.

- Staremu Tomowi?

- Tak.

Cofnął się o krok i spojrzał na nią, przekrzywiając głowę.

- Nie znają pani zbyt dobrze, prawda? - zapytał cicho. - Mam na myśli członków pani rodziny.

Gwałtownie zadarła głowę i wciągnęła nosem powietrze. Zaniepokojona klacz zaczęła tańczyć w miejscu.

- Jest pan impertynencem, proszę pana.

Stał nieruchomo, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Tak. Chyba ma pani rację. Ale przynajmniej jestem szczery.

Patrzył spokojnie, jak dziewczyna zaciska dłoń na bacie. Pomyślał, że może go nim zdzielić przez twarz, ale nie ruszył się z miejsca i wciąż się jej przyglądał. Zdał sobie sprawę, że pragnie, by go uderzyła. Chciał, by zrobiła coś, za co mógłby ją znienawidzić.

Bez słowa odwróciła klacz i spięła ją piętami, ponaglając Cimmerię do szybkiego galopu. Lucas musiał pochylić się w siodle i dobrze się starać, by dotrzymać jej kroku.

14

Warrick uniósł kapelusz z szerokim rondem i cicho zaklął, ocierając wilgotne czoło rękawem dobrze skrojonego surduta. Dzień stał się upalny. Zbyt upalny na to, by tropić jakiegoś cholernego opryska, który z pewnością cholernie dobrze znał okolicę i umiał się ukryć. Skierował konia z drogi na zarośniętą ścieżkę, wijącą się w dół po zboczu wzgórza, porośniętego; gąszczem kauczukodajnych eukaliptusów, dereni i sasafasów. Zaklął po raz drugi.

Spędziwszy półtora dnia na wspólnym przeszukiwaniu doliny, które okazało się całkowicie bezskuteczne, w końcu postanowili się rozdzielić. Posterunkowy i jego ludzie w towarzystwie aborygeńskiego naganiacza ruszyli w góry, Hanison, ze swymi psami, przeczesał północny kraniec doliny z sumienną dokładnością, z jakiej był znany. Warrick zaproponował, że sprawdzi wzgórza, które odcinały dolinę od chłostanego wiatrami wybrzeża. Właśnie zaczynał myśleć, że trzeba by wielkiego szczęścia, by ktoś z nich natrafił na ślad zbiega.

O tym skazańcu słyszał już wcześniej. Bo Parker Jones był na Tasmanii jednym z nielicznych ciemnoskórych mężczyzn, mówiących z amerykańskim akcentem. Podobno był zbiegły¹¹ niewolnikiem, uciekł z plantacji w stanie Georgia i zaciągnął się na statek płynący do Anglii. Ale niedługo cieszył się wolnością. Popełnił błąd, zabijając marynarza podczas bójki w dokach

Portsmouth, za co znalazł się na innym statku, wiozącym skazańców do obozu karnego w Australii. Skazańców nie nazywano niewolnikami, chociaż pracowali skuci łańcuchami przy budowie dróg państwowych, w kopalniach lub w prywatnych posiadłościach, w domu lub na polach. Nie było to niewolnictwo w pełnym tego słowa znaczeniu, ale Warrick wątpił, czy człowiek w rodzaju Parkera dostrzegał jakąkolwiek różnicę w swojej sytuacji.

Kierując konia na porośnięte stokrotkami zbocze wzgórza, rozmyślał o bezsensie egzystencji tego człowieka, o ironii losu, który go prześladował. Minał niewielkie wzniesienie, za którym rozpościerał się widok na zapierający dech błękit oceanu. Zatrzymał konia i z bolesną radością, jaka towarzyszyła mu zawsze, gdy spoglądał na morze, zapatrzył się w bezkresną dal.

Morze zawsze, od niepamiętnych czasów, stanowiło jego pasję. Ojciec wyśmiewał się z niego i głośno się dziwił, jak to możliwe, by wnuk młynarza z Lancashire oraz najemnego oficera z Hampshire ma taki pociąg do morza i marzy o tym, by zostać kapitanem własnego statku. Ale nigdy go nie zniechęcał. Aż do owego strasznego lata, kiedy wzburzone fale i zdradliwe skały Zatoczki Rozbitków zabrały Cecila. Po tym wypadku najmniejsza wzmianka na temat morza sprawiała, że Beatrice bladła i zaciskała usta. Na początku Warrick miał nadzieję, że matka się z tego otrząśnie. Ale kilka lat później zginął od włóczni aborygenów jej drugi syn, Reid. Po tym nieszczęściu nie było mowy o tym, by ostatni z trzech synów Beatrice i Anselma Corbettów wyruszył na morze. Warrick był teraz ich jedynym dziedzicem, co oznaczało, że któregoś dnia zamek i cała posiadłość staną się jego własnością. Bez względu na to, czy tego pragnął, czy nie.

Wciągnął w płuca woń rozgrzanej trawy, słodkawych kwiatów derenia i odległego oceanu. Potem odwrócił konia w przeciwną stronę i ruszył naprzód.

W powietrze wzbija się para dzikich gęsi, trzepocząc niezdarnie wielkimi skrzydłami. Warrick poluzował cugle i, zadartszy głowę, patrzył, jak nabierają wysokości, a wraz z nią wdzięku.

Nagle zdał sobie sprawę z niezwyklej ciszy i uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje.

Obejrzał się szybko, badając wzrokiem pobliskie krzewy górskiego bzu. Położył dłoń na pistolecie zatkniętym za pas irchowych bryczesów. Szczyty drzew kołysały się na lekkim wietrze, szeleściły liście. W polu widzenia nie było nikogo, ale uczucie, że jest obserwowany, nie ustępowało. Wyjął pistolet zza pasa.

Rozległ się dziewczęcy śmiech, cichy i gulgoczący, jak bulgotanie bystrego strumienia.

- Zastrzelisz mnie? Powinnam się bać?

Spojrzał w górę. Siedziała w gałęziach drzewa tuż obok niego. Szczupła, podobna do elfa dziewczyna o długich opalonych nogach i włosach koloru nieba o zachodzie słońca, które w nieładzie opadały jej na ramiona i plecy.

- Co tutaj robisz zupełnie sama? - zapytał, wsuwając pistolet za pas.

Zeskoczyła z drzewa z kocią gracją i wylądowała tak blisko konia, że zwierzę parsknęło przestraszone.

- Mieszkam tu.

Była wysoka i chuda, o małej głowie i drobnych kościach. Przypominała jakiegoś egzotycznego rasowego kota. I miała kocie oczy: wielkie i złote, jaśniejące jakąś wewnętrzną mądrością, która jednocześnie zaintrygowała go i przestraszyła.

- Tu nikt nie mieszka - powiedział.

Znów się roześmiała.

Miała na sobie staroświecką sukienkę z niebieskiej bawełny. Spódnica była zbyt krótka i postrzępiona, tak że odsłaniała długie łydki i bosc stopy. Nie sądził, by pod suknią miała coś więcej. Tkanina ściśle opinała jej jędrne młode piersi. Gdy szła, spódnica kołysała się zmysłowo i lgnęła do jej długich ud. Dziewczyna składała się głównie z nóg, włosów i oczu. Warrick pomyślał, że nigdy w życiu nie widział nic równie urzekającego. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na cholewie jego buta.

- My mieszkamy.

Wtedy zobaczył chatę. Niewykończoną, zbudowaną z kawałków piaskowca, krytą strzechą, z drzwiami z gołych desek, wychodzącymi na morze. Wyglądała jak przeniesiona z gór Szkocji albo z najbiedniejszych dolin Irlandii. I mieszkało w niej to wspaniałe stworzenie.

- Wygląda, że jest ci gorąco - powiedziała z uśmiechem.

Miała szerokie wargi jak na tak drobną twarz. Zęby równe i białe, usta pełne i zmysłowe. Warrick poczuł ucisk w gardle i z trudem odpowiedział.

- Bo jest.

Odrzuciła się, musnąwszy dłonią jego kolano. To muśnięcie rozpaliło w nim płomień.

- Chodź ze mną.

Nie powiedziała, dokąd idzie, ale Warrick ruszył za nią. Poprowadziła go nie do domu, lecz w dół zbocza, do jaru, który schodził do morza. Jar był głębszy, niż Warrick się spodziewał. Zarośnięty bujną i gęstą roślinnością, z wielkimi rozłożystymi konarami buków i sosen, które tworzyły naturalny baldachim, pogrążając go w cieniu i chłodzie. Otoczyła ich dziwna cisza, jakby się zanurzyli w zaczarowanym świecie. Jedynym dźwiękiem było głucho dudnienie kopyt końskich na miękkiej ścieżce. Warrick podążał za dziewczyną, schodząc do zacienionego królestwa paproci, porostów i przesiąkniętego wilgocią powietrza. Usłyszał szum płynącej wody i zrozumiał, że dziewczyna przyprowadziła go nad strumyk.

Spostrzegł wartką czystą wodę i otoczaki, porośnięte mchem i ocienione paprociami i wawrzynem. W miejscu, gdzie kończyła się ścieżka, strumień stawał się szerszy i wpadał do małej sadzawki, spiętrzonej ponad blokami piaskowca. Warrick wstrzymał konia i skinął w stronę tamy.

- Ty ją wybudowałeś?

- Nie. Była tutaj, kiedyśmy tu przyszli. Myślę, że zrobili ją czarni ludzie.

Weszła do sadzawki, gdzie woda sięgała jej powyżej kolan. Obejrzała się na Warricka.

- Chodź - powiedziała i zaczęta rozpinąć sukienkę.

Tkanina zsunęła się, odsłaniając nagie biodra, talię i piersi. Ciało miała szczupłe i gibkie i boleśnie pociągające. Warrickowi zachciało się śmiać. Nie z niej, lecz z samego siebie, bo był tak straszliwie wstrząśnięty, że omal nie spadł z konia. Zawsze miał siebie za dzikiego, nieokiełzanego i śmiałego, za mężczyznę który odrzuca wszelkie konwenanse i robi to, co chce. Teraz zrozumiał, że wcale taki nie jest. Przynajmniej w porównaniu z tą dziewczyną.

Ściągnęła suknię przez głowę i powiesiła na pobliskiej gałęzi. Oczywiście, miał rację. Pod suknią była naga, nie licząc przytroczonego do uda noża w pochwie. Patrzył, jak rozwiązuje rzemień i kładzie nóż na sukni. Przechyliła głowę i zapytała z uśmiechem:

- Nie zsiądziesz z konia i nie wejdiesz do wody?

Odchylił się w siodle, wyprostował nogi w strzemionach i ukrył twarz pod rondem kapelusza.

- Chyba nie.

- Jesteś wstydlivy.

- Właśnie to odkryłem - powiedział z uśmiechem.

Miała piękne ciało, smukłe i gładkie, z małymi, wysoko osadzonymi piersiami i niewiarygodnie cienką talią. Włosy na łonie były tej samej ognistej barwy co loki opadające na ramiona. Jej skóra na biodrach i piersiach miała ten sam złocisty odcień co na ramionach i nogach. Najwidoczniej wiele czasu spędzała na słońcu bez ubrania. Ta myśl podniecała go i przerażała.

- Nie boisz się? - zapytał.

Zrobiła krok i woda sięgnęła jej do pasa.

- Czego?

Oparł dłonie na łęku siodła i pochylał się do przodu.

- Mnie.

Zrobiła następny krok. Teraz woda przykryłaby ją z głową, gdyby nie poruszała rękami, by utrzymać się na powierzchni.

- Nie skrzywdziłbyś mnie.

Patrzył na pełne wdzięku ruchy jej długich ramion, na jędrne

piersi, przeświecające przez czystą wodę. Poczul gwałtowną chęć, by zsiąść z konia, wejść do wody i wziąć dziewczynę ramiona. Zapraagnął zanieść ją na łożo z paproci, poczuć jej nagie ramiona na plecach i zagłębić się w niej, tutaj, pod błękitnym niebem. Odkąd porzucił marzenia o oceanach, nie pragnął niczego tak mocno, jak tej dziewczyny. Dziewczyny o dzikich włosach i dzikim sposobie bycia. Dziewczyny, która stanowiła ucieleśnienie wszystkiego, czym chciał być.

- Nie możesz wiedzieć, czybym cię skrzywdził - powiedział ochryplym głosem. - Nie masz pojęcia, kim jestem.

- Owszem, mam. Jesteś Warrick Corbett z Zamku Corbetta. - Odchyliła głowę do tyłu i odrzuciła włosy z twarzy. Pociemniałe od wody i ciężkie, spływały z ramion i sennie unosiły się na wodzie wokół piersi. - Widziałam cię już - rzekła z uśmiechem. - Widziałam i zapraagnęłam.

Była całkowicie pozbawiona obłudy, szczerza i otwarta. Prezentowała dziwne połączenie prostoty i mądrości, niewinności i doświadczenia.

- Zawsze dostajesz to, czego zapraagniesz? - zapytała.

- Tak. - Spojrzała na niego, ściągając brwi. Jej kocie oczy zaślśniły. - A ty nie.

Chciał zaprzeczyc, powiedziec, że zawsze robi to, na co przyjdzie mu ochota, a nagle przypomniał sobie, że wciąż tkwi na grzbiecie konia.

Zanurkowała, ukazując małe jędrne pośladki.

- Co pan tu robi, panie Corbett z Zamku Corbetta? - spytała, wynurzywszy się z wody.

Przeniósł wzrok na morze, na jaskrawoniebieski pas widoczny w oddali i zdał sobie sprawę, że zupełnie zapomniał, co go tu Przywiodło.

- Szukam opryszka. Wielkiego czarnoskórego mężczyzny o złej reputacji. Murzyna z Ameryki, nie aborygena. Powinnaś być trochę ostrożniejsza, dopóki go nie złapiemy.

- Widziałam twojego opryszka.

Pochylił głowę i popatrzył na nią. Stała na płyciźnie. Jej nagie ciało lśniło, ociekając wodą. Patrząc na nią, oddychał spieszenie,

czując, jak cały tężeje od przepełniającej go żądz. Z trudem pojmował sens jej słów, ale jakoś się opanował i zapytał:

- Kiedy?
- Dzisiaj rano. - Wyszła z sadzawki i pokiwała głową -

Nie żyje.

Warrick zacisnął dłonie na cuglach.

- Gdzie on jest?

- Pokażę ci. - Wzięła sukienkę z gałęzi i, idąc z biegiem strumienia, wciągnęła ją przez głowę. Znoszony materiał lgnął do jej mokrej skóry, uwydatniając, a nie skrywając, linię bioder i nieprawdopodobnie długich nóg. Dojrzał teraz wąską ścieżkę której nie zauważył wcześniej, zarośniętą paprociami, sasafrasem i dereniem. Ruszył za dziewczyną w stronę morza, zafascynowany kołyszącą się suknią i błyskiem nagich łydek. Znów zapomniał o opryszkach i zbiegłym niewolniku. I wtedy zobaczył ciało mężczyzny, leżące na wznak, w kępie orlicy, jakieś cztery metry od krawędzi skarpy. Rozlegał się tu huk fali, wałących o skały klifu.

- Jak umarł? - zapytał Warrick, ostrożnie zsuwając się z konia i ściskając pistolet w dłoni.

Wzruszyła ramionami.

- Dicken znalazł go w takim stanie.

Warrick przykucnął nad ciałem.

- Kto to jest Dicken?

- Mój brat.

Schował pistolet. Nie musiał być lekarzem, by poznać, że Parker Jones nie żyje od wielu godzin, chociaż nie widział na jego ciele nic, co mogłoby spowodować śmierć. Przeturlał nieboszczyka i zobaczył ranę po nożu z boku pleców.

Spojrzał na dziewczynę.

- Macie konia, na którym mógłbym go stąd zabrać?

- Nie. Ale mamy osła.

Wstał.

- Dopilnuję, żeby do was wrócił.

- Nie. - Pokręciła głową. Na jej niesamowicie szerokich ustach zaigrał zagadkowy uśmiech. - Będiesz go musiał sam odprowadzić.

Spojrzał w jej dziwne złociste oczy. Wiedział, co mu sugeruje. Wiedział również, że przyjmuje jej warunki, gdy

odparł:

- Dobrze. Odprowadzę.

Dopiero kiedy odjechał, zdał sobie sprawę, że nie zapytał jej, jak się nazywa.

15

Dygocąc z gniewu, Jessie zwolniła konia, aby Gallagher mógł się z nią zrównać. Jej pełna wyniosłej godności reakcja okazała się równie krótkotrwała, jak gwałtowna.

Poczekwała, aż ją dogoni, i znów spięła klacz kolanami, zachęcając do galopu. Jechali przez pola bok w bok. Panowało między nimi pełne napięcia milczenie.

- Chciałabym pana przeprosić - powiedziała Jessie po chwili. - Moje zachowanie było niewybaczalne. - Przerwała zakłopotana, a potem dodała uprzejmie: - Teraz pańska kolej, by mnie przeprosić za umyślne prowokowanie.

Spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- To, co powiedziałem, nie ubodłoby pani tak bardzo, gdyby pani nie myślała tak samo.

Była to oczywista prawda, choć nie należało jej tego wytykać, ale też Lucas nigdy nie bawił się z nią w grzeczne kłamstewka. Właśnie to ją w nim fascynowało i intrygowało.

Przyjrzała mu się spod opuszczonych rzęs, zauważając mimo woli, jak jego szczupłe, gibkie ciało kołysze się w rytm kroków konia. Zsunął kapelusz na tył głowy, by widzieć wznoszące się przed nimi góry, porośnięte bujną zielenią puszczy podzwrotnikowej. Jak na wczesną wiosnę, dzień okazał się zaskakująco ciepły. Promienie jaskrawego słońca igrały na ciemnych potarganych włosach Lucasa, który zmrużył oczy, jakby się uśmiechał. Lekki wietrzyk uniósł połę jego szarego kaftana i odstłonił;

koszulę z grubego płótna, przylegającą do umięśnionego torsu, Ten mężczyzna sprawiał wrażenie dzikiego i nieokiełznanego. Jessie pomyślała, że jest niebezpiecznie pociągający, i zdała sobie sprawę, że wyprawa z nim jest dla niej ryzykowna.

Droga stała się bardziej stroma, buki i pinie rosły tu gęściej i dawały chłodny cień. Dziewczyna popuściła cugli i Cimmeria zwolniła kroku.

- Dlaczego uratował mi pan wtedy życie? - spytała nagle, spoglądając na jego ciemną męską twarz.

Przybrał pełną dumy postawę.

- Myśli pani, że powinienem być pozwolić, by się do pani dobrali?

Pochyliła się do przodu i poklepała rozgrzane kłęby Cimmerii.

- Tak postąpiłaby większość mężczyzn na pana miejscu, prawda? Po co ryzykować własne życie, aby ratować kogoś, kim się pogardza?

Zapało milczenie, zmacone cichym stąpieniem koni.

- Dlaczego pani sądzi, że nią pogardzam? - zapytał Lucas po namyśle.

Jessie odwróciła głowę i utkwiała wzrok w grubym, porośniętym mchem pniu.

- Bo jestem Angielką, a pan jest przesadnie dumny ze swego irlandzkiego pochodzenia. Bo staram się postępować zgodnie z zasadami nawet wtedy, gdy się z nimi nie zgadzam. Bo ukrywam przed najbliższymi to, co robię i jaka naprawdę jestem. Bo odwiedzam swoją najbliższą przyjaciółkę w tajemnicy, jakbym się jej wstydziła, chociaż wcale się jej nie wstydzę.

Nie patrzyła na niego, ale czuła na sobie jego natarczywy wzrok.

- Co ona takiego zrobiła? - zapytał nieoczekiwanie. - Ta Genowefa Strzelecki, że jest nieodpowiednią dla pani osobą?

- Zakochała się w polskim hrabim - odpowiedziała Jessie, bo przeszłość Genowefy nie stanowiła na wyspie tajemnicy.

- Och, to rzeczywiście niedopuszczalne - powiedział z przekąsem. - Zwłaszcza że chodzi o Angielkę.

Roześmiała się, zaskoczona jego słowami.

- Byliby wstrząśnięci. Przerażeni. Wpadliby w histerię. Zabrniliby mi ją odwiedzać.

- A pani? Przestałaby pani do niej jeździć?

- Nie. - Westchnęła przeciągle i boleściwie. - Oczywiście. Że nie. Ale moje życie stałoby się... nie do zniesienia.

- A więc, odwiedza ją pani w tajemnicy. Usiłuje pani być taką kobietą, jakiej życzy sobie rodzina. A gdy jest to niemolliwie, po prostu ukrywa pani prawdę. Po mojemu, jeżeli ktoś tu zawinił, to właśnie oni. Przez to że nie akceptują pani takiej, jaka jest w rzeczywistości. Przez to że zmuszają panią do dokonywania wyboru między byciem sobą a zachowaniem ich miłości.

Zamilkł i przyglądał się jej spod ronda kapelusza.

- Nie pogardzam panią - powiedział łagodnie. - Kimże jestem, bym mógł panią pogardzać lub osądzać panią za wybory, jakie pani podejmuje? A jeśli chodzi o... - Uśmiechnął się do niej krzywo i w jego policzku ukazał się dołek. - Cóż, to nie pani wina, że urodziła się pani Angielką.

Roześmiała się głośno, a potem poczuła nagły przypływ smutku. Jej śmiech zamarł i zapanowała cisza. Nie chciała, aby ten mężczyzna był taki. Nie chciała, by się okazał rozsądny lub godny podziwu. Chciała go uważać za dzikiego, nieokrzesanego brutalą. Co ją napadło, że na tak długi czas zapomniała, kim jest ten człowiek? Że szczerze rozmawiała o miłości, ryzyku i trudnych wyborach z jakimś irlandzkim zesańcem, który miał haniebną przeszłość i nadgarstki poznaczone bliznami po kajdanach?

Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - powiedział Lucas, unosząc świecę, której migotliwe światło rzuciło cienie na niski strop i gładkie szare ściany przy wejściu do jaskini. Rwący tuż obok nich potok napełniał rześkie powietrze bulgotem, który odbijał się echem, obiecując tajemnicę, groźną i pociągającą zarazem.

Pozostawili pasące się konie na zboczu wzgórza, nieopodal niewiarygodnie czystego i zimnego strumienia, który spływał z gór. Po tej nieoczekiwanej szczerzej i intymnej rozmowie, do

względu na to, jak bardzo dziwaczna była ta rozmowa, Jessie nie zdobyła się na taką odwagę.

puszcza gęstniała. Bujne korony drzew łączyły się nad ich głowami, rzucając mroczny cień. Powietrze stało się chłodniejsze i przesycone wilgocią. Gładkie brązowe pnie kontrastowały z ciemną zielenią paproci i mchów, nakrapianą jaśniejszymi wawrzynami i wonnym białym kwieciami sasafrasu.

- Od jak dawna ją pani odwiedza? - zapytał cicho.

- Odkąd skończyłam dwanaście lat. - Przechyliła głowę, patrząc na przelatującego kolibra. - Przyjaciółka, Philippa Tate, zawsze uważała, że moje studia przyrodnicze to coś w rodzaju buntu. To nieprawda. Wprawdzie matka usiłowała mnie do nich zniechęcić, ale ona nigdy niczego mi nie zabrania. Jednak, gdy idzie o Genowefę...

- Matka zabroniła pani wszelkich kontaktów. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Otóż to - powiedziała Jessie. - Jako dziecko nie miałam pojęcia, co takiego Genowefa zrobiła. Nawet nie wiedziałam, jak się nazywa. Była po prostu upadłą kobietą z Przylądka Ostatniej Szansy. W tamtym czasie nie wiedziałam, co to znaczy „upadła kobieta” i wyobrażałam sobie, że musiała uciepieć na skutek upadku ze skał klifu i że nie można na nią patrzeć, bo została potwornie zdeformowana. Myślałam, że dlatego matka każe mi się od niej trzymać z daleka.

- I dlatego poszła ją pani zobaczyć? Bo to było zabronione?

- Nie należę do ludzi, którzy coś robią tylko dlatego, że to jest zabronione. Taki ślepy bunt pozostawiam Warrickowi.

- Więc co się stało?

- Pewnego dnia szukałam skamieniałości w warstwach wapienia niedaleko jej domku i spotkałyśmy się przypadkiem. Zaczęłyśmy rozmawiać o skałach i... - Jessie wzruszyła ramionami. - I po prostu zaprzyjaźniłyśmy się.

- A gdyby pani usiadła i spokojnie poinformowała swoją matkę i narzeczonego, że Genowefa Strzelecki jest pani przyjaciółką, co by się stało?

- Obawiam się, że w jej przypadku rzeczywiście niedopuszczalne. Rodzice znaleźli dla niej dobrze urodzonego i bardzo bogatego kupca z Hobart.

- A więc ten jej hrabia był biedny?

Pokręciła głową.

- Wprost przeciwnie.

Zerknął na nią zdziwiony.

- To dlaczego jej rodzice woleli jakiegoś kupca z Hobart od bogatego hrabiego? Jego tytuł równoważył chyba niedostatki wynikające z narodowości i religii.

- Z pewnością tak, gdyby nie to, że już był żonaty.

- Ach - powiedziała to w taki sposób, że znów musiała się uśmiechnąć.

- On także był ofiarą zaaranżowanego małżeństwa i zawarty związek okazał się nieszczęśliwy. Byli z żoną w separacji.

- A więc ten hrabia zakochał się w Genowefie, tak?

- O, tak - potwierdziła, zaskoczona własną szczerością. Usiłowała sobie wyobrazić, że podobnie rozprawia o kochankach i nieudanych małżeństwach z Harrisonem. Nie potrafiła. Dziwne, ale z tym gburowatym Irlandczykiem, służącym i skazańcem, rozmawiała bez oporu. - Genowefa wiedziała, że on nigdy się z nią nie ożeni - dodała cicho. - Wiedziała. Ale kochała go tak rozpaczliwie, że nie mogła bez niego żyć. Więc z nim uciekła. - Jessie westchnęła ciężko. - Nie wyobrażam sobie, jak można zrobić coś takiego. Ja nie mogłabym porzucić domu, rodziny, przyjaciół. Skazać się na towarzyskie wygnanie, odciąć od wszystkiego, co zawsze było dla mnie drogim. To musi być podobne do śmierci.

- Ona najwyraźniej uważała, że miłość jest więcej warta.

Jessie podniosła oczy i stwierdziła, że Lucas patrzy na nią nieprzeniknionym wzrokiem, mrużąc oczy.

- Jak to możliwe?

Na jego wargach pojawił się dziwny uśmiech, smutny i pełen słodyczy. Poczuli ból w sercu.

- Bo nigdy nie była pani zakochana.

A pan? Chciała o to zapytać, ale oczywiście nie zapytała. Bez

której doszło w drodze, chętnie uciekli w milczenie, lecz pamięć wypowiedzianych słów wciąż im ciążyła. Wspomnienie słów wypowiedzianych, i tych, które nie zostały wypowiedziane.

- Jest pan przestraszony, panie Gallagher?

Wytrzymał jej wyzywające spojrzenie.

- Wolę myśleć, że raczej rozsądny - odparł z uśmiechem.

- Aha. Ja już tutaj byłam. Nieraz. - Odchyliła głowę do tyłu, by obejrzeć skalne sklepienie. - To istny labirynt korytarzy i komór, ale idąc wzdłuż strumienia, nie musimy się obawiać, że zabłądzimy.

Patrzył na nią, oczarowany grą złocistego światła świecy, wydobywającego zarys policzka Jessie, podkreślającego długość jej gęstych rzęs i delikatność długiej szyi. Wyglądała tak bardzo kobieco, a jednocześnie wydawała się silna, odważna, wibrująca energią. Uśmiechnął się z zachwytem, a potem szybko odwrócił wzrok.

- Podobne jaskinie mamy u nas, w górach Comeragh - powiedział, idąc przodem po łagodnie wznoszących się śliskich skałach. - W hrabstwie Waterford, niedaleko od miejsca, w którym się urodziłem. Ludzie wciąż się w nich gubią.

- Ma pan na myśli złodziei bydła i łazików, którzy się w nich ukrywają? - spytała, postępując krok w krok za nim.

- Tak. Ich także. - Roześmiał się cicho. - Ale głównie waszych palących fajkę Anglików w okularach, którzy uważają się za naukowców. - Usłyszała, że dziewczyna wstrzymuje oddech, i uśmiechnął się. - Idziemy na przechadzkę czy też mamy tu coś szczególnego do obejrzenia?

- Cierpliwości, panie Gallagher.

- Niby co... - powiedział, a raczej zaczął mówić, gdy, nagle i niespodziewanie, galeria, którą szli, otworzyła się przed nimi, przechodząc w wielką komorę. Jej krystalicznie lśniące ściany udrapowane były w delikatne fałdy kalcytu. Ze stropu zwisały się kamienne sople, zmierzające ku swoim odpowiednikom, wznoszącym się z podłoża, aby spotkać się, tworząc grube kolumny, migoczące w świetle świeczki.

- Jezus Maria, Józefie i wszyscy święci - wyszeptał, trzymając świecę, tak by jej światło załamywało się w półprzeźrystej skale mieniającej się od śnieżnej bieli, poprzez odcienie żółci i pomarańcze do brązów.

Przystanęła obok i przez niezapomnianą chwilę razem chłonęli piękno tego miejsca.

- No i co, panie Gailagher? Prawda, że warto było to zobaczyć?

Stała obok niego, skrzyżowawszy ramiona na piersi. Odwróciła się powoli, trzymając świecę wysoko. Jej policzek znaczyła smuga wapiennego pyłu. Włosy miała potargane. Gailagher pomyślał, że nikt by się nie domyślił, że jest taka wyniosła i niedostępna. Patrzył, jak jej wargi rozchylają się, wydając pełne zachwyty westchnienie. Patrzył, jak szeroko otwiera zachwycone oczy. I znów poczuł tę niebezpieczną emocję, która ścisnęła mu pierś.

- O, tak. Warto było - powiedział ochryple.

Zerknęła na niego i nagły dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

- Zimno pani? - zapytał, odwracając się, by ostrożnie umieścić świecę w pobliskiej szczelinie.

- Nie. Czuję się świetnie - odparła, kręcąc głową.

- Niech pani weźmie mój kaftan - powiedział, zdejmując go z siebie.

- Przecież wtedy pan zmarznie.

- Przywykłem do chłodu. - Podał jej okrycie.

Uśmiechnęła się drżącymi ustami.

- Dziękuję.

Gdy sięgnęła po kaftan, jej dłoń natrafiła na jego rękę. Poczula wstrząs. Ów niespodziewany dotyk wywołał pomiędzy nimi jakąś palącą iskrę.

Lucas odczuł to całym swoim jestestwem. I, Boże przebac, ona musiała czuć podobnie, bo otworzyła szeroko oczy, gwałtownie zaczerpnęła powietrza i szybko cofnęła się. Zbyt szybko. Kamienne podłoże jaskini było gładkie, wilgotne i śliskie. Lucas usłyszał jej zduszony pisk. Dziewczyna zachwiała się.

16

Rzucił się ku niej, chwycił za ramiona tuż ponad łokciami i przycisnął do siebie. Opadła na jego pierś i uczepliła się jego koszuli. Świeca wypadła jej z dłoni. Oczy miała dzikie i przeżalone, a runęła z takim impetem, że Lucas nie utrzymał jej i obydwójce upadli.

- Piekło i szatani - wykrztusił, waląc biodrem w zimną skałę podłoża. Potem uderzył barkiem i opadł na plecy. - Piekło i szatani - zaklął po raz drugi i wtedy usłyszał jej śmiech.

Turlali się ze splątanymi ramionami i nogami, dusząc śmiech, który odbijał się echem o ściany prastarej skalnej komnaty. W końcu Jessie wylądowała na plecach, a on znalazł się na niej. Wciąż się śmiejąc, podparł się na łokciach i spojrzał w dół na jej twarz. I wtedy uśmiech zamarł na jego wargach.

Miała głowę zwróconą na bok. Z zaciśniętymi powiekami wiała się, wstrząsana konwulsyjnym śmiechem. Lucas poczuł, że jej długie uda przywierają intymnie do jego nóg, a delikatne dłonie ścisną ją za ramiona. Rozgorzała w nim nieposkromiona żądza. Dziewczyna z trudem oddychała.

I wtedy zdał sobie sprawę, że ona już się nie śmieje. Że uśmiech na jej twarzy gaśnie powoli. W pełnym napięcia milczeniu rozbrzmiewały ich ciężkie oddechy. Zdawało mu się, że cały świat zawęził się do złocistego migotania świecy, ostrej woni wilgotnej skały oraz tej kobiety. Kobiety leżącej pod nim.

Zobaczył, że jej usta się rozchylają, poczuł, że westchnienie unosi jej pierś, a dłonie głaszczą mu kark. Mroczną ciszę jaskini maćił jedynie dźwięk spadających kropel wody. Pomyślał, że jej oczy są najpiękniejsze na świecie. Głęboko osadzone, wielkie i pociemniałe od pożądania. Zatonął w nich na jedną niebaczoną chwilę.

Zniżył głowę i poczuł na twarzy tchnienie jej oddechu. Mógłby ją teraz pocałować. I gdyby był kimś innym, na pewno by to zrobił, lecz on był więźniem, jej sługą, stajennym. Skazanym na hańbę, służalczość lub wczesną śmierć, a ona, ona była.., wiadomo kim.

Sturlał się z niej i usiadł plecami do niej. Pochylił głowę i dyszał, starając się zapanować nad żądzą.

- Miał pan rację - powiedziała, a jej słowa odbiły się echem o ściany otaczającej ich wielkiej pradowej komory.

Obejrzał się przez ramię. Siedziała, podciągnawszy pod siebie kolana, ze splecionymi dłońmi, na których wspierała podbródek. W słabym świetle dopalającej się świecy jej twarz zdawała się błąda, oczy wielkie i ciemne, usta opuchnięte i pełne, jakby ot pocałunków kochanka. Ciężka mu świadomość tego, co pomiędzy nimi zaszło, i tego, czego omal nie uczynił.

- W czym miałem rację? - zapytał ochryple.

Zdziwiony patrzył, jak na jej ustach pojawia się zagadkowy uśmiešek.

- Że to nie był dobry pomysł.

Uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać.

Jessie spojrzała na niego ponad skałami, po których wartko płynął spieniony strumień. Lucas stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce wsparł na szczupłych biodrach. W miejscu, w którym się znajdowali, był niewielki wodospad, nad którym unosiła się mgiełka rozpylonej wody. Dookoła wznosiła się zwarta ściana puszczy. Wśród gęstej zieleni widoczne były gładkie pnie drzew, a u ich stóp krzewiły się paprocie i bujne pnącza.

Po wyjściu z jaskini Jessie podeszła do strumienia i usiadła

wielkim otoczaku, aby umyć twarz w chłodnej wodzie. Poprawiając włosy, próbowała pogodzić się z tym, co przed chwilą, zaszło. A raczej co mogło zająć w mrocznych czeluściach tajemniczej jaskini.

Wydawało jej się, że potrafi zapanować nad nieodpartym pojągiem, który odczuwała w stosunku do tego człowieka. Do tego nieokrzesanego, zbuntowanego Irlandczyka, do tego skażenka. Dobry Boże, sądziła, że potrafi się opanować. Ale dotychczasowe przeżycia nie przygotowały jej na wstrząs, którego doznała, znalazłszy się pod silnym męskim ciałem. Na słodką pokusę, która zawisła w powietrzu, gdy jego wargi znalazły się tuż przy jej ustach. Poczwała wtedy tak dziką żądzą, tak bolesne pragnienie, że nie potrafiła nad nimi zapanować ani ich ukryć.

Tak samo jak on.

Rozpoznała tęsknotę, wyostającą rysy jego twarzy, głód w jego oczach, poczuła napięcie jego ciała, gdy na niej leżał. - Pragnął jej z intensywnością, która ją podniecała i przerażała. Wspominała jego uśmiech, rozjarzony wzrok i ogień, który zapłonął w dole jej brzucha, pozbawiając ją tchu i rozsądku.

Był tak blisko. Wystarczyło, żeby pochylił głowę i poznał smak tego, co miała mu do zaoferowania. Lecz nie uczynił tego, chociaż był dzikim szalonym Irlandczykiem.

Zacisnęła palce na zimnym kamieniu. Pomyślała, że mogłoby być tak, jakby się nic nie stało, jakby owa niebezpieczna chwila w jaskini nigdy nie zaistniała. Że mogłoby udawać, że nic pomiędzy nimi nie zaszło. Zapomniała, że on jest inny niż ona, że jest brutalnie uczciwy bez względu na koszty, że nie godzi się na grę w zgodzie z towarzyskimi zasadami.

- W moim świecie nie rozmawia się o takich sprawach - powiedziała tak cicho, że spadająca woda i skrzek niewidocznych żab omal jej nie zagłuszyły. - Gdy zdarza się coś niezręcznego lub godnego pożałowania, po prostu zachowujemy się tak, jakby się nic nie stało.

- I odpowiada to pani?

Spojrzała na jego dumną twarz o wydatnych kościach policzkowych, na jego ciemne oczy i poczuła, że coś w niej pękło. Westchnęła głęboko, jakby mogła w ten sposób złagodzić ból, choć zaczynała się obawiać, że ten ból nigdy nie minie i będzie stale narastał.

- Nic się nie stało. Upadłam i pan mnie przytrzymał. To wszystko. - A potem powtórzyła z mocą: - Nic się nie stało.

- Taaa. Ma pani rację. - Podszedł do niej. Patrzyła na szary kaftan skazańca, na oczy utkwione w jej twarzy, gdy przeskakiwał z kamienia na kamień. - Ma pani rację. - Przystanął na wielkim głazie tuż obok niej, tak że musiała zadrzeć głowę, aby go widzieć. - Nic się nie stało. Nic się nie stało od owego pierwszego dnia, gdy zobaczyła mnie pani, kiedy kruszyłem skały w kamieniołomie pani brata. Nic się nie stało, gdy patrzyła pani, jak trenuję tego zwariowanego irlandzkiego ogiera, którego pani przywiozła. Ani wtedy, gdy jechaliśmy wzdłuż plaży nad Zatoczką Rozbitków. Ale jeżeli nie będziemy cholernie ostrożni, coś się może stać. Któregoś dnia, może już wkrótce. A wtedy będziemy musieli za to zapłacić. I ja, i pani.

Spojrzała na własne dłonie, które teraz trzymała splecione na podołku.

- Warrick stara się, aby gubernator udzielił panu prawa łaski za uratowanie mnie przed napaścią opryszków. Gdy je pan uzyska, będzie pan mógł stąd odejść. - Tego właśnie pragnęła. Aby stąd odszedł, daleko, bardzo daleko. Tego chciała, lecz sama myśl o tym napełniała ją bólem. - Wtedy będzie pan mógł odjechać. I nigdy więcej się nie spotkamy.

- To nie jest pewne.

- Prawo łaski? - Patrzyła, jak schodzi z głazu. Plecy miał wyprostowane, głowę odwróconą. - Nigdy nie wiadomo.

- Naprawdę?

- Za co pana zesłano?

Wykrzywił usta w uśmiechu, który pogłębił tę grzesznie pociągającą bruzdę na jego policzku, ale nie rozjaśnił ponurego spojrzenia oczu.

- Za przynależność do nielegalnego stowarzyszenia.

A należał pan do niego?

- Tak - odparł, wpatrując się w przeciwległy brzeg strumienia.

- Nie powinni za to odmówić prawa łaski - powiedziała cicho.

- Nie.

Patrzyła na jego mocny profil, na pierś unoszącą się z oddechem i czuła, że rozpaczliwie pragnie poznać go lepiej. Poznać i zrozumieć.

- Za to był pan chłostany?

Sądziła, że go zirytuje to pytanie, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Kiedy? Człowiek dostaje pięćdziesiąt smagnień za nieposłuszeństwo, a dwadzieścia pięć za zwykłe przekleństwo.

- Mam na myśli największą karę.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, wypełniona hukiem wodospadu i dobiegającym z lasu przenikliwym skrzekiem papug kakadu.

- Ach, tę. - Uniósł rękę, aby poprawić kapelusz. - To było za to, że przyszło mi do głowy, aby zabić pewnego nadzorcę.

- Dlaczego?

Roześmiał się ochryple.

- Oczywiście dlatego, że jestem cholernym irlandzkim brutalnym.

- Nie jest pan.

- Nie? Kiedy tu przybyłem, przydzielono mnie do wojskowych stajni w Hobart. Tamtejsi ludzie nie mieli najlepszej opinii o przybyszach ze Szmaragdowej Wyspy.

Jessie przełknęła ślinę, starając się pozbyć ucisku w gardle. Słyszała o tym, jak wojskowi potrafią traktować zesłańców, zwłaszcza tych z Irlandii.

- Mieli taką zasadę - mówił - że zesłaniec może otrzymać tylko jeden list na dwa miesiące.

- To nieludzkie.

Spojrzał na nią przelotnie. Wyraz twarzy miał twardy, niemal wrogi.

- Jesteśmy tutaj za karę. Zapomniała pani? Nie rozpieszczają

nas. Tamtejszy nadzorca powtarzał mi wiele razy, że go popamiętam.

Patrzyła zaskoczona i dziwnie wzruszona na iskierkę wesołości w jego oczach.

- Był to wielki paskudny brutal z Anglii. Nazywał się Lamb. Leo Lamb. - Spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem. Potem uśmiech zbladł. - Ten Leo Lamb miał swoje sposoby na tych, których nazywał „specjalnymi skazańcami”, czyli tych, którzy umieli pisać i czytać oraz wystawiali się tak jakby byli kimś lepszym. Uważał, że takich skazańców należy upokorzyć. Szczególnie zależało mu na tym, aby upokorzyć właśnie mnie.

Jessie zacisnęła pięści, wpijając paznokcie w skórę dłoni. Wiedziała co nieco o tym, że nadzorca może zamienić życie skazańca w prawdziwe piekło. Na przykład wymierzając dwadzieścia pięć batów za nieodpowiedni uśmiech...

- Wciąż mi się naprzykrzał. Wynajdywał dla mnie najcięższe prace, drażnił się ze mną, chciał, abym się załamał. Ale ja się zawzięłem.

- I co się stało? - spytała.

- Pewnego dnia przyszedł do mnie list. W kopercie z czarnymi brzegami.

O, Boże, pomyślała Jessie, współczując mu, że dostał zawiadomienie o czyjejś śmierci.

- Tylko że - ciągnął - nie minęły jeszcze dwa miesiące, odkąd dostałem poprzedni list, więc nadzorca go spalił. Na moich oczach.

Przez pewien czas milczał.

- Wiedziałem, że umarł ktoś, kogo kochałem. Ale nie wiedziałem kto. Trochę mnie to... poruszyło. Nie zabiłem go. Ale prawdopodobnie by do tego doszło, gdyby mnie w porę nie odciągnięto. Skazali mnie na rok pracy w łańcuchach. I trzysta batów.

- Kto umarł?

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Co?

- O czyjej śmierci zawiadamiał list? przez chwilę myślała, że nie odpowie.

- Na imię miała Caroline - powiedział wreszcie. - Caroline Reardon. Miała zostać moją żoną. Umarła przy porodzie.

Huk wodospadu stał się nagle zbyt głośny, a powietrze tak przesycone wilgocią, że trudno było oddychać.

- Przykro mi.

Pokręcił głową.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Dziecko, które nosiła, nie było moje.

- Nie zaczekała na pana?

Przez chwilę milczał z opuszczoną głową, patrząc na białą wirującą wodę, opadającą ze skał.

- Powiedziałem jej, żeby nie czekała. Kiedy wydano wyrok i skazano mnie na zesłanie, powiedziałem jej, żeby myślała o mnie jak o umarłym. - Kopnął mały kamyczek, który poturlał się w dół i z pluskiem wpadł do wody. - Nie chciała mnie słuchać. Była wściekła, że coś takiego sugeruję. Powiedziała, że będzie czekać. Jeśli trzeba, przez całe życie.

- Ale nie czekała.

Uniosł wzrok na wysoki pień pokrytego mchem eukaliptusa, który rósł po przeciwnej stronie strumienia, gruby i majestatyczny, wznoszący się na wysokość jakichś trzystu metrów.

- Przyszła mnie odwiedzić, zanim nas przewieziono do Anglii, a potem tutaj. Mówiła, że poznała mężczyznę, który ją pokochał i z którym może być szczęśliwa. Chciała mi o nim opowiedzieć. Uważała, że jest mi to winna, chociaż Bóg jeden wie, jak trudno jej to uczynić.

- Myślę, że panu było jeszcze trudniej.

Oparł się plecami o głaz, na którym siedziała. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Miała swoje własne życie. - Nie patrzył na Jessie. - Nie było powodu, by marnowała je sobie z mego powodu.

Był teraz tak blisko, wystarczyło, by wyciągnęła rękę. Pragnęła go dotknąć i pocieszyć. Patrzyła, jak na jego wargach pojawia się blady smutny uśmiech.

- Powiedziała, że mnie kocha, że zawsze będzie mnie kochać ale że ja nigdy nie kochałem jej tak, jak tego pragnęła. Bo gdybym ją naprawdę kochał, bardziej niż własny honor i życie, nie zrobiłbym tego, co uczyniłem.

- To niesprawiedliwe.

- Nie? - Spojrzał na nią przenikliwie. - Miała rację. Kochałem ją, ale nie tak mocno, by zrezygnować z tego, co uważałem za swoją powinność.

Wtedy zrozumiała, że skoro to, co zrobił, nie pozwoli mu na uzyskanie prawa łaski, musiało to być coś znacznie gorszego niż przynależność do nielegalnych stowarzyszeń i próba zabicia nadzorcy Leo Lamba. I wiedziała, że nie jest gotowa, by o tym słuchać.

- Mężczyzna, którego poślubiła Caroline - mówił, patrząc na Jessie - był ogromny. I jego dziecko także było olbrzymie. Zbyt duże dla niej. Ona była słaba i wątła. Trochę podobna do pani, tylko że jej włosy miały raczej barwę jesiennych liści, a nie płynnego złota w świetle poranku.

Czuła na włosach jego spojrzenie, pełne ciepła i tęsknoty. Przez chwilę wydawało jej się, że ich dotknie i odgarnie łok opadający na szyję. Ale przecież on nigdy nie dotknie jej włosów, tak samo jak nigdy nie pocałuje jej ust, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła. A pragnęła tego z całej mocy. Chciała poczuć jego dotyk, poznać jego pocałunki. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek do tej pory.

- To nie była pańska wina - powiedziała cicho.

Zaniknął oczy i westchnął głęboko.

- Nie? Gdybym nie zrobił tego wszystkiego, gdyby mnie nie zesłali, nosiłaby moje dziecko i nie umarłaby przy porodzie.

- Nie wiadomo.

Znów na nią spojrzął, wyrażając cały swój ból i poczucie winy, które dotychczas skrywał.

- Nie wiadomo?

Wyciągnęła rękę. Musiała go dotknąć i pocieszyć. Pogłaskała go po policzku. Poczowała kilkudniowy zarost i gładkość ciepłej skóry.

17

Był to niezręczny pocałunek, niewinne muśnięcie wargami. Ale jego usta były takie ciepłe i słodkie i poruszyły się łagodnie pod jej wargami. Usłyszała, że odchrząknął, i poczuła jego dłonie na ramionach. A potem rozchylił usta i pocałował ją w sposób, o jakim nie miała pojęcia.

Nie miała pojęcia, że... usta mężczyzny, które sprawiają wrażenie takich twardych, mogą być tak delikatne i że ich dotyki może być taki cudowny. Nie miała pojęcia, że podczas pocałunku mężczyzna wsuwa język do ust kobiety i że jest to tak grzesznie rozkoszne. Nie miała pojęcia, że pocałunek może pozbawić tchu, rozpalic krew i obudzić bolesne pragnienie.

Zacisnęła pięści na jego koszuli. Przygarniając go do siebie, poczuła twardość jego mięśni na ramionach i plecach. Huk wodospadu ogłuszał ją, rozpryskująca się woda zwilżała jej twarz, ale ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej świat zawęził się do gorącego ciała mężczyzny i magicznego dotyku jego ust. A potem on odsunął się i ten świat runął w gruzach.

- Nie - powiedziała i objęła go mocniej, z trudem wydobywając głos. - Nie przepraszaj mnie. I nie waż się mówić, że W pomyłka.

Zobaczyła brudę na jego policzku. Pojawiła się i zniknęła wraz z uśmiechem.

- Dobrze. Ale chyba trochę pani przesadziła z tymi zakazami. panno Corbett.

- Nie nazywaj mnie tak - powiedziała i uśmiechnęła się na widok jego uniesionych brwi. - Mów mi Jessie.

Odgarnął potargany kosmyk włosów z jej twarzy. Jego zgrubiałe od pracy palce były delikatne i nieco drżały.

To niebezpieczna granica.

Ale chyba po twoim pocałunku...

Roześmiał się na to, a ów śmiech zabrzmiał gardłowo, wyzywająco i erotycznie. Spozrzęła iskierkę w jego szmaragdowych oczach. Przez jedną szaloną chwilę myślała, że znów ją pocałuje, on jednak odsunął się od niej i zadarłszy głowę, spojrział na spieniony wodospad.

- Bez względu na to, czy chcesz tego słuchać, czy nie, to prawda, dziewczyno. Popełniliśmy dzisiaj wielki błąd.

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, lecz uznała, że on ma rację. Skąd miała wiedzieć? Skąd miała wiedzieć, że jeden pocałunek jej nie zaspokoi? Że tylko obudzi większy głód i pozostawi ją rozdygotaną i boleśnie rozpaloną?

- Wiesz, co by ze mną zrobili, prawda? - spytał. - Twój brat i pan Harrison, cholerny sędzia okręgowy Tate, gdyby się dowiedzieli, że odważyłem się ciebie tknąć, nie mówiąc już o pocałunkach.

- Nic by... Harrison nie...

Zwrócił się ku niej i pochwyił jej spojrzenie. Jego twarz i oczy miały twarde i przerażający wyraz.

- Owszem, zrobiłby to. I ty dobrze o tym wiesz.

Przycisnęła pięść do piersi, jakby chciała powstrzymać bolesne łkanie.

- Może się mylisz. Może petycja mego brata zostanie przychylnie rozpatrzona.

- Może - rzekł wyraźnie bez wiary. - A na razie, panno Corbett, lepiej będzie, jeżeli zrezygnuje pani z konnych przejażdżek.

Wiatr zaszeleścił w koronach drzew.

Mogę się od niego trzymać z daleka, pomyślała.

Dzień, a może dwa.

Zatrzymała konia przed stajnią. Słyszac ryk osła, obejrzała się zdziwiona.

- Warrick - powiedziała ze śmiechem, zsuwając się z siodła. Brat wjechał na podwórze, prowadząc ciemnobrązowego osła który niechętnie włókł się w tyle. - Po co ci ten osioł? - spytała. Nagle dostrzegła ciemny nieruchomy kształt, przywiązany do grzbietu zwierzęcia, i śmiech zamarł na jej ustach.

Spojrzała w milczeniu na Gallaghera, ale on przybrał ów twarde wyraz twarzy, który zawsze wprawiał ją w zakłopotanie może dlatego, że przypominał jej o tym wszystkim, co ów człowiek musiał wycierpieć.

- Nie patrz na niego, Jessie - powiedział Warrick, przechylając się na siodle, by rzucić Gallagherowi lejce osiołka. Dopiero po chwili zrozumiała, że brat mówi o trupie.

- Zabiłeś go? - spytała, odwracając wzrok od wełnistych włosów czarnoskórego mężczyzny. Ten Murzyn ją przerażał, a przecież nic jej nie zrobił. To niesprawiedliwe, że został uśmiercony. Że musiał skończyć w taki sposób i teraz, twarzą w dół, przerzucony przez grzbiet osła.

- Nie żył, gdy go znalazłem - powiedział Warrick i zwrócił się do Irlandczyka. - Zanieś ciało do kaplicy. Jutro rano znaję kogoś, kto go pochowa.

- Ja wykopię grób - powiedział Gallagher bezbarwnym głosem, który pasował do wyrazu jego twarzy i oczu.

Jessie starała się na niego nie patrzeć.

- Dobrze - zgodził się Warrick i ruszył w stronę domu, przestając o tym myśleć.

Wtedy Jessie rzuciła okiem na Gallaghera, bo nie mogła odejść, nie spojrzawszy na niego jeszcze raz. Popatrzyła mu w oczy, ale nic z nich nie wyczytała. Nic a nic.

Pośpieszyła za bratem, unosząc długą spódnicę do konnej jazdy.

- Warricku, zaczekaj! - zawołała. Dogoniła go, gdy przystanął, aby otworzyć furtkę do ogrodu. - Pamiętasz o petycji do gubernatora? W sprawie Gallaghera?

- Nie mówiłem ci? - Popatrzył na nią zdziwiony.

Pokręciła głową.

- Nic mi nie mówiłeś.

- Poprosiłem Harrisona, by się tym zajął zamiast mnie. Ale twierdzi, że Gallagher dokona żywota w łańcuchach, choćby nawet wyratował samą królową.

Jessie zamarła.

- Ale... skąd on to może wiedzieć?

Warrick wzruszył ramionami.

Wszystko jest w dokumentach. Harrison je przeglądał.

Chwyliła brata za rękaw, próbując go zatrzymać.

- Dlaczego Harrison przeglądał papiery Gallaghera?

Zdawała sobie sprawę, że Warrick patrzy na nią podejrzliwie, ale nie dbała o to.

- Myślę, że po prostu przez ciekawość. Jest sędzią okręgowym, prawda? Jest odpowiedzialny za wszystkich skazańców w okolicy.

Puściła rękaw brata.

A więc Lucas Gallagher miał rację. Gubernator nigdy go nie ułaskawi. Siłą woli opanowała chęć obejrzenia się w kierunku stajni.

Słońce chyliło się nad horyzontem i obłoki zaczynały nabierać różowego odcienia. Wkrótce zapadnie mrok. Jessie pomyślała o żelaznych drzwiach, które zatrzasną się z hukiem, zamykając skazańców w baraku. Pomyślała o wszystkich nocach, które Gallagher spędzi w zamknięciu w ciągu nadchodzących lat, i poczuła rozpacz nie do zniesienia.

A potem pomyślała o jutrzejszym dniu i o następnym, o wszystkich dniach, które nadejdą. Dniach wypełnionych pokusą i niebezpieczeństwem, kiedy będzie go widywała w stajni. Poczuła strach tak przemożny, że z trudem chwytała oddech.

Bała się nie tylko o niego, ale i o siebie.

Lucas nabrał na łopatę ciemną ziemię i odrzucił ją za siebie na stożkowaty wzgórek. Nabrać i odrzucić, nabrać i odrzucić, dobrze znana kolej rzeczy. W ciągu minionych trzech lat wykopał wiele rowów. Niejeden rów i niejeden grób.

Przerwał na chwilę pracę i spojrzał na pędzone wiatrem ciężkie burzowe chmury. A potem znów wbił łopatę w ziemię, napinając mięśnie nagich ramion. Dół nie był jeszcze wystarczająco głęboki, a nie wiadomo, kiedy zacznie się deszcz. Od strony wzgórza powiał wiatr, chłodząc spocone plecy. Nagle Lucas poczuł, że Jesmonda jest w pobliżu.

Wyprostował się powoli i zobaczył ją pod drzewem, kilka metrów od krawędzi dołu. Miała na sobie suknię barwy czerwonego wina w białe paski, z podkreślonym stanem i szerokim koronkowym kołnierzem, który uwydatniał kształt jej pełnego biustu. Poczul gwałtowny przypływ żądy, a potem złość.

- Przecież uzgodniliśmy, że ma się pani trzymać z daleka ode mnie - powiedział, wracając do kopania.

- Miałaś rację co do twego ułaskawienia.

Na chwilę przerwał rytm pracy, zdradzając chwilowy zawód. A przecież wiedział. Dobrze wiedział.

- Tym bardziej powinna się pani trzymać z daleka ode mnie - rzekł ochryplym głosem.

- Muszę pojechać na Przylądek Ostatniej Szansy. - Podeszła do starego cedru, który wznosił się pośród prostych drewnianych krzyży na cmentarzu skazańców. Spojrzała na Lucasa i splonęła rumieńcem.

- Na przylądek? - Oparł łokieć na trzonku łopaty i odgarnął włosy z czoła. - Spoglądała pani w niebo?

Nie patrzyła w niebo. Patrzyła na niego.

- Przykro mi z powodu twego przyjaciela.

Wrócił do kopania.

- Parker nie był mi szczególnie bliski. Po prostu znałem go i szanowałem. - Zerknął na nią. - Jest pani zaskoczona, że można szanować byłego niewolnika ubranego w skóry kangurów?

- Nie. - Pokręciła głową. Jej oczy pociemniały od emocji, której nie potrafił odgadnąć. - Słyszałam, co mu powiedziałeś tamtego dnia na polance: że zbiegli skazańcy powinni opuścić tę wyspę. Najwyraźniej rozważyłaś ten pomysł.

- Nic dziwnego - prychnął. - Zna pani skazańca, który nie myślałby o ucieczce?

- Ale z tobą jest inaczej. Ty naprawdę spróbujesz uciec, prawda?

Wyprostował się powoli i spojrzał na Jessie.

- Wczoraj wieczorem poczułam, co to znaczy być skazańcem i wiedzieć, że nigdy nie odzyska się wolności. - Oparła rękę na pobliskim krzyżu. Opuściła głowę i utkwiała wzrok w swojej dłoni. - Dawniej nie rozumiałam, dlaczego ludzie w rodzaju Parkera Jonesa podejmują tak wielkie ryzyko, usiłując uciec. Ale teraz... - Spojrzała mu prosto w oczy. - Teraz wydaje mi się, że rozumiem.

- Właściwie do czego ma prowadzić ta rozmowa, panno Corbett?

Opuściła rękę wzdłuż boku.

- Prosiłam, żebyś mnie tak nie nazywał... kiedy jesteśmy sami.

Oparł dłonie na trawie, wyszedł z dołu i stanął obok niej.

- Wyobrażasz sobie, że pozwalając mi zwracać się do ciebie po imieniu, uczynisz moją sytuację mniej upokarzającą? A może w ten sposób łatwiej ci jest udawać, że nie ma pomiędzy nami bariery?

Patrzył, jak z jej twarzy odpływa krew.

- Nie mam zamiaru cię upokarzać.

- Akurat.

- Nie rozumiesz, że kiedy na ciebie patrzę, nie widzę skazańca - powiedziała, podchodząc bliżej. - Widzę mężczyznę. I to od dawna. Zwrócił się ku niej. Lśniąc od potu pierś zafalowała, gdy zaczerpnął powietrza.

- Jestem skazańcem. I nic tego nie zmieni. Nawet śmierć. - Wskazał ręką na szereg krzyży. - Spójrz na nie.

Stała obok niego, dumnie wyprostowana. Wiatr rozwiewał jej włosy wokół poblądłej twarzy.

- A ja jestem Angielką. Co widzisz, kiedy na mnie patrzysz? Nagle jego gniew opadł. Drżącą dłonią odgarnął jej włosy i zatknął je za ucho.

- Widzę ciebie - powiedział łagodnie. - Tylko ciebie.

Musnął palcami policzek Jessie i zobaczył, że dziewczyna drży i wstrzymuje oddech. Zaprzagnął...

Zapraǳnął chwycić ją w ramiona i przyciągnąć do siebie jej młode jędrne ciało. Chciał wtulić twarz w jej włosy i wdychać słodką woń. Chciał smakować jej usta i czuć pod palcami gładkość skóry. Pragnął jej na wszelkie sposoby, na jakie mężczyzna może pragnąć kobiety, a przecież wiedział, że nigdy jej nie posiadzie.

- Na miłość boską... - Z trudem zdołał się od niej odsunąć. .. Poproś brata, żeby przydzielił ci innego stajennego.

- Nie mogę. - Pokręciła głową. - Wiesz dlaczego.

Roześmiał się ochryple i podparł ręce na biodrach.

- Sądzisz, że twoja rodzina i znajomi nie zaaprobują znajomości z Genowefą Strzelecki. To jak zareagowaliby na wiadomość, że upadałaś tak nisko, by całować się ze stajennym, który jest w dodatku irlandzkim skazańcem?

- To się już nigdy nie powtórzy - powiedziała, spoglądając na niego wielkimi oczami.

- A jeśli się powtórzy?

- Nigdy - odparła szybko. Zbyt szybko.

18

Jesmonda siedziała przy oknie w kuchni Genowefy, trzymając kubek gorącego jabłecznika. Wzrok utkwiała daleko, w ciemnych wodach Blackhaven Bay. Było wczesne popołudnie, ale nadciągająca burza sprawiła, że zrobiło się ciemno jak o zmroku. Silny wiatr rozkołysał morze i z furją targał drzewami wokół domku.

Genowefa podniosła kubek do ust i napiła się jabłecznika, spoglądając w zamyśleniu na dziewczynę. Jessie wydawała jej się dzisiaj jakaś inna. Jej oczy lśniły, policzki powlekał rumieniec, a ruchy były szybkie i niespokojne.

- Co się z tobą dzieje, Jessie? - zapytała Genowefa, bujając się na skrzypiącym fotelu na biegunach.

Dziewczyna spojrzała na nią spłoszona.

- To takie widoczne?

- Dzisiejsza pogoda nie sprzyja konnym przejazdówkom.

Jessie znów utkwiała wzrok w statkach kotwiczących w zatoce. Ich nagie maszty kołysały się na szarym niebie. Deszcz jeszcze się nie zaczął, ale wisiał w ciężkim powietrzu.

- Lubię patrzeć na burzę na morzu. Czuję się wtedy taka... pełna życia.

- Ale nie dlatego tu przyjechałaś, prawda?

Jessie westchnęła ciężko.

- Nie. - Wygładziła dłonią spódnice do konnej jazdy. - Harrison mnie pocałował.

- Aha. - Genowefa uśmiechnęła się. - A więc o to chodzi. Myślałam, że całował cię już wcześniej.

- To prawda. - Jessie spuściła głowę. - Ale... nie w taki sposób. Ja... - Przełknęła ślinę. - Nie było mi przyjemnie.

- Och, Jessie.

- Mama mówi, że mężczyźni odczuwają silniejszą namiętność a kobiety muszą po prostu znosić fizyczny aspekt miłości. Ale to nieprawda. Ja wiem, że jest inaczej.

Deszcz zabębnił o szyby, spadły pierwsze wielkie krople.

- Jest ktoś inny? - spytała Genowefa, nagle zrozumiawszy skąd się bierze wewnętrzny blask przyjaciółki.

Jessie powoli skinęła głową.

- Ktoś nieodpowiedni?

- Bardzo - odparła dziewczyna i uśmiechnęła się smutno.

- Kochasz go?

- Nie. Jakżebym mogła? Prawie go nie znam. - Westchnęła gwałtownie. - To znaczy...

- Ale się z nim całowałaś?

Jessie milczała, lecz na jej twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech. A potem uśmiech zniknął.

- Jest żonaty? - spytała Genowefa.

- Nie. Jest jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Nie ma mowy, by coś nas mogło połączyć. Nawet przyjaźń.

W kuchni pociemniało, po szybach spływały strugi deszczu.

- Więc, o co... - Genowefa odstawiła kubek. - Ach, Harrison. To jest twój problem, tak?

Dziewczyna skinęła głową.

- Czuję się okropnie. Harrison na to nie zasługuje, ale przecież ja tego nie chciałam. To się po prostu... stało.

- Serce rządzi się swymi własnymi prawami, Jessie. Żadna kobieta nie może zdecydować, kogo pokocha, a kogo nie będzie kochała. - Wiatr niósł z oddali odgłos bicia dzwonów. - Co to może być? - zaczęła Genowefa i uniosła się z fotela.

Drzwi do kuchni otworzyły się z impetem.

Na progu stanął stary Michael, skazaniec, który odbył już swoją karę, a teraz wykonywał dla Genowefy różne prace

gospodarze. Jego ubranie ociekało wodą. Twarz miał pobladła z przerażenia.

- W zatoczce jest statek! - powiedział zadyszany. - Zerwał się z kotwicy i wiatr znosi go na skały przyładka.

Plażę nad zatoczką zalewały ciemne fale. Musieli nadłożyć drogi, by dotrzeć na miejsce. Gallagher powoził małym wozem Genowefy, wyładowanym butelkami z gorącym jabłecznikiem i z ciepłą zupą oraz kocami zawiniętymi w ceratę.

Na plaży byli już inni ludzie. Okutane w płaszcze sylwetki, odcinające się na tle rozszalałego morza i niskiego ołowianego nieba.

- O, Boże! - krzyknęła Jessie, trzymając się wozu, gdy przerażony koń zatrzymał się na mokrym piasku. - Spójrz.

Statek okazał się niewielkim keczem o gładkim kadłubie i poszarpanych żaglach. Pokład był nachylony pod dziwnym kątem, bo dziób uderzył w skały w odległości jakichś trzystu jardów od brzegu. Siła uderzenia była tak wielka, że zadarła przód statku. Dziób kecza sterczał niemal pionowo w górę, a rufa zniknęła pod wodą. Tylną część pokładu obmywały spienione fale, rozbijające się o burty.

- Może jednak nie zatonie - powiedziała Genowefa.

- Kadłub został przedziurawiony! - zawołał Gallagher, zeskakując z kozła, by pomóc jej zsiść. Z trudem przekrzykiwał świst wiatru i huk fal. - Teraz na powierzchni utrzymują go skały. Ale to długo nie potrwa. Gdy fale zniosą go ze skał, pójdzie na dno.

Odwrócił się do Jessie, która patrzyła na jego wyrazistą twarz, zalaną rześnistym deszczem. Wyciągnął ręce, złapał dziewczynę w talii, uniósł z wozu i postawił na ziemi. Kiedy oparła dłonie na jego ramionach, ich wzrok skrzyżował się na chwilę i przepłynął pomiędzy nimi niewidoczny strumień energii. Stanąwszy na ziemi, Jessie cofnęła się o krok, opuściła ręce i spojrzała na statek.

- Ile czasu zostało, zanim zsunie się ze skał? - spytała.

Lucas wzruszył ramionami.

- Piętnaście minut. Może dwadzieścia.

Genowefa spostrzegła swego znajomego, Jacka Carpentera szynkarza z piwiarni Czarny Koń, i podeszła, chcąc z nim porozmawiać. Jessie ruszyła w ich stronę przez mokry piasek plaży, przytrzymując dłonią kaptur.

- Ilu ludzi jest na statku? - spytała Genowefa, przekrzykując wiatr. - Nie wiecie?

Jack nachylił się nad nią, mrużąc szare oczy. Był to mężczyzna w średnim wieku. Jego szeroka twarz i bokobrody były mokre od deszczu.

- Czworo. Jeden marynarz i troje dzieci.

- Dzieci - powtórzyła Jessie, przystając obok Genowefy.

- Tak. Ich rodzice przypłynęli do brzegu, by zrobić zakupy. Zatoka była bardzo wzburzona, więc uznali, że bezpieczniej będzie zostawić dzieci na pokładzie kecza. O, tam jest ich ojciec - powiedział Carpenter, wskazując w stronę zatoczki. - Na szalupie, razem z kapitanem statku.

Jessie spojrzała na morze i dostrzegła szalupę, kołyszącą się na wzburzonej wodzie w pobliżu przyładka. Sześciu wioślarzy zmagало się z żywiołem, starając się utrzymać kierunek. Na dziobie łodzi widać było dwóch mężczyzn, uwijających się z czerpakami. Ale Jessie widziała, że głęboko zanurzona szalupa nabiera wody zbyt szybko.

- Znosi ich na brzeg - powiedziała. - Rozminą się ze statkiem.

- Rozminą? - powtórzył Gallagher, podchodząc do nich. - 1 Matko Boska, rozbiją się o skały.

Zdziwiła się, skąd on wie, gdzie są podwodne skały, skoro j ona, spędziwszy tyle czasu nad zatoczką, nie ma o tym pojęcia. Nagle szalupa uderzyła w skały, wzniesając pióropusz spienionej wody, na tle szarego, przeciętego błyskawicą nieba. Ludzie wpadli do morza, gdzie wyglądali jak ciemne punkciki na tle bieli spienionych fal.

- Ben! - rozległ się rozpaczliwy krzyk kobiety. Jessie obejrzała się i ujrzała matkę trójki dzieci. Nieszczęsna kobieta, zataczając się, szła wzdłuż brzegu. Wiatr rozwiewał wilgotne włosy wokół pobludłej twarzy. - O, Boże, nie! Ben!

Ktoś chwycił ją za ramiona i odciągnął do tyłu. Kilku przy-
----- się mężczyzn rzuciło się w odmęty na ratunek Marynarzom.

Widać dzieci - powiedziała Genowefa. - O, tam, na pokładzie.

Jessie spojrzała na kecz. Ciemne niebo rozświetliła błyskawica. Na jego tle zarysowały się drobne sylwetki zbitych w gromadkę dzieci, stojących obok relingu sterburty. Marynarza nie było widać.

- Będą musieli sprowadzić inną szalupę - rzekł Carpenter, gdy o burtę kecza rozbiła się wielka fala, rozpryskując się w wachlarz białej piany. Przeszyty skałami stateczek chwiał się i kołysał. Rozlegało się skrzypienie drewna. Dolny pokład zalewała spieniona woda. Szynkarz pokręcił głową. - Żeby tylko zdążyli na czas.

- Nie ma czasu - powiedział Gallagher, zrzucając płaszcz i kamizelkę. Deszcz przemoczył mu koszulę i teraz lepiła się do ciała. - Słuchajcie. Statek pęka.

- Co pan robi? - spytała Jessie, wpijając palce w jego umięśnione ramię, gdy schylony zdejmował buty.

Wyprostował się i spojrział na nią pociemniałymi oczami, tak że cofnęła rękę, a on zajął się rozwiązywaniem tasiemek koszuli.

- Popłynę do statku.

- Wykluczone! - zawołała głosem piskliwym z przerażenia. Deszcz zalewał jej oczy. - To niemożliwe. Zniesie pana na skały tak samo jak szalupę.

Ściągnął przez głowę zgrzebną koszulę skazańca i rzucił ją na buty.

- Nie sądzę.

- Nawet jeśli się panu uda dopłynąć do statku - Genowefa spojrzała na niego ze zdumieniem - to co pan zrobi? Sam z trójką dzieci i bez łodzi?

Gallagher stał, patrząc na nią z namysłem. Mokre włosy przylgnęły mu do głowy, woda ściekała po kościstych policzkach i brodzie, spływając na nagi, muskularny tors.

- Wezmę przynajmniej jedno dziecko i dopłynę z nim do brzegu.

- Nie uda się panu - powiedziała Jessie. Ze zdenerwowania rozbolał ją brzuch.

Westchnął głęboko.

- Przynajmniej spróbuję.

- Ale...

Zamknął jej usta szorstką dłonią. Oczy miał ciemne i dzikie twarz posępną. Wiatr się wznosił. Po ołowianym niebie przetoczył się grzmot. Przez chwilę zdawało jej się, że na całej plaży są tylko oni dwoje.

- Mogę umrzeć jak Parker - mówił tak cicho, że ledwie go słyszała - albo zginać, ratując tamte dzieci. - Musnął jej wargi palcami niemal pieszczotliwie. Jessie wydało się, że na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Jak myślisz, jaki koniec jest lepszy?

To rzekłszy, ruszył biegiem w stronę kipieli. Wygiął się w łuk i błysnął nagim torsem, nurkując w ścianę wody.

Ale zimna, pomyślał Lucas, wynurzając głowę i chwytając powietrze, lecz nie tak lodowata jak na północy, przy skalistych wybrzeżach Irlandii.

Szybko otrząsnął się z pierwszego wrażenia i rytmicznie pracując kończynami, sunął wśród wzburzonych fal. Wiatr i przypływ znosiły go z powrotem na brzeg, ale on spodziewał się tego i widział, że każda fala będzie jak wznoszący się mur, który należy sforsować. Widział ciemne postrzępione skały i słyszał huk rozbijającej się o nie wody. Silny prąd i wiry sprawiały, że znalazł się bliżej skarpy, niż powinien. Widział przed sobą kadłub statku, ale wiry, znoszące go na skały, stanowiły groźną pokusę. Ach, jak łatwo byłoby ze sobą skończyć...

Tylko że gdyby się teraz poddał, troje przerażonych dzieci poniosłoby straszliwą śmierć. Lucas dobrze wiedział, jak to jest być samotnym i wystraszone. Więc walczył. Z morzem i z pokusą, by zaprzestać wszelkich wysiłków i dać się pochłoniąć przez bałwany. Kecz był już bardzo blisko, jego gładki brązowy

kadłub kołysał się na falach. Lucas uniósł głowę, strząsnął z oczu włosy i wodę, skupiając zamglony od soli wzrok na drabinie wadzącej na pokład. Jeżeli nie trafi na drabinę, woda rzuci go na skały.

Z całej siły tłukł wodę. Huk fal, trzeszczenie statku i wycie wiatru całkowicie go ogłuszały. Morze wirowało zdradziecko, zasysając go w kierunku skał. Walczył rozpaczliwie. Zimna, słona woda zalewała mu oczy, wypełniała usta i zatykała nos. Przez jedną straszliwą chwilę wydawało mu się, że sobie nie poradzi. Ale wtedy prąd go wypuścił.

Chwycił najniższy szczebel drabinki. Powoli podciągał się w górę. Zimny wiatr wstrząsał jego ciałem. Mięśnie omdlały mu tak bardzo, że z trudem przelazł przez niski sztormreling. Dysząc ciężko, osunął się na śliski pokład. Wstał, pochylił się i oparłszy dłonie na udach, wykaszłał wodę.

- Proszę pana - usłyszał słaby głosik.

Uniósł głowę, z trudem chwytając oddech, i zobaczył przestraszone szare oczy w szczupłej twarzy jedenastoletniego lub dwunastoletniego chłopca. Obok niego stało drugie dziecko, dziewczynka, pewnie ośmioletnia, tuląc do siebie małą zapłakaną cztero- lub pięcioletkę. Starsza dziewczynka, podobnie jak brat, nie płakała i spoglądała na Lucasa z zadziwiającym opanowaniem.

- Proszę pana - powtórzył chłopiec, drżąc z zimna i przerażenia, które jednak nie malowało się na jego twarzy. - Czy pan nam pomoże?

Genowefa Strzelecki stała na brzegu w strugach deszczu i przyglądała się Jessie, wpatrującej się w swego stajennego.

Wysoka dziewczyna z rozwichrzonymi wilgotnymi włosami barwy złota, w spódnicy mokrej od deszczu i morskiej wody. Wielki spieniony grzywacz rozbił się o brzeg, opryskując ją słoną wodą, lecz ona nawet nie drgnęła, całkowicie skupiona na mężczyźnie, płynącym po pewną śmierć.

Oj, Jessie, myślała Genowefa, podchodząc do dziewczyny. On nie jest dla ciebie. Ten dziki Irlandczyk o ponurym wyglądzie i bez przyszłości.

Jessie chwyciła ją za rękę.

- Widzisz? Udało mu się. Udało mu się.
- Dopłynął do statku - powiedziała Genowefa, obejmując ją w pół. - Teraz będzie musiał wrócić na brzeg.

19

Ogromny bałwan rozbił się o burtę kecza, wznecając pióropusz piany i rozpylonej wody. Wilgotne deski pokładu u stóp Gallaghera załśniły złowieszczo. Ponad jego głową sterczały w niebo resztki masztu. Ponurą szarość przecięła błyskawica i rozległ się grzmot. Chłopiec zadarł głowę i z przerażenia wstrzymał oddech, bo takielunek grotmasztu runął w dół i gdyby stali bliżej, niechybnie by ich zabił.

- Statek się rozpada, prawda? - zapytał chłopiec.

- Tak - powiedział Lucas, chwytając go za chude przemarzniete ramię. - Jak ci na imię, synu?

- Taylor, proszę pana. Taylor Chantry.

Gallagher powiódł wzrokiem po zrujnowanym, zalanym deszczem pokładzie, na którym walał się strzaskany takielunek oraz połamane deski. Uderzenie o skały uwolniło z zamknięcia żywy inwentarz, więc rozlegało się gdakanie ptactwa. - Myślałem, że jest z wami marynarz.

- Był - odparł Taylor. - Gdy zerwał się łańcuch kotwiczny, wyskoczył przez burtę i usiłował dopłynąć do brzegu. Nie sądzę, by mu się udało.

- Przepraszam pana - odezwała się starsza dziewczynka, mrugając w strugach deszczu. - Ale jak pan nas zabierze na brzeg, skoro nie mamy łodzi?

- A ty jak masz na imię? - zapytał Lucas i zwrócił się do

niesz czymś, co miało przypominać uśmiech. Miała ciemnoblond włosy, tak jak młodsza siostrzyczka, oraz szpiczastą bródkę, jak brat. Była chuda, przemoknięta i zmarznięta. Wyglądało na to że nie przeżyje dłużej niż pół godziny.

- Mary - odparła.
- Ile masz lat, Mary?
- Osiem, proszę pana.

Lucas przykucnął i spojrzał w oczy dziecka. Wiatr targał włosy dziewczynki i chłostał zmęczone, obolałe ciało Lucasa

- Jesteś bardzo dzielna, maleńka. Ile lat ma twoja siostra?

Mary przygarnęła mocniej drżącą dziewczynkę.

- Cztery. Ma na imię Harriet.

- Mary, powiem ci, co mam zamiar zrobić. Spróbuję dopłynąć z wami do brzegu.

- Płynąć, proszę pana? Ale... - Broda Mary zadrżała. - Nie umiem pływać.

- Nie musisz. Ja popłynę, a ty i twoja siostra będziecie! przywiązane do moich pleców. - Co oznacza, że jeśli utonę, pociągnę was obie na dno, pomyślał. Cóż, bez niego dziewczynki i tak nie miały szansy przeżycia. - Będziesz musiała trzymać głowę nad wodą i pilnować, by Harriet nie zaciskała rączek wokół mojej szyi. - Pochwycił wystraszone spojrzenie dziewczynki i wytrzymał je. - Myślisz, że ci się to uda?

Zastanowiła się nad jego pytaniem. Lucas był dla niej pełen podziwu. Zerknął w stronę wybrzeża i dostrzegł słabe światło. Widocznie ludziom udało się rozpalic ogień. Słaby bo słaby, ale zawsze pomocny.

Mary westchnęła cicho.

- Mogę spróbować, proszę pana. Ale co będzie z Taylorem? Gallagher spojrzał na jej brata.
- Umiesz pływać?

Chłopiec z trudem przełknął ślinę.

- Tak, proszę pana.

O burtę rozbiła się wielka fala, zlewając ich wodą i niebezpiecznie kołysząc statkiem. Taylor aż się wzdygnął.

- Ale nie w takim wzburzonym morzu.

Lucas podniósł się i sięgnął po nóż przywiązany do łydki. Uciął nim spory kawałek wilgotnej liny.

- Posłuchaj mnie. Statek trzyma się na skale, która przebiła dno. Lada chwila któraś z fal zepchnie go na głęboką wodę. Wtedy pójdzie na dno. Tak czy inaczej wylądujesz w morzu. Me zechcesz zostać na statku, gdy będzie tonął.

- Chyba sobie nie poradzę, proszę pana - powiedział Taylor.

Szybkimi, wprawnymi ruchami Lucas obwiązał kawałkiem liny talię Harriet.

- Dobrze. Zabiorę siostry, a potem wrócę po ciebie.

Chłopiec bez słowa spojrzał na wzburzone, zbrzyzgane deszczem morze i na słabe światło na brzegu. Gwałtowne uderzenie wiatru targnęło statkiem, łopocąc zwisającym luźno żaglem i strącając resztę takielunku. Pokład pod ich stopami zapadał się z trzaskiem. Było jasne, że nawet jeśli Lucasowi wystarczy sił i wytrzymałości, by odbyć tę drogę dwukrotnie, kecz nie dotrwa do jego powrotu. Chłopiec zdawał się to rozumieć. Zaciśnął zęby i z trudem przełknął ślinę.

- Popłynę, proszę pana.

Lucas się schylił, aby Mary wpełzła mu na plecy.

- Pójdiesz pierwszy. My zejdziemy tuż za tobą.

Chłopiec przekroczył reling i szedł po drabince. Na najniższym szczeblu zatrzymał się. Fale lizały mu stopy. Spojrzał na Lucasa pociemniałymi ze strachu oczyma.

- Weź głęboki wdech i płyn - spokojnie powiedział Lucas.

Chłopiec uczeplił się drabinki. Palce mu zbieleły.

- Nie mogę!

Kecz zachwiał się i omal nie wrzucił Lucasa do wody.

- Możesz, Taylorze! Będę płynął tuż obok ciebie. Pomogę ci. Idź już.

Statek przechylił się znowu. Było jasne, że zsunął się ze skał i wolno unosi się na wodzie. Usłyszeli ryk wody, gwałtownie wpadającej do przedziurawionego kadłuba.

- Posłuchaj mnie, Taylorze. Musisz to zrobić! Natychmiast! Płyn!

Chłopiec rozpaczliwie nabrał powietrza w płuca, zacisnął powieki i wskoczył do wody.

Jesmonda Corbett stała na brzegu Zatoczki Rozbitków i patrzyła, jak kecz zsuwa się z zębatach skał, które go przedziurawiły. Nagle statek zachwiał się gwałtownie i zaczął tonać, a morze wdarło się do jego wnętrza. Z przerażającą szybkością zapadł się pod wodę, pozostawiając na powierzchni jedynie rozrzucone szczątki oraz dwie ciemne ludzkie sylwetki.

Jessie była przemoczona i zmarznięta, jej serce boleśnie tłukło się w piersi. Patrzyła, jak owe sylwetki przedzierają się poprzez rozszalałe morze. Rozpoznała ciemną głowę i silne ramiona które zatrzymywały się od czasu do czasu, by poczekać na mniejszy kształt. Chwilami traciła ich z oczu, gdy zapadali się w zagłębienie pomiędzy falami. Odgarniając z oczu mokre potargane włosy, wypatrywała, aż ponownie ukażą się na grzbiecie wznoszącej się fali.

Teraz byłoby mu łatwiej, myślała, bo płynie z wiatrem i przypływem, gdyby nie to, że na plecach ma dwoje dzieci i wciąż musi czekać na pozostające z tyłu trzecie dziecko. Szlachetność jego wyczynu zatykała jej dech w piersiach. Była z niego dumna, a jednocześnie czuła się dziwnie zawstydzona. Wiatr zawył i wyniósł na brzeg następną falę, która rozbiła się z hukiem, spryskując Jessie rozpyloną wodą. Poczowała na wargach słony smak i wiedziała, że owa sól pochodzi nie tylko z morza.

- Nie widzę ich - powiedziała stojąca obok niej Genowefa, wpatrując się w rozkołysany bezkres.

- Tam. - Jessie z radością wskazała ciemną postać, która wraz ze swym obciążeniem wynurzyła się z szarej spienionej, bijącej o brzeg wody. - Dzięki Bogu, jest cały.

Wypełniło ją dziwne uczucie, silne, nieznane i niezrozumiałe. Ktoś dorzucił drewna do ognia, który syczał i trzaskał, wypełniając słone powietrze dymem i wonią smoły. Ludzie z krzykiem rzucili się wzdłuż plaży, lecz Jessie czuła się tak, jakby była zupełnie sama. Sama pod nisko sunącymi chmurami, nad wzburzona

wodą zatoczki, z której wynurzał się mężczyzna. Wyczerpany, ściągniętą twarzą, ciężko oddychał, wynosząc z morza swoje obciążenie. Deszcz zalewał twarz Jessie i wsiąkał w jej ubranie. Morze ryczało. Zrobiła niepewny krok naprzód, ale już po chwili ruszyła biegiem przez fale, a jej serce dziko zabiło z radości. Długi zielony tren spódnicy unosił się na spienionej wodzie, wstrzymując ją w biegu. Była tak przejęta, że nie zwracała uwagi na okrzyki dobiegające z tyłu. Ktoś mocno chwycił ją za ramię i obrócił do siebie.

Zdumiona, spojrzała w niebieskie oczy Genowefy.

- Opamiętaj się, Jessie. Patrz na ciebie ludzie, którzy będą pamiętać i rozpowiadać.

Wielka fala spryskała je zimną wodą. Obok nich przebiegł, wykrzykując rozkazy, niski mężczyzna w mundurze oficera marynarki. Wokół tłoczyli się inni ludzie, uprzytamniając Jessie, kim jest i czego nie powinna robić. Wciągnęła w płuca zimne wilgotne powietrze i skinęła głową, przyznając rację Genowefie, nie pytając nawet, jak się domyśliła.

- Chłopiec jest tuż za mną - usłyszała drżący głos Gallaghera. - Pomóżcie mu. Szybko.

Jessie obejrzała się i zobaczyła, że kapitan odwiązuje kaszłącą, na wpół żywą dziewczynkę. Była to młodsza z sióstr, którą następnie podawano sobie z rąk do rąk, aż trafiła w ramiona łkającej matki.

Od strony wody doleciał ochrypły okrzyk, zwracając uwagę ludzi zebranych na plaży. Zza cypla wypływała szalupa należąca do brytyjskiej fregaty, stacjonującej w Blackhaven Bay. Nagle o brzeg rozbiła się ogromna fala, która zvaliła z nóg Gallaghera, nadal obciążonego starszą dziewczynką. Na szczęście podtrzymały go ręce zgromadzonych wokół ludzi, którzy szybko odwiązali drugą siostrę.

Gallagher wyszedł z wody i osunął się na piasek. Z trudem oddychał. Jego umięśnione plecy straciły brązową barwę, widoczne były blizny po razach batów.

Jessie patrzyła na niego, rozdzierana sprzecznymi doznaniem. Pragnęła otoczyć go ramionami, chciała poczuć go blisko siebie, ując jego wymizerowaną twarz i ucałować usta.

Pragnęła, by należał do niej.

Opanowując te niewłaściwe odruchy, zbliżyła się do miejsca, gdzie zgromadzono koce i rozgrzewające napoje. Ktoś narzucił już koc na ramiona Gallaghera, więc Jessie nalała gorącego jabłeczniaka do cynowego kubka i podała go Lucasowi.

- Masz - powiedziała, dotykając jego pochylonych pleców bo chyba tyle było jej wolno. Był to tylko naturalny ludzki odruch. - Wypij to.

Unióś głowę i spojrzaj na nią dzikimi pociemniałymi oczyma. Twarz miał zapadniętą, otwarte usta z trudem chwytały powietrze. Z rozciętego policzka sączyła się krew. Na żebrach widoczna była sina pręga. Prawdopodobnie uderzył się o skałę lub szczątki statku.

- Co z chłopcem? - zapytał ochryple. - Dopłynął?

I wtedy od strony ogniska doleciały do Jessie łkania kobiety.

- Taylor! Gdzie jest Taylor?

Gorący jabłeczniak chlusnął na piasek, gdy Gallagher zerwał się na nogi, zrzucając z ramion wilgotny koc. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w rozkołysane fale, gdzie kilku mężczyzn miało się, krzycząc do marynarzy w szalupie.

- Jezu! - powiedział ochryple i rzucił się do wody.

Jessie starała się go powstrzymać.

- Nie! Nie możesz tam wracać! Nie możesz!

Obejrzał się i zobaczyła w jego oczach taki ból, że straciła oddech.

- Nie rozumiesz - powiedział. - Obiecałem mu... Obiecałem chłopcu, że będę go pilnował. Płynął tuż za mną. Myślałem, że go wyciągnęli. Myślałem...

- Nie. - Pokręciła głową, rozpaczliwie pragnąc go pocieszyć, otoczyć go ramionami i przytulić jego głowę do piersi. Ale nie mogła tego uczynić, bo nie był jej mężczyzną. Był skazańcem, zesłanym z Irlandii. I wszyscy na nich patrzyli. - Próbowałeś. Ludzie z szalupy szukają go. I znajdują.

- Ja go znajdę - powiedział i nabrał powietrza w płuca.

Wbiegł w spienione fale, a ona mogła jedynie stać na brzegu i patrzeć.

Wydawało mu się, że szukał Taylora całą wieczność.

Zbyt długo walczył z falami przyływu. Zmęczone i przemarzete mięśnie nie chciały go słuchać. Słyszał okrzyki ludzi szalupy, którzy trudzili się nad tym samym beznadziejnym zadaniem. Nagle natrafił dłonią na zmierzwione włosy i miękkie, zimne ciało. Zbyt zimne. Gallagher przyciągnął chłopca do siebie i popłynął do brzegu.

Jesmonda Corbett czekała na niego, gdy zataczając się, wyniósł chude ciało chłopca, tuląc je do piersi, jakby to było niemowlę.

- Czy on... - wyjąkała i dotknęła dłonią bladego policzka chłopca.

Lucas zatoczył się i opadł na piasek. Czuł błogosławione odrętwienie.

- Nie żyje - powiedział.

20

Jessie stała obok trzech otwartych grobów. Wpatrzona w zatokę, słuchała łagodnego głosu pastora. Wiał lekki wiosenny wietrzyk, szeleszcząc wśród liści dębów porastających zbocze wzgórza i marszcząc powierzchnię morza w drobne falki, które skrzyły się niczym rozsypane diamenty. Straszliwe piękno groźnego niedawno morza przytłoczyło ją, więc odwróciła wzrok, by spojrzeć na Lucasa Gallaghera, który stał z opuszczoną głową, trzymając w dłoniach kapelusz. Przywiózł ją tutaj bryczką. Mężczyzna, który ryzykował życie, by ratować obce dzieci. Lecz był tylko jej stajennym, skazańcem, a więc stał teraz w należytej odległości, obok Genowefy. Patrząc na nich, Jessie zdała sobie sprawę, że jej jedynymi przyjaciółmi są ludzie, z którymi nie wolno jej się zadawać. W dodatku do mężczyzny żywiła uczucie znacznie silniejsze i bardziej niebezpieczne niż przyjaźń.

Zastanawiała się nad tym, jak do tego doszło, jak niechciana fascynacja zmieniła się w silne i głębokie uczucie. W coś, czemu jej serce nie mogło dłużej zaprzeczać.

Patrzyła na ciemne włosy, opadające na jego opalone czoło, na silne ścięgna szyi, które napinały się, gdy przełykał ślinę, na gładkie policzki i wyraźnie zarysowaną szczękę, i rozumiała, że kocha go bolesną zakazaną miłością. Gdy sobie to uświadomiła, nagle straciła oddech, a jej oczy zaszczyły łzami.

On nigdy nie będzie należał do niej tak, jak pragnęła. A pragnęła

go tak, jak kobieta może pragnąć mężczyzny. Chciała, by dzielił z nią życie, był przy niej, nie tylko teraz, ale zawsze. Pragnęła wspólnie z nim przeżywać wszystkie smutki i radości, doznać i z nim cudu złączenia, a potem rodzić i wychowywać jego dzieci. Chciała spędzić życie, poznając jego tajemnice, i zestarzeć się, patrząc na grę emocji na jego ukochanej twarzy. Chciała, marzyła o tym... ale żadne z jej pragnień nie mogło się ziścić, bo to, czego chciała, było zabronione, niemożliwe, niebezpieczne.

Żałowała, że nie może o tym wszystkim porozmawiać z Genowefą, lecz wczoraj nie było na to czasu. I wiedziała, że teraz musi być bardzo ostrożna, odwiedzając przyjaciółkę, ponieważ wielu ludzi zgromadzonych na plaży widziało, jak razem przybyły wozem Genowefy, a potem wspierały się wzajemnie podczas długiego oczekiwania na rozwój wypadków. Jessie żałowała, że nie potrafi podążać za głosem własnych pragnień, nie zważając na oczekiwania rodziny i towarzystwa. Lecz choć udawała, że się z nimi nie liczy, w gruncie rzeczy zależało jej na ich opinii.

- Odchodzimy w kwiecie życia - zabrzmiał niski głos pastora, wyrwijąc Jessie z zamyślenia.

Spojrzała na otwarte groby. Grzebano dzisiaj trzy ofiary. Bo marynarzowi, który usiłował dopłynąć do brzegu, nie udało się to, a jeden z wioślarzy z rozbitej szalupy uwiązał w skałach. Jego ciało znaleziono dopiero rankiem. Na Tasmanii przypadki nagłej śmierci zdarzają się dość często.

Po pogrzebie, gdy Jessie szykowała się, by z pomocą Gallaghera wsiąść do wysokiej bryczki, podszedł do nich ojciec pozostałych przy życiu dziewczynek. Był to łysiejący mężczyzna z resztkami ciemnych włosów i o chudej pociągłej twarzy, takiej jak u zmarłego syna. Chwycił dłoń Gallaghera w obie ręce i znów zaczął dziękować za uratowanie córeczek.

- Napisałem do gubernatora - zwrócił się do Jessie - prosząc o całkowite ułaskawienie dla pani człowieka. Takie bohaterstwo i poświęcenie nie mogą pozostać bez nagrody.

Dziewczyna dojrzała ironiczny błysk w oczach Lucasa, który wypowiedział grzeczne słowa podziękowania. Wiedziała, że nie zostanie ułaskawiony. I po raz kolejny zaczęła się zastanawiać,

co też uczynił ten człowiek, by zasłużyć na taką nieprzejednaną niechęć ze strony nieubłaganych przedstawicieli nacji, która podbiła jego wyspiarską ojczyznę.

Bryczka chwiała się i podskakiwała na nierównej drodze, wiodącej na szczyt wzgórza, gdzie łączyła się z traktem z zatoki Blackhaven. Lucas luźno trzymał lejce. Duże, okute żelazem koła wpadały w głębokie kałuże. Jedynymi śladami wczesniejszej burzy było błoto oraz świeża zieleń splukanych deszczem drzew gumowych i akacji. Mimo ciepłych promieni słońca Lucas czuł wewnętrzny chłód, jakby wciąż znajdował się w śmiertelnym uścisku wirów Zatoczki Rozbitków.

Na pewno było mu strasznie zimno, myślał, spoglądając na zdradliwe wody spokojnej teraz zatoczki. Ciekawe, czy był przerażony, czy też odnalazł spokój?

- Nie obwiniaj się - powiedziała łagodnie Jessie, gdy zjechali na główny trakt.

- Jak mogę się nie obwiniać? - zapytał, zwracając ku niej głowę. - Ten chłopiec mi ufał. A ja go zawiodłem. - Zdziwiły go własne słowa. Nie miał zamiaru wypowiedzieć ich głośno, ale dał się zaskoczyć. Nie spodziewał się, że Jessie tak dobrze odczyta jego myśli.

- Chłopiec wierzył, że mu pomożesz spróbować. Nic więcej mu nie obiecywałeś.

Spojrzał na ciemne, zbrzganiane pianą skały zatoczki. Oczywiście, ona ma rację, pomyślał, ale i tak nie poczuł się lepiej.

- Jeżeli chcesz tam teraz pojechać, mamy czas - powiedziała cicho. - To by ci dobrze zrobiło.

Zerknął na siedzącą obok kobietę. Trzymała się na dystans, plecty miała sztywno wyprostowane, dłonie w kosztownych rękawiczkach skromnie złożone na kolanach. Miała na sobie czarną żałobną suknię, którą ożywiały jedynie przypięta pod szyją mała złota spinka. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać młoda dama ze swoim służącym. Tylko że za każdym razem,

gdy ich wzrok się spotykał, na jej policzkach wykwiwały ciemne rumieńce.

Przez chwilę podziwiał linię jej policzka i pięknie wykrojonych ust, lecz była to z jego strony nieostrożność, bo żadne z nich nie mogło zaprzeczyć istnieniu pomiędzy nimi nieodpartego pociągu fizycznego. A Lucas był w tej chwili emocjonalnie poruszony i trudno mu było oprzeć się tęsknocie serca.

- Czy to będzie rozsądne? - zapytał ochrypłym głosem.

Jessie przełknęła ślinę, bawiac się szerokimi czarnymi wstążkami u szyi.

- Nikt sobie nic złego nie pomyśli, nawet jeżeli nas tam zobaczą - powiedziała, wpatrzona przed siebie.

- Nie to miałem na myśli.

Zwróciła ku niemu głowę. Oczy miała nieruchome i szeroko otwarte.

- Zmęczyło mnie ciągłe dostosowywanie się do tego, co inni ludzie uważają za rozsądne.

Wytrzymał jej wzrok. Uderzył lejcami po zadzie konia i skierował bryczkę w dół, na wąską rozjeżdżoną drogę prowadzącą do zatoczki. Nad roziskrzonym morzem pokrzykiwały mewy.

Zostawili bryczkę niedaleko ruin domu Grimesa i ruszyli piechotą przez wydmy.

Złocisty piasek plaży zaśmiecały szczątki kecza i odpadki wyrzucone przez burzę. Zbielałe od słońca kawałki drewna i ogromne kości wieloryba sąsiadowały z połamanymi deskami, resztkami takielunku i postrzępionym płótnem żaglowym, a wszystko pokryte było długimi wstęgami brunatnych wodorostów, panujących w promieniach ciepłego słońca. Czyściciele plaży już zrobili swoje, zabierając to, co miało jakąś wartość, ale morze jeszcze miesiącami będzie wyrzucać plony swego ponurego żniwa.

Jessie przysiadła na gładkim pniu drzewa gumowego i patrzyła, Jak Gallagher podchodzi do linii fal. Zatrzymał się, oparłszy dłonie na biodrach, i spod nasuniętego kapelusza spoglądał na

zatoczkę. Jessie boleśnie pragnęła podejść do niego, objąć go w tali i przycisnąć policzek do napiętych mięśni pleców. Ale mogła jedynie czekać, zaciskając dłoń na złotej spince, którą miała od dzieciństwa, i wspierać go swoją milczącą obecnością.

Czas płynął. Nad ich głowami pokrzykiwały mewy. Rytmicznie szumiały fale. Po chwili Jessie spostrzegła, że Lucas nie patrzy już na zatoczkę, tylko wpatruje się w piasek pod stopami.

- Nasz dom stał nad zatoczką - powiedział ze śpiewnym akcentem. - Podobną do tej. Tam także rozbił się niejeden statek

- Dlatego wiedziałeś, że kecz się rozleci? - spytała, obejmując ramionami kolana.

Unióśł głowę, więc mimo opuszczonego ronda kapelusza widziała jego twarz: dumny zarys nosa, oświetlony przez słońce policzek i podbródek.

- Kiedy statek jest nadmiernie przeciążony, wręgi wydają określone dźwięki. Każdy, kto spędził dużo czasu w pobliżu statków, zna tę muzykę.

- A ty spędziłeś dużo czasu w pobliżu statków?

Wzruszył ramionami.

- Mój ojciec był właścicielem stoczni w Irlandii. Dorastałem przy akompaniamencie muzyki morza i statków.

Odgarnęła z oczu pasmo włosów. Lucas znów zapatrzył się w morze, choć domyślała się, że teraz nie rozmyśla o wczorajszej tragedii, tylko wspomina rodzinne strony.

- Dlaczego gubernator nie chce cię ułaskawić? - spytała nagle.

Zesztywniał, a potem wziął głęboki oddech. To samo pytanie zadała mu owego popołudnia w puszczy, a on je zignorował. Teraz także nie spodziewała się odpowiedzi.

- Bo zabiłem człowieka - odparł głosem tak zimnym, że poczuła ciarki na plecach. - Nazywał się Nathan Fitzherbert. Był majorem brytyjskiej armii i kuzynem waszej młodej królowej, chociaż małżeństwo jego ojca nigdy nie zostało uznane przez, starego króla Jerzego.

Raptem w środku ciepłego wiosennego dnia zrobiło jej się zimno. Zadrżała. Bo zabiłem człowieka, powiedział. Bo zostałem skazany za zabicie człowieka...

- Zesłano cię za morderstwo? - spytała zdruzgotana.

- O, nie. - Pokręcił głową, a jego usta wykrzywił ironiczny grymas. Jessie zastanawiała się, czy kpi sobie z brytyjskiego systemu prawnego, czy też z samego siebie. Zapewne z jednego i z drugiego. - Jak już mówiłem, zostałem zesłany za udział w nielegalnym stowarzyszeniu. Nie mieli dowodów na to, że popełniłem morderstwo, więc musieli znaleźć jakiś inny pretekst, żeby mnie skazać.

- Dlaczego go zabiłeś?

Ironiczny uśmiech zgasł.

- Miałem swoje powody - powiedział twardo. - Nie żałuję, że to zrobiłem.

Od strony zatoczki powiał silniejszy chłodny wiatr. Lucas podszedł do pnia, na którym siedziała. Podniosła się, zakłopotana i pełna napięcia.

- Nie żałuję i gdybym musiał, zrobiłbym to jeszcze raz. - Stał naprzeciw niej i pochylił się z dziwnym, przerażającym błyskiem w oczach. - A więc sama pani widzi, panno Jesmondo Corbett z Zamku Corbetta, że powinna się pani trzymać z daleka ode mnie. Z wielu powodów.

- Nie wierzę, że mógłbyś mnie skrzywdzić - rzekła z bolesnym westchnieniem.

Zajrzał jej głęboko w oczy i na jego wargach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- A na czymże to opiera pani swe wygodne przypuszczenie?

Uniosła dumnie głowę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Na empirycznej obserwacji.

Roześmiał się, mrużąc oczy, i bruzda na lewym policzku stała się głębsza. Równocześnie ruszyli wzdłuż brzegu.

- Czy myślała pani o tym, by poprosić brata o przydzielenie innego stajennego? - zapytał po chwili.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wciąż sobie powtarzam, że mam już dwadzieścia lat, więc mogę opowiedzieć matce o mojej przyjaźni z Genowefą, ale za każdym razem, gdy wyobrażam sobie jej reakcję... - Przełknęła ślinę, nie mogąc na niego spojrzeć. - Jestem podłym tchórzem.

Dotarli do ujścia potoku i ruszyli w górę, w stronę porośniętych trawą wydm, gdzie zostawili bryczkę.

- Nie takim znów podłym. - Lucas uniósł głowę i przyglądał się ruinom pogorzeliiska. - Po prostu kocha pani matkę i pragnie, by ona panią kochała i była z pani dumna. Ta szczerłość może panią wiele kosztować. Sama pani musi zdecydować, czy prawda jest tego warta.

Znaleźli się w miejscu, które kiedyś było ogrodem. Wśród czarnych zwęglonych pni wił się bluszcz i inne pnącza. W pobliżu domu było zimniej. Zdawało się, że to miejsce spowija jakiś nienaturalny chłód, a także aura nieszczęścia i rozpacz.

- Czyj duch straszy w tych ruinach? - zapytał Lucas, przystając na początku spalonego ogrodu. Patrzył na mur, wznoszący się do wysokości dwóch pięter, i na poczerniały zapadnięty dach.

- Czujesz to? - spytała. - Ten chłód?

Skinął głową. Twarz miał napiętą. Jessie wciąż nie była przekonana o tym, że duchy istnieją, ale to miejsce zawsze ją niepokoiło. Teraz, patrząc na zmrużone oczy Lucasa, zrozumiała, że i on odczuwa podobny niepokój.

- Co się tutaj stało? - zapytał.

Na skraju ogrodu obok pękniętej fontanny rósł wiąz. Jessie podeszła bliżej i oparła dłoń na chłodnej korze. Wzrok utkwiła w poczerniałych kamieniach. Czasami, gdy odetchnęła głębiej, zdawało jej się, że wciąż czuje zapach dymu i słyszy strzelanie ognia.

- Dom został wybudowany przez człowieka o nazwisku Grimes. Matthew Grimes. Był wdowcem. Przybył tu z Sydney ze swoją córką jedynaczką, Claire. - Wypowiedziawszy jej imię, Jessie poczuła, że powietrze pochłaniało jeszcze bardziej. Wzdrygnęła się. - Miała szesnaście lat i była śliczna. Powiadano, że ojciec był jej bardzo oddany.

- Mówi to pani w taki sposób, jakby w to nie wierzyła.

Jessie wzruszyła ramionami.

- Był to bardzo twardy i ambitny mężczyzna. Chciał, aby jego siedziba została uznana za najwspanialszą na całej wyspie. Dlatego wybrał takie miejsce, żeby dom był widoczny z morza.

Sprowadził z Anglii dębowe schody, pochodzące z jakiegoś starego elżbietańskiego dworu. Były imponujące. Pamiętam, że je podziwiałam, kiedy ojciec zabrał mnie tutaj z wizytą.

Zamilkła, spodziewając się, że Lucas zechce coś powiedzieć. Ale milczał.

- Pewnego ranka służba znalazła Claire, leżącą na stopniach. Miała złamany kark. Jej ojciec twierdził, że widocznie wstała nocy i spadła ze schodów.

Podszedł bliżej i Jessie pomyślała, że jej dotknie.

- Były powody, by mu nie wierzyć? - zapytał.

Skinęła głową.

- Służba słyszała, że poprzedniego wieczoru strasznie się kłócili - Zdaje się, że Grimes odkrył, że Claire zakochała się w jednym z zatrudnionych w domu skazańców. Grimes groził, że go wypędzi. - Jessie nie mogła patrzeć na stojącego obok niej mężczyznę, lecz czuła jego obecność i emanującą z niego energię. - Wtedy Claire powiedziała ojcu, że nosi dziecko skazańca.

Poczuła na sobie twarde wzrok Lucasa.

- Więc ojciec ją zabił?

Oparła się plecami o pień wiazu.

- Nie wiadomo. Może ją uderzył i spadła ze schodów. A może ją zepchnął. Prawda nie mogła wyjść na jaw.

- A jednak stała się ogólnie znana - powiedział, przechylając głowę.

- Ludzie gadali. Ale Grimes był brutalnym, okrutnym człowiekiem i jego służba bała się mówić otwarcie.

Lucas postawił stopę na spękanej podstawie fontanny i oparł się łokciem na zgiętym kolanie.

- A co z kochankiem dziewczyny? - zapytał, wpatrując się w ruiny domu.

- Kilka dni potem Grimes oskarżył go o kradzież sreber.

- I?

- Został powieszony.

Zapanowało pełne napięcia milczenie. Jessie słyszała krzyki mew i szum morza.

- A jak spłonął dom? - zapytał w końcu Gallagher.

Jessie z trudem przełknęła ślinę. Miała boleśnie ściśnięte gardło.

- Dokładnie rok po śmierci skazańca dom stanął w płomieniach. Nikt nie wie dlaczego. Służba była zamknięta w piwnicy ale ktoś otworzył im drzwi, więc mogli uciec. Gdy wybiegli na zewnątrz, usłyszeli walenie w drzwi sypialni. Grimes był zamknięty od zewnątrz.

- Nie wypuścili go?

Jessie wpatrzyła się w poczerniałe otwory okienne. Pokręciła głową.

- Te stare dębowe schody paliły się jak pochodnia. Nie można było nic zrobić. - Tuż nad ich głowami jaskrawa papuga przeskakiwała z gałęzi na gałąź, skrzecząc donośnie. Jessie przyglądała się jej przez chwilę, zaciskając palce na korze drzewa. - Służba opowiadała, że pod koniec słyszeli, jak wołał córkę, błagając ją, by nie pozwoliła, aby jej kochanek go zabił.

Gallagher prychnął.

- Wcale go nie żałuję - powiedział. - A kto straszy w domu? Claire?

Jessie westchnęła boleśnie.

- Powiadają, że wszyscy troje. Smutek, który spowija domostwo, pochodzi od Claire, nienaturalny chłód od Matthew Grimesa. A gniew...

- Gniew pochodzi od skazańca - skończył za nią Gallagher. Zdjął stopę z obudowy fontanny i odwrócił się do Jessie.

- Tak - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Przez chwilę stali nieruchomo. Poprzez koronę kołyszącego się wiązu przeświecały promienie słońca. Sylwetka Lucasa odcinała się na tle złocistego popołudniowego nieba. Jessie przyglądała się temu szczupłemu, ciemnemu, przerażającemu mężczyźnie. Patrzyła na jego twarz, na zdecydowany zarys uniesionego dumnie podbródka. Zbyt dumnie jak na kogoś w jego sytuacji, pomyślała i poczuła w piersi bolesny niepokój. Westchnęła głęboko i znów rozpoznała ową nieuchwytną woń dymu i spalenizny. Zdziwiona, przygryzła dolną wargę.

I stwierdziła, że Lucas wpatruje się w jej usta.

W jego oczach pojawił się jakiś nowy wyraz, jakby echo emocji, które kłębiły się w jej sercu, gorące, dzikie, tłumione. Wiejący od morza wiatr wyduł jej spódnicę. Jessie zrobiła krok w kierunku Lucasa, a potem następny. Wysunął rękę, by ją powstrzymać, ale jego palce mocno splotły się z jej palcami i przyciągnął ją do siebie.

- To błąd - powiedział, przesuwając dłonie na jej biodra.

Objęła go za szyję.

- Wiem - odparła lub raczej chciała powiedzieć, ale poczuła jego dłonie na plecach, a usta na wargach.

po jej ciele rozeszło się złociste ciepło. Od razu straciła oddech, wolę i świadomość i cała roztopiła się w pocałunku i dotyku. Wpiła palce w mięśnie ramion Lucasa i lgnęła do niego ze wszystkich sił. Usłyszała zduszony jęk, rodzący się w jego gardle. Poczuła jego dłonie na biodrach i nacierającą na nią rozpaloną twardość. Ale to jej nie wystarczyło. Pragnęła, by ją pieścił i całował po całym ciele. Drżała, płonęła, boleśnie go pragnąc. I z przerażającą jasnością wiedziała, że dotyk, a nawet pocałunki już im nie wystarczą. Chciała, żeby ją posiadał, tak jak posiada kobietę pragnącą jej mężczyzna, nie myśląc o jutrze i o dalszych konsekwencjach.

- Boże - szepnął. - Tak bardzo cię pragnę. Chcę cię dotykać i całować... całą, calutką, caluteńką... - Zagłębił palce we włosach Jessie i odchylił jej głowę do tyłu, zsuwając z niej czepek, tak że zwiisał na tasiemkach. Całował kark dziewczyny, a ona czuła jego gorący oddech. Jego dłonie pieściły ją dziko, a potem nagle znieruchomiały.

Uniosł głowę i spojrzał na Jessie oczyma pociemniałymi od żączy i czegoś przypominającego gniew.

- To błąd - powiedział, dysząc gwałtownie.

- Przestań to powtarzać.

Wstrzymała oddech, czując jego dłoń na piersi.

- Nie rozumiesz? - zapytał niemal okrutnie. - Czy masz pojęcie, co to znaczy, gdy mężczyzna mówi, że pragnie kobiety? Wiesz, czego od ciebie chcę?

- Wiem.

Zacisnął dłoń na jej piersi. Obydwoje spojrzeli na jego opalone, pokryte bliznami palce, odcinające się na tle czarnego jedwabiu.

- Naprawdę? - zapytał z napięciem. - Czy wiesz, że kiedy mówię, że chcę cię dotykać, mam na myśli całą ciebie, wszystkie intymne miejsca, których nikt nigdy nie dotykał? To znaczy, że chcę się z tobą położyć w trawie, zadrzeć ci spódnice i poczuć pod rękami twoje nagie ciało. - Jego palce odnalazły brodawkę pod tkaniną sukni. Pieszczota była tak przeszywająca, że Jessie omal nie krzyknęła. Zauważył jej reakcję i uśmiechnął się z satysfakcją. - I kiedy mówię, że cię pragnę, panno Jesmondo Corbett z Zamku Corbetta, to znaczy, że chcę się w tobie zagłębić, twardy, brutalny i wygłodniały. Teraz. Tutaj. Bo jestem twardym człowiekiem i moje życie jest brutalne, a ty nie masz pojęcia, jaki spala mnie głód.

Był specjalnie szorstki, celowo starał się ją zrazić niewybrednymi słowami. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że to właśnie jego nieokrzesanie, jego mroczna, niebezpieczna i namiętna natura tak ją pociągają.

- Myślisz, że mnie odstraszysz - powiedziała. - Ale ja się nie boję.

- A powinnaś. Uwierz mi, panno Corbett. Powinnaś się mnie bać.

Pokręciła głową, przyciskając jego dłoń do swojej piersi jakże złąknionej pieszczoty.

- Nie boję się ciebie. Boję się zmarnowanego życia i tego, że się zupełnie zagubię w rozpoznawaniu oczekiwań innych co do mojej osoby. Tylko w twoim towarzystwie czuję, że jestem sobą.

Bruzda przy jego ustach pogłębiła się.

- To nie ty zasiadasz co wieczór do kolacji przy mahoniowym stole, nie ty sączysz szampana przy świecach, których blask tańczy na srebrach i kryształach?

Zaskoczyła ją gorycz brzmiąca w jego głosie.

- Jestem tam, ale ukryta. Boję się, że któregoś dnia w ogóle zniknę.

- Nie musisz wychodzić za swego Harrisona Tate'a - powiedział łagodnie.

Gwałtownym ruchem odsunęła się od Lucasa, skonsternowana tym, że ani przez chwilę nie pomyślała o narzeczonym. Wiedziała, że powinna czuć się winna, znajdując taką przyjemność w pocałunkach innego mężczyzny, w jego dotyku, w tym, że go kocha. Na wzmiankę o Harrisonie przepełniła ją bezbrzeźna rozpacz.

- Muszę - wyszeptwała. - Jestem mu obiecana od chwili narodzin. Dwa lata temu sama mu ślubowałam. On mnie kocha.

- A ty jego?

Odwróciła się, aby nie mógł dojrzeć jej oczu.

- Nie chcę go zranić - powiedziała.

- Nawet jeżeli poślubienie go miałoby zranić ciebie?

- Właśnie dlatego - uśmiechnęła się smutno - tak bardzo cię potrzebuję. Dzięki tobie zaczynam inaczej patrzeć na życie.

Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- A ten pociąg, który nas pcha do siebie? Czy znajdujesz dla niego miejsce w twoim życiu?

- Nie wiem - odparła, czując ból w sercu.

- Owszem, wiesz. Bez względu na to, czy wyjdiesz za Harrisona Tate'a, czy go nie poślubisz, pomiędzy nami zawsze coś będzie. - Wskazał głową poczerniałe ruiny. - Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Spostrzegli łądz dopiero wtedy, gdy opuścili zgliszcza i weszli na zarośniętą ścieżkę wiodącą wzdłuż potoku.

Wśród trzciny porastających ujście potoku leżała szalupa z karczki. Przewrócona do góry dnem, ukazywała zdruzgotany, pierwotnie biały kadłub, teraz wymazany błotem i brązowymi wodorostami.

- Spójrz - powiedziała Jessie, przystając na ścieżce i bez zastanowienia chwytając Lucasa za rękaw. - Kto by pomyślał, że burza przywlecze ją aż tutaj?

Powiał lekki wietrzyk. Zmarszczył powierzchnię potoku, zasumiał w trzcinach i łagodnie zakołysał szalupą. Jessie zdała sobie sprawę z tego, że stojący obok niej mężczyzna dziwnie znieruchomiał. Zerknęła na jego twarz i to, co z niej wyczytała, obudziło w niej wielki smutek i przerażenie.

21

Beatrice przebywała w swoim ogrodzie różanym. Za pomocą sekatora obcinała zbędne pędy i odkładała je do koszyka. Nagle w furtce od strony podwórza ukazała się Jessie.

- Jesmondo! - zawołała matka, unosząc głowę i spoglądając na córkę spod ronda słomkowego kapelusza, który zawsze nosiła podczas pracy w ogrodzie. - Chciałabym z tobą zamienić słówko, moja droga.

Jessie wahała się tylko przez chwilę, a potem podążyła do niej, mijając krzewy rozmaitych róż, które stanowiły największą radość i dumę Beatrice. W przeciwieństwie do dzieci róże rosły w całkowitej zgodzie z jej życzeniami. I rzadko umierały.

- Twój ogród pięknie się prezentuje - powiedziała Jessie, całując błądy policzek matki.

- Naprawdę? - Beatrice przerwała ścinanie kwiatów. Na jej wąskim arystokratycznym nosie pojawiła się lekka zmarszczka. Beatrice zezwalała swoim ogrodnikom na podlewanie róż i utrzymanie reszty ogrodu, ale zawsze się upierała, by własnoręcznie przycinać różane krzewy. - Muszę ci wyznać, że obawiam się, by nie pokryły się czarnymi plamami. Ostatnio tak wiele padało.

- Jestem przekonana, że twoje róże nigdy nie uległyby czemuś tak pospolitemu jak czarne plamy.

- Hmm - odparła Beatrice, szacując wzrokiem symetrię krzewu białej róży. - Zauważyłam, że powrót z pogrzebu zajął ci mnóstwo czasu.

Jessie nie odrywała wzroku od kwitnącego krzaka.

- Postanowiłam przejść się wzdłuż plaży.
- Podczas twojej nieobecności odwiedził mnie kapitan Boyd
- Kapitan Boyd? - powtórzyła szczerze zdumiona dziewczyna.

Na białe policzki Beatrice wystąpił lekki rumieniec, czyniąc ją młodszą i ładniejszą.

- Kapitan fregaty o nazwie „Repulse”. Wspomniał, że widział cię wczoraj nad zatoczką. Z tą kobietą.

- Masz na myśli Genowefę Strzelecki? - spytała Jessie lekkim beztruskim tonem, choć jej serce galopowało. Nie jestem już dzieckiem, napominała siebie. Nie można mnie zbić ani zamknąć o chlebie i wodzie w wieży. - Schroniłam się w jej domku, gdy nadeszła burza.

- Oj, Jesmondo. - Beatrice pokiwała głową i cmoknęła w charakterystyczny dla siebie sposób. - To nie jest odpowiednie dla ciebie towarzystwo. Nigdy się nie zastanawiasz, co o tobie powiedzą ludzie.

Wstążki kapelusza wydały się Jessie zbyt ciasne. Rozwiązała je niecierpliwym ruchem i zdjęła kapelusz.

- Wprost przeciwnie, mam, wciąż się martwię tym, co powiedzą ludzie. Skutek jest taki, że żyję w zgodzie z życzeniami innych, a nie z własnymi.

Beatrice przyglądała się córce z owym zagadkowym wyrazem twarzy, który Jessie dobrze znała z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości.

- Nigdy cię nie zrozumieję - powiedziała, wyginając zaciśnięte usta do dołu. - Może Harrison poprowadzi cię lepiej niż ja.

Na myśl o tym, że miałyby być „prowadzona” przez przyszłego męża, Jessie poczuła nagłą panikę. Powtarzała sobie, że Harrison ją kocha, co przecież oznacza, że akceptuje ją taką, jaka jest. Kiedyś w to wierzyła, ale teraz zaczęła się obawiać, że wcale tak nie jest i że poślubiwszy Harrisona, zamieni krytycyzm i niezadowolone matki na dezaprobatę męża.

Obejrzała się na dom.

- Gdzie jest Warrick? - spytała, aby zmienić temat rozmowy.

Doprawdy, Jesmondo. Roztrząsamy teraz ważki temat. Warrick odjechał zaraz po południu, aby oddać właścicielom tego dziwnego osła. Powiedziałam mu, że nie widzę powodu, dla którego nie miałyby tego zrobić któryś z pracowników, ale uparł się, że pojedzie osobiście. Wszystko wskazuje na to, że grosz nie ma poczucia godności, jakiego się oczekuje u posiadacza ziemskiego. Tylko popatrz - ciągnęła Beatrice jednolitym tonem, obcinając różane pędy. - Czarna plama. Zawsze miałam kłopoty z tym krzewem. Poważnie się zastanawiam, czy go nie usunąć.

Jessie czuła ciepłe promienie słońca, grzejące ją poprzez czarny jedwab sukni. Przyglądała się w milczeniu, jak matka rzuca się na krzak róży, chwilowo zapominając o kłopotach, jakie sprawiają dzieci. Nagle zdała sobie sprawę z dziwnego ciężaru uciskającego jej pierś, z bólu i ze smutku, jak po stracie czegoś, czego nigdy nie zazna. I choć poczucie owo towarzyszyło jej do końca dnia, wcale nie stało się bardziej zrozumiałe.

Chłopiec siedział na ceglany murze otaczającym małą zagrodę. Trzymał nóż oraz coś, co wyglądało jak drewniana rurka. Patrzył na przybysza, który zatrzymał kasztanowego wałacha przed drzwiami chaty. Z tyłu włókł się osioł, cicho porykujący.

Spod najeżonej strzechy złocistych włosów spoglądały na Warricka szeroko rozwarte, zaciekawione oczy. Chłopiec mógł mieć od trzynastu do siedemnastu lat. Jego szczupła, prawie dziewczęca twarz dziwnie nie pasowała do wzrostu. Nie uśmiechnął się ani nie poruszył.

- To ty jesteś Dicken?

- Tak. - Chłopiec znów zajął się kawałkiem drewna. Posługiwał się nożem szybko i sprawnie.

Patrząc na to, Warrick zastanawiał się, czy to nie ów chłopiec i jego nóż zakończyli życie Parkera Jonesa. Uniósł się w strzelonach i rozprostował plecy. Zatrzeszczało skórzane siodło.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies; ciepłe słońce oświetlało pobawione drzew zbocze wzgórza, wiatr przeczesywał trawę

- Twoja siostra jest gdzieś w pobliżu?
- Tak.

Warrick skierował wałacha w stronę muru, ciągnąc za nim osła

- Dziękuję za pożyczanie osła.

Przez krótką chwilę chłopiec spoglądał mu prosto w oczy, a potem wzruszył ramionami i wrócił do strugania rurki.

- Niech pan odwiąże linkę od jego uzdy i puści go wolno. Nie ucieknie.

- Nie wątpię - powiedział Warrick, odczepiając linkę. - To zwierzę zdecydowanie nie lubi się ruszać.

Chłopiec omal się nie uśmiechnął, ale zmienił zamiar. Zachowywał się tak, jakby wiedział, po co Warrick przyjechał i czego chce od jego siostry. I pewnie rzeczywiście wiedział.

Warrick ściągnął cugle i spróbował odwrócić wałacha w stronę strumienia, nad którym po raz pierwszy zobaczył dziewczynę; mając nadzieję, że znów ją tam spotka. I wtedy ją zobaczył.

Schodziła po usianym stokrotkami zboczu wzgórza, wznoszącym się za kamienną chatą. Wysoka, szczupła, o nieprawdopodobnie długich nogach, dumnie uniesionej głowie i włosach barwy morza o wschodzie słońca.

Gdy podjechał bliżej, uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Chwytał jej dłoń i wyczuł drobne kości pod złocistą skórą nadgarstka. Drugą ręką uniosła spódnicę ze znoszonej niebieskiej bawełny, postawiła bosą stopę na czubku buta Warricka i podciągnęła się z siłą zaskakującą u tak delikatnej osoby. Gdy sadowiła się za nim, zadarła jej się spódnica, ale jej nie poprawiła, tylko przycisnęła nagie kolana i uda do wygłodniałego ciała Warricka.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Tędy - powiedziała, wskazując ścieżkę prowadzącą w stronę morza. Nagle wsunęła rękę pod marynarkę Warricka i objęła go w pasie. Ten pieszczotliwy gest omal nie pozbawił go tchu.

Pojechali na wysoki, zarośnięty trawą klif, wznoszący się nad morzem, gdzie ład opadał stromo na trzy strony. Spojrzawszy dół na splukiwane falami skały, Warrick doznał zawrotu głowy.

- Tutaj? - zapytał.

Zsunęła się z konia i zakreśliła się wkoło, rozkładając ręce. Włosy i wyblakła spódnica wirowały wokół niej.

- Tutaj.

- Dlaczego tutaj? - zapytał, powoli zsiadając z siodła. Nie spuszczać z niej oczu, przywiązał wałacha do powykęcane go pnia eukaliptusa.

Wciąż się obracając, zbliżyła się do Warricka. Kuszące, rozgrzane słońcem kobiece ciało, bujne, jedwabiste włosy i lśniące oczy, które spojrzały prowokująco, gdy wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Dlatego, że kiedy tu jestem, czuję się jak na szczycie świata. - Uniosła ręce i uśmiechnęła się tajemniczo. Zaczęła rozpinąć sukienkę. - Przychodzę tu, gdy tylko mogę. Lubię się rozbierać i wylegiwać na słońcu.

Mówiąc to, zdjęła suknię przez nogi, ofiarowując mu swoje ciało: małe, wysoko osadzone piersi z cyfrowymi brodawkami, płaski brzuch i wąskie biodra. Na poskręcanych włosach łonowych załśniło słońce. Dziewczyna stała przed nim naga i uśmiechała się.

Przyglądał się jej, czując nieodpartą żądzę. Złocista dziewczyna na bujnej zielonej trawie, pod błękitnym niebem i na tle bezkresnego, roziskrzonego słońcem morza wyglądała tak pięknie, że samo na nią spoglądanie sprawiało mu ból. Dotknąć jej... ach, dotknąć, jakaż to będzie ekstaza. Wyciągnął ku niej drżącą rękę.

- Wyglądasz tak, jakby słońce całowało cię po całym ciele - powiedział i położył dłoń na jej piersi. Poczuł stwardniałą brodkę. - Jesteś złocista i jaśniejąca.

- Pocałuj mnie - powiedziała, spoglądając na niego pociemniałymi oczyma. Odchyliła głowę do tyłu i chwyciwszy Warricka za szyję, przyciągnęła do siebie. - Chcę, żebyś mnie całował wszędzie tam, gdzie dotknęło słońce.

Pochylił się i przytknął rozchylone usta do delikatnej krzywizny

jej szyi, wdychał jej woń - ciepłą, piżmową, kobiecą i wibrującą życiem.

Nigdy w życiu nie znał kobiety, która choćby pomyślała o tym, aby/wspiąć się na nadmorski klif, zdjęć suknię i wystawić nagie ciało na ciepłe promienie słońca. Nigdy nie znał nikogo mężczyzny ani kobiety, kto byłby równie naturalny i pozbawiony wszelkich hamulców. Kto by się zupełnie nie liczył z ogólnie przyjętymi zasadami przyzwoitości. Ona chłonęła życie z jakąś dziką radością. Połała się życiem. Będąc blisko niej, Warrick czuł się odrodzony, jakby od lat nie żył i nawet tego nie spostrzegł.

Zanurzył palce w jedwabistym cieple jej włosów i, głaszcząc kciukami policzki, ucałował w szyję. Wygięła się w łuk i przycisnęła piersi do jego torsu. Uniosła jedną nogę i oplatała nią nogę Warricka. Wtedy odnalazł jej wargi i zapamiętał się w dzikim, pełnym magii pocałunku.

Usta dziewczyny były gorące, wilgotne i słodkie. Uwodzicielski dotyk zębów i obrót języka obiecywał cielesne rozkosze. Warrick poczuł, że opuszcza go rozsądek i opanowanie, a cały świat zawężył się do wirujących w nim sensacji głodu, pragnienia i pożądania. Liczyło się tylko wilgotne ciepło jej ust, jędmność ciała pod jego niecierpliwymi dłońmi i łaskoczący płomień, wywołany jej dotykiem.

Jednym szarpnięciem zdjęła z niego fular, a potem rozpięła mu kamizelkę oraz koszulę i zerwała je wraz z surdudem. Warrick poczuł na skórze ciepło słońca i powiew wiatru. Ostrożnie pociągnął ją na leżącą na trawie suknię i pośpiesznie zdjął bryczesy. A ona ujęła w dłonie jego twardą męskość.

Był teraz jak pozbawione rozumu zwierzę, odarte z wszelkich pretensji do cywilizacji i rycerskości. Pragnął jedynie tego, by się w niej zanurzyć, mocno i głęboko. Wypełnić ją sobą, stać się częścią niej. Poczuć jej nogi na swoich biodrach, a zęby na ramionach. Dyszał i dygotał z żądzy.

Jęcząc, nałożył prezerwatywę, którą specjalnie zabrał ze sobą. Usłyszał jej śmiech.

- I kogóż to zabezpieczasz? Mnie czy siebie? - spytała, nie

spodziewając się odpowiedzi. Znow wzięła go w dłonie i umieściła wewnątrz siebie.

Wokół niego zamknęło się wilgotne ciepło. Pożerało go. Wtulił twarz w jej włosy, całował powieki, wargi. Powoli uniósł jej pośladki i wydobył się na zewnątrz tylko po to, by znow runąć w dół. I znowu, i znowu, głębiej i głębiej, szybciej i szybciej. Ich ciała złączyły się we wspólnym, wzmagającym się rytmie namiętności. Poczował, jak jej palce wpijają się w jego plecy, zobaczył jej oczy zasnutę mgłą, nieprzytomne.

Wydawała z siebie gardłowe, erotyczne pomruki, jak jakieś dzikie zwierzę. On także stał się dzikim samcem, który posiadał swojaoją samicę w porywie brutalnej żądzy, pod palącymi promieniami słońca, grzejącego ich nagie ciała, przy akompaniamencie szumu morza. Poczował, że jej wewnętrzne ciepło zaczyna wokół niego dygotać, zobaczył, że dziewczyna wygina szyję w łuk i dyszy w ekstazie, usłyszał jej radosne okrzyki rozkoszy i spełnienia i zupełnie się w niej zatracił.

Zagryzł zęby, zacisnął powieki, wpił palce w ziemię i eksplodował, długo, rzęsiście i cudownie.

Powoli powracał do siebie, radosny i zaspokojony. Jaskrawość słońca i błękit nieba drażniły mu oczy. Zdał sobie sprawę, że dyszy ochryple, że pot ścieka mu strumieniami po policzkach i zbiera się na plecach. Słyszał rytmiczne uderzenia fali o podstawę klifu, przenikliwe krzyki mew i szum wiatru w trawie.

Powoli podparł się na łokciach, by ulżyć leżącej pod nim dziewczynie, ale nie chciał się z nią rozdzielać. Pragnął zostać w niej i stać się jej częścią już na zawsze.

- Kocham cię - powiedział, opierając czoło na jej czole. - Kocham cię, a nie znam nawet twojego imienia.

Otoczyła jego szyję długimi ramionami i ucałowała w usta.

- Jak możesz mnie kochać? - spytała, rozciągając w uśmiechu nieprawdopodobnie szerokie wargi. - Nic o mnie nie wiesz.

Jej słowa zaniepokoiły go. Przestraszył się, że ona nie czuje tego co on.

- Wiem, że mieszkasz w pobliżu morza, w chatce z kamieni. Masz brata Dickena i osła, który nie lubi się fatygować.- Roześmiała się, a jej brązowe oczy rozbłyły w słońcu. Warrick pomyślał, że to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział. - Wiem, że lubisz czuć na skórze pieczętę słońca - powiedział drżącym głosem. - I że jesteś najpiękniejszą i najbardziej niezależną osobą, jaką znam.

Jej uśmiech zbladł. Zamyśliła się, marszcząc czoło.

- Myślisz, że wiesz już wszystko?

Przeturlała się na wznak, aby mogła mu oprzeć głowę na ramieniu.

- Nie. Chcę, żebyś mi powiedziała.

- Co mam ci powiedzieć?

- Więcej o sobie. - Odgarnął wilgotne włosy z czoła dziewczyny. - Skąd pochodzisz. Skąd się wzięłaś na Tasmanii, w tej chacie na pustkowiu.

Oparła dłoń na nagiej piersi Warricka i zaczęła cicho z namysłem:

- No, cóż, urodziłam się w małej nędznej zagrodzie w wiosce Strathspey w górach Szkocji. Pewnego popołudnia, gdy miałam trzynaście lat, syn dziedzica i jego dwaj przyjaciele złapali mnie w dolinie i zgwałcili na zmianę, podczas gdy pozostali trzymali mnie, żebym się nie wyrwała.

Objął jej chude ramiona.

- Jezu... - powiedział. - Współczuję ci.

Wzruszyła ramionami, ale Warrick spostrzegł, że powstrzymuje westchnienie.

- Dziewictwo dziewczyny z wiejskiej zagrody nie jest tak ważne jak w przypadku wielkiej damy, która mieszka w eleganckim domu. Ale mój ojciec bardzo się przejął tym, co mi zrobili. Rzucił się na syna dziedzica z pięściami i... od tego zaczęły się kłopoty. Musieliśmy wyjechać.

Pogłaskała ją po ramieniu i po piersiach. Była taka piękna, radosna i wolna, a zrobiono jej taką krzywdę.

- Miałam dwie małe siostrzyczki - mówiła cicho. - Ale umarły na statku. A także matka. Tata żył wystarczająco długo

zdożyć ten kawałek ziemi i wybudować dom. Ale po tym, zrobił mu dziedzic, nigdy nie doszedł do siebie i umarł dwa ta temu. Więc zostaliśmy sami. Ja i Dicken.

Po raz pierwszy w życiu wygodą własnej egzystencji napełniła Warricka wstydem. Ogromny dom z czternastoma pokojami. Lśniącym mahoniem i wypolerowanymi srebrami. Puchowa pościel i jedwabne zasłony. Kolacje z czterech dań. Brandy.

- Nie jest wam łatwo - wyszeptał.

Położyła mu rękę na dłoni.

- Jakoś sobie radzimy. Mamy kilka kur i owce. Uprawiam ziemniaki i marchew. Część zjadamy, a część oddaję sklepikarzowi z Blackhaven Bay. A Dicken łowi ryby, poluje też z procą na ptaki i małe kangury. Nie najgorzej się nam tu żyje. Lubię to miejsce. Jestem szczęśliwa.

Warrick przyglądał się jej złocistej uśmiechniętej twarzy i zastanawiał nad tym, czy kiedykolwiek słyszał, by ktoś z jego świata wypowiedział podobne słowa. „Jestem szczęśliwa”. Nie pamiętał.

Schylił głowę i przytknął twarz do jej szyi.

- Teraz cię znam - powiedział, owiewając ją ciepłym oddechem. - Teraz możesz już uwierzyć, że cię kocham.

Przeturlała się na bok i przyjrzała mu się z nieoczekiwaną powagą.

- Nie można poznać kogoś, tylko słuchając tego, co o sobie mówi.

- Nie - zgodził się, głaszcząc ją po udzie. - Ale można obok kogoś spędzić całe życie i nigdy go nie poznać.

- Wiem - powiedziała i spojrzała na dłoń Warricka, pieścąc jej pierś. A potem ucałowała go w usta.

Tym razem kochali się spokojnie i słodko. Było to cudowne i łagodne wzajemne poznawanie swoich ciał, sprawianie rozkoszy, które doprowadziło do nieuniknionego wybuchu wszechogarniającej żądy i wspólnego osiągnięcia oślepiającej kulminacji.

- Jak ci na imię? - zapytał, zapadając w jej ciało. - Nie Powiedziałaś mi, jak masz na imię.

Wpiła palce w nagie biodra Warricka i przyciągnęła go mocno do siebie.

- Faine. Mam na imię Faine.
- Kocham cię, Faine! - zawołał, wijąc się w ekstazie. Jego triumfalny okrzyk wzniosł się ponad szum fal i pojękiwanie wiatru.

22

Proszę pana, proszę pana! - wołał Charlie, pędząc co sił. - Nie słyszałem, jak pan wrócił.

Warrick obejrzał się i omiółł wzrokiem prawie puste podwórze. Budynki gospodarcze kładły na ziemię długie cienie. Wkrótce zrobi się ciemno.

- Gdzie jest Gallagher? - zapytał, rzucając chłopcu wodze wałacha. Wstrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

Charlie wyprostował się powoli i spojrzał na niego spod jasnych rzęs.

- Na padoku. Trenuje Lucka Finnegana.

- O tej porze?

- Tak, proszę pana.

- Hmmm - mruknął Warrick i wyszedł ze stajni. Zobaczył Jessie. Siedziała na parkanie i jedną ręką obejmowała szyję swojej klaczy, a drugą gładziła jej biały nos.

Podszedłszy bliżej, usłyszał, że siostra przemawia do klaczy, która słuchała jej, strzygąc uszami.

- Kiedy byłaś mała - powiedział, opierając się łokciem o parkan i patrząc na niebo, które w miarę jak słońce zapadało za wzgórze, coraz wyraźniej nabierało akwamarynoworóżowej barwy- z każdym kłopotem biegłaś na padok, siadałaś na tym ogrodzeniu i zwierzałaś się swemu koniowi.

Jessie uśmiechnęła się ze smutkiem, głaszcząc łeb klaczy.

- Pamiętam, że kiedyś bardziej mi to pomagało.

Warrick odchrząknął i oparł się plecami o płot, krzyżując ramiona na piersi.

- Byłem w domu, gdy kapitan Boyd złożył naszej drogiej matce poranną wizytę.

Dłoń jego siostry znieruchomiała na lśniącej grzywie kłaczy

- Ach, więc słyszałeś, że przynoszę wstyd rodzinie i zadaję ból matce.

Uniósł brew.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że matka woli słuchać o nagłej śmierci rozbitek niż o tym, że jej córka kontaktuje się z miejscową upadłą kobietą.

Chłodny wiatr zaszeleścił w liściach drzew i przyniósł z ogrodu zapach bzów, drzew gumowych oraz ciepłą woń koni. Jessie z powagą spojrzała na brata.

- Lubię ją, Warricku.

- Domyślam się, sądząc z tego, od jak dawna ją odwiedzasz. Ej, uważaj - dodał, chwytając ją za ramię, gdy niebezpiecznie zachwiała się na wysokim ogrodzeniu.

Zacisnęła dłoń na jego barku.

- Wiedziałaś? - spytała, przyglądając mu się badawczo.

- Od lat.

Odwróciła głowę i spojrzała na padok, gdzie pasło się kilka koni.

- Powiedziałaś Harrisonowi?

Spojrzał na nią przeciągle.

- Pewnie. To byłoby bardzo w moim stylu.

Policzki Jessie poróżnowiały.

- Przepraszam - powiedziała, kręcąc głową.

- Ale powiem ci jedno: on nie byłby zachwycony. Gdy chodzi o takie sprawy, jest nieprzejednany.

Dziewczyna utkwiała wzrok w ciemniejszej dali.

- Gdybym była taka, jak lubię wierzyć, że jestem, powiedziała-bym mu. Jemu i matce.

- Nie mam ci nic do zarzucenia.

- Czyżby? - Spojrzała na brata. - Dlaczego ten kapitan Boyd fatygował się tutaj, by naopowiadać matce o tym, z kim się widuję;

go uderza do matki w konkury. Nie wiedziałaś?

Co? - spytała, chwycąc się na płocie.

Warrick znów ją przytrzymał.

Jezu, Jess! Zejdź z tego płotu, zanim z niego spadniesz.

Oparła dłonie na ramionach brata i pozwoliła, by postawił ją na ziemi.

- Ale matka chyba go nie zachęca? - powiedziała, wygładzając spódnice. - Nie mogę w to uwierzyć.

Ruszyli w kierunku domu.

- Matka z pewnością nie wyjdzie ponownie za mąż, o to nie musisz się martwić. Jej pierwsze doświadczenie było tak nieudane, że nie zechce go powtarzać. Ale wydaje mi się, że towarzystwo Boyda sprawia jej przyjemność. Kapitan majak najgorszą opinię na temat opłakanego stanu społeczeństwa i upadku dzisiejszej moralności. Mogą wyrzekać całymi godzinami.

Jessie zdusiła śmiech.

- Nie powinieneś tak mówić, Warricku.

- Niby czemu? To prawda. Przyjrzyj im się podczas przyjęcia, które matka wydaje w przyszłym tygodniu. - Spojrzał na siostrę i zauważył cienie pod jej oczami i napięcie wokół ust. Cokolwiek ją zaprzętało, było to coś więcej niż plotki o zachowaniu nad Zatoczką Rozbitków. Biedna Jess, pomyślał, tak bardzo się stara zadowolić matkę i postępować w zgodzie ze społecznymi normami. Zawsze się stara, ale nie zawsze z dobrym skutkiem, jednak ciągle próbuje i w końcu pewnie jej się uda. A wtedy stanie się bladym odbiciem ludzkich oczekiwań i cieniem kobiety, jaką mogłaby się stać.

Pomyślał o Faine, wirującej na trawie, śmiejącej się z odrzuconą do tyłu głową, z wyciągniętymi ku słońcu ramionami. Mimo że biedna i nieuczona, bosa i mieszkająca w chatce z kamieni, miała coś, czego on i siostra od dawna bezskutecznie poszukują.

- W przyszłym tygodniu? - powtórzyła Jessie zaskoczona. - Myślałam, że matka nie urządzi przyjęcia, dopóki nie poprawi się pogoda.

- Bo tak miało być. - Warrick uśmiechnął się do siostry i otworzył furtkę do ogrodu. - Ale ponieważ tak nierozsądnie

zachowałaś się podczas burzy, postanowiła przesunąć datę. Masz się zaprezentować wszystkim przyjacielom i sąsiadom jako spokojna konformistka. - Przytrzymał furtkę i obejrzał się, by rzucić ostatnie spojrzenie na opustoszałe podwórze. - Chciałem porozmawiać z Gallagherem o rozstawieniu namiotu.

- Z Gallagherem? Ale... on jest stajennym.

Coś w jej tonie sprawiło, że Warrick spojrział na nią badawczo.

- Doskonale radzi sobie z młotem. Myślę, że pracował przy budowie statków lub czymś w tym rodzaju.

- Czymś w tym rodzaju - powtórzyła Jessie, odwracając głowę.

Warrick przyjrzał się jej blademu profilowi i poczuł dziwne zakłopotanie. Chciał zapytać, co ją trapi. Chciał spytać, czy może jej jakoś pomóc. Ale jak mógłby pomagać siostrze, skoro nie potrafi pomóc sobie?

Czarne bagienne błoto unieruchomiło kadłub szalupy. Lucas zaklął i zaparł się jeszcze raz.

Słyszał fale bijące o pobliski brzeg. Za jakieś pół godziny pewnie by wyciągnął łódź z tego przeklętego błota, ale nie miał tyle czasu; powinien wracać już teraz, żeby zdążyć do baraku przez zachodem słońca.

Zacisnął zęby i spróbował jeszcze raz. Usłyszał głośnie cmoknięcie, z którym błoto wypuściło zdobycz, i powietrze wypełniło się odorem zgnilizny i rozkładu. Lucas przewrócił łódź do dołu dnem i otarł ramieniem spocone czoło. Z trudem łapał oddech.

Szalupa była duża. Wolałby mniejszą. Wprawdzie obszerniejsza łódź zapewnia pasażerom większe bezpieczeństwo, ale jednocześnie wymaga liczniejszej załogi. A dodatkowi ludzie to dodatkowe gęby do wyżywienia, a także większe szanse na to, że zostaną schwytani.

Lucas wparł się barkiem w rufę i, natężywszy siły, pchnął łódź, stękając z wysiłku. Wracając do zatoczki po tak długim czasie, obawiał się, że nie zostanie już łodzi, bo zabiorą ją

czyściciele plaży. Ale została zniesiona wysoko w ujście potoku, a ludzie, w miarę możliwości, - omijali dom Grimesa.

Nawet teraz, wciągając łódź w zarośla i okrywając ją paprociami, wyczuwał obecność ponurego domostwa. Związane z tym miejscem zło zdawało się fizycznie namacalne. Zło, gniew i rozpacz. Nawet ptaki i małe zwierzęta omijały zrujnowany ogród, pogrążony w mrocznej ciszy, podczas gdy nieco dalej wieczorne powietrze rozbrzmiewało śpiewem cykad i hałaśliwym szczebiotem ptaków.

Lucas zadrzał pod chłodnym powiewem wiatru, ale starannie wyprostował smugę połamanych trzciny i zgniecionej trawy, którą pozostawiła ciągnięta łódź. Dzięki Bogu, roślinność była tu bujna i sprężysta, toteż większość śladów z pewnością zniknie po kilku dniach.

Zmrużył oczy i popatrzył na zachodzące słońce. Robiło się późno.

Zostawił Lucka Finnegana uwiązanego do wiązu obok pękniętej fontanny. Gdy wrócił, koń powitał go cichym rżeniem.

- O co chodzi, stary? Ty także nie lubisz tego miejsca? - mruknął Lucas, głaszcząc gnidosza po aksamitnych chrapach.

Powinien był odczuć radość, a przynajmniej zadowolenie, że udało mu się znaleźć i zabezpieczyć szalupę. Uszkodzenia kadłuba nie były tak wielkie, jak się spodziewał. Można je szybko i łatwo usunąć. A Lis będzie musiał zwędzić jakieś wiosła. Wiedział, że powinien się cieszyć. Tak bardzo upragniona wolność znalazła się nagle w zasięgu ręki. Tymczasem on wspominał przedsmak raję, którego zaznał w ramionach Jesmondy Corbett i spojrzenie jej oczu.

Przez chwilę zastanawiał się, jak by to było, gdyby pewnego dnia poszedł na wykład na uniwersytecie w Dublinie i ujrzał tam Jesmondę, skupioną i zasłuchaną. Gdyby się przechadzali wzdłuż wybrzeża Morza Irlandzkiego, rozmawiając o swoich marzeniach. Gdyby ją spotkał w czasach, gdy miewał jeszcze marzenia, a nie tylko owo przemożne i niebezpieczne pragnienie ucieczki.

Zaklął pod nosem, włożył kurtkę i odwiązał konia od pnia

wiązu. Im szybciej stąd odejdę, tym będzie lepiej, pomyślał. Dla mnie i dla niej.

Ukryłeś ją trochę za blisko plaży - powiedział Daniel. Jego słowa częściowo zagłuszył hałas zamykanych na noc drzwi baru.

Lucas uśmiechnął się w ciemności.

- Tak. Trochę za blisko. Ale zdobyłem ją, Danielu. Wreszcie mamy łódź.

Jessie stała na werandzie i spoglądała na rozłożony słońcem ogród, gdzie trwały przygotowania do przyjęcia. Ciepłe popołudniowe powietrze wypełnione było łoskotem zwanego budulca, stukotem młotów i pokrzykiwaniem kilku robotników, zbijających drewniane ramy, na których miały zawisnąć płócienne markizy.

Jeden z pracowników wyprostował się, jakby czując na sobie jej wzrok. Był to szczupły ciemnowłosy mężczyzna, poruszający się z gracją urodzonego sportowca. Obejrzał się powoli, zadarł głowę i spojrzał w kierunku werandy. Słońce oświetliło jego uderzająco przystojną twarz. Zdjął kurtkę oraz kamizelkę, rozwiązał tasiemki obszernej koszuli i podwinął rękawy, ukazując silne, opalone ramiona. Otarł pot z czoła. Jessie stała z dala od balustrady, w cieniu kamiennego łuku, ale nie miała wątpliwości, że on wyczuwa jej obecność i wie, że mu się przygląda. Tak silny był związek pomiędzy nimi. Silny i niebezpieczny.

Nie wiedziała, że do tego dojdzie, do tej zabronionej miłości, do tego bolesnego pragnienia, ale to nie zmniejszało jej braku lojalności w stosunku do Harrisona.

Myślała, że będzie jeździła konno wraz z ukochanym, że będzie z nim rozmawiała, ale zdołała panować nad sytuacją i pozostać sobą. Lecz owego słonecznego popołudnia, gdy rozmawiali i całowali się w zrujnowanym ogrodzie nad plażą, zrozumiała, że Gallagher miał rację: popełniła błąd, nie trzymając się z daleka od niego.

Dlatego już trzeci dzień odmawiała sobie konnych przejażdżek, unikała stajni, omijała wszystkie miejsca, w których mogłaby go spotkać, ale nie mogła się powstrzymać od szukania go wzrokiem, od wpatrywania się w niego i od tęsknoty za nim. Żądza, a także pokusa, by jej ulec, nie wygasły. Będę musiała stąd wyjechać, pomyślała w rozpacz, cofając się w głębszy cień. Będę musiała opuścić zamek i uciec od Lucasa. Harrison od tygodni przypominał jej, że już najwyższy czas, by ustalili datę ślubu. Zdała sobie sprawę, że celowo odwleka tę decyzję, i uznała, że należy z tym skończyć. Kiedy poślubi Harrisona i zamieszka w Beaulieu Hall, nie będzie widywać Gallaghiera. Nie będzie go mogła śledzić, nie będzie jej kusiło, by go dotknąć, pocałować, by mu się oddać...

Usłyszała za sobą jakiś cichy szmer i gwałtownie się obejrzała. Odczuła ulgę, widząc brata, który z nieodłączną szklaneczką brandy w dłoni wychynął przez balkonowe drzwi.

Miał na sobie irchowe bryczesy i wysokie buty do konnej jazdy. Wyglądał tak, jakby dopiero wrócił z przejażdżki. Włosy miał wzburzone, był rozgrzany i przyjemnie pachniał słońcem i wiatrem. Ostatnio opuszczał dom wczesnym rankiem i wracał dopiero późnym wieczorem. Nie wiedziała, dokąd brat jeździ ani co robi. Wiedziała tylko tyle, że w jego życiu zaszła jakaś zmiana. I nie była pewna, czy podobają jej się skutki owej zmiany.

- Co tak wcześniej, Warricku? - spytała. - Ściemni się dopiero... za jakieś trzy godziny.

Uśmiechnął się półgębkiem i uniósł szklaneczkę.

- Matka zażyczyła sobie, bym był obecny. Chodzi o palarnię, krzesła i sam już nie wiem o co. - Wypił zawartość szklanki. - Będę szczęśliwy, gdy to cholerne przyjęcie wreszcie się odbędzie.

- Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma.

Podszedł do barierki i omiótł wzrokiem uwijających się pracowników.

- Naprawdę? Ja modłę się o deszcz. Popołudnie spędzone w towarzystwie ludzi dobranych według kryteriów zamożności, dobrego urodzenia oraz pozycji i autorytetu może człowieka doprowadzić do pijaństwa.

- Ty i tak pijesz zbyt dużo, Warricku - powiedziała Jessie łagodnie.

- To prawda - przyznał, mrużąc oczy. - I czuję pustkę - dodał, unosząc pustą szklaneczkę. - Przepraszam.

Szybko ją wyminął. Chciała go zawołać, powiedzieć mu, że mu współczuje, że się o niego martwi, ale nie wiedziała, jak to wszystko sformułować. Ich nieskomplikowana dotychczas więź została naruszona na skutek jej tajemnic i jego sekretów.

Czując ciężar smutku, Jessie westchnęła boleśnie. Oparła dłonie na barierce i spojrzała na ogród. Lucas Gallagher zniknął. Nie była pewna, czy odczuła ulgę, czy rozczarowanie.

Powinna była odczuwać ulgę. Niestety, prawdę mówiąc, była zawiedziona.

Postanowiła przy najbliższym spotkaniu powiadomić Harrisona, że jest gotowa ustalić z nim datę ślubu. Tylko że on wciąż był zajęty pracą. Zobaczyła go dopiero po południu, na wydanym przez matkę przyjęciu.

Ranek wstał błękitny i bezchmurny, z lekkim wietrzykiem, kołyszającym drzewa w parku.

- Widzisz - powiedział Warrick, przystając obok siostry. - Nawet sam Bóg nie ośmiela się popsuć planów naszej matce.

Jessie właśnie piła poncz. Roześmiała się i pokręciła głową, ale tym razem nie skarciła brata. Uczyła się.

Do ogrodu napływali sąsiedzi lub raczej ci spośród nich, których Beatrice Corbett uznała za odpowiednich. Panowie we frakach i cylindrach, damy w eleganckich sukniach i w kapeluszach z woalkami, które chroniły ich jasną cerę przed atakiem południowego słońca. Pomiędzy drzewami płynęły łagodne dźwięki sonaty, którą wykonywał kwartet smyczkowy z Blackhaven Bay.

Oto mój świat, myślała Jessie z goryczą, patrząc na tęczowe jedwabie i sztucznie uśmiechnięte twarze. Świat szampana i wędzonego łososia, świat modulowanych głosów i brzęku kryształów oraz postukiwania kijów do krykieta. Świat luksusu

i wyrafinowania, utrzymywany dzięki ciężkiej pracy skutych łańcuchami skazańców. Ona i Lucas Gallagher należeli do owego świata, ale grali w nim skrajnie różne role. Życie zetknęło ich ze sobą, lecz w pewien ściśle określony sposób. Na pewno nie po to, by rozmawiali na istotne tematy i nie po to, by się całowali i pieścili.

Nie po to, by się kochali.

- Nie patrz tam teraz - powiedział Warrick, przybliżając twarz do ucha siostry. - Stoi tam obok wisterii. Z matką.

- Kto? - wyszeptła Jessie, z trudem opanowując chęć, by się natychmiast obejrzeć.

- Kapitan Boyd, bicz na zbiegłych zesłańców i na krnąbrne córki oraz łowca bogatych wdów.

Jessie przycisnęła palce do ust, by opanować uśmiech. Przybrawszy kamienny wyraz twarzy, obróciła się powoli, jakby spoglądała na zatłoczony ogród, omiotła wzrokiem dobrze utrzymane różane krzewy i równiutkie rabaty, aż dotarła do wisterii, gdzie stał niski, krępy, mocno zbudowany mężczyzna o siwiejących włosach i obfitych bokobrodach, pochylając się nad dłonią Beatrice.

- Pamiętam go - powiedziała Jessie, odwracając wzrok. - Zauważyłam go na plaży. Bardzo gorliwy człowieczek. - Zmarszczyła czoło, widząc, że Beatrice odchodzi w jego towarzystwie w kierunku południowego trawnika. - Jesteś pewien, że matka nie traktuje poważnie jego starań?

Warrick roześmiał się serdecznie i kilka głów obróciło się w ich stronę. Nachylił się w stronę siostry i ściszył głos.

- Chyba żartujesz. Majątek tego człowieka zasługuje na miano nędznego, a małżeństwo to przecież instytucja ekonomiczna, prawda? Przynajmniej gdy idzie o naszą matkę.

Jessie spojrzała na urodziwą twarz brata.

- Jak myślisz, czy ona kiedykolwiek kochała papę? Choćby trochę.

- Na Boga, nie! Jej rodzice wybrali tę partię. A ona, oczywiście, pogodziła się z ich życzeniem. Od tamtej pory wypełnia swoje obowiązki. Miłość nie miała z tym nic wspólnego.

Kwartet grał teraz Haydna. Pełne słodczy, smutne tony napełniały zatłoczony ogród melancholią. Jessie patrzyła, jak matka unosi głowę i uśmiecha się pod czarnym jedwabnym czepkiem. Przez króciutką chwilę sprawiała wrażenie nieoczekiwane młodej i szczęśliwej, nieomal ładnej. Jessie wstrzymała oddech, bo przelotnie ujrzała matkę taką, jaka była kiedyś.

- Myślisz, że była kiedyś zakochana? - spytała cicho.

Warrick spojrział na nią szczerze zdumiony.

- Matka? Chyba żartujesz.

Straciwszy Beatrice z oczu, Jessie spojrzała na kwartet smyczkowy z Blackhaven Bay. Znała muzyków od dziecka, owych czterech starzejących się mężczyzn, którzy chętnie uświetniali swoją sztuką wszystkie spotkania towarzyskie w tej części wyspy. Tylko że dzisiaj kwartet był jakiś inny. Pierwszy od lewej strony muzyk był młody. Stał zwrócony bokiem do Jessie, ale w szczupłości jego sylwetki, w sposobie trzymania głowy, w pełnych wdzięku ruchach było coś znajomego...

- Warricku? - spytała, chwytając za rękę odchodzącego brata. - Dlaczego mój tajemny gra na skrzypcach w kwartecie smyczkowym z Blackhaven Bay?

23

Warrick odwrócił się do siostry z uśmiechem.

- Nie słyszałaś? Jacob McCallister zajechał na nasze podwórze z twarzą pokrytą czerwonymi plamami.

- Czerwonymi plamami?

- Odra. Musiał wrócić do domu. Pozostali członkowie kwartetu powiedzieli, że nie mogą grać bez czwartego skrzypka. Wtedy Gallagher zaproponował, że zastąpi McCallistera.

- Nie, nie słyszałam - powiedziała Jessie. Wiedziała, że nie powinna mu się przyglądać, lecz nie mogła od niego oderwać wzroku.

Prezentował się wspaniale. Jego szczupła i wibrująca powściąganą siłą postać przywodziła na myśl dzikiego wilka pośród stada nieruchawych, zasiedziały owiec. Patrzyła urzeczona na dobrze znany nadgarstek, pokryty bliznami po kajdanach, na wdzięczne ruchy ramienia i torsu, gdy pieścizotliwie przeciągał smyczkiem po strunach. Znała Lucasa, ale nie takiego, jaki był dzisiaj.

Widziała, jak wymachiwał kilofem w kamieniołomie, pokryty potem i pyłem. Widziała go półnagiego, z wilgotnym torsem, lśniącym w promieniach zachodzącego słońca i w blasku rozdzierających niebo błyskawic. Ale nigdy nie oglądała go takiego jak teraz, przystrojonego z pompą, charakteryzującą jej świat. Świat, do którego obecnie nie należał, ale który wcześniej był także jego światem. Długi czarny frak był stary i źle na nim

leżał, lecz Lucas nosił go z wrodzoną elegancją, w czym dorównywało mu niewielu mężczyzn obecnych na przyjęciu. Patrzyła na dumną twarz, opuszczone rzęsy, pod którymi kryły się zielone oczy buntownika. Czuła, że oddech więźnie jej w gardle. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby...

Gdyby Gallagher był jednym z angielskich kolonistów, takim samym jak inni obecni na przyjęciu matki. Oficjalnie zaproszonym gościem, który może się do niej uśmiechać, który może odłożyć skrzypce, podejść do niej, wziąć ją pod rękę i spacerować pod dębami, pochylając ku niej głowę...

- Jest wielka niedogodność - mówił Warrick. - Brak go teraz w stajni.

Jessie poczuła, że się rumieni.

- Skąd wziął ten frak? - zapytała, odwracając wzrok od skrzypka.

Brat wzruszył ramionami.

- Pewnie z tego samego miejsca co skrzypce - powiedział i ruszył w kierunku palarni, macając kieszenie surduta.

Jessie powtarzała sobie, że więcej nie spojrzy na Gallaghera, ale pokusa była zbyt wielka.

Uśmiechał się. Ale nie do niej. Uśmiechał się do muzyki, którą tworzył. Sprawiał wrażenie odprężonego i spokojnego. Na jego twarzy dostrzegła wyraz zadowolenia, jakiego nie oglądała nigdy przedtem. Zadowolenia, o które była zazdrosna.

Patrząc na niego i wiedząc, że nigdy nie będą razem, czuła się tak, jakby zadawano jej powolną, bolesną śmierć. Nagle uniósł głowę i na ułamek sekundy ich oczy się spotkały.

Szybko się odwróciła. Serce jej galopowało i z trudem chwyciła oddech. Powiedziała sobie, że już na niego nie spojrzy, ale wciąż towarzyszyła jej jego muzyka i świadomość jego obecności. Zastanawiała się, czy w przyszłości będzie umiała słuchać skrzypiec, nie wspominając rozłożonego słońcem ogrodu i Lucasa.

Tutaj jesteś, najdroższa - powiedział Harrison, podchodząc do Jessie, która eskortowała starszego wiekiem jegomościa na ocienioną werandę. - Pozwól, że cię wyręczę.

Z pełną rewerencji troskliwością ujął ramię dżentelmena i pomógł mu usiąść na drewnianej ławeczce.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, wysłuchawszy podziękowań.

Jessie przyglądała się Harrisonowi. Patrzyła na jego wyprostowane plecy, na czerstwe policzki w obramowaniu jasnokasztanowych bokobrodów. Poczuła nagły przypływ sympatii, wzmożonej poczuciem winy. Harrison zawsze był taki: dobrze ułożony i troskliwy, grzeczny i nadskakujący. Powtarzała sobie, że u jego boku będzie szczęśliwa; z czasem nauczy się dzielić z nim życie.

Uśmiechnął się. Lubiła jego uśmiech: chłopięcy, troszkę krzywy.

- Warrick powiedział, że mnie szukasz.

- Tak. - Wsunęła dłoń pod jego ramię i razem ruszyli wzdłuż werandy. Wiatr niósł tęskne tony; to Stary Tom grał na kobzie. Kwartet zrobił sobie przerwę, pomyślała Jessie, i z trudem powstrzymała chęć, by się rozejrzeć w poszukiwaniu smukłej ciemnej postaci Gallaghera. I wtedy zdała sobie sprawę, że jest nielojalna wobec Harrisona, myśląc o Lucku podczas spaceru z narzeczoną. - Chciałam ci coś powiedzieć - zaczęła pośpiesznie i zamilkła na chwilę, czując, że ramię Harrisona sztywnieje. - Co się stało? - zapytała, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

Patrzył wprost przed siebie, unosząc podbródek ponad sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem, który odcinał się nieskazitelną bielą od brązowych bokobrodów. Harrison już się nie uśmiechał.

- Ten człowiek - powiedział ostrym tonem. - Co on tutaj robi?

Spojrzała za jego wzrokiem i ujrzała młodego ciemnowłosego dżentelmena.

- Ian Russell? - spytała. - To przyjaciel Warricka, często razem polują. Dlaczego nie miałby być na tym przyjęciu?

Chrapki nosa Harrisona zdrzały.

- Przypuszczam, że jeszcze nie słyszałaś.
- O czym?
- O jego małżeństwie. Nie uwierzysz. Wziął sobie za żonę zwykłą złodziejkę.
- Złodziejkę? Och, chodzi ci o to, że ożenił się z emancypantką? - Którą skazano na zesłanie za kradzież, pomyślała i przyspieszyła kroku.
- Szokujące, prawda? - zapytał Harrison, źle zrozumiałszy reakcję narzeczonej. - Jako sędzia okręgowy byłem zmuszony odebrać mu całą służbę. Był z tego bardzo niezadowolony.
- Harrisonie... - Jessie wysunęła rękę spod jego ramienia. - Jak mogłeś? Ian może stracić przez to swoje ziemie.
- Harrison zacisnął usta w wąską linię.
- Powinien był pomyśleć o tym, zanim zdecydował się na takie szaleństwo. Ja tylko postępuję zgodnie z przepisami, Jesmondo, sam ich nie ustanawiam.

Miał rację. Było kilka powodów, dla których posiadacz ziemski mógł stracić prawo do zatrudniania skazańców. Poślubienie byłej skazanej stanowiło jeden z nich. Ale Harrisonowi wcale nie było przykro z powodu tego, co musiał uczynić, uważał bowiem, że byłych skazańców należy trzymać z dala od interesów i od ludzi szlachetnie urodzonych.

- Dobrze, że Russell miał przynajmniej tyle rozsądku, by nie przyprowadzać tutaj tej kobiety - powiedział, poprawiając mankiety koszuli, tak aby spod rękawów surduta wystawała tylko niewielka część. - Twoja matka nie aprobowałaby jej obecności, mimo że Russell przyjaźni się z twoim bratem.

Słuchając go i patrząc na niego, Jessie nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo Harrison jest podobny do jej matki. Beatrice uległa wprawdzie prośbom Warricka i pozwoliła, by zaprosił przyjaciela, ale była więźniarka mogłaby się tutaj pojawić wyłącznie w charakterze służącej.

Jessie oparła się o kolumnę werandy i utkwiała wzrok w zatłoczonym ogrodzie.

- O ile wiem, w Nowej Południowej Walii skazańcy mogli

zawierać związki małżeńskie jeszcze przed upływem kary - powiedziała.

Owszem. Tak było w Nowej Południowej Walii. Na szczęście tutaj, na Tasmanii, radzimy sobie lepiej. - Harrison stanął obok niej. - O czym chciałaś mi powiedzieć?

Jessie spojrzała na dobrze znaną twarz narzeczonego i poczuła, że nie jest w stanie z nim rozmawiać. Nie mogła ustalić daty ślubu, przynajmniej nie teraz. Westchnęła głęboko - opanowując chęć ucieczki. Ucieczki od Harrisona, od uprzejmych pogaduszek gości matki i od tonów skrzypiec Gallaghera.

- Jesmondo? - Harrison przyglądał się jej z natężeniem. - Co się stało?

- Zastanawiam się - odezwała się ze sztucznym uśmiechem, jakiego nauczone ją w dzieciństwie - czy nie miałbyś ochoty zagrać w krykieta?

Dopiero późnym popołudniem, gdy dolinę spowił cień, a goście poczęli się rozchodzić, znaleźli czas, by zagrać. Jessie i Waniek tworzyli zespół przeciwko Harrisonowi i Philippie.

- Problem polega na tym - powiedział Waniek wyraźnie zniecierpliwiony, kiedy Philippa po raz drugi nie złapała kółka - że źle się ustawiasz. Popatrz.

Podszedł do niej, chwycił ją za rękę i pokazał, jak ma trzymać drewniany kijek. Jessie co chwila spoglądała ponad wypielegnowany przez skazańców trawnikiem w stronę domu, gdzie Gallagher, teraz już bez fraka, powinien był pomagać przy odjeździe gości. Ale jej uwagę przykuło coś w postawie Philippy.

Ona go kocha, pomyślała, patrząc, jak brat burkliwie instruuje Philippę, zupełnie nie zwracając uwagi na to, jak jego bliskość na nią wpływa. Dobry Boże, ona go kocha. Przyglądając się pokrytej rumieńcem młodzieńczej twarzy, przypomniała sobie, jak przed laty Philippa pomagała Warrickowi stawiać żagle w jego łodzi, jak nosiła upolowane przez niego kaczki i złowione ryby i robiła wszystko, co jej nakazywał. Już wtedy musiała go

kochać, tylko że nikt z nich tego nie zauważył, bo jak przystało dobrze urodzonej i wychowanej Angielce, doskonale ukrywała swoje uczucia.

Teraz Jessie zaczęła im się przyglądać uważniej. Patrzyła na beztrioskie zachowanie brata i doskonałe maniery Philipya. Tylko raz ją przyłapała, gdy Harrison powiedział coś zabawnego, a Warrick odchylił głowę do tyłu i wybuchnął serdecznym śmiechem. Przez krótką chwilę Philippa patrzyła na niego z tak wielką tęsknotą, że zakłopotana Jessie musiała odwrócić od niej wzrok.

Przeniosła spojrzenie na park, nie widząc drzew, poruszanych lekkim wiatrem. Zastanawiała się, jak mogła nie spozrzeć czegoś tak oczywistego. A potem zdała sobie sprawę, że nawet dostrzegłszy wyraz twarzy Philippy, nie wiedziałyby, co on oznacza, bo aby rozpoznać wyraz tęsknoty na twarzy innej kobiety, musiała poczuć ją sama.

Tego wieczoru Jessie znalazła brata w sali do bilardu.

- Jess, ty jeszcze nie w łóżku? - zdziwił się Warrick. Światło kinkietów wydobywało z mroku jego twarz, ale oczy pozostały ocienione.

Jessie zatrzymała się w drzwiach, patrząc, jak brat celnie uderza kijem białą bilę, która zaraz wpadła do narożnego otworu.

- Trzy punkty. - Jessie uśmiechnęła się.

- Chcesz zagrać?

Pokręciła głową.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała, wchodząc do pokoju. - Chciałabym w przyszłym tygodniu zorganizować piknik. Z Philippą i Harrisonem. - Zawahała się. - Miałbyś ochotę?

Brat wyprostował się powoli, sięgnął po kredę i spojrzał na siostrę.

- To jakieś swatanie czy co?

- Ależ nie - odparła ze śmiechem.

- Chwała Bogu. - Odłożył kredę i nachylił się nad stołem. - Bo muszę cię ostrzec, że byłaby to strata czasu. Nie mam zamiaru

żeńić się z panną Philippą Tate. Ani teraz... - uderzył w bilę, która popchnęła dwie inne - ani później.

Jessie podeszła bliżej i oparła się biodrem o stół, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co myśli na ten temat Philippa? Warrick uśmiechnął się leniwie.

- Nad czym tu się zastanawiać? Ona jest wcieleniem wszelkich cnót młodej Angielki. Nie przyszłoby jej do głowy, by kwestionować coś, co zostało ustalone przez rodziców.

- Myślę, że nie doceniasz uczuć, które do ciebie żywi.

- Uczuć, które do mnie żywi? Wiem, że mnie trochę lubi. I nie zrozum mnie źle, ja także ją lubię. Zawsze ją lubiłem. Ale Philippa nie jest kobietą, którą mógłbym pokochać. Jest zbyt przyzwoita, zbyt opanowana, zbyt przewidywalna.

- Wydaje ci się, że ją znasz, prawda?

Roześmiał się z typową dla mężczyzn arogancją.

- Oczywiście, że ją znam. Na tym polega problem. Poślubiając kobietę, którą znam całe życie, zgodziłbym się na związek pozbawiony wszelkiej podniety. Na dobitkę była przyobiecana moim dwóm starszym braciom. W stosunkach mężczyzny i kobiety powinna być jakaś tajemnica, jakiś nieznany element. - Wycelował w bilę, uderzył, ale nie trafił i zaklął. - Znam Philippę równie dobrze jak moje buty. I uwierz mi, nie fantazuję na ich temat.

- Myślisz, że o to chodzi w miłości? - spytała, patrząc, jak Warrick obchodzi stół. - O tajemnicę i podniecenie?

Z namysłem zmarszczył czoło.

- A według ciebie, o co w niej chodzi?

Jessie oparła dłoń o stół i, zadartszy głowę, wpatrzyła się w stiuki.

- Myślę... myślę, że może chodzi o to, by znaleźć kogoś, z kim się dobrze czuje. To tak... jakby odnaleźć samego siebie albo raczej odnaleźć brakującą część siebie.

- Brak mi w tym namiętności.

Zacisnęła palce na krawędzi stołu, nie spuszczać wzroku

z sufitu; czuła, że nie potrafi zadać tego pytania, patrząc bratu w oczy.

- Kochałeś się kiedy z kobietą?

Odetchnął głośno.

- Jezu, Jess.

Spojrzała na jego bladą twarz upadłego anioła.

- Kochałeś się?

- Tak.

- Jak to jest?

Zakłopotany, odgarnął włosy z czoła.

- Nie wydaje ci się, że o coś takiego powinnaś raczej spytać matkę? - zapytał, przestępując z nogi na nogę.

- Nie. Już poznałam jej opinię na temat małżeństwa. On widzi w tym coś niesmacznego. Coś, co kobieta musi, niestety znieść, choć sprawia jej to przykrość.

Warrick milczał przez chwilę. Patrzył na stół, ale Jessie miała wrażenie, że myślimi jest daleko stąd.

- Nie wszystkie kobiety znoszą to z przykrością.

- Nie powiedziałaś mi, jak to jest - przypomniała cicho.

Spojrzał na nią z namysłem.

- To jest tak... trochę tak, jak z jedzeniem. Możesz jeść coś tylko dlatego, że musisz zaspokoić głód. Albo... - Uśmiechnął się chytrze. - Albo urządzasz sobie wspaniałą ucztę.

- Skąd bierze się ta różnica?

- Z tego, co czujesz do osoby, z którą jesteś.

- Chcesz powiedzieć, że zależy od tego, czy ją kochasz?

Wzruszył ramionami.

- Albo przynajmniej od tego, czy jej pożądasz. Mówiono mi, że jest różnica między miłością a pożądaniem, ale ja nie bardzo rozumiem jaka. - Obszedł stół i stanął naprzeciw Jessie, spoglądając jej w oczy. - A ty doszłaś do wniosku, że ani nie kochasz Harrisona, ani go nie pożądasz, prawda?

Skinęła głową, nie mogąc podnieść wzroku. Nagle poczuła na policzku dotyk dłoni brata.

- I co masz zamiar zrobić? - zapytał cicho.

Oparła głowę na jego piersi. Pachniał brandy i dymem cygara.

- Nie wiem. A bardzo bym chciała wiedzieć.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

Przyjdę na ten piknik - powiedział z uśmiechem.

Roześmiała się, ucieszona.

Następnego dnia Lucas pracował przy rozbiórce drewnianego rusztowania, które wybudował na przyjęcie, gdy nagle na trawę obok niego padł cień.

Podniósł głowę i zmrugał oczy przed porannym słońcem.

- Panna Corbett - powiedział ochrypłym głosem. - Stanęła pani tak blisko, że mógłbym panią uderzyć.

Nie odsunęła się. Miała na sobie ciemnoniebieską muslinową suknię z białym kołnierzem i z szerokimi rękawami, zebranymi przy nadgarstkach w białe mankiety. Zmierzył ją wzrokiem, od słomkowego kapelusza po czubki kosztownych bucików z granatowej kozłej skóry, a potem spojrzął jej w oczy.

- Chcę się przejechać - powiedziała, unosząc brodę.

- Nie jest pani odpowiednio ubrana.

- Zmiana stroju nie zajmie mi wiele czasu.

Odwrocił się od niej i uderzył ciężkim młotem w drewnianą konstrukcję.

- Jestem zajęty - powiedział.

Stanęła naprzeciw niego. Ciemnoniebieska spódnica zakołysała się, napełniając powietrze słodką wonią lawendy, krochmalu i kobiecości.

- Powiedziałam Warrickowi, żeby znalazł kogoś innego do tej roboty.

Spojrzał na nią uważnie.

- I dokąd to chce pani jechać?

Przechyliła głowę tak, że rondo kapelusza ocieniło jej twarz.

- Chcę ci coś pokazać.

- A więc widzę, że nie przyjęła pani mojej rady, by trzymać się z daleka ode mnie - zauważyła chłodnym tonem.

- Owszem, przyjęłam, ale potem zmieniłam zamiar.

Patrzył na wdzięczny zarys jej policzka, na pełną dolną wargę i pierś, wznoszącą się wraz z oddechem.

- To, co pani robi, jest niebezpieczne. I pani dobrze o tym wie.

Czekał na jej odpowiedź, słuchając przyspieszonego rytmu swego serca. Na twarzy Jessie pojawił się uśmiech, który niczym syreni śpiew wiodł go prosto ku zagładzie.

- Wiem.

24

Na tle rozświetlonego słońcem błękitu wlatywały białe mewy. Ich przenikliwe okrzyki były ledwie słyszalne, bo zagłuszał je ryk wodospadu. Biała spieniona woda waliła do morza z wysokiej granitowej skały.

Lucas zatrzymał konia przy krawędzi porośniętego trawą urwiska. Zmrużył oczy i patrzył w dół, na lśniące morze i piasek plaży. Fala była niewielka i leniwa. Woda miała barwę turkusową.

Siedząca na czarnej klaczy Jesmonda Corbett zwróciła się twarzą w stronę morza.

- Pięknie tu, prawda? - spytała, przytrzymując kapelusz. Długi welon z kremowego tiulu powiewał wdzięcznie na lekkim wietrze. Jessie miała na sobie nowy strój do konnej jazdy, uszyty z czarnego samodziału, z szerokimi mankietami i zapinany na dwa rzędy mosiężnych guzików. Zdobił go kremowy żabot z jedwabnej koronki. Dziewczyna prezentowała się w nim elegancko i wyniośle, a jednocześnie była tak pełna życia, że na sam jej widok Lucas czuł ucisk w gardle.

- O, tak - odparł i zsunął się z siodła. - Czy dlatego tu przyjechaliśmy?

Spojrzała na niego z góry. Pokręciła głową i na jej twarzy Padł złocisty promień słońca, oświetlając wydatne kości policzkowe.

- Chcę ci pokazać coś u podnóża skarpy.

- A więc jest tu zejście? - Podał jej rękę, a ona, zamiast się

na niej wesprzeć, położyła mu dłonie na ramionach i uśmiechnęła się, spoglądając mu w oczy.

Zdziwiony patrzył, jak ów uśmiech staje się złośliwy.

- Dasz radę wspiać się z powrotem?

Objął jej wąską kibić i poczuł siłę, młodzieńczą siłę ciała pełnego życia i obietnic.

- Wygląda na to, że szukasz guza, dziewczyno.

- Może tak - odparła, wyjmując stopę ze strzemienia.

Gdy zsuwała się z siodła, na krótką chwilę otoczył ją ramio. nami i przycisnął do siebie, wdychając zapach nagrzanego słońcem włosów. Wpiła palce w jego ramiona, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego, rozchylając usta. Wiatr szeleścił w wysokiej trawie i niósł od morza zapach soli oraz szum łagodnych fal. Oczy Jesmondy były ciemne i szeroko otwarte a ciało miękkie i stęsknione. I nikt nie mógł tu nadejść i ich zaskoczyć.

Lucas opuścił ręce i cofnął się o krok. Dyszał szybko i głośno, czując gwałtowny przypływ żądy. To, co robiła, było szaleństwem. Szaleństwem, które mogło doprowadzić tylko do rozpacz i nieszczęścia. A jednak nie mógł jej powstrzymać, tak jak nie potrafił wstrzymać wiatru ani fal.

Schodzili wąską, stromą ścieżką, która wiodła pomiędzy skałami, na małą kamienistą plażę. Ryk wodospadu był tutaj głośniejszy. Lucas przystanął na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał się skałom. Było to dziwne miejsce. Powietrze zdawało się wibrować jakąś niezmierną energią, która sprawiała, że czuł się pełen życia, a zarazem pokory.

- Jak myślisz? - zapytał. - Czy ta ścieżka jest naturalna?

Jessie stała, opierając się o rozgrzany słońcem głaz. Wiatr rozwiewał jej jedwabiste włosy. Pokręciła głową.

- Może częściowo, lecz niecała. Podobno dla tutejszych aborygenów to miejsce miało szczególne znaczenie, ale nikt nie wie dlaczego.

- A ty?

Odeszła od głazu. Jej ruchy były pewne i zdecydowane, uśmiech obiecywał coś, co go wabiło i jednocześnie przerażało.

- Chodź za mną - powiedziała.

Szedł za nią. Dalej, wzdłuż podstawy skarpy, tuż ponad łazami wiódł wąski występ skalny. Zerwał się silniejszy wiatr i na falach pojawiły się białe grzywy.

- Jak się dowiedziałaś o istnieniu tego wodospadu? - zapytał, patrząc, jak dziewczyna przekracza szczelinę, przytrzymując długą, spódnicę i opierając się o stromą ścianę klifu. Pomyślał, że nie chciałyby iść tędy w takim stroju.

- Razem z Reidem trafiliśmy tutaj, wspinając się na skały w poszukiwaniu rozgwiad. Myślę, że nikt inny tu nie bywa.

- Na tej cholernej półce?

- Tutaj.

Znaleźli się tuż przy wodospadzie i czuli na twarzach chłodną mgiełkę rozpylonej wody. Policzki Jessie poróżnowiały od wysiłku i od świeżego powietrza, przyspieszony oddech unosił jej pierś. Uśmiechała się tak szczerze i naturalnie, że Lucas wolał odwrócić od niej wzrok.

- Dajesz mi do zrozumienia, że czegoś nie dostrzegam, tak? - zapytał, odchylając głowę, by spojrzeć na skały nad nimi.

Roześmiała się.

- Patrz.

Patrzył zdumiony, jak Jessie rusza bokiem wzdłuż klifu, trzymając się go rozstawionymi rękami. Szała powoli, przesuując się krok po kroku. Wodospad huczał. Rozbijające się morskie fale wzbijały srebrzysty wodny pył, w którym słońce mieniło się barwami tęczy. Przez chwilę myślał, że dziewczyna zamierza wejść w spienioną wodę wodospadu, lecz szybko zrozumiał, że musiała się wsunąć pomiędzy skały i opadającą kaskadę. Zniknęła.

- Święci pańscy - powiedział, wytrzeszczając oczy, i ruszył za nią.

Przyciskając plecy do skalnego muru, wszedł pomiędzy skarpe a spadającą wodę. Skały, po których stapał i których się trzymał,

były mokre i niebezpiecznie śliskie. Latem strumień, który tu tworzy wodospad, był pewnie niewielki, ale nie teraz, wiosną. Czując wodę na twarzy, koszuli i spodniach, Lucas cofnął się i przywierał do skały.

I przeszedł przez nią na wylot.

Uniósł głowę i zamrugał zdumiony. Pieczara, w której się znalazł, nie była szczególnie obszerna, lecz tajemnicza i tonąca w ciemności, rozświetlonej jedynie lśnieniem opadającej wody. Załamujące się światło o barwie złota, pereł i akwamaryny tańczyło na czarnych skałach i chłodnym białym piasku. Dochodziły tu ściszone odgłosy spadającej wody i fal, uderzających o skały znajdujące się w dole. Słyszał odgłos i czuł zapach wody: sól morza i świeżą woń słodkiej wody, spływającej strumieniem z gór.

Lucas zdjął, kapelusz i otarł ręką twarz. Usłyszał serdeczny, pełen ciepła śmiech Jessie.

- Jesteś cały mokry!

Patrzyła na niego roziskrzonymi oczami. Policzki miała wilgotne i lśniące. Woda przyciemniła tkaninę sukni. Fikuśny koronkowy żabot zwisał wiotki i zbędny. Jessie była zachlapaną, ale wyglądała przesłiznie.

- Ty także - powiedział z uśmiechem.

Pokręciła głową. Wilgotne pasma złocistych włosów przylgnęły do jej białej szyi.

- Nie tak jak ty.

- Bo jestem większy od ciebie.

Uśmiechnął się, patrząc, jak Jessie ściąga rękawiczki i ociera twarz ręką.

- Wygląda na to, że ten wodospad jest dziś nieco większy, niż się spodziewałam - powiedziała.

- Nieco? - zapytał, unosząc brwi.

Roześmiała się, patrząc mu w oczy.

- Odrobinę. - Wciąż się uśmiechając, oglądała ściany pieczary. - Zaczarowane miejsce, prawda?

Jej pełen entuzjazmu zachwyt wydał mu się uwodzicielski. Zapomniał już, że z otaczającego świata można czerpać tyle radości.

Jessie obejrzała się powoli. Nieziemskie światło tańczyło na

jej wilgotnych policzkach, na roziskrzonych oczach, na rozchylonych wargach.

przyglądał się jej i docierało do niego, że to, co czuje do tej kobiety, jest niebezpieczne i wiedzie do katastrofy. A jednak nie potrafił się opanować i, co gorsza, wcale tego nie chciał.

_ Tak, zaczarowane - przyznał cicho.

Omiotła pieczarę zachwyconym wzrokiem i spojrzała na niego. Jej rumieniec zdradzał podniecenie.

Podeszła do Lucasa, a on wyciągnął do niej ramiona. Jedną dłoń wsunął w wilgotne włosy Jessie, a drugą niecierpliwie zdjął jej kapelusz. Kremowy welon zatrzepotał i spłynął na piasek, wyściełający dno pieczary. Chwyciła Lucasa za ramiona i patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnęła się.

Przyłgnął do jej ust i był to pocałunek pełen słodyczy, ciepła i radości. Przez chwilę wydawało mu się, że potrafi nad sobą zapanować, ale choć w jego uczuciach do tej dziewczyny było wiele czystej duchowości, pozostał przecież mężczyzną i miał cielesne potrzeby. Rwał się do niej, rozdygotany i pozbawiony tchu, łaknął gładkości jej policzków, smukłej szyi, zapachu włosów. Pragnął pieścić jej nagie piersi, dotykać umięśnionego brzucha, wsunąć dłoń między uda. Chciał patrzeć, jak na twarzy Jesmondy pojawia się wyraz rozkoszy, wywołanej jego dotykiem. Chciał poczuć, jak jej ciało otwiera się dla niego.

Pożądał jej.

Z jego gardła wydobył się ochryply pomruk. Przycisnął wargi do jej ust, rozchylonych zachęcająco. Po chwili ogarnął ich płomień pożądania i pocałunek stał się bardziej erotyczny. Lucas usłyszał pojękiwanie Jessie i poczuł na sobie jej ręce, zrywające z niego koszulę.

Uniósł głowę. Ich oczy się spotkały, pełne zachwytu i oczekiwania. Nie spuszczać wzroku z twarzy Jesmondy, powoli rozpinął guziki sukni.

- Powiedz mi - wyszeptał. Rozchylił grubą tkaninę i pieścił jej piersi nad krawędzią gorsetu. - Powiedz mi, czego pragniesz.

- Chcę, żebyś mnie dotykał.

Westchnął głęboko. Drżącymi rękami zsunął gorset i rozpiął

haftowaną cieniutką koszulę z batystu. Ostrożnie obnażył piersi. Jesmondy i pieścił je wzrokiem i pocałunkami.

Piersi miała pełne, jędrne i piękne, a skórę gładką i delikatną. Przecięgnął dłońią po ciemnej brodawce i patrzył, jak się porusza i twardnieje. Usłyszał pełne zachwytu westchnienie i poczuł gorący oddech na twarzy. Obydwoje patrzyli na jego dłonie, na stwardniałe opalone palce na gładkiej bieli jej piersi.

Jessie wstrzymała oddech. Odchyliła głowę do tyłu, opuściła powieki. Lucas pochylał się i dotknął ustami jej delikatnej szyi. Objął dziewczynę w talii i mocno przyciągnął. Czas przestał istnieć, zawisł w powietrzu, w pieczarze wypełnionej tańczącym światłem, hukiem wodospadu i szeptami kochanków. Dłonie Lucasa poznawały kształt piersi Jesmondy, wargi uczyły się miękkości jej skóry. Westchnął, czując na karku jej dłonie.

Gwałtownym ruchem przycisnął ją do gładkiej skały i zakrył usta gorącym pocałunkiem. Zsunął dłonie w dół i zadarł jej spódnice.

- Lucacie... - wyszeptała ochryple.

Znieruchomiał z policzkiem przytkniętym do jej twarzy, z zaciśniętymi powiekami, z dłońmi na udach dziewczyny. Powolnym ruchem uniósł głowę. Ciężko dysząc, wypuścił spódnice i oparł dłonie na skale po obu stronach głowy Jessie.

Spojrzała na niego wielkimi oczami i przyciągając go, wyszeptała:

- Nie. Nie przestawaj. Nie chciałam, żebyś przestał.

Pokręcił głową, dysząc głośno i szybko.

- Wiesz, do czego dojdzie, jeżeli nie przestaniemy? - zapytał i popatrzył jej w oczy.

Wiedziała.

Patrzył na nią, dygocąc z podniecenia i wysiłku, by nad nią zapanować. Pragnął... Dobry Boże, tak bardzo jej pragnął.

Chciał ją ułożyć na miękkim piasku i rozebrać do naga, by poznawać wszystkie ukryte tajemnice jej delikatnego ciała. Chciał ją przykryć swoim twardym męskim ciałem, poczuć, jak obejmują go jej nogi, jak jej dłonie zaciskają się na jego ramionach. Chciał słuchać jęków rozkoszy i spełnienia, kiedy ją posiadzie.

Tylko że ona nigdy nie będzie do niego należeć tak, jak na zasługiwała. Mógłby ją tylko unieszczyć.

Uniósł dłoń, dotknął jej policzka i musnął wargi. Odczuwał wielki smutek. Pochylił głowę i ucałował ją lekko, odsunął się od skały, pod którą stali.

Zatrzymał się w wejściu do pieczary. Ciało miał napięte i rozdygotane - Rozpaloną twarz chłodziła mgiełka rozpylonej wody, huk wodospadu narastał w uszach.

I wtedy się odezwała.

- A jeśli ja chcę właśnie tego?

Obejrzał się. Stała wyprostowana, zbierając na piersiach rozchełstana suknię. W bladej, napiętej twarzy lśniły ogromne oczy. Miał ochotę podbiec do niej i pocieszyć, tuląc w ramionach. Ale nie mógł.

- Wiesz, kim jestem - powiedział. - I rozumiesz, co to oznacza.

- Wiem. Wiem od chwili, gdy cię ujrzałam po raz pierwszy, ale to dla mnie nie miało znaczenia. - Uśmiechnęła się. - Więc tym bardziej nie ma go teraz.

Wciągnął powietrze i wypuścił je z głośnym westchnieniem.

- Nie ma dla nas przyszłości. I nigdy nie będzie.

- Wiem. Myślisz, że sobie tego nie powtarzam, i to bez przerwy? Ale to nie zmienia moich uczuć. Nie powstrzymuje mnie...

- Panno Corbett...

- Nie mów tak do mnie. Czy ty sobie wyobrazasz, że traktuję cię jak rozrywkę? Zabawkę do zabicia czasu, którą potem kapryśnie odrzucę? A może myślisz, że podstępnie każę ci zapłacić za to, co zrobiliśmy razem?

- Nie. Wiem, że nie jesteś taka. - Wyciągnął rękę i starł z jej policzka srebrzystą łzę. - Ale będziemy musieli za to zapłacić, dziewczyno. Nie miej co do tego złudzeń.

Spojrzała na niego pięknymi oczyma, pełnymi bólu, tęsknoty i rozpacz.

- A jeśli to mnie nie obchodzi?

Opuścił rękę.

- Ale mnie obchodzi.
- Odwróciła głowę. Przełknęła ślinę.
- Przepraszam, nie pomyślałam...
- Nie. - Jednym susem znalazł się przy niej, złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Nie rozumiałaś. Masz przed sobą całe życie. Jak mógłbym je zniszczyć, pozwalając byś uczyniła coś, czego później będziesz żałować?
- A może ja nie pragnę takiego życia, jakie mnie czeka?
- Spojrzał w jej pociemniałe oczy. Na widok płonącego w nich uczucia zaparło mu dech w piersi. Na chwilę zatracił się w nich; w ciepłe i dobroci, które w nich dostrzegł. Ale ona nie wie... Ona go nie zna, nie wie, co mu zrobiono i co zrobił on.
- I nie wie, jakie on ma plany.
- Jestem człowiekiem bez przyszłości - powiedział rozmyślnie oschłym tonem i boleśnie ścisnął jej ramiona. - Moje życie skończyło się wiele lat temu. Jeżeli się do mnie zbliżysz, dziewczyno, zniszczysz siebie.
- Za późno - rzekła ze smutkiem. - Nie rozumiesz? Już za późno.
- Nie. Wcale nie jest za późno.
- Ale wiedział, że nie ma racji. Było za późno. I dla niej, i dla niego.

W krótko potem opuścili pieczarę i, gawędząc na obojętne tematy, wspięli się na górę, gdzie czekały na nich konie. Ruszyli wzdłuż wybrzeża. Lucas nie bardzo zdawał sobie sprawę, dokąd jada, aż dotarli do ujścia potoku. Przed nimi wznosiły się poczerwiałe ściany domostwa Grimesa.

- Dlaczego tutaj przyjechaliśmy? - zapytał, gwałtownie ścigając cugle.
- Zgubiłam tę okrągłą złotą spinkę, którą miałam przypiętą w dniu pogrzebu. Nie jest szczególnie cenna, ale miałam ją od dziecka i chcę jej poszukać.
- Ścisnął wałacha piętami, aż zwierzę pod nim zatańczyło. Spojrzał ukradkiem w stronę trzciny i paproci, w których ukrył szalupę.
- Nie znajdziesz jej.

- Ale mogę spróbować - powiedziała i zsunęła się z siodła, nie czekając na jego pomoc.

Lucas wahał się chwilę, a potem także zsiadł z konia, by szukać spinki razem z nią.

- Nie ma jej tutaj - powiedział po kwadransie nerwowego przeczesywania wysokiej trawy i splątanych krzewów. Nawet w jasny pogodny dzień atmosfera wokół spalonego domostwa była ciężka i ponura.

Jessie uniosła głowę i spojrzała w stronę ujścia strumienia.

- Przejdźmy się w kierunku tych paproci. Może tam ją zgubiłam.

- Mogłaś ją zgubić wszędzie - odparł.

Ale ona już schodziła ścieżką, wiodącą w kierunku ujścia.

- O co chodzi? Boisz się duchów?! - zawołała ze śmiechem.

Ruszył za nią.

- Do diabła z duchami, dziewczyno. Przeziębisz się. Zmokłaś pod wodospadem.

- Nie doceniasz tych wszystkich warstw wełny, bawełny i fiszbinów, które chronią damę przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego. Chociaż...

Przerwała i, straciwszy równowagę, chwyciła się zwisającej nisko gałęzi. Gdyby nie wypatrywała spinki, prawdopodobnie nie dostrzegłaby łodzi, którą tak starannie ukrył. Nie miał jeszcze czasu, by zreperować wszystkie uszkodzenia kadłuba, ale dzięki pracy przy drewnianej konstrukcji namiotu na przyjęcie uzyskał dostęp do narzędzi i do budulca, którego potrzebował. Zrobił już część napraw i teraz świeże niepomalowane drewno jaśniało podejrzenie.

Jesmonda stała nieruchomo, zwrócona bokiem do Lucasa. Tak mocno ścisnęła gałąź, że zbieły jej palce.

- Dlatego nie chciałaś, żebym tutaj przyszła - odezwała się po chwili. - Planujesz ucieczkę. Prawda?

Spojrzał w jej poważne, pełne bólu niebieskie oczy i poczuł ten ból, gorący, głęboki i niezaprzeczalny.

- Tak - powiedział. - Planuję.

25

Kiedy? - spytała, nie patrząc na Lucasa. Siedzieli obok siebie na nasłonecznionej przystani. Jessie podciągnęła nogi i oparła brodę na kolanach. - Kiedy chcesz odpłynąć?

- Przy najbliższej pełni.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Siedział oparty o łuszczący się słup, z jedną ręką na zgiętym kolanie.

- Nie uciekasz sam, prawda? Aby ruszyć tę łódź, trzeba co najmniej sześciu wiosłujących.

- Tak - odparł, prostując nogi. - Doniesie pani na nas, panno Jesmondo Corbett z Zamku Corbetta?

Trwał przypływ, woda chlupotała o brzegi przystani. W oddali nad zatoczką pokrzykiwały mewy, unoszące się nad falami, Jessie patrzyła, jak wiatr rozwiewa ciemne włosy Lucasa, opadające aż na kołnierz jego kurtki. Poczowała nagły strach, tak silny, że z trudem opanowała chęć przytulenia go. Chciała go chronić.

- Jeżeli was schwytają, zabiją was. Albo zrobią z wami coś jeszcze gorszego.

- Już ci mówiłem. Od czterech lat nie żyję.

Przełknęła ślinę. Chciała mu tak wiele powiedzieć, lecz milczała, czując dojmujący ból w piersi. Westchnęła głośno, co zabrzmiało niemal jak łkanie, i odwróciła wzrok.

- Lepiej będzie, jak stąd odejdę - powiedział cicho. - Po tym, co się dzisiaj omal nie stało, nie możesz temu zaprzeczyć.

Tak, miał rację. Ale to, co było rozsądne, różniło się zasadniczo od tego, czego pragnęła.

Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będą razem i że musi nadejść dzień, kiedy się pożegnają. Wiedziała o tym, ale teraz, gdy ów dzień się zbliżał, złękła się, że nie potrafi znieść rozstania. Jakże wytrzyma bez Lucasa? Od czasu, gdy spojrzała wzgórze i ujrzała go pracującego w kamieniołomie, stała się inną kobietą.

- Mogłabym ci pomóc. - Wpatrywała się w falujące morze. Morze, które go jej odbierze. Które pozwoli mu uciec od życia, jakiego nienawidził. I od niej. - Mogłabym się postarać o ubrania i jedzenie.

- Nie. Gdyby nas złapano, te rzeczy wskazałyby na twój udział w przygotowaniu ucieczki.

- Mimo wszystko chcę zaryzykować.

- Ale ja nie chcę.

Odwracała głowę, nie chcąc, by zobaczył wyraz jej twarzy, ale jak mogła na niego nie patrzeć? Przecież tak go kochała, a wkrótce miała być pozbawiona jego widoku.

Zwróciła się twarzą w jego stronę i syciła serce widokiem jego ciemnych, zdecydowanie zarysowanych brwi, opalonej skóry, zielonych irlandzkich oczu. Czuła, że jej miłość się wzmaga, staje się płomienna, gorąca i wieczna. Wiedziała, że teraz miłość i ból rozłąki będą jej towarzyszyć do końca życia. I zdawała sobie sprawę, że on czyta to wszystko w jej oczach, że odgaduje tę straszliwą tajemnicę jej duszy.

- Dziewczyno - wyszeptał i wyciągnął do niej rękę.

Schwyciła ją w obie dłonie i splótła palce z jego palcami. Siedzieli tak długo, a potem wstali i odjechali tam, gdzie ich życie biegło odległymi torami.

Teraz trzymała się z dala od niego. Najdalej, jak mogła. Czytała matce *Klub Pickwicka* i chadzała na długie samotne spacerki po parku. Na początku następnego tygodnia pojechała na piknik z Harrisonem, Philippą i Warrickiem.

Harrison zawiózł ich wszystkich na wysokie urwisko, górujące ponad skalnym wybrzeżem. Tam rozścielili na trawie pled. Popijali szampana z kryształowych kieliszków i zajadali kanapki z pasztetem i z ogórkiem. Potem Harrison wziął Jessie za rękę i poprowadził ją na przechadzkę po ukwieconym zboczcu wzgórza. Lekki wietrzyk od morza igrał z błękitnymi wstążkami jej kapelusza i oblepiał nogi białym muślinem. Szli jak dwoje starych przyjaciół, bo też od dawna się przyjaźnili, tylko że teraz łączyło ich coś więcej, i właśnie to stanowiło problem.

Jessie czuła się jak oszustka, spacerując ramię w ramię z mężczyzną, któremu obiecała rękę, podczas gdy krzyki mew szum fal i powiewy wiatru na twarzy przypominały jej kogoś innego. Nie wstydziła się tego, że kocha Lucasa Gallaghera, ale ciążyło jej poczucie winy. Zrozumiała, że owo poczucie winy nie bierze się z miłości do skazańca ani z tego, co z nim robiła, lecz z braku szczerości i z zakłamania.

Spojrzała na idącego obok niej mężczyznę. Słońce i nadmorskie powietrze zabarwiły jego twarz zdrowym rumieńcem. Jego oczy lśniły, co sprawiało, że wyglądał młodziej, mniej poważnie i przypominał chłopca, którego pamiętała z dzieciństwa. Pomyślała, że nawet jeśli jej serce będzie należało do kogoś innego, i tak uszczęśliwi Harrisona. Oczekiwał od niej tak niewiele. Pragnął jedynie, by zachowywała się zgodnie z wymaganiami ich warstwy społecznej i zapewniła mu wygodny dom i dobrze ułożone dzieci. Nie oczekiwał, a może nawet wcale nie chciał, by go kochała dzikim uczuciem, do jakiego była zdolna. A mężczyzna, którego mogła tak kochać, którego tak kochała, wkrótce odejdzie.

Myśl o rychłym rozstaniu z Gallagherem napełniała ją straszliwym bólem i strachem. Obawiała się, że nie potrafi znieść rozłąki, ale nic nie mogła zrobić. Lucas Gallagher odejdzie lub zginie w czasie najbliższej pełni księżyca, a jej miłość do niego stanie się jeszcze jedną tajemnicą.

- Pamiętasz, jak przyjechaliśmy tutaj na piknik w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia? - zapytał Harrison z uśmiechem rozbawienia. - Miałem wtedy czternaście lat, a ty dziesięć. Pod choinką znalazłaś ogromny latawiec. .

Roześmiała się na to wspomnienie i wzięła narzeczonego pod rękę.

- Pamiętam. Wydawało mi się, że skoro jest tak ogromny, uniesie mnie i będę mogła latać. Popędziłam w dół ze wzgórza. A ty usiłowałeś mnie zatrzymać.

- Próbowałem, ale mnie odepchnęłaś i pobiegłaś dalej.

Ujął jej dłoń i przyciągnął do siebie. Dostrzegła, że rozbawienie w jego oczach znika i stają się dziwnie mroczne.

- Tamtego dnia zrozumiałem, że cię kocham i że jeśli się i tobą ożenię, stanę się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Zerknęła na jego dobrze znaną, urodziwą twarz.

- A gdybyś się we mnie nie zakochał? Poślubiłbyś mnie, Harrisonie?

Parsknął śmiechem, ale Jessie dosłyszała w nim nutkę irytacji.

- Cóż za pytanie, Jesmondo? Myślałem, że znasz mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że zawsze postępuję w zgodzie z powinnością.

Z powinnością. Wychowano ich tak, aby postępowali w zgodzie z powinnością wobec Boga, królowej, kraju i rodziny...

- A gdybyś stwierdził, że nawet mnie nie lubisz? - obstawała przy swoim. - Co byś zrobił?

- Wtedy uznałbym, że jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Doprawdy, Jesmondo, o co ci chodzi?

Taka nieustępliwość nie była w dobrym tonie, ale nie zwracała na to uwagi. Musiała wiedzieć.

- A gdybym wtedy, gdy się we mnie zakochałeś, była zesłaną tutaj więźniarką, co byś zrobił, Harrisonie?

- Dobry Boże! - Był szczerze poruszony. - Mówisz tak, jakbym mógł się w kimś takim zakochać.

Przystanąła i spojrzała mu prosto w oczy.

- A niby czemu nie mógłbyś? Przecież to byłabym ja.

Gwałtownie pokręcił głową.

- Nie. To nie byłabyś ty.

- Mogliby mnie niesprawiedliwie oskarżyć, mogłabym też stać się ofiarą zbiegu okoliczności.

- To nie ma znaczenia. Nie mógłbym zakochać się w więź-

niarce, podobnie jak ty nie mogłabyś sfrunąć z tej skarpy.- Starął się, by jego słowa zabrzmiały lekko, ale nos mu się wydłużył i Jessie wiedziała, że jest z niej niezadowolony.

Poczuła ucisk w gardle i z trudem przełknęła ślinę. Powiedział, że ją kocha, i z pewnością w to wierzył. Niewątpliwie jej pragnął. Lecz nie rozumiała, jak może ją naprawdę kochać, skoro tak wiele jej cech budziło w nim dezaprobatę. Spozregła, że teraz, gdy ustalili, że zostanie jego żoną, Harrison coraz częściej wyraża niezadowolenie i oczekuje, że Jessie się zmieni. Miała stać się taka, jak on sobie życzył, być dziewczyną z jego wyobrażeń, która w rzeczywistości nie istnieje.

Czasami wydawało jej się, że to jej wina, bo Harrison był jedną z osób, przed którymi ukrywała swe prawdziwe oblicze więc nic dziwnego, że jej nie znał. Ostatnio zaczęła się zastanawiać, jak dobrze zna przyszłego męża. Ich świat nie zachęcał do szczerości i otwartości. Kłamstwo i oszustwo były wprawdzie surowo zakazane, lecz konformizm i słynna angielska flegma sprzyjały obłudzie, nieszczerości i zachowaniu dystansu. Jessie zdała sobie sprawę, że choć dorastała obok Harrisona, wie o nim mniej niż o Gallagherze, którego zna zaledwie od miesiąca. Pomyślała, że spędzi całe życie u boku Harrisona i nigdy nie pozna jego uczuć ani myśli.

- Oczywiście, że nie mógłbyś zakochać się w więźniarce - rzekła cicho.

Chciała odejść, lecz Harrison chwycił ją za ręce i zatrzymał.

- Kochanie - powiedział, a ona dosłyszała w jego tonie nutkę irytacji. - Musimy coś omówić. - Przyciągnął ją do siebie. Wiatr powiewał jej spódnicą, która trzepotała jak żagiel. -- Zdamy sobie sprawę z tego, że przebywasz w domu od niedawna, i nie chcę wywierać presji... - Uśmiechnął się nagle swym dawnym chłopięcym uśmiechem. - Chodzi mi o to, że powinniśmy wyznaczyć datę ślubu. Za kilka dni wyjeżdżam do Hobart, ale chyba wrócę przed końcem października. Czy możemy się pobrać w pierwszą sobotę grudnia?

Co prawda zadał pytanie, lecz Jessie dobrze wiedziała, że nie oczekuje odpowiedzi, tylko zgody. Ogarnęło ją przerażenie,

poczuła się tak, jakby wiry w Zatoczce Rozbitków wciągały ją w głąb.

- Nie wiem, czy zdążę - powiedziała. - To wymaga tyłu przygotowań...

Harrison roześmiał się.

- Chyba nie doceniasz swojej matki. Ona planuje ten ślub od przeszło dwóch lat. Twierdzi, że do grudnia ze wszystkim się upora.

Jessie spojrzała na swoje dłonie w rękach Harrisona. Nosiła niebieskie rękawiczki, Harrison zaś - czarne. Pomyślała o kimś, kto miał dłonie ogorzałe od słońca i pokryte bliznami. W grudniu już go tutaj nie będzie.

- Rozmawiałeś z matką o naszym ślubie? - spytała.

- Oczywiście. Uważałem, że tak należy.

Była niemile zdziwiona, że najpierw omówił datę ślubu nie z nią, lecz z Beatrice, ale potem pomyślała, że pewnie od lat rozmawiali na ten temat.

- Jesmondo.

Uniosła wzrok. Spoglądał na nią z ową dobrze znaną mieszanką czułości i pożądania. Pochylił głowę. Jessie stała nieruchomo, czekając na jego pocałunek.

Nagle poczuła na ustach jego wargi. Były chłodne, suche i ich dotyk sprawił jej przyjemność, ale nie odczuwała owej dzikiej, płomiennej żądzy i wiedziała, że przy Harrisonie nigdy jej nie zazna.

A gdyby nigdy nie spotkała dzikiego i pięknego Irlandczyka o dumnych oczach i nieposkromionej duszy, który skradł jej serce, czy wówczas bez protestu zgodziłaby się z wolą matki? I czy w ogóle wiedziałaby wtedy, czym jest rozpacz i to przerażające poczucie samotności?

Harrison nagle ścisnął jej dłonie tak mocno, że poczuła ból. Dyszał szybko, przyciskając wargi do jej ust z brutalnością, która zaskoczyła ją i przestraszyła, ale zanim zdążyła zareagować, odskoczył i gwałtownie się odwrócił. Drżącą dłonią wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią wargi. Wiatr niósł woń rozgrzanej trawy i morza. Z kępy akacji doleciał słodki i tęskny śpiew

drozda. Harrison milczał. Jessie pomyślała, że jest wstrząśnięty własnym zachowaniem tutaj, na zalanej słońcem łące, gdzie w każdej chwili mógł ktoś nadejść i ich zobaczyć.

Patrzyła, jak jej narzeczony dochodzi do siebie, zawstydzony że się nieodpowiednio zachował, i czuła przypływ wielkiego smutku. Litowała się nad sobą i nad nim. Mówił, że ją kocha ale nie przejmował się tym, że ona nigdy nie odpłaciła mu tym samym. Przyjaźnili się od dziecka i Harrison wiedział o tym, że Jessie lubi go i szanuje; i to najwyraźniej mu wystarczało. Wszyscy ciągle jej powtarzali, że po dobrze urodzonej żonie mężczyzna nie oczekuje gwałtownych emocji. Podejrzewała, że gdyby wiedział, jakie pokłady namiętności w niej drzemia, byłby wstrząśnięty i przerażony.

Nagle zdała sobie sprawę, że będzie je musiała zawsze ukrywać przed mężem, bo jego miłość uzależniona jest od tego, jak się będzie zachowywała. Ciekawe, ile jeszcze będzie musiała ukrywać. Jak wiele udawać, zanim zupełnie straci orientację, kim właściwie jest.

26

Warrick leżał na wznak na rozgrzanej trawie, oparłszy stopę na zgiętym kolanie drugiej nogi. Rozpiął koszulę i naciągnął kapelusz na czoło, by osłaniał mu twarz przed słońcem. Lecz oczy miał otwarte i wpatrywał się w roziskrzone morze i białe żagle statku na horyzoncie.

- Dlaczego już nie żeglujesz? - spytała panna Philippa Tate beznamiętnym tonem, jakby pytała, czy wypiłby jeszcze jedną filiżankę herbaty.

Siedziała na pledzie, udrapowawszy na nim szeroką różową spódnicę. Nad głową trzymała jedną ze swoich licznych parasolek, chroniąc cerę przed spustoszeniami australijskiego słońca.

- To pytanie, panno Tate, jest bardzo wścibskie i impertynenckie. A wścibskie i impertynenckie pytania nie należą do dobrego tonu.

Odchyliła parasolkę do tyłu, tak by Warrick widział jej twarz i mógł dojrzeć uśmiech w jej oczach.

- Komu innemu nie zadałabym go, ale ty wciąż mi powtarzasz, że nie masz cierpliwości do zakazów i nakazów dobrego wychowania.

- Do diabła, sam nie wiem, dlaczego już nie żegluję - warknął Warrick.

Ten wybuch nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

- Myślę, że gdybyś nadal żeglował, byłbyś szczęśliwszy.

Wydaje mi się, że tego potrzebujesz. Twoja dusza tego pragnie Warricku.

- A cóż ty, u diabła, wiesz o mojej duszy? - zapytał, a ona tylko się uśmiechnęła i zaczęła kręcić parasolką.

Usiadł i nachylił się ku niej.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak czułaby się moja matka, gdybym znów zaczął żeglować?

Spojrzała na niego uważnie. Jej wielkie brązowe oczy, pełne spokojnej wyrozumiałości, zawsze trochę go przerażały.

- Robisz wiele rzeczy specjalnie po to, by zdenerwować matkę. Dlaczego więc nie żeglujesz?

Warrick odwrócił głowę w stronę rozkołysanego błękitu morza. Tęsknota za żeglowaniem przeszywała go czasem jak ostrze noża.

- Wziąłeś pod uwagę włosiennicę i samobiczowanie? - spytała niewzruszonym tonem. - Uważam, że są bardzo skuteczne w oczyszczaniu ciała z iluzji poczucia winy.

- Iluzji?

- Tak, z iluzji.

Spojrzał na nią, na delikatny zarys policzka i wygięcie warg.

- Dlaczego wszyscy uważają, że jesteś taka łagodna, potulna i dobrze wychowana?

- Bo taka jestem.

- Aha. Ale nie w stosunku do mnie.

- Masz rację. Nie w stosunku do ciebie. - Dotknęła jego ramienia. - Martwię się o ciebie, Warricku. Zawsze byłeś wolny i dziki jak wiatr, ale ostatnio płonie w tobie jakiś wewnętrzny ogień. Boję się, że jeżeli go nie wypuścisz, wypali cię zupełnie.

Powinien poczuć irytację. Gdyby coś takiego powiedział mu ktoś inny, z pewnością by się zezłościł, ale z Philippą przyjaźnili się od dawna. A poza tym miała rację.

Położył dłoń na jej ręce. Poczował, że jej palce drżą i po chwili nieruchomieją.

- Zawsze ci zazdrościłem - powiedział cicho.

- Zazdrościłeś mi? - Roześmiała się speszona. Z zarumienionymi policzkami wyglądała zadziwiająco atrakcyjnie. - Czego?

Tak doskonale i bez wysiłku przystosowujesz się do otoczenia. Nie, to coś więcej, jesteś pogodzona ze sobą i to ci daje taką... pogodę ducha.

- To, co widzisz, Warricku, to nie jest pogoda ducha. To tylko brak odwagi i wyobraźni.

- Co byś chciała robić? - zapytał z uśmiechem.

W oczach Philippy pojawił się dziwny blask.

- Opłynąć z tobą świat.

Uśmiech Warricka zgasł.

- Och, Philippo. - Wyciągnął rękę i dotknął jej delikatnych włosów, opadających na szczupłą białą szyję. - Brak mi na to odwagi.

Na granatowoczarnym, usianym gwiazdami niebie nad parkiem wisi puzaty księżyc. Nie była to jeszcze pełnia, lecz wkrótce miała nadejść.

Jessie stała w drzwiach balkonowych, prowadzących na werandę. Przycisnęła policzek do niebieskich adamaszkowych zasłon. Nie patrzyła na księżyc. Wpatrywała się w ciemny zarys baraku na odległym podwórzu. Wiedziała, że on tam jest, uwięziony w ciemności. Lecz jeszcze większy ból odczuwała na myśl, że wkrótce go tam nie będzie. Jej miłość w ogóle była bolesna. Zabroniona i niemożliwa. Nawet gdyby nie usiłował zbiec i pozostał w baraku, nigdy nie byłiby razem. A znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie potrafi dłużej znosić życia skazańca, pełnego upokorzeń i poniżenia. Musiał stąd odejść. Ale na myśl o jego odejściu i o niebezpieczeństwach, jakie na niego czyhały, odczuwała w sercu dotkliwy ból.

W ciągu kilku ostatnich tygodni była smutna i wystraszona. I dręczyła ją poczucie winy. Za kilka dni pojedzie z Philippą do Blackhaven Bay, aby towarzyszyć narzeczonemu w drodze na statek, który go zabierze do Hobart Town. A gdy Harrison stamtąd wróci, będzie musiała zostać jego żoną.

Czasami... czasami wydawało jej się, że poślubiając go,

postąpi niewłaściwie, bo jej serce należy do innego. Jak wiele tajemnic wolno jej zachować przed narzeczonym? Może wyzna mu prawdę, gdy Harrison wróci z Hobart Town? Powie mu, że kochała kiedyś innego mężczyznę, lecz nie zdradzi mu kogo nie powie też, jak bardzo.

Harrison zasługuje na to, by o tym wiedzieć, zanim ją poślubi.

Miasto Blackhaven Bay rozciągało się na mniej więcej pół mili, lecz tylko kilka ulic dochodziło do kamienistej plaży. Była to ładna osada ze schludnymi piętrowymi domami mieszkalnymi i sklepami, wybudowanymi w stylu georgiańskim z piaskowców i pobielanych bali. W tle wznosiły się zielone góry, porośnięte puszcza zwrotnikową. W miarę jak miasto się rozrastało, stawało się coraz bardziej konserwatywne, lecz jego początek stanowiła zabudowa przy porcie. O tej porze roku, kiedy wieloryby miały tarło, w porcie nadal tłoczyły się statki wielorybnicze o wysokich masztach. Gdy wiał wiatr z południa, niósł ze sobą odór śmierci ze stacji, na której ładowano mięso wielorybów. Mimo że zatoka była malownicza, wydawała się groźna, jakby nawiedzona przez duchy wszystkich wielorybów, które spotkał tu okrutny los. Jessie powiedziała to kiedyś Harrisonowi, ale on spojrział na nią wstrząśnięty i stwierdził, że jest dziwaczna i bluźniercza, więc nigdy więcej o tym mu nie wspominała.

Wiał północno-wschodni wiatr, świeży i niosący woń otwartego morza. Ale duchy wielorybów wciąż tutaj są, myślała Jessie, ponure i rozgniewane.

- Masz dobrą pogodę do żeglowania - zauważyła Philippa, gdy spacerowali wzdłuż doków, czekając na odpływ. Przed nimi otwierała się zatoka. Na łagodnych falach kołysały się stojące na kotwicy statki wielorybnicze oraz królewska fregata kapitana Boyda i kecz, na którym Harrison miał odpłynąć do Hobart Town.

- Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania i nie odwiedzisz mnie

Hobart? - zapytał Harrison, uśmiechając się do siostry. - Możesz popłynąć keczem w najbliższym tygodniu.

Philippa zerknęła na brata spod parasolki. Wirująca koronka rzucała na jej twarz ruchome cienie.

- Jestem pewna, ty pozbawiony serca człowieku. Któryś z nas musi zostać w domu i pomóc Jessie w przygotowaniach do ślubu.

Jessie się roześmiała, a Harrison chwycił ją za rękę i ucałował demonstracyjnie.

- Nie myślisz chyba, że cię porzucam? - zapytał, marszcząc czoło.

- Nie przeszło mi to przez myśl - odparła, czując na sercu ciężar winy. Bo, prawdę powiedziawszy, była rada, że Harrison wyjeżdża, a ona zostanie sama, by przygotowywać się do nadchodzącego ślubu... i opłakiwać rychłą stratę.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekł, ujmując ją pod rękę i prowadząc wzdłuż wybrzeża. - Rozmawiałem z kapitanem Boydem, który mi powiedział, że kilku ludzi z Zamku Corbetta planuje ucieczkę. Mają ukrytą łódź i chcą się na niej dostać na żaglowiec kursujący pomiędzy wyspami. Kapitan oczywiście zawiadomił o tym Warricka, ale na razie nic nie można zrobić, bo nie wiadomo, gdzie jest ukryta łódź. Którzy więźniowie planują ucieczkę, wie tylko tamtejszy kowal, który także jest skazańcem. Uważam, że schwytanych zbiegów powinno się wieszać na szubienicy, tak jak dawniej. To by położyło kres tym bezsensownym próbom ucieczek. Rozpuszczanie tych drani prowadzi do... - Zamilkł, gdy Jessie zatoczyła się nagle i chwyciła oburącz jego ramię. - Co ci jest, Jesmondo?

Miała dziwne wrażenie, że cały świat kołysze się pod jej stopami.

- Wszystko w porządku - zapewniła go pośpiesznie. - Czy kapitan Boyd wspomniął ci, kiedy ma się odbyć ta ucieczka?

- Powiedział chyba, że nocą w czasie najbliższej pełni. Ale nie powinnaś się tym przejmować, najdroższa. Wybrzeże będzie patrolowane. Jeżeli wasi ludzie spróbują ucieczki, zostaną natych-
-iast ujęci.

Gdy Jessie wpadła do stajni, Lucas był w pomieszczeniu z uprzężą. Czyścił siodło.

- Panno Corbett - powiedział leniwie i przeciągle, nie przerywając zajęcia, choć jego serce rwało się do niej.

Od owego dnia, gdy opowiedział Jessie o planowanej ucieczce, widywali się tylko przelotnie, bo tym razem naprawdę trzymała się z dala od niego. Rzadko jeździła konno i tylko w towarzystwie brata lub Harrisona, lecz teraz tu przyszła. Popołudniowe słońce złociło jej gęste włosy o barwie miodu

- Właśnie wróciłam z Blackhaven Bay - oznajmiła, zatrzymując się przed nim. Suta spódnica z jedwabiu o barwie czerwonego wina cichutko zaszeleściła. - Kapitan Boyd... królewska fregata... oni wiedzą.

Dobrze wiedział, co miała na myśli. Odłożył szmatkę, którą czyścił siodło, i wstał powoli. Podeszedł do zakurzonego okienka, wychodzącego na podwórze. W pierwszej chwili nie mógł wydobyć głosu, tak bardzo był zły, przestraszony i rozczarowany.

- Jesteś pewna? - zapytał w końcu.

Weszła do niskiego, ciasnego pomieszczenia.

- Nie wiedzą, gdzie jest ukryta szalupa - rzekła, ścisząc głos. - Ale wiedzą, że macie łódź. Wiedzą, że chcecie się udać na północ, aby się dostać na żaglowiec, i wiedzą, kiedy chcecie uciec.

- Czy wiesz, kto wygadał?

Pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że Harrison wspomniał coś o kowalu, ale nie jestem pewna.

- John Pike - powiedział cicho. Obrócił się i oparł plecami o pobieloną ścianę. Skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał wzrok w ceglanej podłodze. Milczał, ale dziewczyna odgadła bieg jego myśli.

- Dobry Boże - wyszeptwała. - Nie możecie uciec.

Podniósł głowę i spojrzał na Jessie.

- Ucieczka wciąż jest możliwa. Jeśli uciekniemy teraz, nie czekając na pełnię. I ruszymy na południe, a nie na północ.

Patrzyła na Lucasa i cała krew odpłynęła z jej twarzy.

- Nie. To zbyt niebezpieczne.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze istnieje ryzyko.

Ale.- możecie poczekać kilka miesięcy, aż przestaną was podejrzewać.

Nie. Wiedzą, że mamy łódź, więc zaczną jej szukać. I w końcu ją znajdą. To tylko kwestia czasu. Jeżeli mamy uciekać, lepiej zrobić to od razu.

- O, Boże. - Odsunęła się od niego i zakryła dłonią oczy. Z podwórza dobiegły męskie głosy i krzyk papugi. W powietrzu unosił się zapach mydła, skóry i wilgotnych cegieł. - Wmawiałam sobie, że lepiej będzie, jak stąd odejdziesz, chociaż się o ciebie bałam. Ale w głębi serca wierzyłam, że tak będzie lepiej. Dla ciebie i dla mnie. Ale teraz... to zbyt niebezpieczne. Jeżeli... - Zawahała się. Wstrząsnął nią dreszcz i westchnęła głęboko. - Jeżeli masz zamiar uciekać, nie mów mi o tym. Nie chcę wiedzieć.

Podeszedł do niej i oparł dłoń na jej ramieniu. Po chwili opuścił rękę.

- Słyszałem, że ustaliliście datę ślubu. Na pierwszego grudnia. Uniosła głowę i zacisnęła powieki.

- Tak - wyszeptwała.

- Nie rób tego.

Jej oczy załśniły od łez. Twarz miała napiętą i skurczoną. Lucas pragnął jej dotknąć, pogłodzić po policzku, po włosach, musnąć jej usta.

- Nie rób tego - powtórzył, zaciskając obydwie pięści. - Tate cię unieszczęśliwi. Będzie usiłował zrobić z ciebie kogoś, kim nie jesteś. I w końcu cię zniszczy.

Patrzył, jak dziewczyna z trudem przełyka ślinę.

- Takie życie jest mi pisane. - Cofnęła się o krok. Rozchyliła usta i Lucas pomyślał, że powie mu coś więcej, ale ona obróciła się w wirze czerwonego jedwabiu i zniknęła.

- Nie - rzucił pod nosem. - To nieprawda, nie takie życie jest ci pisane.

27

Rozmawiałeś z O'Learym? - zapytał Lis, udając, że całą uwagę skupia na napełnianiu konwi wodą z ozdobnej fontanny, stojącej pośrodku różanego ogrodu.

- Tak. - Lucas oparł stopę na krawędzi zbiornika. Ciepłe popołudniowe słońce grzało go w plecy. - Powiedział, że się zgadza. Dziś w nocy.

- Ja także. - Lis dźwignął napełnioną konewkę. - A co z pozostałymi? - Ruszyli razem pomiędzy rzędami krzewów różanych. Przystawali co kilka kroków i Lis starannie podlewał każdy krzew.

- Jeżeli mamy to zrobić, nic nie powiemy innym, aż do ostatniej chwili - rzekł Lucas. - Któryś z nich nadaje Pike'owi. Nie możemy dopuścić do tego, by znów na nas doniósł.

Lis wykrzywił usta w paskudnym grymasie.

- Wszarz. Zanim stąd odejdę...

- Nie. Ucieczka i bez tego jest wystarczająco niebezpieczna. Nie komplikujmy sprawy jeszcze bardziej.

- Wnoszę z tego, że nie jesteś za wcześniejszą ucieczką?

- Nie jestem.

- Jeżeli nie uciekniemy od razu, znajdą łódź. Dobrze o tyra wiesz.

Lucas wzruszył ramionami.

- No to ją stracimy - powiedział, spoglądając na ogród. - Zawsze możemy zdobyć następną.

_ Nie tak łatwo o odpowiednią łódź.

_ Za to łatwo stracić życie.

- Takie życie jest nic niewarte - odparł Lis i splunął.

Jeszcze niedawno Lucas przyznałby mu rację, ale teraz.... teraz pomyślał o radości, jaką czerpał z widoku Jesmondy Corbett, której twarz rozjaśniała się od śmiechu, albo ze słodkiego zapachu jej włosów... I zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy życie nabrało sensu i wartości. Dla niego i dla niej.

- Potrzebujemy łodzi, żeby dotrzeć na żaglowiec i wyrwać się z tego piekła. Równie dobrze możemy uciec na południe i ukryć się na niezamieszkanym terenie na wybrzeżu. Albo pójść w góry, jak wszyscy inni szaleńcy, którzy usiłują wziąć nogi za pas. Najprawdopodobniej i tak nas zabiją.

Lis gwałtownie odstawił konew. Rozlana woda zwilżyła ziemię.

- Jeżeli damy drapaka w góry, psy zwęszą nasz trop w przeciągu kilku dni. Zawsze nam to powtarzałeś. Jeśli odpłyniemy łodzią, nie będą wiedzieli, w jakim kierunku.

- W końcu się zorientują.

Zawrócili w stronę fontanny.

- Jasny gwint. Przecież to ty wpadłeś na pomysł, żeby uciec dziś w nocy.

- Wiem - powiedział Lucas. Jego uwagę zwrócił jakiś ruch na werandzie domu. - Byliśmy tak blisko celu. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że musimy zrezygnować, ale...

Lis spojrział w tym samym kierunku co on. Przy barierce werandy stała panna Jesmonda Corbett. Musiała na nich patrzeć, bo teraz szybko przeniosła wzrok na odległe góry, jakby sobie zdała sprawę, że ją przyłapali.

- Myślisz, że nowy plan nie jest nic wart? Czy może nie rwiesz się do ucieczki tak jak dawniej? - zapytał Lis, wskazując głową postać na werandzie.

- Niby po co miałbym tu zostać?

- Będziesz ją przynajmniej widywał. Choćby z daleka. Niektórym by to wystarczyło.

Lucas westchnął. Ciężki aromat róż Beatrice Corbett uderzył mu do głowy.

- Dla mnie byłoby to niewypowiedziane cierpienie.

Gdy rozległy się krzyki, Jessie piła z matką herbatę w salonie. Zerwała się na nogi i rzuciła do drzwi balkonowych. Serce łomotało jej w piersi. Herbata rozlała się na stół, krzesło upadło na podłogę.

- Doprawdy, Jesmondo... - zaczęła matka, ale córka już była na werandzie. Pomknęła przez ocieniony ogród, unosząc długą spódnicę. Wieczne słońce grzało ją w gołą głowę. Dostrzegła grupę mężczyzn rozprawiających przy kuźni. Inni biegli do nich przez podwórze.

Zauważyła chłopca stajennego, Charliego. Chwyciła go za ramię.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona, z trudem chwytając oddech.

- Kowal - odparł chłopiec, mrużąc szare, pozbawione rzęs oczy. - Ktoś załatwił tego cholernego wszarza.

- Co? Przepuście mnie - powiedziała, przepychając się przez stłoczonych mężczyzn.

- Nie patrz na to, Jess. - Warrick przytrzymał ją za ramię. Szybko obrócił ją twarzą do siebie, ale i tak zdążyła dostrzec mężczyznę rozciągniętego na stercie podków. Miał roztrzaskaną głowę.

- O, Boże... - Zakryła usta dłonią, bo żołądek podszedł jej do gardła. - Kto to jest?

- Nazywa się John Pike - oznajmił Warrick. Jego anielskie oczy miały twarde spojrzenie. - Kilku mężczyzn zbiegło. Widocznie Pike próbował im przeszkodzić.

Rozległ się przesywający dźwięk bijącego na alarm dzwonu.

Lucas stał oparty biodrem o słup na starej przystani. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, zmrużonymi oczami patrzył na chylące się ku zachodowi słońce. Robiło się późno. Niebezpiecz-

nie późno. Ciemność będzie im potrzebna dopiero wtedy, gdy będą płynąć przez Zatokę Blackhaven. Ale najpierw będą musieli się wydostać spośród skał, zamykających Zatoczkę Rozbitków. A Po zachodzie słońca i w bezksiężycową noc nie będzie to zadanie łatwe dla niedoświadczonych wioślarzy.

Siwy wąż opędził się od much, zaskrzyphiała skóra siodła. Lucas przyjechał tu sam i przywiózł zgromadzone zapasy. Miał spuścić łódź na wodę. Pozostali przyjdą piechotą przez wzgórze. Najwyższy czas, by już się pokazali.

Zsunął z głowy konia uzdę i przewiesił ją przez siodło.

- No, stary, czas w drogę - powiedział, głaszcząc rozgrzaną szyję siwka. Odwrócił się, chcąc odejść, ale koń parsknął i położył mu łeb na ramieniu.

Lucas wspiął się na niewielkie wzniesienie, na którym znajdował się ogród. Spojrzał na ścieżkę, wiodącą ku poczerńiałym murom domostwa Grimesa. Chłód panujący w tym miejscu wydał mu się wyraźniejszy niż zazwyczaj. Zadrżał na myśl o kobiecie, która kiedyś mieszkała w tym domu, i o młodym skazańcu, który ją pokochał i okupił tę miłość życiem. Przejęty tragicznym losem mieszkańców spalonego domostwa, westchnął głęboko, wdychając przesiąknięte wilgocią powietrze.

Całe szczęście, że stąd odejdę, pomyślał. Na tej wyspie nie czekało go nic prócz bólu i śmierci. A jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że popełnia błąd i że ta ucieczka skazana jest na niepowodzenie. Gdyby to zależało od niego, wolałaby zrezygnować, ale pozostali ludzie chcieli uciekać i potrzebowali siły jego ramion przy wiosłach oraz jego znajomości morza. Nie mógł ich zawieść, zwłaszcza że nie był pewien motywów własnego postępowania.

Zawrócił w stronę ujścia, ale zatrzymał się, bo coś załśniło w ostatnich promieniach słońca. Pochylił się i rozgarnął trawę. Złota spinka Jessie. Drżącymi palcami podniósł ją i włożył do kieszeni.

Wrócił do doku. Cały czas towarzyszyło mu uczucie niepewności. Już miał się wspiąć na wzgórze, by wypatrywać towarzyszy, gdy usłyszał tupot nóg. Po chwili nadbiegło pięciu mężczyzn,

słaniających się ze zmęczenia. Lucas spojrzął na ich poszarzałe z wysiłku twarze i...

- Gdzież, u diabła, jest Daniel? - zapytał, chwytając Lisa za ramię.

Ten oparł dłonie na udach i, pochyliwszy głowę, z trudem chwycił oddech.

- Zaraz tu będzie. Musiał coś załatwić.

- Załatwić? Cóż on, do diabła, musi teraz załatwiać? - zapytał Lucas i spojrzął na mężczyznę, który stał w pewnej odległości od pozostałych trzech zbiegów. - I co on tutaj robi?

- Nie odejdziecie beze mnie - oświadczył ten, o którym mówili. Był to duży mężczyzna, w wieku dwudziestu kilku lat, o ciemnych włosach i grubych kościach. Irlandczyk. Lucas przypomniał sobie jego nazwisko. Sheen. Przywieziono go do zamku dwa dni temu. Zawsze trzymał się z dala od innych.

- Był razem z nimi - wyjaśnił Lis. - Robiło się późno. Pomyślałem sobie, że lepiej go zabrać, niż zostawić. A on chciał uciec.

- Mamy dosyć miejsca w łodzi - rzekł Lucas. - Pływałeś kiedyś łodzią?

- A jak myślisz? Pochodzę z wyspy - odparł Sheen i uśmiechnął się.

- Wsiadajcie - mruknął Lucas. - Wyruszamy, gdy tylko przybiegnie Daniel.

Lis chwycił go za ramię.

- Wiesz, co to znaczy, chłopie?

Lucas spojrzął na niego, mrużąc oczy.

- Niby co ma znaczyć? - zapytał.

Lis otarł rękawem spocone czoło. Wciąż ciężko dyszał po długim biegu.

- Mamy sześciu ludzi do wiosła i chłopaka, który zna morze tak samo jak ty. Nie musisz z nami uciekać, jeżeli nie masz ochoty.

Lucas omal nie uległ pokusie, ale po chwili zdecydował, że idzie z nimi, i zawrócił, by zaczekać na Daniela.

Jessie weszła do stajni i przystanęła pośrodku. Zadarła głowę i spojrzała na pobielone ściany i strugi złocistego światła, wpadające przez okna i szeroko otwarte wrota.

Nie wiedziała, dlaczego tu przyszła. Może dlatego, że spotykała się tutaj z Gallagherem. Odetchnęła powietrzem przesiąkniętym dobrze znanymi woniami siana, koni i wyprawionej skóry. Poczowała się bardzo samotna.

Lucas wkroczył w jej życie, skradł jej serce i pokazał, że może być taka, jaką zawsze być pragnęła. Pojawił się, a teraz odszedł i została sama, zrozpaczona, samotna i obolała, próżno tęskniąca za tym, co niemożliwe.

O, Boże, modliła się w duchu, spraw, by nie stało mu się nic złego. Pozwól mu bezpiecznie odejść. Błagam, proszę...

Warrick i nadzorca natychmiast ruszyli w pogoń. Podniecone psy ujadały. Patrzyła, jak odjeżdżają, i życzyła, by się im nie powiodło. I wcale nie czuła się jak zdrajca. Warrick był jej bratem, ale to, co robi, nie jest dobre. Poluje na ludzi, jakby byli zwierzętami. Na ludzi, którzy batem i łańcuchami zmuszani są do niewolniczej pracy. Na ludzi, których jedyną zbrodnią było pragnienie oddania życia za szlachetną sprawę.

Nagle zdała sobie sprawę, że słońce chyba już zaszło. Świerszcze grały głośniejsze, powietrze stało się chłodniejsze. Przez otwarte wrota widać było blade, poszarzałe niebo, odcinające się od mrocznego wnętrza stajni. Jakiś koń poruszał się niespokojnie w swoim boksie, chłepcząc wodę i przeżuując obrok. Przyszło jej do głowy, że Gallagher musiał zadbać o zwierzęta przed odejściem.

Powoli uklękła na chłodnej nierównej podłodze. Przysiadła na piętach i przycisnęła dłonie do oczu. Nigdy nie przestanę go kochać, pomyślała z bolesną pewnością. Miłość do niego i ból po stracie będą jej towarzyszyć już do końca. Wieczna mieszanka słodkiej radości i straszliwego smutku.

Nagle z podwórza dobiegł stukot kopyt końskich. Jessie odjęła dłonie od twarzy i westchnęła gwałtownie. Zerwała się na nogi, strzepnęła żdźbła słomy z sukni i przycisnęła palce do warg,

starając się opanować. Dzięki latom treningu w nieokazywaniu emocji zdołała spojrzeć na drzwi z dumnie podniesioną głową

Poczuła przyspieszone bicie serca i przypływ nadziei, a jednocześnie lęk, by owa nadzieja nie okazała się płonna. Powtarzała sobie, że to niemożliwe, ale nogi same niosły ją ku wrotom. Stukot kopyt ucichł. Gdy usłyszała skrzypienie skóry siodła, domyśliła się, że ktoś zsiadł z konia i lekko zeskoczył na ziemię. Na rozjaśnionym księżycem niebie pojawiła się sylwetka mężczyzny.

- O, Boże - szepnęła. - To ty.

Rzuciła się w jego ramiona.

28

Myślałam, że odszedłeś - powiedziała ochryple, głaszcząc go po twarzy i ramionach. Dotykała go, jakby się chciała upewnić, że to naprawdę on, a nie fantom, stworzony przez jej wyobraźnię. Ocierała się policzkiem o jego twarz, czując na szyi ciepło jego oddechu. Musiała zacisnąć powieki, aby powstrzymać łzy. - O, Boże, myślałam, że odszedłeś, i czułam się tak, jakbym straciła część siebie.

Chwytał jej dłonie i ucałował.

- Powiniennem być odejść. Dla twego dobra i mego. Powiniennem być odejść.

- Nie mów tak.

Otoczył ją ramionami i zanurzywszy palce w jej włosach, przyciągnął ją do siebie.

- Pewne rzeczy pozostają prawdą, nawet jeśli ich nie wypowiemy - wyszeptał. A potem obdarzył ją pocałunkami pełnymi rozpaczy, głodu i ślepego pożądania.

Garnęła się do niego i wciąż nie była wystarczająco blisko. Gdy ich języki się splątały, Jessie zupełnie się zatraciła. Zapomniała, kim jest i gdzie się znajduje. Przepełniała ją dzika radość, że znów jest przy nim, w jego ramionach.

Lucas oprzytomniał na tyle, by zdać sobie sprawę, że stoją w otwartych wrotach stajni. Oderwał wargi od jej ust.

- Tędy - wyszeptał ochryple i pociągnął ją w mrok, znów zamykając jej usta pocałunkiem. W pustym boksie słodko pachniało siano.

Uderzyła plecami o drewniane przepierzenie. Deski zatrzeszczały. Wpiła palce w ramiona Lucasa, a on objął jej piersi.

Jego dotyk był pełen magii, pocałunki - czarów. Jak szepty niebios namawiające ją, by została przy nim na zawsze, by go tulić i by on tulił ją. Ale pragnęła czegoś więcej. Chciała poczuć na sobie ciężar jego ciała, powalającego ją na wonne siano. Pragnęła uczynić go częścią siebie, połączyć się z nim, wprowadzić go w głąb siebie, gdzie płonęła gorąca żądza. Pragnęła go na wszelkie sposoby, na jakie kobieta może pragnąć mężczyzny. I stwierdzenie tego nie napełniało jej wstydem, lecz budziło radosny zachwyt.

Z jego ust wyrwał się jęk pożądania. Uniósł Jessie, a potem zsunął powoli wzdłuż swego twardego ciała. Wiedziała, że pragnie jej równie namiętnie, jak ona jego. Było to słodkie uczucie, chociaż zmieszane ze strachem, bo czas i miejsce nie były odpowiednie.

- Dziewczyno - wyszeptał ochryple, odchylając głowę do tyłu i z całej siły zaciskając powieki, jakby w ten sposób mógł zapanować nad rozpiętym go gwałtownym pragnieniem. - To szaleństwo. W każdej chwili ktoś może tu wejść. A my nawet tego nie usłyszymy.

- Nie usłyszymy - odparła z uśmiechem, wpijając palce w napięte mięśnie jego pleców. Westchnęła głęboko, wdychając chłodne, pachnące sianem powietrze. - Tylko że... tak cudownie jest tulić ciebie. Nie potrafię teraz wypuścić cię z objęć.

Przyciskając wargi do czoła Jessie, zsunął dłonie na jej talię i mocno przytulił dziewczynę.

- Wiem.

Opuściła głowę i przywarła policzkiem do piersi Lucasa, nasłuchując mocnego i głośnego bicia jego serca.

- Powiedz mi - wyszeptała, wsuwając dłonie pod kurtkę Lucasa i obejmując jego plecy, okryte grubą koszulą. - Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Delikatnie pogładził ją po włosach. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła, że się uśmiecha.

- Zaczekaj, zaraz ci odpowiem, tylko zdejmę siodło z siwka.

Roześmiała się cicho i chwyciwszy jego dłoń, ucałowała szorstkie palce.

- Zapalę latarnię.

Światło rozproszyło ciemności stajni, połączając drewniane ściany. Jessie zdjęła latarnię z haka wbitego w słup, który podtrzymywał strop stajni. Patrzyła, jak Lucas zdejmuje siodło z grzbietu konia. Poznała po jego ruchach, że jakkolwiek cieszy się, że znów są razem, jednocześnie żałuje, że stąd nie uciekł. Widząc to, odczuwała ból, choć powtarzała sobie, że nie powinno jej to ranić.

- Miałeś zamiar uciec dziś w nocy, prawda? - spytała nagle.

- Tak.

- A pozostali ludzie? Warrick powiedział, że brakuje sześciu mężczyzn.

- Uciekli. Na nieszczęście jeden z nich uznał, że musi wyrównać rachunki, zanim opuści zamek.

- Wiem. - Jessie pogładziła siwka po białej plamce na czole.

Lucas zabrał się do szczotkowania końskiej szyi.

- Psy twojego brata szybko zwęszyły jego trop. Ledwo dobiegł do zatoczki, a już usłyszeliśmy ujadanie od strony wzgórza.

- Schwytali go?

- Nie - odparł, kręcąc głową. - Ale dobiegliby na plażę, zanim łódź zniknęłaby z pola widzenia. Było wystarczająco widno, by dostrzegli, w którym kierunku odpływa. Patrol morski schwytałby nas w zatoce Blackhaven.

Jessie głaskała konia, a Lucas wyczesywał jego bok.

- Więc co zrobiliście?

- Odepchnąłem łódź od brzegu i wyszedłem naprzeciw twemu bratu i nadzorcy. Spotkaliśmy się na szczycie wzgórza.

- Ale... - Spojrzała na niego. Na widok tego, co dostrzegła jego oczach, poczuła przenikliwy ból w sercu. - Dlaczego?

Odwrocił się od niej i, czesząc konia, odparł lekkim tonem:

- Żeby ich odciągnąć od plaży. Zatrzymałem ich, opowiadając o tym, że właśnie byłem przy domostwie Grimesa, gdy nadbiegli uciekinierzy i wsiedli do łodzi. Ciągnąłem tę opowieść w nie-

skończoność, rozwodząc się nad własnym heroizmem, dzięki któremu zdołałem umknąć z rąk morderców. A wszystko po to by stwierdzić, w którym kierunku odpłynie łódź.

- Powiedziałeś mojemu bratu, że łódź odpłynęła na północ? Jego ciemne oczy zaślniły tajemniczo.

- Nie. Powiedziałem mu, że popłynęli na południe. Dalton nadzorca, dobrze wie, że Irlandczyk nigdy by nie wydał swoich towarzyszy. Dzięki temu patrol popłynie szukać ich na północy. Kiedy cholerni Brytyjczycy zorientują się, że są w błędzie chłopaki będą już wystarczająco daleko, by zgubić się za którymś z półwyspów na południu.

- Mój brat się nie dziwił, co robisz tak późno nad Zatoczką Rozbitków? - spytała Jessie, patrząc, jak Lucas odprowadza siwka do boksu.

- Powiedziałem mu, że zgubiłaś tam złotą spinkę, więc pojechałem, aby ją odszukać.

- I on ci uwierzył?

- Tak. - Podeszedł do niej. - Ponieważ naprawdę ją znalazłem. Popatrz.

Dostrzegła ciepłe lśnienie złota na jego otwartej dłoni. Lucas przypiął spinkę do sukni Jessie, musnąwszy przy tym jej pierś. Patrzyła na jego ciemne dłonie, a potem uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi, że nie mogłeś odpłynąć. Wiem, jak bardzo chciałeś stąd odejść.

Pokręcił głową.

- Owszem, chciałem. Ale uznałem, że nowy plan jest zbyt niebezpieczny. Teraz sam już nie wiem, czy zostałem, aby moi towarzysze mogli uciec, czy też z zupełnie innych powodów.

- Odpłynąłbyś z nimi, gdyby mój brat nie nadjechał.

- Nie jestem pewien. - Odwrócił wzrok. Twarz miał ukrytą w mroku. - Dopóki nie poznałem ciebie, nienawidziłem tej wyspy. Ryzykowałbym życie, byle tylko stąd uciec. Ale teraz... czuję, że odchodząc stąd, coś bym stracił. - Zamilkł na chwilę. - Jakaś część mnie nienawidzi cię za to.

podeszła bliżej. Tak blisko, że mogłaby go dotknąć. Lecz nie uczyniła tego.

- Jutro chcę pojeździć konno. Pojedziemy w góry, do puszczy.

Jego ciemne oczy płonęły.

- Dziewczyno...

przycisnęła koniuszki palców do jego miękkich i ciepłych warg.

- Nie. Nie mów mi, że nie powinnam tego robić. Nie tym razem.

Chwycił jej dłoń i ucałował.

- Niektóre słowa są zgodne z prawdą, nawet jeżeli się ich nie wypowie.

Następnego ranka pojechali drogą wiodącą wzdłuż podnóża gór, która wznosiła się ku zboczom porośniętym przez puszcze tropikalną. Ciepłe promienie słońca przeświecały przez baldachim akacji, mirtów i kauczukodajnych eukaliptusów. Lucas odchylił głowę do tyłu i patrzył na barwne ptaki, lecz jego myśli błądziły gdzie indziej. Nigdy nie przywyknie do tutejszego klimatu, do pór roku na Tasmanii.

Hen za morzami, w Irlandii, październik był miesiącem złotych liści, opadających w powiewach chłodnego wiatru. Potem pociemniałe niebo wisiało nisko nad czarnymi nagimi konarami drzew i zalanyymi wodą polami. A tutaj, na Tasmanii, październik był porą żywych kolorów budzącego się życia. Porą rozkwitających tulipanów, bujnej zieleni, jasnego błękitu nieba i balsamicznych powiewów wiosennego wiatru. To odwrócenie pór roku niepokoiło go, wzmagало jego alienację i tęsknotę za tym, co dobrze znane.

Zerknął na jadącą obok niego dziewczynę. Miała wyprostowane plecy, lecz wydawała się odprężona. Czarna spódnica kosztownego kostiumu do konnej jazdy powiewała na lekkim wietrze. Na zwykle bladych policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Patrzyła wprost przed siebie. Dla panny Jesmondy Corbett październik oznaczał wiosnę. Gdyby stąd wyjechała

i osiedliła się na przykład w Ameryce, odczuwałaby ten sam dyskomfort, jaki Lucas odczuwał na Tasmanii. Wciąż miałaby wrażenie, że znajduje się nie u siebie. Ona kochała tę wyspę, tutaj był jej dom i tutaj miała przeżyć resztę swoich dni. Kiedy wreszcie uda mu się stąd uciec, będzie ją musiał opuścić. Myśl o nieuniknionej rozłące przesywała go bólem.

Odkąd wyjechali z zamku, Jesmonda była bardzo małomówna i nie patrzyła mu w oczy. Jednak Lucas poznał po sposobie w jaki zadzierała głowę, że jest zdecydowana zrobić to, co postanowiła. Pomyślał, że nie powinien na to pozwolić, ale jednocześnie odczuwał głębokie pragnienie, by to się stało. Wiedział, że popełniają błąd, który może go kosztować życie, lecz nie miał dość siły, by ją powstrzymać.

Od czasu gdy kilka tygodni temu zwiedzali wapienne jaskinie, bieg strumienia stał się spokojniejszy, a niewielkie teraz wodospady nie huczały już, lecz pluskały melodyjnie. Lucas napoił konie i uwiązał w miejscu, gdzie mogły się swobodnie paść, skubiąc szmaragdową trawę. Przez ten czas Jessie zapaściła się w gęstwinę, pomiędzy grube pnie drzew i pierzaste paprocie. Doszła do wiatrołomu, gdzie świeciło słońce i rosła wysoka i gęsta trawa. Lucas patrzył, jak dziewczyna siada na rozgrzanej ziemi, rozkładając wokół siebie szeroką spódnicę. Dłonie w rękawiczkach oparła na kolanach i pochyliła głowę. Zawsze miał ochotę dotknąć jej tam, gdzie pod gładką białą skórą widoczne były delikatne kręgi karku. Podszedł do niej i wreszcie sobie na to pozwolił.

Westchnęła lekko pod pieszczotą jego palców. Uniosła głowę i spojrzała na niego zamglonymi błękitnymi oczami.

- Postanowiłam, że gdy pan Tate wróci z Hobart, powiem mu, że nie mogę go poślubić.

Usiadł naprzeciw niej i skrzyżował nogi, tak że ich kolana prawie się stykały. Milczał.

Spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Kocham Harrisona, ale jest dla mnie tylko przyjacielem. Teraz to widzę. Szczerze wierzyłam, że to wystarczy. Może gdybym ciebie nie spotkała, nadal by mi wystarczało, chociaż

wątpię. Myślę, że zawsze miałabym świadomość, że w naszym małżeństwie czegoś brakuje. I ów brak uczyniłby mnie nieszczęśliwą, a potem unieszczęśliwiłby także jego.

- Więc co zrobisz?

Szybko uniosła głowę. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, tak szczery i naturalny, że Lucasowi zapało dech w piersi.

- Zawsze marzyłam, by prowadzić badania geologiczne na całej Tasmanii. To zajęcie bardzo nieodpowiednie dla damy, prawda? Większość spadku, który mam otrzymać, to tereny uprawne i dostanę je, gdy wyjdę za mąż. Ale pewną niewielką część otrzymam w przyszłym roku, gdy osiągnę pełnoletność. Może zwrócę się do gubernatora, aby przyznano mi ziemię, chociaż nie będę zamężna. A wtedy postaram się, byś u mnie pracował.

- Dziewczyno... - Wyciągnął rękę i splótł palce z jej palcami. - Nie uciekłem wczorajszej nocy, ale w końcu to zrobię. Pewnego dnia odejdę. To tylko kwestia czasu. Nie spędzę najbliższych pięćdziesięciu lat w charakterze skazańca w karnej kolonii Brytyjczyków.

Patrzył, jak jej twarz pochmurnieje. Jak Jessie z trudem przełyka ślinę i odwraca wzrok ku spienionym wodospadom.

- Powinam o tym pamiętać, tylko że to takie trudne... Czuję się tak, jakbym szukała cię przez całe życie, nawet o tym nie wiedząc. A teraz, gdy cię odnalazłam, myśl, że mam cię utracić... jest nie do zniesienia.

- A jednak musisz się z nią pogodzić.

- Wiem. Ale jeszcze stąd nie odchodzisz. - Położyła jego dłoń na swoich piersiach. Spojrzała mu prosto w oczy. - Chcę się z tobą kochać, Lucasie - powiedziała z pełną żarliwości powagą.

- Ach, *muire*... - Jego dłoń zadrżała w jej uścisku. - Dziewczyno, nie wiesz, o co prosisz - rzekł ochrypłym głosem.

Dumnie zadarła brodę, lecz zdradził ją uśmiech. Lucas pomyślał, że najbardziej lubi właśnie jej uśmiech, bo wyraża nim to wszystko, co nauczyła się ukrywać.

- Wprost przeciwnie, dobrze wiem, o co proszę. Otrzymałam doskonałe wykształcenie przyrodnicze, a Genowefa zawsze

uważała, że dziewczętom nie należy szczędzić prawdy dotyczącej życia i miłości. - Jessie spoważniała. Wielkie oczy spoglądały poważnie i przenikliwie. - Myślisz, że nie wolno ci mnie posiadać, bo jestem dziewczcą.

Starał się uśmiechnąć, lecz nie potrafił. Dygotał na całym ciele. Tak bardzo pragnął jej dotknąć, wziąć ją w ramiona i położyć w wonnej, rozgrzanej słońcem trawie.

- Rzeczywiście tak myślę.

- Nie traktuj mnie tak, jakbym była dzieckiem. Nie wyobrażaj sobie, że nie odpowiadam za własne czyny tylko dlatego, że jestem kobieta.

Wyciągnął rękę i pogładził jej gładki policzek.

- Szanuję twój rozsądek, dziewczyno, i nie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Nie znasz mnie - odparł, cofając rękę.

- Owszem, znam cię.

Pokręcił głową.

- Nie znasz mnie. Nie powiedziałem ci wielu rzeczy.

- Nie rozumiesz, że to wszystko nie ma znaczenia? Ani blizny po batach, które masz na plecach, ani to, że zabiłeś człowieka, ani inne okropne tajemnice, które przede mną ukrywasz. To wszystko się nie liczy. - Pochyliła się ku niemu. - Kocham cię, Lucasie. - Położyła dłoń na jego piersi. - Kocham cię.

Poczuł, że w jego gardle wzbierają emocje, których nie chciał i nie potrafił znieść. Wiedział, że Jesmonda go pragnie, lecz nie dopuszczał do siebie myśli, że naprawdę jej na nim zależy. Nie mógł uwierzyć, że to, co ujrzał w jej oczach, oznacza miłość. Jej uczucie zawstydzało go i niepokoiło. Zacisnąwszy powieki, ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Gdybyś mnie spotkała cztery lata wcześniej, w Dublinie, kiedy miałem jeszcze serce, a przed sobą przyszłość...

Wyswobodziła rękę z jego uścisku i podniosła ramiona, by zdjąć kapelusz. Ten ruch podkreślił jej opięte suknią piersi.

- Wyobrażasz sobie - odłożyła kapelusz na trawę - że wtedy byłeś mnie wart? A teraz nie jesteś? - Pochyliła się do przodu

i oparła dłonie na jego kolanach. Jej piękne oczy spoglądały poważnie. - Nie rozumiesz? Ja ciebie kocham. Ciebie. Człowieka, którym jesteś teraz, dzisiaj.

Ostatkiem sił i rozsądku bronił się przed tym, co się miało stać.

- Nie możemy być razem. Dobrze o tym wiesz. To zbyt bolesne i niebezpieczne.

- Wiem. - Zdjęła wytworzone skórkowe rękawiczki i położyła obok kapelusza jak dama, która przyszła na podwieczorek. Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. Lucas zapragnął ją pocałować, poczuć ten uśmiech pod wargami. - Wypowiesz moje imię? - spytała, przechylając głowę.

- Jessie - powiedział i uśmiechnął się na widok zachwyty, który odmalował się na jej twarzy.

- Będziesz się ze mną kochał?

- Tak. - Wyciągnął ku niej ręce i ujął jej twarz. - Nie mam wyjścia.

29

Jessie znieruchomiła i wstrzymała oddech, gdy Lucas z nieskończoną delikatnością dotknął wargami jej ust. Zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jej pożąda, wiedziała, że płonie w nim gorący ogień. A jednak robił, co w jego mocy, by się opanować. Świadomie całował ją tak słodko i czule, bo pamiętał, że mimo całej swej wiedzy i zrozumienia, Jessie wciąż jest dziewczcą, z całą dziewczęcą nieśmiałością. Całowali się i tulili już przedtem, ale miała dość mgliste pojęcie o tym, co się kryje za tymi pieścizotami. I on o tym wiedział.

Usta Lucasa były miękkie i ciepłe. Wysunęła język na spotkanie jego języka. Objęła ukochanego za szyję i przyciągnęła do siebie. Ich pocałunek przerodził się w pełną erotyzmu, cielesną symfonię wrażliwych ust, wilgotnych zębów i ciepłych języków.

Oderwał wargi od ust Jessie i uniosł głowę. Oddychał szybko i chrapliwie.

- Mogę cię rozebrać? - zapytał, wpatrując się w nią z natężeniem.

- Tak. - Posłała mu zmysłowy uśmiech, ale jej wargi nieco drżały. - Jeżeli pozwolisz, że ja rozbiórę ciebie.

Z uśmiechem zabrał się do rozpinania stanika sukni. Jeden guzik, drugi i następny.

- Ja pierwszy - powiedział cicho. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, pracowicie odpinał lśniące mosiężne guziczki. Obydwoje patrzyli, jak rozchyła suknię, spod której wyłania się

delikatna biała koszulka z batystu i koronek, a potem wzniesienie biustu, falującego wraz z przyśpieszonym oddechem.

Ach, dziewczyno - wymruczał, zsuwając sztywną tkaninę z ramion Jessie.

Poczuła na nagich barkach ciepło słońca i miękkość dotyku Lucasa. Wstrzymała oddech, gdy głaskał ją po ramionach, wsuwając kciuki pod cieniutki batyst. Odrzuciła głowę do tyłu i zanurzała palce w rozgrzanych słońcem włosach Lucasa.

- Matka ostrzegała mnie przed mężczyznami, którzy zechcą zdjąć ze mnie ubranie.

- Aha. - Zajął się rozwiązywaniem tasiemek spódnicy. - Nie sądzę, by twoja matka kiedykolwiek wyobrażała sobie coś takiego. Wsunął palce za pas sukni i zsunął ją w dół, odsłaniając długie majtki do konnej jazdy, które Jessie miała pod spodem. - Zresztą sama się na to zgodziłaś. Pamiętasz?

- To wynik mego niedoświadczenia. - Oparła łokcie na jego barkach, aby utrzymać równowagę, i uniosła biodra, tak by jednym pociągnięciem wysunął spod niej spódnicę i pantalonek. - Teraz widzę, że powinnam była kazać ci się o to prosić, zanim pozwoliłam na rozpięcie guzików.

- Guzików, haftek i zatrzasków - powiedział, śmiejąc się ochryple. Musnął wargami jej szyję, ucałował uszy i, zanurzwszy twarz w burzy złocistych włosów, zajął się rozsznurowaniem gorsetu, a potem rozwiązywaniem tasiemek koszulki. - Tyle warstw. Większość ludzi sądzi, że to one nadają angielskim damom ową słynną wyprostowaną sylwetkę, ale w gruncie rzeczy służą do tego, by zniechęcić niezręczne paluchy mężczyzny oraz inne części ciała.

Jessie roześmiała się cicho, po czym wstrzymała oddech, gdy Lucas wierzchem dłoni musnął jej obnażone brodawki, a wreszcie odrzucił gorset i koszulkę. Siedziała przed nim naga. Odczuwała onieśmienie, strach i podniecenie. Zadziwiła ją ta zuchwała i onieśmielona Jessie, która właśnie stawała się kobietą.

- Połóż się - wyszeptał i popchnął ją lekko na miękki stos jej porzucanego ubrania.

Opadła na wznak, naga od pasa w górę, ugiąwszy jedną nogę w kolanie. Lucas górował nad nią - ciemnowłosy mężczyzna o ciężkich powiekach, zamyślnym spojrzeniu i ostrym, niemal okrutnym wyrazie opalonej twarzy.

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po jego policzku.

- Lubię, gdy tak na mnie patrzysz.

- Jak? - zapytał, zdejmując kurtkę, aby położyć się obok Jessie. Przysunął odzianą w szorstkie spodnie nogę do koronek i haftów.

- Spoglądasz tak groźnie i dziko, a jednak...

- A jednak? - Podparł się na łokciu i położył władczą, opaloną i owłosioną rękę na bladym i delikatnym ciele Jessie.

Odwróciła się do niego, kładąc dłoń na jego pokrytym bliznami przedramieniu.

- A jednak czule i ciepło. Wtedy cała dygocę wewnątrz.

Pogładził ją pomiędzy piersiami i przesunął dłoń na brzuch. Zadrżała pod jego dotykiem i oblała ją fala gorąca.

- To dobrze. Taką cię pragnę. Rozdygotaną wewnątrz. - Zajął się tasiemkami majtek, gdy z całej siły chwyciła go za rękę. Spojrzał na nią spod uniesionych brwi. - Chcesz, żebym przestał?

Pokręciła głową i wypuściła jego dłoń. Czowała się zawstydzona i zakłopotana. Najpierw sama prosiła, by ją rozebrał, a teraz nagle zabraniała mu tego.

- Nie. Przepraszam. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłam.

- Ciii - wyszeptał i wtulił twarz w jej szyję. - Nie przepraszaj. Wszystko w porządku. Po prostu zwolnimy tempo.

Ucałował jej nos, powieki, szyję. Czowała na skórze ciepły i wilgotny oddech. Pogładził piersi. Chwyciła go za ramiona i, wygiąwszy się w łuk, przylgnęła doń w słodkiej męce, rozpalona jego pocałunkami. Posuwał się coraz niżej. Jessie westchnęła głęboko, wdychając woń jego skóry, rozgrzanej popołudniowym słońcem. Zamknęła oczy i zatraciła się w rozkoszy. Gdy wilgotnym językiem trącił jej brodawkę, a potem wziął ją do ust i zaczął ssać, zalała ją mroczna fala pożądania.

Szarpnęła tasiemki koszuli Lucasa, wyciągnęła ją ze spodni i zadarła, nie mogąc się doczekać, kiedy dotknie jego nagiej piersi.

- Zdejmij ją - poprosiła, przytykając wargi do jego rozgrzanej słońcem skóry i wtulając twarz w zagłębienie pomiędzy szyją i barkiem.

Lucas zdjął koszulę i odrzucił na bok. Twarz miał ściągniętą. Gdy tym razem sięgnął do tasiemek u jej pasa, wyszeptała błagalnie:

- Tak, tak. Proszę. - I uniosła biodra ze skwapliwością, która ją samą zadziwiła.

Usłyszała, że Lucas mamrocze coś pod nosem, oswoadzając ją z haftowanych majtek, by wystawić ją na gorące słońce i jeszcze gorętsze spojrzenie. Przysiadł na piętach i, dysząc przez zaciśnięte zęby, wsunął dłonie pomiędzy uda Jessie i rozłożył je, robiąc sobie miejsce. Umieścił się pomiędzy jej nogami. Pomyślała, że powinna odczuwać wstyd, pozwalając patrzeć mu na siebie, ale czuła jedynie bolesne pożądanie. Cały jej świat zawęził się do oświetlonego słońcem mężczyzny i ostrej żądy, którą w niej budził. I wtedy dotknął jej tam. Wrażenie było tak nieoczekiwane, że westchnęła głośno i wpiła palce w ramiona ukochanego.

- Lucacie - wydyszała i spojrzała na niego z niedowierzaniem i z zachwytem.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, znów jej dotknął. Jego dotyk był czarodziejski. Jessie nie miała pojęcia, że jej ciało jest tak wrażliwe i że dotyk ukochanego mężczyzny może parzyć. Znowu opadła na wznak, wyginając się w łuk. Przymknęła powieki, a on opuścił głowę i przesunął wargami po jej nagim brzuchu, a potem między udami. Nie sądziła, że mężczyzna może tam całować kobietę. Lucas wiedział o jej ciele więcej niż ona. Wiedział, jak jej dotykać, jak rozpalać w niej ogień i namiętą żądzę, której nie pojmowała. Ale on musiał ją rozumieć, bo już rozpinął spodnie. Wrócił ustami do jej warg i ucałował je wygłodniałym pocałunkiem. Poczowała nieoczekiwane jego męskość, gładką, twardą, gorącą, naciskającą tam, gdzie tego pragnęła.

Wpiła palce w biodra Lucasa i przyciągnęła do siebie. Pragnęła, chciała... A on wiedział czego, bo naparł na nią i wciskał się w nią. Ból pragnienia zmieniał się w zachwyty.

Naparł mocniej. Jessie krzyknęła z bólu i rozkoszy. Patrzyła na niego, na jego gładką, muskularną pierś, na ciemne oczy i kochaną twarz. Był taki piękny. Piękny i dumny, a ona kochała go aż do bólu.

- Lucasie - szepnęła.

Oparł się na łokciach i wsunął dłonie w jej włosy. Przejechał językiem po ustach Jessie, kołysząc łagodnie biodrami.

- Pragnąłem cię od pierwszej chwili - wyszeptał, owiewając ją ciepłym oddechem. - Boże, jak ja cię pragnąłem.

Położyła dłonie na plecach Lucasa i poczuła pod palcami stwardniałe blizny.

- Ja także cię pragnęłam - powiedziała. - Tylko tego nie rozumiałam.

Polizał jej brodę i szyję.

- Ale teraz rozumiesz, prawda? - zapytał z uśmiechem.

- Tak - odparła i przyciągnęła do siebie jego biodra. - O, tak.

Poruszał się coraz szybciej. Słodkie erotyczne falowanie budziło w niej pulsujący żar. Lgnęła do niego; uniosła nogi i objęła go udami, przyciągając do siebie. Bliżej i bliżej. Głębiej i głębiej. Szybciej i szybciej. Dochodziła, dochodziła do czegoś, czego nie rozumiała, ale wiedziała, że tego pragnie i że umrze, jeśli tego nie osiągnie.

A potem umierała. Cały świat roztopił się w dzikiej, bezrozumnej rozkoszy, która zalała ją niekończącymi się spazmami. Zdawała sobie sprawę z obecności Lucasa, czuła na sobie jego ciężar. Widziała, że tężeje, odrzuca głowę do tyłu, zaciska powieki, a jego twarz wykrzywia wyraz podobny do bólu. A potem wyskoczył z niej tak gwałtownie, że zapłakała, czując nagłą stratę. Wpiła palce w jego śliskie od potu ramiona i tuliła go, gdy dygotał na niej, a jego ciepłe nasienie spływało po jej drżącym brzuchu.

Leżała w jego ramionach, czując ciepło słońca na nagim ciele. Jedną rękę położyła na piersi Lucasa.

- W końcu nie zdjęłam z ciebie ubrania - powiedziała, głaszcząc go po nagiej skórze. Pragnęła dotykać go wszędzie, po całym ciele. Dotykać go i tulić do siebie już zawsze.

Uśmiechnął się i przejechał nogą po jej obciągniętej pończochą łydce, aż po but do konnej jazdy.

Przeturlała się na jego pierś, aby spojrzeć mu w oczy. Nigdy dotąd nie widziała, by był taki odprężony i pogodny. Pomyślała, że tak musiał wyglądać dawniej, zanim jego życie zmieniło się w pasmo bólu i udręki pod batem przedstawicieli brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

- Możemy zrobić to jeszcze raz - powiedziała bezwstydnie, wsuwając dłoń do jego rozpiętych spodni.

Roześmiał się i chwycił ją za pośladki, ułożył na sobie.

- Czemu nie, panno Corbett? To doskonały pomysł.

Poczuła pod sobą wybrzuszenie jego erekcji. Roześmiała się i westchnęła z zachwytem, gdy znów zaczął ją całować.

- Co się stało? - zapytała, widząc, że w oczach Lucasa pojawia się cień smutku.

- To, co robimy, jest niebezpieczne. Wiesz o tym, prawda?

Usiadła na nim okrakiem.

- Boisz się, że nas przyłapią?

- Tak. To także. Ale bardziej się boję, że uczynię cię brzemienną - Położył na jej brzuchu ciemną dłoń, zniszczoną ciężką pracą. - O, tutaj.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Przecież wyszedłeś ze mnie.

- Tak, ale to nie zawsze działa.

- A więc co działa?

Wyraz odprężenia i zadowolenia zniknął z jego twarzy. Lucas zmrużył oczy i zacisnął wargi.

- Są pewne rzeczy, które mógłbym wkładać, ale nie mam ich skład wziąć. Kobiety znają sposoby... to znaczy, niektóre kobiety. Ja ich nie znam.

- A Genowefa?

Ciężki lok opadł na ramię Jessie. Lucas owinał go sobie wokół palca.

- Myślisz, że można ją spytać?

- Ona by mnie nigdy nie zdradziła, jeśli o to ci chodzi.

Uniósł się na łokciach.

- Nawet jeżeli będzie myślała, że robi to dla twego dobra? Jessie pokręciła głową.

- Ona uważa, że to arogancja sądzić, że się wie, co jest dobre dla kogoś innego.

Wypuścił jej włosy. Kiedy śliskie i gładkie opadły na jej pierś, nie mógł się powstrzymać i znów je pogłodził. Jessie wstrzymała oddech, gdy ją pieścił. Uśmiechnął się i leniwie pogłaskał ją obiema rękami, na nowo rozpalając w niej ogień.

- Jutro pojedę na Przylądek Ostatniej Szansy i porozmawiam z nią - oznajmiła.

- Och, dziewczyno. - Przesunął dłonie na jej plecy i ucałował w usta. - Nie powinienem z tobą rozmawiać o sposobach zapobiegania ciąży. Powinienem być ci powiedzieć, że jesteśmy szaleni. Obydwoje. I że nie możemy ryzykować nigdy więcej.

Patrzyła na zarys jego podbródka, na linię policzka, na oczy. Zrozumiała, że mogłaby tak patrzeć już zawsze i bez końca... tylko że dla nich nie było przyszłości.

- Nie mogę trzymać się z dala od ciebie - odezwała się cicho. - Już nie mogę. Nie mam na to dosyć siły.

- Ani ja. - Uniósł głowę i odnalazł usta Jessie, przyciągnął ją mocno do siebie i przeturlał na wznak, okrywając własnym ciałem.

Patrzyła na jego ocienioną twarz, a potem Lucas uniósł głowę i cień ustąpił.

- A jeśli chodzi o te ubrania... - zaczął z uśmiechem, który sprawił, że Jessie, rozpalona i omdlewająca, niecierpliwie oczekiwiała na spełnienie.

A ego wieczoru Jessie odesłała służącą, która pomagała jej przebrać się do kolacji, po czym stanęła przed lustrem toaletki. Na dworze wiał wiatr, szeleszczący w liściach drzew w parku.

płomienie świec w kinkietach tańczyły, rzucając na ściany rozedrgane cienie.

Ujrzała odbicie złotowłosej kobiety w sukni z różowego jedwabiu, wykończoną koronką barwy ecru. Jej twarz była bardziej zarumieniona niż zwykle, oczy wielkie i nieruchome, ale poza tym prezentowała się tak jak zazwyczaj. Pomyślała, że to powinno ją uspokoić, lecz tak nie było. Wewnątrz czuła się zupełnie inna i obawiała się, że ktoś to zauważy i pozna prawdę. Pozna, że leżała naga na trawie opromienionej słońcem łąki, obejmując nogami mężczyznę, dzikiego przestępcę, kochanka, którego buntownicza dusza obudziła w niej kobietę.

Gdyby był kimś innym, ogłosiłaby światu, że jest zakochana. Śmiało i bez wahania. Ale on był irlandzkim skazańcem i na myśl o ich tragicznej, beznadziejnej miłości Jessie odczuwała rozpacz i ból.

Przybrała surowy wyraz twarzy i przycisnęła pięść do ust. Nabrała powietrza w płuca i, pogasiwszy świece, przeszła przez hol, by porozmawiać z matką. Bo choć chciała utrzymać swą miłość w tajemnicy, uznała, że Beatrice powinna wiedzieć o jej decyzji zerwania zaręczyn z Harrisonem.

30

Pokój matki mieścił się po drugiej stronie holu, naprzeciw sypialni Jessie.

Beatrice zawsze zajmowała ten pokój, nawet za życia Anselma Corbetta, bo odkąd Jessie sięgała pamięcią, rodzice zajmowali oddzielne sypialnie. Gdy dorosła do wieku, w którym zwraca się na takie rzeczy uwagę, doszła do wniosku, że albo są z natury chłodni, albo też że ich pożycie stało się dla nich źródłem rozczarowań. Teraz zastanawiała się, czy Warrick nie miał racji, mówiąc, że rodzice nigdy się nie kochali.

Zastukała do drzwi i usłyszawszy oschłe: „wejść”, wkroczyła do pokoju. Beatrice już się przebrała do kolacji. Miała na sobie surową suknię z czarnego jedwabiu. Siedziała przed toaletką na wyściełanym jedwabiem taborecie. Służąca starannie wpiwała spinki w jej gładko uczesane, siwiejące włosy.

Jessie stanęła w drzwiach z bijącym sercem i splecionymi rękami. Wychowano ją tak, by spełniała życzenia rodziców, a oni obydwójce życzyli sobie, by poślubiła Harrisona. Jessie czuła teraz ogromny ciężar, przyniatający jej pierś, miążdzący ją bezlitośnie. W przeszłości wiele razy rozczarowała matkę, a teraz miała to uczynić jeszcze raz.

- Mamo? - odezwała się cicho. - Czy możemy porozmawiać?

Beatrice nie obejrzała się, lecz napotkała wzrok córki w lustrze. Ruchem ręki odprawiła służącą.

- O co chodzi, Jesmondo?

Jessie podeszła do wysokich okien frontowych, przysłoniętych ciężkimi aksamitnymi portierami, które poruszał lekki powiew. pokój matki zawsze ją zadziwiał. Taki był ciemny i poważny, z ciężkimi mahoniowymi meblami i obiciami z kosztownych tkanin. Jego wystrój zdradzał surowy, niemal męski gust, który zupełnie nie pasował do Beatrice. Dziwne, pomyślała Jessie, nigdy nie przyszło mi do głowy, że matka także może ukrywać jakieś swoje upodobania.

- Muszę ci coś zakomunikować - powiedziała, spoglądając na toaletkę. Wzięła głęboki oddech i zebrała całą odwagę. - Zdecydowałam, że nie wyjdę za Harrisona.

Jeżeli spodziewała się dramatycznej reakcji na swoje oświadczenie, spotkał ją zawód. Beatrice otworzyła szkatułkę z biżuterią i spokojnie wybrała pierścień z dużą perłą, po czym wsunęła go na palec.

- Przykro mi, Jesmondo, ale to niemożliwe. Jesteście zaręczeni i ślub wyznaczony został na początek grudnia. Wszystko zostało już przygotowane.

Jessie zrobiła krok do przodu i gwałtownie się zatrzymała.

- Mamo, nie dam się zbyć tak łatwo. Nie mogę wyjść za Harrisona. Nie kocham go tak, jak kobieta powinna kochać mężczyznę, którego poślubia.

Beatrice zamknęła z trzaskiem szkatułkę. Spojrzała na córkę zmrudzonymi oczyma i Jessie poczuła ucisk w żołądku. Znow była niegrzeczną sześciolatką, której groziło zamknięcie w ciemnościach na wieży.

- Cóż to za bzdury? - spytała Beatrice z przesadnie angielską dykcją. - Wasze małżeństwo zostało postanowione wiele lat temu. Nigdy się nie sprzeciwiałaś.

- Wiem. Ale teraz się sprzeciwiam.

- Za późno.

Beatrice wstała z szelestem kosztownego jedwabiu. Jej ruchy były pełne opanowania i godności. Odstawiła szkatułkę z biżuterią i spojrzała na córkę. Jessie jeszcze nigdy nie widziała, by twarz matki była tak sroga, a oczy pełne tak lodowatej furii.

- To sprawa honoru i obowiązku. Dobrze urodzona dama nie

może się wycofać z takich ustaleń. Gdybym ci teraz pozwoliła zerwać zaręczyny, byłabyś skompromitowana. Cała rodzina byłaby skompromitowana i nie moglibyśmy publicznie się pokazywać. Pomyślałaś o bracie? Jak by to zaciążyło na jego pozycji towarzyskiej? A co z jego przyjaźnią z Harrisonem? Co z jego ślubem z Philippą?

Co ze mną? - sugerował ton Beatrice, chociaż nie wypowiedziała tego pytania.

Jessie potarła grzbiet nosa.

- Warrick wcale nie chce poślubić Philippy, mamó. I ty dobrze o tym wiesz. Kontrakty ślubne, które zawarli za nas papa i Malcolm Tate, mogły się wtedy wydawać sensowne, ale nie można wychowywać dzieci razem jak rodzeństwo i oczekiwać, że się pobiorą, kiedy dorosną.

Beatrice pogardliwie rozdeła chrapki nosa.

- Nie masz pojęcia o takich sprawach. Postąpiliśmy tak, jak należy, a ty musisz poślubić Harrisona.

Jessie uniosła głowę i, dygocąc na całym ciele, podeszła do drzwi.

- Przykro mi, mamó, ale zaraz po powrocie Harrisona powiem mu, że nie zostanę jego żoną.

Położyła dłoń na kłamce, ale zatrzymał ją głos matki. Głos, który tak okrutnie ranił Jessie w dzieciństwie i który jeszcze teraz miał moc zadawania cierpień.

- Zawsze byłaś takim samolubnym, zapatrzonym w siebie dzieckiem - zasyczała Beatrice i szybko podeszła do córki. - Myślisz tylko o sobie. O sobie i swoich dziwnych zainteresowaniach. Nigdy nie starałaś mi się przypodobać. Nigdy nie zrobiłaś najmniejszego wysiłku, by zachowywać się tak, jak należy.

- Mylisz się - odrzekła Jessie, dygocząc z gniewu i poczucia niesprawiedliwości. - Starałam się. Od wczesnego dzieciństwa wciąż się staram być taka, jaką ty chcesz mnie widzieć, ale tobie jest ciągle mało. Nigdy nie jesteś ze mnie zadowolona. Wciąż mi powtarzasz, jak bardzo cię zawiodłam i jak bardzo się za mnie wstydzisz.

- I dlatego to robisz? - spytała Beatrice, patrząc na córkę. - Aby mnie ukarać?

- Nie. Robię to dlatego, że muszę.

- Bo musisz? - Beatrice roześmiała się. - Jeśli zerwiesz zaręczyny z Harrisonem, wszyscy będą przekonani, że to on je zerwał. I pomyślą, że odkrył, że nie jesteś dziewicą. I nikt cię nigdy nie poślubi.

Jessie pokręciła głową. Kobieta, która dała jej życie, była jej zupełnie obca.

- Nie mam zamiaru marnować sobie życia ze strachu o to, co o mnie pomyślą ludzie. Co to za moralność?

- Jesmondo... - Beatrice zrobiła krok w stronę córki. - Jeżeli to zrobisz, nigdy ci nie wybaczę.

Jessie miała tak ściśnięte gardło, że z trudem mówiła.

- Przykro mi, mamó - wydusiła z siebie. - Lecz jeśli tego nie uczynię, sama sobie nigdy nie wybaczę.

Siedzieli na rumowisku skalnym u podnóża klifu na Przylądku Ostatniej Szansy. Genowefa machała bosymi nogami, zanurzając je w łagodnych falach odpływu. Jesmonda Corbett podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Wiejący poprzedniego wieczoru wiatr ucichł. Dzień był spokojny, a niebo nad Tasmanią doskonale błękitne.

Od ostatniego spotkania minęło kilka dni, ale ich przyjaźń zawsze tak wyglądała. Nie widywały się często, wystarczała im wspólnota w odbiorze otaczającego świata i głębokie poczucie wzajemnego zrozumienia. Wraz z upływem lat Genowefa pokochała tę zagubioną dziewczynę jak własną córkę, której nie miała. Słuchała uważnie opowieści o starciu Jessie z Beatrice i o decyzji zerwania zaręczyn z Harrisonem, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna coś przed nią ukrywa.

- Gdzie przebiega granica pomiędzy tym, co kobieta winna jest ludziom, a tym, co winna jest samej sobie? - spytała Jessie, marszcząc w zamyśleniu czoło, tak jak to czyniła od dziecka.

Genowefa odetchnęła głęboko, wpatrując się w turkusowy bezkres morza.

- Myślę, że nie ma jednej granicy dla nas wszystkich odparła. - Każda z nas powinna dokonywać innych wyborów. I każda z nas wie w głębi serca, kiedy wybór nie jest właściwy.

- A jeżeli ktoś jest samolubny?

Genowefa dotknęła ramienia Jessie.

- Na pewno nie ty.

Dziewczyna zwiesiła głowę. Lekkie podmuchy wiatru poruszały kosmykami włosów na jej karku.

- Moja matka uważa, że jestem.

- Może odczuwa potrzebę usprawiedliwienia własnych wyborów.

Jessie spojrzała na przyjaciółkę zmrużonymi oczyma.

- Masz na myśli jej małżeństwo z moim ojcem?

- Tak.

Dziewczyna utkwiała wzrok w uwieczonych pomiędzy skałami wodorostach, cienkich brązowych włókienkach unoszonych wdzięcznie na fali.

- Nigdy go nie kochała, prawda?

Genowefa pokręciła głową.

- Zobaczyła go dopiero wtedy, gdy ich rodzice zawarli porozumienie. Trudno było oczekiwać, że w takich warunkach połączy ich uczucie. - Spostrzegła zmieszanie w oczach Jessie i szybko dodała: - Twoja matka zawsze uważała męża za kogoś gorszego od niej. Jej rodzina pochodziła ze starej szlachty. Biednej, ale starej.

- A Corbettowie byli dorobkiewiczami - dodała Jessie.

- Coś w tym rodzaju - przyznała jej przyjaciółka z uśmiechem. - Choć dziwi mnie, że tymi słowami określiła rodzinę twego ojca.

- Nie powiedziała tak o rodzinie ojca, lecz używa tego określenia w stosunku do ludzi, którzy są bogaci, ale nisko urodzeni. Za każdym razem, gdy ich tak nazywała, spoglądała znacząco na ojca. Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

Nad ich głowami wzbił się wypatrujący zdobyczy jastrząb gołębiarz. Genowefa odchyliła się do tyłu i, zadarłszy głowę, patrzyła na złociste odbłyски w rozłożonych skrzydłach ptaka.

- Nic się nie zmieniała, prawda?

- Nie miałam pojęcia, że znałaś moją matkę - rzekła Jessie, prostując nogi i zwieszając je ze skały.

- O tak, znałam.

Dziewczyna przechyliła głowę i zajrzała Genowefie w oczy.

- Jak się poznałyście?

Delikatne podmuchy wiatru niosły ze sobą woń słonej wody, wilgotnych skał i eukaliptusów. Genowefa z przymkniętymi powiekami chłonęła swojskie zapachy.

- Obiecałam twojej matce, że ci nigdy nie powiem - odrzekła, czując na sercu dawny ciężar. Obawiała się, że młodsza przyjaciółka będzie ją naciskać, lecz tak się nie stało. Zapadło milczenie, wypełnione cichą muzyką fal i pokrzykiwaniem mew.

- Czy moja matka kochała innego? Wtedy, gdy jej rodzice zaplanowali, że wyjdzie za mego ojca?

Beatrice, życie niczego cię nie nauczyło, pomyślała z gniewem Genowefa.

- Tak - powiedziała. - Nazywał się Peter Fletcher. Był zaledwie porucznikiem, ale jego rodzina była stara i bardzo dumna... i jeszcze biedniejsza niż rodzina twojej matki.

- A on ją kochał?

- Bardzo. Gdy się dowiedział, że Beatrice ma poślubić Anselma, zaproponował, by z nim uciekła.

- Ale nie chciała.

- Nie. Twoja matka zawsze wytyczała sobie ostre granice.

W ujściu Zatoczki Rozbitków pojawił się statek. Słońce lśniło w jego białych żaglach.

- Nic o tym nie wiedziałam - cicho powiedziała Jessie, patrząc na zbliżający się statek.

- Pewnie sama o tym zapomniała. Potrafi się do tego zmusić. Taka już jest. - Genowefa osłoniła oczy przed słońcem. Statek należał do fregaty i wracał z patrolu do portu. Spojrzała na siedzącą obok dziewczynę. - Nie domyśliła się, co czujesz do tego irlandzkiego skazańca?

Jessie pokręciła głową.

- Nie miałam okazji, by cię spytać, skąd wiesz, o kogo chodzi?

- Widziałam twoją twarz - odparła Genowefa z prostotą Tego wieczoru, gdy była burza. Patrzyłeś na niego, a w twoich oczach było wypisane, co do niego czujesz.

- Może powinnam nosić kapelusz z woalką. - Jessie roześmiała się, lecz jej śmiech zabrzmiał nienaturalnie, - Gdyby matka się dowiedziała... - Zaciśnęła usta i pokręciła głową. - Sama nie wiem, co by zrobiła. Ale mogłaby się na nim odgrywać Obwiniąłaby go za to, że chce zerwać zaręczyny z Harrisonem

- Kiedy kończy się jego wyrok?

Jessie zwiesiła głowę i przycisnęła dłoń do twarzy.

- Nigdy. Nigdy go nie uwolnią, Genowefo.

Statek był teraz tak blisko, że widziały trzepoczące na wietrze żagle i słyszały szum wody chlupoczącej o pokład. Genowefa chwyciła dziewczynę za rękę.

- Och, kochanie - powiedziała ze współczuciem.

- On mówi... - Jessie zamilkła. Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa. - On mówi, że istnieją sposoby na to, żeby kobieta nie miała dziecka. Znasz je?

Genowefa przyjrzała się ściągniętej twarzy dziewczyny. Już wcześniej wyczuwała, że młodej przyjaciółce przydarzyło się coś więcej niż podjęcie decyzji o zerwaniu zaręczyn i scysja z matką. Teraz pojęła co.

- Tak. Znam. Opowiem ci o nich, jeżeli zechcesz.

Jessie skinęła głową. W jej oczach zabłyśły łzy. Zawsze była dumna i silna i bardzo surowa wobec siebie. Nawet będąc dzieckiem, prawie nigdy nie płakała.

- Chcesz mi powiedzieć, że to, co robimy, jest niebezpieczne? Genowefa ucisnęła ją.

- Tak. To jest niebezpieczne, ale nie muszę ci tego mówić. - Poczwała straszliwy smutek i strach, bo nie widziała przyszłości dla tej pary nieszczęśliwych kochanków. Czekały ich tylko rozpacz i ból, a ona nie mogła im pomóc. - Pamiętaj, moja droga - dodała łagodnie - że zawsze możesz na mnie liczyć, cokolwiek się stanie.

Chłopiec siedział, opierając się plecami o nierówne kamienie, z których wybudowano chatę. Nogi wyciągnął przed siebie, ręce złożył na podółku. Stary kapelusz ocieniał mu twarz.

- Jest na łące za domem. Pasie owce - powiedział Dicken, nie unosząc głowy, gdy przybysz zatrzymał konia.

- Dziękuję. - Warrick już miał zawrócić wierzchowca, ale zatrzymał się i spojrzał na młodzieńca. Dziwny chłopak ten Dicken, na pół dziki i nieutemperowany. W ciągu minionych tygodni Warrick widział, że chłopak znosi do domu zastrzelone z procy ptaki i kangury. Za każdym razem, gdy zabił jakieś zwierzę, na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Warrick wciąż się zastanawiał, czy to nie Dicken przeszył nożem Parkera Jonesa.

- Pamiętasz tego czarnego skazańca, którego szukałem? - zadał wreszcie pytanie, które trapiło go od tak dawna. - Czy to ty go zabiłeś?

- Ja? - Chłopak uchylił jedno oko i leniwie spojrzał spod ronda kapelusza. - Nie. Ja używam procy. Faine woli noże.

Warrick tak zaciśnął dłoń na cuglach, że kasztanowy wałach podrzucił głowę i parsknął. Uspokoił konia i skierował go na łąkę, gdzie pasły się owce.

Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? - zapytał Faine, gdy leżeli nadzy na płaszczu, który Warrick rozścielił pod kwitnącą akacją. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to ty zabiłaś czarnego zbiega, którego szukałem?

Wzruszyła szczupłym ramieniem.

- Skąd mogłam wiedzieć, jak na to zareagujesz? - Jej jasnobrązowe oczy pociemniały od myśli, których nie pojmował. - Nie jesteś zadowolony, prawda? Chociaż to był złodziej, zesłaniec, a na dodatek czarny.

- Nie bądź głupia. - Pogładził jej policzek wierzchem dłoni. - Jeżeli chciał cię zgwałcić, nie miałaś wyboru - rzekł łagodnie.

- Nic mi nie zrobił. Chciał ukraść naszego osła, McBaina Warrick znieruchomiał.

- Zabiłaś go za osła? Dźgnęłaś go nożem w plecy?

Przeturlała się na bok i podparła na łokciu. Spojrzała z góry na leżącego na wznak Warricka.

- Widzisz? Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, jak to jest kiedy się jest biednym. - Położyła rękę na jego nagiej piersi i pieściła go leniwie. - Wyobrażasz sobie, że cały czas wyleguję się na trawie i kocham się pod gołym niebem, że jestem beztroska, bo nie mam nic do stracenia. Ten osioł ma dla nas wielką wartość. Nie chciałam go stracić.

Warrick przyglądał się jej z uwagą. Dotychczas lekceważył różnice pomiędzy nimi, teraz nagle je sobie uświadomił. Rzeczywiście, nie wiedział, jak to jest, gdy żyje się w biedzie. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał. Może właśnie z biedy brał się ten brak poszanowania dla ludzkiego życia. Tylko że...

Przytrzymał jej rękę, uniósł brwi i badawczo spojrzał jej w oczy.
- I nic po tym nie czujesz? Żadnych wyrzutów sumienia? Żadnego smutku? Ten człowiek nie żyje.

Pokręciła głową i zacisnęła szczęki. Spojrzała na niego oczyma bez wyrazu.

- Nie powinien był kraść naszego osła. ,

Wstała i odeszła, eterycznie zwiewna i piękna, i zatrzymała się dopiero obok spływającego ze skał strumienia. W pełni lata ten strumyk zniknie, ale teraz niósł czystą i słodką wodę. Warrick patrzył, jak dziewczyna klęka na trawie i pochyła się, by nabrać dłonią wody. Jej nagie plecy i szczupłe uda złociście lśniły w promieniach słońca. Była taka naturalna, odprężona. Zachwycała go, mimo wszystko.

Odwiedzał ją od wielu tygodni. Kochali się, pieścili. Warrick mówił jej o swoich marzeniach. A jednak zdawał sobie sprawę, że nigdy jej nie posiadzie, nigdy jej do końca nie zrozumie. Sara nie wiedział, czego od niej chce. Teraz zaczynał pojmować, że, nigdy się nie dowie.

- Dlaczego to robisz? - zapytał. - Dlaczego kochasz się ze mną? Mówiłaś, że nie jesteś we mnie zakochana.

Wstała i odwróciła się do niego. Na jej ustach pojawił się olśniewający uśmiech.

- Bo jesteś piękny. Jak anioł... Jak ktoś nie z tego świata. człowiek nie zawsze ma szczęście dotknąć kogoś z innego świata.

Usiadł i oparł łokcie na kolanach.

- Nie kochasz mnie ani trochę?

Przechyliła głowę i patrzyła na niego, starając się zrozumieć. Jakby nie mogła pojąć, skąd bierze się jego potrzeba miłości. Warrick zdawał sobie sprawę, że po brutalnych przeżyciach na wzgórzach Szkocji oddawała się innym mężczyznom. Z własnej woli. Czyżby żaden z nich nie chciał od niej nic więcej?

- Bardzo cię lubię - powiedziała powoli, starannie dobierając słowa. - Ale jak mam cię kochać, skoro cię nie znam?

- Nie poznałaś mnie w ciągu minionych tygodni?

- Trochę. Ale nigdy cię nie poznam do końca. Zbyt się od siebie różnimy.

Podniósł się i podszedł do niej. Wciąż czuł się przy niej niezręczny i onieśmielony, zwłaszcza bez ubrania.

- Myślę... - zaczął i przerwał. Położył dłonie na jej biodrach. - Wierzę, że dwoje ludzi może się poznać i pokochać instynktownie... intuicyjnie, od pierwszego wejrzenia.

Odchyliła głowę do tyłu. Spojrzała na niego. Twarz miała pozbawioną wyrazu.

- Nawet nie wiem, co znaczą te słowa.

Wzięła go za rękę i wsunęła ją sobie między uda. Wciąż była tam ciepła i lepka po tym, co zrobili.

- To jest coś, co rozumiem. Coś, co nas łączy. I to - dodała, zamykając dłoń na jego na wpół wzwiedzonym penisie.

Zawstydzony poczuł, że tężeje pod jej dłonią. Nie chciał, aby to była jedyna rzecz, która ich łączy. Chciał, by pomiędzy nimi zaistniało coś pięknego i wspaniałego. Coś głębokiego i niezwykłego. Nigdy nie uważał się za romantycznego głupca, ale teraz przyszło mu do głowy, że chyba nim jest. Zanurzył twarz w jej bujnych ognistych włosach i wybuchnął głośnym śmiechem.

Po chwili przyłączyła się do niego. A potem jej wargi odnalazły jego usta i przestali się śmiać.

Dwa dni po wizycie na Przylądku Ostatniej Szansy, gdy Jessie wracała przez podwórze od Starego Toma, podbiegł do niej Charlie.

- Panienko! - zawołał, przytrzymując na głowie kapelusz. - Panienko Corbett. Proszę zaczekać!

- O co chodzi? - spytała, chwytając go za chude ramiona. - Co się stało?

- Pan Gallagher- wydyszał chłopiec, z trudem chwytając oddech. - Zabrał siwka i odjechał, nie wiem dokąd. Ale był bardzo wzburzony.

- O tej porze? - Jessie zmrużyła oczy przed promieniami zachodzącego słońca. - Już późno - szepnęła. - Zaraz zamkną baraki... - Zwróciła się do chłopca: - Co się stało?

- Kapitan Boyd był w domu, panienko. Złapali tych mężczyzn, którzy uciekli, i Gallagher się o tym dowiedział.

Serce Jessie galopowało w piersi. Dzięki Bogu, dzięki, że nie był z nimi.

- Schwytano ich? - spytała. - Wszystkich?

Charlie pokręcił głową.

- Tylko trzech, panienko. Pozostali trzej nie żyją. A dwaj spośród trzech schwytanych mogą nie dożyć, aż ich powieszą.

Jessie poczuła mdłości i odwróciła się, zatykając usta pięścią. Widziała wisielców o czarnych twarzach i poskręcanych ciałach.

- Czy to byli bliscy przyjaciele pana Gallaghery? - spytała cicho. - Ci, którzy uciekli?

Chłopiec skinął głową.

- Jeden, Lis. Przybył tu z tym samym transportem co Gallagher. A Daniel O'Leary pracował z nim skuty łańcuchem. Uratował mu życie. Tak mi powiedział pan Gallagher.

- I Daniel jest teraz w więzieniu?

- Nie, panienko. Daniel nie żyje. Lis go zabił.

- Posłuchaj, Charlie - powiedziała, spoglądając na dom, gdzie Beatrice prawdopodobnie szykowała się do kolacji. - Osiodłaj moją klacz, a ja przez ten czas przebiorę się w strój do konnej jazdy. Jeżeli ktoś cię zapyta, powiedz, że Gallagher jest ze mną i że wrócimy późno, bo chcemy zobaczyć *aurora australis*.

- Co?

- Zorzę południową. Dziękuję ci, Charlie - dodała, biegnąc w stronę domu.

31

Znalazła siwka przywiązanego do wiązu na skraju ogrodu Grimesa, obok nieczynnej fontanny, ale jeźdźca nigdzie nie było widać.

Od strony Zatoczki Rozbitków docierał dobrze znany szum fal, zmieszany z ćwierkaniem świerszczy. Jessie poprowadziła opierającą się klacz poprzez opustoszały ogród w kierunku zrujnowanego domu. Słońce właśnie zniknęło za górami, pozostawiając na niebie różowe smugi.

Zadrżała, spoglądając na ślepe okna i popękane mury domostwa. Nie potrafiłaby powiedzieć, skąd wie, że znajdzie tu Gallaghera, po prostu wiedziała. Przywiązała konia do żelaznego pierścienia, tkwiącego w murze.

- Spokojnie, Cimmrio - wyszeptła, gładząc zdenerwowaną klacz po chrapach. - Tutejsze duchy nie straszą koni. - Zwierzę podrzuciło łeb i parsknęło, a zgrabne nogi w białych skarpetkach zatańczyły niespokojnie.

Jessie podeszła do budynku.

Od czasu gdy wiele lat temu podziwiała wspaniałe dębowe schody Grimesa, stojąc w holu na marmurowej czarno-białej posadzce, nigdy więcej nie była w tym ponurym domu.

Z bijącym sercem i ściśniętym gardłem przekroczyła próg i weszła do holu.

Wszystkie mury zostały zbudowane z kamienia. Były grube i solidne, więc zachowały się do dziś i wznosiły ku ciemniejszemu

niebu. Ale dębowe schody zniknęły. Płytki posadzki, spękane i zaśmieczone liśćmi i kawałkami drewna, chrzęściły pod stopami, Jessie weszła do pomieszczenia, które dawniej było salonem.

Na tle nieba zarysowała się sylwetka mężczyzny. Stał, opierając ręce po dwóch stronach otworu po drzwiach balkonowych, prowadzących na werandę z widokiem na morze. Jessie stłumiła okrzyk przerażenia.

- Myślałaś, że jestem tutejszym duchem? - zapytał Gallagher. - Jak myślisz, który z nich trojga jest najgroźniejszy?

Patrzyła, jak zbliża się do niej, czarny i niebezpieczny niby przybysz z piekła.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, podnosząc głowę i spoglądając na jego dumną i piękną twarz.

- Zauważyłem. Co tu robisz?

- O to samo chciałam zapytać ciebie. - Z gniewu i strachu miała ochotę okładać go pięściami, ale też chwycić jego głowę i obsypać pocałunkami. Pragnęła, by zamknął ją w ramionach i powiedział, że kocha ją tak samo mocno, jak ona jego. I że nigdy więcej nie zrobi nic podobnego. - Czy zdajesz sobie sprawę, co ci grozi za to, że wyjechałeś bez pozwolenia?

Wzruszył ramionami.

- Tydzień, może dwa odosobnienia o chlebie i wodzie. Nieraz mnie to spotkało. I przeżyłem.

- Ach tak, więc wszystko jest w porządku? A jeśli uznają, że należy ci się pięćdziesiąt batów? Czy to także będzie w porządku?

Odsunął się od niej gwałtownym ruchem.

- Nie należę do ludzi, którzy lubią słuchać rozkazów. Czasami... czasami muszę się poczuć wolny. Bez względu na cenę.

Zamilkł. Wsłuchiwali się w szum fal i szelest wiatru w liściach drzew. Jessie podeszła do Lucasa i zatrzymała się.

- Słyszałam o twoich przyjaciołach - powiedziała, zdziwiona brzmieniem swego głosu w ciszy wieczoru. - Przykro mi. Ale nie powinieneś się obwiniać. To nie twoja wina.

Spojrzał na nią.

- Tak uważasz? To przecież ja znalazłem tę cholerną szalupę.

To ja ją zreperowałem i ja zaplanowałem tę głupią ucieczkę 9 rzekł gniewnym tonem.

- Plan wcale nie był głupi, ale ktoś się wygadał. A oni postanowili, że i tak nie zrezygnują. To ich decyzja. Na czym polega twoja wina?

- Gdybym był z nimi...

- Gdybyś popłynął z nimi, mój brat zobaczyłby łódź i patrol morski schwytałby was w przeciągu kilku godzin.

- A nie w ciągu kilku dni.

Jessie dojrzała chłód w jego oczach i zadrżała.

- Nienawidzisz mnie teraz, prawda? - spytała. - Za to, że jestem Angielką. Za to, że należę do tego brutalnego, nieludzkiego systemu.

- Wcale cię nie nienawidzę - odparł łagodnie.

- Lucacie... - Spojrzała na jego wzburzone ciemne włosy, na rysy twarzy, odcinające się na tle nieba rozszerebrzonego księżycową poświatą. Wyciągnęła ku niemu drżącą rękę. - Twój ból nie ulży cierpieniu twoich towarzyszy. Nie zdręczaj się.

Chwycił jej dłoń i spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Nie powinnaś tu była przyjeżdżać.

- Dlaczego?

Wypuścił jej rękę i wyszedł na werandę. Wsparł dłoń na biodrach i patrzył na rozfalowane morze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy mnie nie spytałaś, dlaczego zabiłem tamtego człowieka, Nathana Fitzherberta?

- Uznałam, że powiesz mi, gdy będziesz na to gotowy - odparła i także wyszła na werandę.

- Czemu myślisz, że miałem powody?

Spojrzała na jego profil, na zdecydowany zarys szczęki pod ogorzałą od słońca skórą.

- Bo cię znam.

- Czy może być wystarczający powód, by odebrać człowiekowi życie?

- Prawdopodobnie nie. Ale rozumiem, że... - Przerwała i wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo. - Nie musisz mi nic mówić

Powinienem ci być powiedzieć już wcześniej.

- Jeżeli sobie wyobrażasz, że się od ciebie odwrócę, to się mylisz - oświadczyła ze ściśniętym gardłem.

- Nie zarzekaj się.

Jessie przysiadła na skraju werandy, zwieszając nogi nad zarośniętym ogrodem. Złożyła ręce na kolanach i utkwiała w nich wzrok. Pragnęła dowiedzieć się o Lucasie jak najwięcej, poznać go jak najlepiej, zrozumieć mrok, który wypełniał jego nieokiełznaną duszę, ale nie była pewna, czy jest gotowa wysłuchać tego, co ma jej do powiedzenia.

- To się stało, kiedy byłeś na uniwersytecie w Dublinie, prawda? - zapytała cicho.

Lucas przykucnął obok niej i oparł ręce na udach.

- Odwiedziłem wtedy moją siostrę, Rosę - zaczął beznamiętnym tonem. - Jej mąż, Patrie Maguire, był moim przyjacielem. Był pisarzem... dziennikarzem. Miał w piwnicy drukarnię, na której drukował zakazane teksty. Pracował dla sprawy.

Jessie nie musiała go pytać, dla jakiej sprawy. W Irlandii liczyła się tylko jedna sprawa.

- Tamtej nocy do domu przyszedli angielscy żołnierze. Ktoś musiał im powiedzieć o istnieniu drukarni, bo od razu wiedzieli, gdzie jej szukać.

- Nathan Fitzherbert był jednym z nich? - spytała Jessie, podnosząc głowę.

Lucas skinął głową. Jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Podobnie jak głos.

- Był ich dowódcą. Miał sześciu ludzi. Najpierw zniszczyli drukarnię, a potem kolejno zgwałcili Rosę. Sześciu mężczyzn.

Jessie westchnęła. O, Boże, pomyślała.

- Patrick i ja staraliśmy się ich powstrzymać. Wtedy Fitzherbert strzelił mojemu szwagrowi w głowę. Sądziłem, że to samo zrobi ze mną, ale on miał inne plany. Przyłożył mi pistolet do głowy i kazał mi patrzeć na to, co wyrabiali jego podkomendni.

Jessie zdała sobie sprawę, że z całej siły zaciska dłoń.

- Czy twoja siostra przeżyła?

- Nie zabili jej, więc następnego dnia sama odebrała sobie życie.

Jessie oparła stopy o krawędź werandy i podciągnęła kolana pod brodę. Słyszała już o podobnych tragediach, ale jej bezpośrednio nie dotyczyły. A teraz dowiedziała się o czymś, co zdarzyło się siostrze mężczyzny, którego kochała. I że zawinili angielscy żołnierze. Poczuli wstyd i mdłości.

- Poszedłeś z tym do władz?

- Masz na myśli Anglików? - Lucas parsknął gorzkim śmiechem. - W Irlandii nie ma sprawiedliwości dla Irlandczyków. Dopóki są tam Anglicy. - Spojrzał na nią pociemniałymi oczyma.

Jessie siedziała, wstrzymując oddech.

- Więc sam mu wymierzyłeś sprawiedliwość? - spytała.

- Pewnego wieczoru poszedłem za nim, gdy wracał z pubu. Kiedy samotnie przechodził przez pusty park, dogoniłem go i wręczywszy mu dębową pałkę, powiedziałem, żeby się bronił. Pałka to broń typowo irlandzka. Anglicy nie potrafią się nią posługiwać. - Na twarzy Lucasa pojawił się uśmiech. - Anglicy zabraniają nam posiadania broni palnej, więc nauczyliśmy się walczyć tym, co jest dostępne. Nawet kijami. Nie miał ze mną szans.

Jessie przypomniała sobie owo popołudnie na polance, kiedy rozbił głowę napastnika, wywijając zwykłą gałęzią. Lucas miał rację: Anglik, nawet uzbrojony w maczugę, nie miałby z nim szans.

- Dałeś mu możliwość walki. To nie było morderstwo.

- Nie? - Gallagher zacisnął pięść na kamieniu. Spojrzał na nią, a potem rzucił kamyk w ciemność. - Zamierzałem go zabić i zrobiłem to. Te kilka tygodni od czasu, gdy Anglicy wtargnęli do domu mojej siostry, do dnia, w którym zabiłem Fitzherberta, przeżyłem jak we śnie. Nic nie pamiętam. Ale dobrze pamiętam, jak go zabiłem.

- I co potem zrobiłeś? - spytała szeptem.

Lucas wstał i stanął za Jessie; czuła na plecach bijące od niego ciepło.

- Wyjechałem z Dublina w góry Comeragh. Ale żołnierze mnie odnaleźli. Chciałem się do wszystkiego przyznać, lecz mój ojciec twierdził, że nie mają przeciwko mnie dowodów i nie mogą mnie oskarżyć. Powiedział, że matka straciła już jedno dziecko przez Anglików i nie zniesie następnej straty. Więc, ze względu na matkę, trzymałem język za zębami.

Zamilkł. Wiatr przyniósł z daleka krzyk kulika.

- Ojciec miał rację. Nie mieli wystarczających dowodów, by mnie skazać za morderstwo, więc wysunęli oskarżenie o zdradę i matka i tak musiała się ze mną rozstać.

Jessie uniosła głowę i spojrzała na pełną napięcia twarz Lucasa. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego umięśnionego uda. Poczowała szorstki materiał spodni.

- Ale przynajmniej cię nie powieszono.

Lucas usiadł za nią, otoczył ją ciepłymi ramionami i przyciągnął do siebie.

- Co to zmienia? I tak mnie więcej nie zobaczy.

- Zmienia bardzo wiele.

Zdjął kapelusz z głowy Jessie i przytulił policzek do jej twarzy. Czuła, jak jego pierś unosi się i opada wraz z oddechem. Siedzieli tak dłuższą chwilę. Wieczorny wiatr niósł chłodny i słodki aromat morza i wilgotnej ziemi.

- Na początku - zaczął Lucas ochrypłym głosem - naprawdę wierzyłem, że to przetrzymam. Że będę sprytny, dostanę warunkowe zwolnienie. Tak było, zanim się przekonałem, jak bardzo ustosunkowany był Fitzherbert. Po jakimś czasie zorientowałem się, że nigdy nie będę wolny. Chyba że ucieknę.

Jessie odetchnęła głęboko. Czuła na sobie ciepło i siłę ramion Gallaghery. Kochała go aż do bólu, a on znów mówił o ucieczce.

- Myliłeś się - rzekła. - To, co powiedziałeś, wcale mnie od ciebie nie zniechęciło.

Lucas odwrócił ją twarzą do siebie i mocno chwycił za ramiona.

- Tylko dlatego, że nie wiesz jeszcze o najgorszym.

I nie chcę wiedzieć, pomyślała. Usłyszałam już więcej, niż mogę znieść. Ale nie protestowała, wiedząc, że on i tak jej opowie.

- Myślisz, że zabiłem go za to, co jego żołnierze zrobili mojej

siostrze, i za to, że zastrzelił Patricka Maguire'a. Ale to tylko część prawdy. Tylko część. - Ujął jej twarz i pogładził kciukami po policzkach. - Bo, zabijając Fitzherberta, myślałem o tym, jak skrzywdził mnie, nie ich.

- Nie mów mi tego. - Pokręciła głową. - Nie chcę wiedzieć

- Jessie, zabiłem go za to, co zrobił mnie - powtórzył. Jego ton był tak samo przerażający jak spojrzenie. - Bo kiedy żołnierze skończyli z Rose, Fitzherbert kazał im, aby mnie rozciągnęli na ziemi. A potem wykorzystali mnie tak samo, jak moją siostrę.

- O, Boże! - Załkała. - O, Boże! Nie! - Rozpłakała się i po jej policzkach spłynęły gorące łzy.

- Tak. Teraz już wiesz. Teraz wiesz, dlaczego tak się boję bliskości między nami.

Brutalnie przycisnął usta do jej warg w miażdżącym pocałunku, pełnym namiętności i bólu. Pocałunku, który miał być karą, chociaż Jessie nie wiedziała, kogo Lucas karze, ją czy siebie. Jęknęła gardłowo i uniosła ramiona. Tylko że zamiast go odepchnąć, wpiła palce w szorstką tkaninę jego kurtki i przyciągnęła do siebie. Lucas przylgnął do niej mocniej niż zwykle; jego natarczywość była już mieszaniną agresji, buntu, niemocy, a nade wszystko gniewnej bezsilności. Gwałtowny dotyk i pospieszne pieszczoty - wszystko to, czego skrycie pragnąc, od lat wypierała ze swej świadomości - zaczęły jej nagle sprawiać przyjemność.

- Nie rób tego - powiedział.

- Czego? Nie wolno mi cię całować czy kochać?

Nie słuchał jej; odszedł. Kiedy go dogoniła, stał samotnie na tle poszarzałych murów. Jessie nie czuła przed nim strachu. Bała się o niego.

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać - rzekł, odchylając głowę do tyłu. Wpadający przez otwór okienny wiatr rozwiewał mu włosy. - Proszę. Odejdź stąd i zostaw mnie samego. Nie rozumiesz, co staram się powiedzieć?

- Kocham cię.

- Nie mów tak.

- Kocham cię.

Odwrócił się do niej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Jesmondo. Jestem zbrukany, nieczysty - Nie zasługuję na... to wszystko. Nie zasługuję na twoją miłość ani na ryzyko, które dla mnie podejmujesz, ani na ból, który będziesz odczuwać, kiedy odejdę lub zginę.

- Kocham cię. - Wyciągnęła do niego ręce, bo choć tym razem ją odepchnął, wiedziała jednak, co czuje.

Przytulił ją i pocałował gwałtownie. Dłonie Lucasa błędziły po jej ciele, powędrowały w dół. Jego biodra naparły na jej delikatny brzuch i kołysały się w odwiecznym rytmie miłości. Poczowała płomień, rozpalający jej krew i mięśnie i zadrżała z żądzy. Lgnęła do niego ze wszystkich sił. Jedną dłoń wpiła w mięśnie na jego plecach, drugą zatopiła we włosach, przyciągając go ku sobie. Odchyliła głowę do tyłu, a on okrywał szybkimi pocałunkami jej ucho i szyję.

- Pragnę cię - powiedział, nie odrywając od niej warg. - Teraz. Tutaj.

- Ja ciebie pragnę jeszcze bardziej - wyszeptwała, przygryzając koniuszek jego ucha.

Roześmiał się dziko. Przyparł rozpalonym ciałem do szorstkiej kamiennej ściany. Wyrывая guziki, rozchylił jej żakiet, zsunął gorset i jednym szarpnięciem rozdarł koszulkę. Był brutalny i gwałtowny, przepełniony dziką żądzą.

Krzyknęła głośno i położyła dłoń na zapięciu jego spodni.

Wyszeptał coś ochryple, coś, czego nie rozumiała, i pomógł jej rozpiąć pasek. Jessie wdychała chłodne powietrze, pachnące morzem, nocą i Lucasem. Przesłonił jej cały świat. Jego czarna sylwetka rysowała się na rozgwieżdżonym niebie.

Znów poczuła na wargach jego wargi. Zadzierał jej spódnicę, unosząc ciężki materiał. Usłyszała, jak cicho zaklął, gdy niecierpliwie palce nie radziły sobie z długimi pantalonami, które miała pod spodem. Usłyszała odgłos rozdieranej tkaniny, ale nie protestowała. Oddychała szybko i głośno.

- Proszę cię - wyszeptwała wtulona w niego. - Och, proszę.

Czuła rozdierającą ją palącą pustkę. Kiedy Lucas dotknął jej

między udami, jęknęła głośno, a gdy wsunął palec do środka, odczuła ulgę, że w końcu ją coś wypełnia. Krzyknęła głośno.

Pragnęła czegoś więcej.

Po omacku sięgnęła do odpiętych spodni Lucasa. Wypchnął biodra do przodu i dłoń Jessie wypełniła się pulsowaniem jego erekcji. Tak twardej, a jednocześnie tak miękkiej.

- Jessie - szepnął. Rozsunął kolanami jej uda, schwycił ją mocno za obydwa pośladki, uniósł i przyciskając plecy dziewczyny do szorstkiej ściany, naparł na nią biodrami. Poczwała pomiędzy udami jego gładki gorący członek. Wstrzymała oddech, kiedy szybkim ruchem wypełnił ją, zadając ból i rozkosz.

Krzyknęła, wyginając plecy i wpijając palce w jego ramiona.

- Spokojnie, najdroższa - wyszeptał, ugiął kolana i znów na nią natarł. Tym razem mocniej i głębiej.

Tuliła go rozgorączkowana, zatracając się w dzikiej potrzebie zjednoczenia. Jej świat ograniczał się do gorącej, lśniącej od potu skóry kochanka i chłodnego powietrza nocy, do przyspieszonych oddechów i wilgotnych pocałunków, do twardych męskich dłoni i pulsowania jego członka w jej wnętrzu. Odczuwała płomiennie pożądanie i rytmiczne fale bolesnej rozkoszy. Wciąż i wciąż, aż straciła ostrość widzenia i dostrzegała jedynie lśnienie dzikich oczu Lucasa.

Słyszała, że powtarza jej imię. Czuła jego twarde palce, wpijające się boleśnie w jej uda. Widziała zęby, odsłonięte w dzikim grymasie ust, podczas gdy zagłębiał się w nią coraz mocniej, coraz gwałtowniej. A potem wycofał się tak nagle, że aż zapłakała w poczuciu dotkliwej straty.

Lucas przyklęknął i opuścił głowę. Dygocząc na całym ciele, pomrukiwał ochryple.

- Lucacie. - Jessie opadła na kolana, ujęła jego głowę i zanurzyła twarz w jego włosach. Czuła bicie jego serca i dygotanie ciała. Przepęłniała ją bezmierna miłość. - Och, Lucacie.

Chwycił ją za ramiona i uniósłszy głowę, spojrział na Jessie zmużonymi oczami.

- Zachowałem się jak dzikie zwierzę - powiedział głosem

ochrypłym ze wzruszenia. - Zasługujesz na coś lepszego niż wyparcie do muru pod gołym niebem.

przyłożyła drżącą dłoń do jego policzka i pogładziła pełne wargi-

- Prawdę powiedziawszy, raczej mi się to podobało - wyznała i pocałowała go w usta.

I jak masz zamiar wyjaśnić to rodzinie? - zapytał, zatrzymując siwka za jej kłaczą, gdy wjeżdżali na wąską ścieżkę wiodącą na wzgórze.

Jessie spojrzała na niego przez ramię. Na niebie pojawiły się smugi chmur, przykrywających księżyc i większość gwiazd, więc ujrzała tylko ciemną sylwetkę. Między nogami, tam gdzie wniknął w nią Lucas, wciąż był wilgotna, lepka i obolała. Na samo wspomnienie tego, co między nimi zaszło, poczuła przypływ pożądania.

- Myślę, że moje potargane włosy i podarte ubranie można wyjaśnić upadkiem z konia - powiedziała drżącym głosem. - Jazda po ciemku bywa niebezpieczna.

- Rzeczywiście, bardzo niebezpieczna - mruknął. - Zwłaszcza dla nieobliczalnych młodych dziewcząt. - Słyszac jej cichy śmiech, dodał: - A niby co robiliśmy tak późno poza domem?

- Ha. Już o tym pomyślałam. Zostawiłam mojej matce wiadomość, że chcę zobaczyć zorzę południową. - Znów zerknęła przez ramię. - Widziałeś ją kiedyś?

- Tak. Zauważyłem raz czy dwa razy. Przez okratowane okienka.

Na myśl o tym, że Lucas spędza noc w zamknięciu, jak dzikie zwierzę, poczuła zakłopotanie. Pomyślała także, że to chyba jest pierwsza od lat noc, którą, przynajmniej w części, spędził na wolności.

- To spójrz na nią teraz - powiedziała łagodnie, zatrzymując kłacz, gdy wjechali na szczyt grzbietu. Zorza południowa roztaczała przed nimi swoje lśniące złocistozielone piękno.

Lucas podjechał do Jessie. Odchylił głowę do tyłu i wstrzy-

mując oddech, zapatrzył się w przestwór barwnych świateł, które falowały na niebie.

- Tak - wyszeptał. - Jest piękna.

Patrzyła, jak Lucas wpatruje się w magicznie rozświetlone niebo. Wiatr burzył jego ciemne włosy i powiewał połami kurtki. W tym niesamowitym świetle jego ukochana twarz wydawała się Jessie łagodna i piękna.

Koń Lucasa tańczył niespokojnie.

- Słyszałem, że w Szkocji nazywają to Wesołymi Tancerzami - powiedział. - Teraz rozumiem dlaczego. - Spojrzał na Jessie. - Masz pojęcie, skąd się to bierze?

Pokręciła głową.

- To jakaś forma energii, która być może pochodzi od słońca przyciągana o tej porze roku przez bieguny ziemskie. Nie całkiem to rozumiem.

Przez dłuższą chwilę podziwiali majestatyczny widok. Lśnienia falowały na niebie, niczym unoszony z wiatrem muślin. Lucas ujął dłoń Jessie i spojrzał jej w oczy.

- Dziękuję ci. Za to... - Drugą ręką zatoczył łuk, wskazując rozpłomienione niebo. - I za pociechę, której doznałem przy tobie. - Podniósł jej dłoń do ust i ucałował poprzez cienką rękawiczkę. - I za to, że ratujesz mnie przed konsekwencjami mego szaleństwa.

- Rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. - Ścisnęła jego rękę. - Przedtem nie rozumiałam. Ale teraz tak.

Odetchnął głęboko.

- Za jakiś czas znów spróbuję uciec. Jessie, nie mogę tu zostać, nawet dla ciebie. Ani dla cudu, który zrodził się pomiędzy nami.

- Wiem. - Jednak ta wiedza nie oznaczała akceptacji.

Oczy nadzorcy lśniły gniewnie, gdy prowadził Gallaghera do małej ośmiokątnej wartowni, lecz gniew Daltona skierowany był na nią, nie na mężczyznę, którego zatrzymała po godzinach. Będąc jej podwładnym, mógł tylko burczeć pod nosem, kiedy się oddaliła.

Szła przez ciemny nieruchomy ogród do bocznych drzwi domu. Przechodząc obok zamkniętego pokoju muzycznego, słyszała słodkie nuty *Apassionaty* Beethovena, grane z takim czuciem, że od razu poznała, kto gra. Beatrice była technicznie doskonała, lecz tylko Warrick potrafił wyciskać łzy z oczu słuchaczy. Na pewno jest już dawno po kolacji, pomyślała Jessie i schodami dla służby pobiegła do swego pokoju.

Szybko zdjęła strój do konnej jazdy i narzuciła szlafrok. Właśnie sięgała po dzbanek z wodą, gdy ktoś z furją otworzył drzwi. Obróciła się, zbierając na piersi połę szlafroka. Drugą ręką oparła się o umywalkę.

Na progu stała wyprężona Beatrice. Jej policzki oblewał rumieniec gniewu.

- A więc wróciłeś wreszcie do domu?

- Przestraszyłaś mnie, mamó. - Jessie zacisnęła dłoń na jedwabiu szlafroka.

- Wiem, co robiłeś - powiedziała Beatrice i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

32

Czyś ty zupełnie postradała zmysły, dziewczyno? - wyszczała Beatrice i złowróźnie szeleszcząc czarnym jedwabiem, podeszła do kominka, gdzie prędkimi, niespokojnymi ruchami uporządkowała bibeloty na marmurowej półce. - Najpierw te bzdury, dotyczące twoich zaręczyn z Harrisonem, a teraz... to.

Jessie poczuła, że jej serce zaczyna boleśnie galopować w piersi.

- Mamo... - zaczęła.

- Chcę wiedzieć, kiedy to się zaczęło - przerwała jej Beatrice, odwracając się do córki. - Tego popołudnia, gdy była burza, czy już wcześniej?

Jessie patrzyła na matkę, zastanawiając się, od jak dawna to trwa. Kiedy się zaczęło? Tego dnia w puszczy, gdy połączył ich pierwszy jakże magiczny pocałunek? A może owego pierwszego dnia po powrocie na Tasmanię, gdy spojrzała w górę i zobaczyła, jak pracują w kamieniołomie? Od tamtej pory jej życie zupełnie się zmieniło.

- Nie mogę uwierzyć, że robisz coś takiego - mówiła Beatrice, przyciskając dłoń do czoła. Jessie spostrzegła łzy lśniące w oczach matki i doznała wstrząsu. Beatrice nigdy nie płakała. - Jak mogłaś? Jak mogłaś mi zrobić coś takiego, wiedząc, co czuje do tej kobiety?

Do tej... kobiety? Trzeba było dłuższej chwili, by słowa matki

tarty do świadomości przerażonej Jessie. Ona nie wie. Jessie doznała niewypowiedzianej ulgi. Nie wie o Gallagherze.

Odeszła od umywalki. Jej serce biło nierównym rytmem, jakby się zatrzymało i teraz zaczynało bić od nowa.

- O czym ty mówisz, mammo?

Beatrice opuściła rękę. Chrapki jej nosa drżały i Jessie pomyślała, że łzy w oczach matki są łzami wściekłości.

- Nie udawaj głupiej, Jessie. Mówię o twojej wizycie na przyładku Ostatniej Szansy.

- Chodzi ci o Genowefę?

Beatrice aż podskoczyła z furii.

- Tylko nie próbuj mnie okłamywać.

Dziewczyna opadła na taboret przed toaletką.

- Wcale nie mam zamiaru cię okłamywać. - Splotła dłonie na kolanach i spojrzała na zaczerwienioną twarz matki. - Ja i Genowefa przyjaźnimy się od ośmiu lat. Kiedy byłam młodsza, nie mówiłam ci o tym, bo wiedziałam, że zabronisz mi ją widywać. Ale po powrocie z Anglii powinnam ci była powiedzieć. Przepraszam.

- Osiem lat? Od ośmiu lat spotykasz się z tą bezwstydną ladacnicą? - Patrzyły na siebie. Koronka na piersi Beatrice unosiła się i opadała wraz z jej przyśpieszonym oddechem. - Nigdy więcej nie zobaczysz się z tą kobietą. Słyszysz?! - krzyknęła, przesywając córkę wściekłym wzrokiem.

- To moja przyjaciółka - cicho powiedziała Jessie.

- To nie jest dla ciebie odpowiednia osoba. Dobrze o tym wiesz. Zawsze wiedziałaś.

- Dlaczego? Dlatego, że ośmieliła się przedkładać własne szczęście ponad piekło, które planowali dla niej rodzice? Dlatego tak bardzo jej nienawidzisz? Dlatego, że miała odwagę uczynić to, na co ty nie miałaś odwagi?

Beatrice bez ostrzeżenia zamachnęła się i uderzyła córkę w twarz z taką siłą, że ta omal nie spadła z taboretu.

- Jesteś taka jak ona - wyszczała i zacisnęła szczęki. Mówiła, Poruszając samymi ustami. - Bez przerwy włóczysz się po okolicy, robiąc dziwactwa, które są obliczone na ściągnięcie na

siebie uwagi. Jesteś nawet do niej podobna. Zwłaszcza wtedy gdy jesteś krnąbrna i uparta.

- Podobna do niej? Niby czemu miałabym... - Jessie urwał Skłębione myśli wirowały jej w głowie. Nagle wszystko nabrało sensu. Domek, który kiedyś należał do babci Jessie, a teraz stał się domem Genowefy. Zainteresowanie Genowefy losem matki oraz braci i sióstr Jessie. Porozumienie, jakie zawsze istniał pomiędzy Jessie i starszą kobietą, pokrewieństwo dusz, jakiego nigdy nie zaznała z własną matką, a które przecież czasami łączy matkę i córkę. Albo ciotkę i siostrzenicę.

- O, Boże - wyszeptwała dziewczyna, wpatrując się w matkę - Ona jest twoją siostrą.

Beatrice cofnęła się o krok. Widoczna na szyi tętnica gwałtownie pulsowała.

- To ty nie wiedziałaś?

Jessie pokręciła głową.

- Nie. Nigdy mi o tym nie mówiła. Wspomniała, że coś ci obiecała, ale nie wiedziałam co. - Jessie westchnęła głęboko i poprawiła włosy zburzone uderzeniem matki. - Dlaczego? Dlaczego zupełnie z nią zerwałaś? Jak mogłaś? Z własną siostrą? Powiedziałaś mi, że twoja siostra nie żyje.

- Ściągnęła hańbę na całą rodzinę. Ośmieszyła mnie. Nie masz pojęcia, jakie znosiłam upokorzenia, szeptki, krzywe spojrzienia. Litość. Pogardę. - Beatrice utkwiała nieruchomy wzrok w przestrzeni i wspominała przeszłość. - Dla mnie umarła wiele lat temu. Nie mam siostry.

Jessie spojrzała na matkę. Jej twarz wyrażała tylko chłód i złość.

- Ale babcia najwyraźniej przebaczyła Genowefie. Zostawiła jej domek nad morzem.

- Gdyby mój ojciec wiedział, że matka uczyni coś takiego, nigdy by jej nie przekazał majątku. Nie chciałam do tego dopuścić, ale nasi doradcy prawni nie zachęcali mnie do działania, więc w końcu zrezygnowałam, w zamian za pewną obietnicę-Genowefa przyrzekła, że nigdy nie będzie szukać towarzystwa moich dzieci i że nigdy im nie powie, co nas łączyło. Nie powinnam jej była wierzyć.

- To nie ona mnie znalazła. Spotkałyśmy się przypadkiem. Chyba nie obiecywała ci, że mnie odtrąci? - Jessie wstała, podtrzymując szlafrok przy szyi. - Kto ci powiedział o moich Wizytach u niej?

Beatrice odwróciła głowę. Była już spokojna i opanowana. Milczała.

Jessie przypomniała sobie, jak niedawno siedzieli z Genowefą, patrząc na lśniące w promieniach słonecznych białe żagle statku, patrolującego Zatoczkę Rozbitków.

Kapitan Boyd - domyśliła się. - Dowiedziałaś się od kapitana Boyda, prawda? Przyszedł tutaj, by powiedzieć Warrickowi, że schwytano uciekinierów. Przy okazji naopowiadał ci o mnie.

Beatrice dotknęła dłonią żałobnej broszy, która zdobiła gors jej sukni. Potem opuściła rękę i uniosła brodę, zaciskając szczęki i uwydatniając zmarszczki wokół wąskich ust.

- Powinnaś była siedzieć w domu. Nie wiem, co sobie wyobrazasz, Jesmondo. Żeby przysyłać mi wiadomość przez chłopca stajennego? Jakby nie dość było, że spiskujesz z tą kobietą, to jeszcze wybierasz się z przestępcą na podziwianie zorzy. Co by na to powiedział Harrison?

- Nie mam zamiaru wyjść za Harrisona, mam - oświadczyła Jessie, wyraźnie znużona.

Beatrice ruszyła do drzwi.

- Takie przedślubne zdenerwowanie nie jest niczym niezwykłym. Jestem pewna, że zanim Harrison wróci, nabierzesz rozsądku. A wtedy - dodała cierpko - on będzie się przejmował twoim zachowaniem. Nie ja.

Jessie opadła na taboret przed toaletką i patrzyła, jak za matką zamykają się drzwi. A potem obróciła się w stronę lustra i objąwszy się ramionami, próbowała opanować drżenie.

Warrick zamknął oczy. Przebiegał palcami po klawiaturze, całkowicie zatopiony w muzyce i melancholii. Przyszło mu do głowy, że jego niezmierne ukochanie muzyki jest czymś, czego

Faine o nim nie wie. Ale ona nie wiedziała o nim wielu innych rzeczy. Tak samo jak on o niej.

Tego popołudnia, kiedy powiedziała mu o śmierci Parkera Jonesa, kochali się po raz drugi. Szczytowali intensywnie i jednocześnie, lecz Warrick wiedział, obydwoje zdają sobie sprawę ze czar prysł i więcej nie będą się spotykać.

Czuł się zawstydzony, że dziewczyna miała rację. To prawda że jej nie kochał. Kochał jedynie swoje wyobrażenie o niej. Kiedy był z Faine, mógł zapomnieć o ogniu, który trawił jego wnętrze. A potem przypomniał sobie Philippę i to, co mu powiedziała podczas pikniku, i jak się do niego śmiała roziskrzonymi brązowymi oczyma. Przy tym wspomnieniu pomylił nuty.

- Może z otwartymi oczami grałbyś lepiej, Warricku - zabrzmiał jakiś kwaśny głos.

Matka. Odwrócił się razem ze stołkiem i ujrzał Beatrice, która stała w drzwiach pokoju muzycznego. Drżące światło kandelabru rzucało cienie na jej bladą twarz.

- Jak zwykle nie masz pojęcia, o co chodzi w muzyce - wyrzucił jej.

- Chcę, żebyś mi wybrał jednego z twoich ludzi - powiedziała, patrząc w przestrzeń. Odkąd skończył dwanaście lat, unikała jego spojrzenia. - Kogoś godnego zaufania. Najlepiej wolnego robotnika. Przyślij go do mnie wczesnym rankiem.

- Po co?

Beatrice obróciła głowę i spojrzała na syna z pełnym napięciem wyrazem twarzy, jaki przybierała zawsze, gdy przebiegała myślą wszystkie jego niedoskonałości, godne jedynie pogardy.

- Gdybym potrzebowała twojej interwencji, Warricku, poprosiłabym o nią. Jednak na razie prosiłam cię tylko o przysłanie mi odpowiedniego człowieka.

Warrick patrzył, jak matka odchodzi w mrok. Sztynna, chłodna postać w czerni. Odwrócił się do fortepianu i uderzył pięściami w klawisze.

Dwa dni później Lucas zawiózł pannę Jesmondę Corbett do krawcowej w Blackhaven Bay.

Jessie siedziała w przyzwyczajonej odległości od niego na skórzanej ławeczce czarnej bryczki. Plecy miała sztywno wyprostowane, brodę zadartą, głowę skierowaną w przeciwną stronę. Patrzyła na zielone i żółte pola, oblane promieniami wiosennego słońca. Wyglądali jak dobrze urodzona panna i usługujący jej skazaniec. Cóż, przecież właśnie nimi byli, uświadomił sobie Lucas, chociaż niedawno mu się oddała i choć tuliła jego głowę do swej nagiej piersi.

Walcząc z tym wspomnieniem, klepnął klacz płaskimi lejcami po okrągłym zadzie, gdy zjeżdżali do zatoki. Nie widział Jesmondy od owej wspaniałej nocy rozświetlonej zorzą, ale znał ją na tyle, że wiedział: coś jest nie w porządku.

- Martwi cię to, cośmy zrobili tamtej nocy? - zapytał nagle. - Żałujesz tego?

Spojrzała na niego wielkimi oczyma, pociemniałymi od hamowanych emocji.

- Nie, skądże. Kocham cię.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Jessie odwróciła wzrok. Zapanowało milczenie, przerywane dzwonieniem uprząży i rytmicznym stukiem końskich kopyt. Lucas wiedział, na co dziewczyna czeka. Wiedział, co pragnie od niego usłyszeć, lecz nie mógł jej tego ofiarować. Ani teraz, ani nigdy.

- Chodzi o moją matkę - odezwała się wreszcie. - Dowiedziała się o moich wizytach w domku na Przylądku Ostatniej Szansy. Powinam była sama jej o nich powiedzieć, i to już dawno. - Odetchnęła głęboko i parsknęła, co zapewne miało imitować śmiech. - Dzwonne. Nigdy nie uważałam się za tchórze, ale ostatnio zdałam sobie sprawę, że nim jestem. Nie w sensie fizycznym... Jestem tchórzem emocjonalnym. Boję się, że rozczaruję bliskich mi ludzi, że ich rozgniewam lub zranię. Nie znoszę pełnej napięcia atmosfery dezaprobaty i gniewu. Jednak unikając jej, w jakiś sposób zatracam świadomość tego, kim jestem i czego pragnę.

- Myślę, że większość ludzi woli żyć w spokoju - powiedział, wpatrując się w drogę.

- Możliwe, lecz strach o to, że zburzą czyjś spokój, nie decyduje o ich życiowych wyborach.

- Nie jesteś tchórzem - rzekł Lucas cicho. - W chęci uszczęśliwienia najbliższych nie ma nic złego. Po prostu nie można posuwać się za daleko.

Zerknęła na niego spod szerokiego ronda słomkowego kapełusza. Przesiane słońce rzucało na jej twarz ciepłe, złote plamki. Lekki powiew wiatru poruszał granatowymi wstążkami pod szyją. Lucas dostrzegł w oczach Jessie zakłopotanie i bolesny wyraz zrozumienia. Zaprzagnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć ale z przeciwka jechał właśnie rozklekotany wóz z rybami, więc jako służący i skazaniec utkwiał wzrok w drodze i tylko mocniej zacisnął dłonie na lejcach.

Zawiózł ją do krawcowej, a potem zostawił konia i bryczkę w stajni zajazdu i poszedł na spacer wzdłuż kamienistego wybrzeża. Owiewał go wiosenny wiatr, niosący woń soli, ryb i wielorybiego tranu z fabryki na południu miasta. Zmrużywszy oczy przed słońcem, patrzył na statki zakotwiczone w zatoce. Jak zwykle stały tam przybrzeżne jednostki oraz coś, co wyglądało na zniszczony przez sztormy amerykański statek wielorybiczny, który właśnie wpłynął do portu. Dalej widoczny był dwumasztowy szkuner, gotowy do wyjścia w morze. Na jego pokładzie roїło się od policji, z wentylatorów i iluminatorów unosił się biały dym.

Dawniej skazańcy uciekali na statkach odpływających z portów Tasmanii. Ukrywali się w beczkach na ser lub zawijali w zapasowe żagle, byle tylko zbiec z tego otoczonego wodą więzienia. Niestety, teraz wszystkie statki opuszczające port poddawane były szczegółowemu przeglądowi przez miejscową policję. Amerykańscy kapitanowie szczególnie nie znosili brytyjskich urzędników obsługujących beczki, kłujących bagnetami worki i beły i podkładających cuchnące siarkowe ładunki, ale nie mieli wyboru. Musieli się pogodzić z upokorzeniami albo odpłynąć i gdzie indziej szukać nabywców na swoje towary.

Policjanci właśnie opuszczali szkuner, zsuwając się po trapie

do czekających łodzi. Lucas zawrócił. Zobaczył, że z przeciwka idzie jakiś człowiek. Był to wysoki i chudy mężczyzna o typowej dla przybysza z Nowej Anglii podłużnej twarzy, okolonej jasnymi bokobrodami. Mimo ciepłego słońca miał na sobie marynarski płaszcz i rozszerzane spodnie z czarnej wełny, poplamione tranem. Poruszał się charakterystycznym, rozkołysanym krokiem.

- Lucas, chłopie! - zawołał i jego z gruba ciosaną twarz rozjaśnił uśmiech, ukazujący dwa złote zęby. - Na miłość boską, co robisz na tym końcu świata?

Jessie wyciągnęła się na wznak i podłożyła pod głowę zgięte ramię. Oddychała głośno i głęboko.

Leżeli obok siebie w ukrytej za wodospadem pieczarze. Piasek pod ich nagimi ciałami był miękki i chłodny. Szum spływającego wodospadu i uderzenia morskich fali o skałę u podnóża skarpy napełniały pieczarę wibrującą życiem muzyką natury.

Jessie leniwie przeturlała się na bok i uśmiechnęła łagodnie do leżącego obok mężczyzny. Miał zamknięte oczy. Niewiarygodnie długie rzęsy odcinały się na zbrązowiałych od słońca policzkach. W chwili odpoczynku sprawiał wrażenie młodszego i bardziej delikatnego. Patrzyła na zmarszczki pod oczami, na delikatnie wykrojone usta i poczuła, że w jej piersi wzbiera miłość, gorąca, bolesna i cudowna.

Piękno jego męskiego ciała wprawiało ją w zachwyt. Fascynowała ją siła twardych mięśni pod gładką skórą, proporcje torsu i kończyn. Podziwiała długie nogi z czerwonymi bliznami na kostkach. Na widok tych blizn poczuła nagły przypływ gniewu i strachu, jak zawsze, gdy przypomniła sobie, ile Lucas musiał wycierpieć.

I jak bardzo cierpi teraz.

Zobaczyła, że ma otwarte oczy i przygląda się jej.

- Co robisz? - zapytał z uśmiechem.

- Patrzę na ciebie.

Wyciągnął rękę, zanurzył dłoń w złocistych splątanych włosach i przyciągnął Jessie do siebie. Ze śmiechem opadła na jego pierś.

- I podoba ci się, to co widzisz? - zapytał zmysłowo.
- Mogłabym patrzeć na ciebie bez końca i nigdy nie miałabym dosyć - odparła poważnie.

Przymknąwszy powieki i Jessie poczuła nagły strach, że Lucas próbuje coś przed nią ukryć.

- Jessie... - odezwał się cicho i usiadł. - Muszę ci coś wyznać. - Splótł palce z jej palcami i uściśnął je niemal do bólu. - Spotkałem dziś po południu dawnego przyjaciela. Jest kapitanem statku wielorybniczego z Nantucket. Nazywa się Abraham Chase.

- Amerykanin? - spytała zaskoczona. - Skąd go znasz?
- Na chwilę poweselał.
- Nigdy nie pytaj Irlandczyka, skąd zna kapitana amerykańskiego statku.
- Postaram się zapamiętać - rzuciła lekkim tonem, choć jej serce wciąż ścisnął lęk. - A więc co twój kapitan Chase robi na Tasmanii o tej porze roku?
- Jakiś miesiąc temu, gdy wracali do domu, jego statek zniosło podczas burzy na zachód. Dobili do jakiejś bezludnej wyspy i zreperowali wszystko na tyle, by dopłynąć tutaj.
- Dobry Boże - wyszeptała. - Pomoże ci uciec.
- Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Milczał, lecz Jessie i tak znała odpowiedź.
- Jak? - spytała i wstrząsnęła nią dreszcz. Pragnęła, by odzyskać wolność, lecz myśl, że go utraci, przepełniała ją bólem.
- Da mi znać, gdy „Agnes Annę” będzie gotowa do drogi. Policja przeszuka statek, zanim wyruszy z portu, więc kapitan z morza wyśle po mnie łódź wiosłową, która zabierze mnie z Zatoczki Rozbitków lub może stąd.
- Jessie zwiesiła głowę, opadające włosy zakryły jej twarz. Słyszała krzyki mew, dochodzące znad morza, i ten znajomy dźwięk wydał jej się dziwnie nie na miejscu. Poczowała zawrót głowy.
- Kiedy? - spytała ochryple. - Kiedy jego statek będzie gotowy?
- Za trzy lub cztery tygodnie. Na początku przyszłego mie-

siąca. - Uniósł jej brodę i zajął w oczy. - Wiedziałaś. Wiedziałaś, że to się musi stać.

Czuła się tak, jakby ktoś położył jej na piersi ciężki kamień.

- Wiedziałałam. I chcę, żebyś był wolny. - Próbowała się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały. - Zależy mi na tym bardziej niż na tym, żebyś był ze mną. Ale trudno mi będzie się z tobą rozstać.

Wstała i powoli podeszła do wylotu pieczary. Unosząca się z wodospadu mgiełka chłodziła jej twarz. Powinna się czuć dziwnie, paradując przed nim nago, lecz nie wstydziła się.

- Po tym, co przeżyłam z tobą, nie mogę wrócić do dawnego życia - powiedziała, wpatrując się w spienioną wodę.

- Więc rozpocznij nowe życie.

Skinęła głową.

- Problem polega na tym, że chcę je dzielić z tobą.

- To niemożliwe.

- Wiem. Dokąd się udasz? - zapytała, wpatrując się w skałę.

- Do Ameryki. To wielki kraj, lepszy od wszystkiego, co świat dotychczas oglądał. Chcę tam być.

- Mogę pojechać do Ameryki. I odszukać cię.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Twoje życie jest tutaj - powiedział, przytulając policzek do jej włosów. - Wszystko, co kochasz, jest na tej wyspie. Tutaj jest twój dom. Nie zaznasz szczęścia nigdzie indziej - wyszeptał, a Jessie poczuła na skórze jego ciepły oddech.

Obróciła się w jego ramionach i spojrzała na ukochaną twarz, oświetloną refleksami promieni załamanych przez opadającą ze skarpy wodę.

- Myślisz, że mogę być szczęśliwa bez ciebie?

- Po pewnym czasie, na pewno.

Pokręciła głową.

- Mylisz się. Jakoś to przeżyję. Może nawet przydarzą mi się rzadkie chwile szczęścia, ale nigdy nie przestanę cię kochać i nigdy nie przestanę za tobą tęsknić.

Objął jej głowę. Jego naga pierś falowała. Spojrzał na Jessie oczyma pełnymi bólu.

- Zawsze będziesz ze mną - powiedział urywanym głosem i lekko musnął wargami jej usta. - Ponieważ zawsze będę cię nosił w sercu.

Następnego dnia wieczorem wychodząc z ostatniego boku po nakarmieniu i napojeniu wszystkich koni, Lucas natknął się na czyjaś pięść.

Uderzony, stracił równowagę i zatoczył się na drzwi boku wypuszczając z ręki wiadro, z którego posypały się resztki owsa. Wstał powoli i, ocierając krew z warg, spojrzał na stojącego naprzeciw mężczyznę.

Złociste światło, wpadające przez łukowate okna, rozświetlało jego anielskie włosy i arystokratyczne rysy, wykrzywione grymasem zimnej furii.

- Zamknijcie go na noc w magazynie na wełnę - powiedział Warrick Corbett, zwracając się do dwóch towarzyszących mu mężczyzn. - Rano wyślemy łajdaka do więzienia w Blackhaven.

33

w nocy wiał wiatr z Antarktydy. Dzikie podmuchy niosły lodowate powietrze i tłukły kroplami deszczu o szyby zamku. Gdyby to była zima, we wszystkich kominkach płonąłby ogień, lecz była wiosna, a w zamku przestawano palić pierwszego października i bez względu na pogodę, rozpalano na nowo dopiero pierwszego kwietnia.

Szykując się do kolacji, Jessie włożyła suknię z cienkiego mohairu, kilka dodatkowych halek i okryła ramiona kaszmirowym szalem. Szybko zbiegła po szerokich schodach do głównego salonu, gdzie członkowie rodziny zwykli zbierać się na kolację. Uczestniczenie w codziennych zajęciach wydawało jej się dziwne, gdy w środku... gdy jej dusza opłakiwała nadchodzącą nieuniknioną rozłąkę, ale tak właśnie toczyło się życie w jej świecie: każdy skrzętnie ukrywał przed innymi prawdziwe uczucia i myśli. Ukrywał, ukrywał i ukrywał, aż wreszcie zupełnie je tracił i stawał się cieniem tego człowieka, jakim był niegdyś.

W panującym chłódzie Jessie poruszała się szybciej niż zazwyczaj, więc zeszła do salonu przed czasem, zdziwiła się więc, gdy zastała w nim brata i matkę. Beatrice siedziała na wysokim krześle, zajmując się haftowaniem. Warrick przycupnął koło stolika z alkoholami z nieodłączną szklaneczką brandy.

Przytłoczona atmosferą panującą w pokoju, Jessie przystanęła na progu.

- Co się stało? - zapytała, spoglądając na brata i matkę, a potem znów na brata.

Warrick unikał jej wzroku.

- Nie będę w tym uczestniczył - powiedział i szybko dopił resztkę brandy, po czym głośno odstawił szklaneczkę na srebrną tacę i wyszedł z salonu, a po chwili również z domu, głośno trzaskając drzwiami wejściowymi.

- Mamo? - Jessie nie spuszczała oczu z matki, siedzącej na krześle obok wygasłego kominka.

Beatrice siedziała nieruchomo, sztywna i opanowana; poruszały się tylko jej palce trzymające igłę.

- Dałam życie trzem córkom - powiedziała, głosem zimnym i bezlitosnym, nie odrywając wzroku od robótki. - Trzem. A Bóg pozostawił mi tylko ciebie.

Jessie westchnęła boleśnie. Beatrice wypowiadała podobne słowa już wcześniej, ale tylko raz zabrzmiały równie krzywdząco i obraźliwie.

- Mam cię przeproszać za to, że Bóg zachował mnie przy życiu?

Koścista dłoń Beatrice zastygła w powietrzu. Jej twarz wykrzywiła z trudem powściągana wściekłość.

- Kazałam cię śledzić, Jesmondo. Od trzech dni jesteś śledzona.

- Śledzona? - powtórzyła dziewczyna z niedowierzaniem, starając się zrozumieć znaczenie słów matki i przypominając sobie zdarzenia ostatnich trzech dni. Wizyta u krawcowej w Blackhaven Bay. Chwile słodkiej intymności w pieczarze nad morzem, dzięki Bogu zamaskowanej przez wodospad. Jednak tak długi pobyt w jaskini był obciążający sam w sobie. Był jeszcze ukradkowy pocałunek na plaży, szybkie muśnięcie warg, które ktoś śledzący ją łatwo mógł zauważyć.

- Odkąd przyszałaś na świat - ciągnęła Beatrice tym samym lodowatym głosem - sprawiałaś mi same kłopoty. Zawsze. Ale nic... nic nie może się równać z tym... wstydem i upokorzeniem. Beatrice ze wstrętem skrzywiła nos i zacisnęła usta. - Skazaniec Jesmondo? Irlandzki skazaniec? Czyś ty straciła rozum? Nie

mogłaś sobie znaleźć bardziej skandalicznego sposobu zrujnowania własnej przyszłości i przyszłości całej rodziny. Naprawdę obie wyobrazasz, że jesteś zakochana w tym łajdaku?

- Kocham go - powiedziała Jessie spokojnie, chociaż z trudem opanowała mdłości.

- Dobry Boże. I wyobrazasz sobie, że to usprawiedliwia twoje zachowanie?

Dziewczyna poprawiła szal na ramionach i dumnie podniosła głowę.

- Nie wstydzę się tego, co zrobiłam.

Beatrice wpatrywała się w córkę. Jej oczy pełne były pogardy i wstrętu.

- Właśnie widzę. Jesteś równie bezwstydną, jak Genowefa. Jessie podeszła do drzwi balkonowych i spojrzała na ciemniejący ogród i podwórze.

- Gdzie jest Lucas? - zapytała, patrząc na barak. Czuła, że jej serce skuwa gruba warstwa lodu. - Co z nim zrobiłaś?

- Jeżeli pytasz o tego nikczemnego Irlandczyka, to twój brat kazał go zamknąć w magazynie na wełnę. Jutro o brzasku zostanie odstawiony do więzienia w Blackhaven.

Jessie obróciła się w stronę matki.

- Do więzienia? Ale... przecież on nic złego nie zrobił.

- Nic? - Beatrice odłożyła robótkę i wstała, przybrawszy złośliwy wyraz twarzy. Jej czarna żałobna suknia zaszeleściła złowrogo. - Nic? - Zmrużyła oczy. - Powiedz mi prawdę. Spodziewasz się dziecka?

- Nie.

- Jesteś pewna?

Jessie pokręciła głową i z trudem przełknęła ślinę.

- Co mu zrobisz?

- To zależy od ciebie.

- Ode mnie?

- Gdy nadejdzie grudzień, poślubisz Harrisona. Tak jak było zaplanowane.

Pokój zawirował wokół Jessie, gdy zrozumiała, do czego Zmierza matka.

- Nie.
 - Poślubisz Harrisona Tate'a - powtórzyła Beatrice - albo ten irlandzki wyrzutek, twój kochanek, zawiśnie za morderstwo
 - Za morderstwo? - Przez szpary wokół drzwi balkonowych wdarł się świszczący podmuch lodowatego wiatru; zadźwięczały szyby, zatańczyły płomienie świec w kinkietach. - Jakie morderstwo?

- Jeden z mężczyzn zamieszanych w próbę ucieczki zezna że Lucas Gallagher zamordował Johna Pike'a.
 - Kłamie. Człowiek, który zabił kowala, już także nie żyje
 - Oczywiście, że kłamie. Ale to nie ma znaczenia. Irlandczyk i tak zawiśnie na stryczku.

Po tych słowach zapadło milczenie. Jessie słyszała tykanie zegara nad kominkiem i wycie wiatru na zewnątrz. Poczuła, że narasta w niej wściekłość, wściekłość tak wielka, że nie pozostawiała miejsca na strach.

- A jeśli się zgodzę? Jeżeli wyjdę za Harrisona, co się stanie z Gallagherem?

- Do czasu ślubu pozostanie w więzieniu w Blackhaven Bay. A potem zostanie odesłany do Hobart.

- Zrobiłabyś coś takiego? Zgodziłabyś się na powieszenie niewinnego człowieka?

Spoglądały na siebie z gniewem. Płomienie świec migotały w lodowatym powietrzu.

- Jeżeli mnie do tego zmusisz - powiedziała Jessie dziwnie spokojnym tonem - Lucasowi nic już nie będzie zagrażać, ale ja nigdy więcej na ciebie nie spojrzę.

- Owszem, spojrzysz. Bo w swoim czasie sama zrozumiesz, że miałam rację. - Beatrice wyprostowała plecy i dumnie uniosła głowę. - Jestem gotowa na wszystko, byle tylko ratować reputację rodziny, Jesmondo. Na wszystko. Nigdy o tym nie zapominaj.

Jessie wstała z łóżka bladym świtem i podeszła do okien, by rozsunąć zasłony i otworzyć okiennice. W ciągu nocy wiatr zelżał, lecz nad doliną wciąż zalegała gruba warstwa szarych chmur.

Dziewczyna westchnęła i oparła czoło o lodowatą szybę. Z przyjemnością poczuła zimno, bo w nocy nie czuła w ogóle nic.

Nie powiedziała matce, że poślubi Harrisona, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Zdawała sobie sprawę, że to, co się stało, nie stanowi wystarczającego powodu, by wyjść za niego za męża. Na nic się nie zdawało obwinianie za to matki. Jessie wiedziała, że sama dokonuje wyboru, przedkładając życie i wolność Lucasa Gallaghera ponad przyszłe szczęście Harrisona, swój honor i uczciwość.

Kiedyś powiedziałyby sobie, że skoro Harrison ją kocha, to boleśnie by go zraniła, odwołując ślub, ale już nauczyła się uczciwości w stosunku do siebie i do innych ludzi i wiedziała, że poślubiając Harrisona, pozwalając, by sądził, że idzie z nim do ołtarza wiedziona prawdziwym uczuciem, skazuje się na życie w kłamstwie do końca swoich dni. Oczywiście, starałaby się być dla niego dobrą żoną, naprawdę by się starała, lecz zdawała sobie sprawę, że nigdy nie da mu tego, czego od niej oczekuje, bo jej serce i dusza należą i zawsze będą należały do innego mężczyzny.

- Lucas - szepnęła, zaciskając powieki, by powstrzymać łzy. Czuła w sercu bolesny ucisk. Wiedziała, że i tak nigdy z nim nie będzie, ale wcale nie kołoiło to jej bólu.

Otworzyła oczy i przetarła dłonią zamgloną szybę. Wkrótce przewiozą go do Blackhaven Bay. Zastanawiała się nad tym, czy nie udałoby się zobaczyć Lucasa, zanim go zabiorą, ale wiedziała, że Warrick wydał ludziom polecenie, by nie dopuszczali jej do magazynu na wełnę. Strażnicy w więzieniu będą łatwiejsi do przekupienia. Jeżeli Beatrice umiała kupić sobie ludzi, aby zniszczyć Gallaghera, Jessie opłaci ludzi, którzy pozwolą jej się z nim zobaczyć.

A inni pomogą jej obmyślić i zrealizować plan ucieczki.

Na początku umieścili go w pojedynczej celi wielkości trumny.

Nie było tam światła ani ogrzewania, ale pozwolili mu za-

trzymać ubranie. Zazwyczaj zabierali je więźniom. Raz dziennie podawano mu chleb i wodę. Pozbawieni światła, dźwięków ludzkiego towarzystwa, godności i ogrzewania, ludzie często tracili rozum. Zamknawszy oczy, Lucas słyszał dochodzące zza grubych murów wrzaski tych nieszczęśników, starał się więc nie zamykać oczu.

Uwięziony w całkowitym odosobnieniu, miał wiele czasu na rozmyślanie, które budziły w nim wściekłość i ból. Po raz pierwszy od czasu skazania pragnął, by w jego umyśle powstała całkowita pustka, ale rzadko mu się to udawało.

Po kilku dniach zabrali go stamtąd i, mrużącgo oczy, wyprowadzili na światło. Dali mu inną, większą, celę, mniej więcej trzy metry kwadratowe. Znajdowało się w niej małe zakratowane okienko, usytuowane tuż pod sufitem, oraz pięciu innych więźniów.

- Od niektórych ludzi trudno się jest uwolnić - odezwał się znajomy głos. - Prawda?

Lucas obejrzał się i zobaczył uśmiechnięte oczy Lisa.

Przychodzi mi to z trudem, ale muszę przyznać, że miałeś rację - powiedział Lis, gdy spacerowali wokół małego więziennego podwórza. Lis wciąż był osłabiony po ranie, którą odniósł, i wspierał się na ramieniu Lucasa. Poza tym niewiele się zmienił. - Nie powinniśmy byli uciekać.

Lucas wzruszył ramionami.

- Mogło się udać.

Więzienie mieściło się w kwadratowym budynku. W środku usytuowane było podwórze. Kuchnia i cele dla więźniów mieściły się po jego trzech stronach. Czwartą zajmowały biura. Wybieg dla więźniów znajdował się w południowo-wschodnim rogu podwórza. Otaczające go mury, zbudowane z bloków piaskowca, były grube, lecz niewysokie. Pewnie ze trzy metry, jak ocenił Lucas.

- Dlaczego to zrobił? - zapytał, odwracając wzrok od splamionego krwią trójkąta służącego do chłosty. - Dlaczego Daniel zabił Pike'a?

Lis wzruszył ramionami.

- Pike doniósł na nas. Jeden z chłopaków to potwierdził. Daniel zabił go z zemsty.

- I co się z nim stało?

- Z Danielem? Został postrzelony w szczękę. Prosił mnie, żebym go dobił, co uczyniłem. Nie przeżyłby, a straszliwie cierpiał. Ale i tak bym go zabił. Ustaliliśmy to już przedtem.

Lucas skinął głową. Stary tasmański zwyczaj: dwaj skazańcy ciągną zapałki o to, który zostanie zamordowany, a który za to zawiśnie. Śmierć była jedyną drogą ucieczki przed brytyjskim systemem karnym. A większość więźniów bała się tego, co mściwy Bóg może zrobić z samobójcą.

- A pozostali?

- Dwaj zginęli, walcząc do ostatka. Bailey uszedł cało, a ten nowy chłopak, Sheen, stracił rękę. Są w sąsiedniej celi. Czasami ich widuję.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu. W końcu odezwał się Lucas:

- Kiedy cię odeślą do Hobart? - Wszystkie poważne sprawy sądzono w Hobart.

Lis zmrużył oczy przed słońcem.

- W przyszłym miesiącu.

Dwa dni później w łagodny, lecz pochmurny poranek, wracając z pastwiska, Warrick spostrzegł idącą ku niemu przez podwórze pannę Philippę Tate.

Miała na sobie wiśniową pelisę i dobrany kolorem czepek o szerokim rondzie, który doskonale harmonizował z jej ciemnymi lokami i ładną okrągłą buzią. Policzki miała nienaturalnie zaczerwienione, a zazwyczaj łagodne oczy były gniewnie zmrużone.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała bez wstępów, przystając naprzeciw Warricka. - Jak mogłeś coś takiego zrobić?

- Co zrobiłem? - spytał zaskoczony.

- Aresztowałeś Irlandczyka. Stajennego Jessie.

- Gallaghery? Był zamieszany w morderstwo mego kowala Warrick przyjrzał się zaczerwienionym policzkom Philippy i w jego umyśle zakiełkowało podejrzenie. Czyżby ten cholerny Irlandczyk... Warrick szybko przybliżył się do Philippy. - Kim on jest dla ciebie?

- Dla mnie nikim, ale Jessie jest moją przyjaciółką, a wiem, że nie aresztowałeś go za to, co się stało z kowalem.

Warrick znieruchomiał.

- Co Jessie ci powiedziała?

Philippa prychnęła gniewnie.

- Myślisz, że mi coś powiedziała? Siostrze Harrisona? Nic mi nie mówiła. Nie musiała. Miała to wypisane na twarzy, zawsze gdy na niego patrzyła.

- Ja nic nie zauważyłem - powiedział głosem ochryłym z oburzenia.

Spojrzał na Philippę. Wiatr poruszał rondem jej czepka. Wyglądała zaskakująco dojrzałe i nie sprawiała wrażenia zakłopotanej swoim wybuchem. Poczul podziw coś jeszcze, coś, co mogło być żalem. Zawsze byli sobie bardzo bliscy, ale ostatnio spostrzegł, że Philippa jakoś mu się wymyka. A wcale tego nie chciał.

- Nic dziwnego - rzekła i uśmiechnęła się z przekąsem.

Podparł się pod boki, odchylił głowę do tyłu i rozstawił nogi, świadomie przybierając arogancką pozę.

- A to dlaczego?

Spojrzała na niego, on dostrzegł w jej oczach coś, co można by uznać za szyderstwo.

- Bo nigdy nie kochałeś nikogo prócz siebie.

- Cholera jasna. A niby kogo ty kochasz?

- Ciebie.

Roześmiał się szorstko.

- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę?

Zbladła, jakby z jej twarzy odpłynęła cała krew. Spojrzała na Warricka pociemniałymi oczyma.

- Nie. Gdyby tak było, nic bym ci nie powiedziała.

Chciała go wyminąć, lecz chwycił ją za ramię.

_ Wydawało mi się, że ty pierwsza powinnaś mi podziękować, że pozbyłem się tego cholernego Irlandczyka. W końcu to twego brata ma poślubić Jessie.

Popatrzyła na niego, a potem przeniosła wzrok na jego palce, zaciśnięte na bufiastym rękawie jej pelisy. Wydawało mu się, że czuje jej puls.

- Nie sądzę, by Jessie powinna wyjść za Harrisona.

- Nie? A dlaczego? - zapytał obcesowo, pochylając się nad Philippą.

Westchnęła głęboko i jej pełne, wysoko osadzone piersi lekko zafalowały.

- Ponieważ on nie jest mężczyzną, jakiego twoja siostra potrzebuje, a ona nie wie, jak sobie z nim radzić. Zniszczyłyby ją. Zniszczyłyby się nawzajem.

Warrick znów się roześmiał, choć nawet w jego uszach ów śmiech zabrzmiał nienaturalnie.

- Nie wiedziałem, że masz takie zamiłowanie do melodramatów.

- Bo ty w ogóle mnie nie znasz - odparła i szarpnęła się, a on tym razem pozwolił jej odejść.

34

Stary Tom z trudem powrócił do pracy w stajni. Miał wprawdzie do pomocy innych ludzi i Charliego, lecz bez Gallaghery ta praca była dla niego zbyt ciężka.

Gdy Jessie w deszczowe popołudnie przysłała do stajni, był sam i akurat wyczesywał Lucka Finnegana. Zobaczywszy, że odesłał Charliego na południowy padok po kasztanową klacz, weszła przez otwarte na oścież wrota i przystanęła obok zamkniętych niewielkich drzwi, skąd mogła widzieć, czy ktoś nie podsłuchuje ich rozmowy.

- Dziewczyno, taka pogoda nie nadaje się na konną przejażdżkę - powiedział Tom, pochylony nad końskim kopytem.

- Nie chcę jeździć. Przyszłam z tobą porozmawiać.

Musiał coś dostrzec w jej twarzy, bo opuścił nogę konia i wyprostował się, ocierając dłonie o skórzany fartuch.

- Dobrze, porozmawiajmy.

Nie bardzo wiedziała, jak zacząć. Otoczyła ją dobrze znana woń mydła, skóry i siana, przywołując na myśl słodko-gorzkie wspomnienia i napawając bezbrzeżnym smutkiem.

- Tom, potrzebuję twojej pomocy. - Spojrzała na jego ogorzałą twarz i posiwiatłe bokobrody. - Wiem, że nie powinnam zwracać się do ciebie, ale myślałam o tym wiele razy i nie widzę sposobu, w jaki mogłabym sobie z tym poradzić w pojedynkę.

Na dworze rozpadało się jeszcze bardziej, wielkie krople

bębniły o ubitą ziemię i napełniały powietrze wonią rozmokłej gleby. Tom wyrżał na podwórze, a potem popatrzył na Jessie.

- Czego ty chcesz, dziewczyno?

- Wyciągnąć Gallaghery z więzienia w Blackhaven i wsadzić go na amerykański statek wielorybiczny, płynący do Nantucket.

W jego zażawionych brązowych oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Tylko tyle, nic więcej?

Poczuła, że się uśmiecha, choć jeszcze przed chwilą przysięgała, że już nigdy się nie uśmiechnie.

- Tylko tyle.

Stary Tom sięgnął po zgrzebło i zabrał się za czesanie kłębów konia.

- I kiedy to się ma stać?

- Gdy "Agnes Annę" będzie gotowa do drogi. Lucas mówił, że to będzie pod koniec miesiąca, ale muszę porozmawiać z kapitanem, żeby się upewnić.

- Ja także chcę pomóc - odezwał się Charlie, który niespodziewanie pojawił się we wrotach.

Jessie obejrzała się gwałtownie i serce skoczyło jej do gardła. Chłopak pewnie tylko udawał, że biegnie na padok, a potem podkradł się do drzwi i podsłuchiwał. Teraz stał naprzeciw Jessie, przyciskając do boków opuszczone ręce z zaciśniętymi pięściami. Jego piegowata twarz pobladała z przejęcia.

Wyciągnęła ku niemu drżącą rękę i oparła dłoń na ramieniu chłopca.

- Charlie, jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie mogę cię narażać na karę.

- Nic mi nie zrobią, jeżeli ja także ucieknę do Ameryki - powiedział hardo, patrząc na Jessie twardym wzrokiem dorosłego mężczyzny. Chłopcy w jego wieku nie miewają takich oczu.

- Nie. To zbyt niebezpieczne. - Pokręciła głową. - Mogą cię schwytać, a nawet zabić.

Stary Tom parsknął, słysząc te słowa.

- A tutaj, na Tasmanii, czeka go wspaniała przyszłość, prawda?

Moim zdaniem, jeżeli chłopak chce zaryzykować, nie powinnaś go zatrzymywać. To jego życie.

Jessie spojrzała na starego człowieka i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Tom, oczywiście, masz rację. - Zwróciła się do Charliego: Chętnie skorzystam z twojej pomocy. Myślę, że będzie nam potrzebna.

Później, gdy wychodziła ze stajni, położyła dłoń na ramieniu Starego Toma i zapytała:

- Co znaczy: *mo chridh*?

Spojrzał na nią swymi smutnymi, pełnymi mądrości oczyma

- *Mo chridh!* Znaczący tyle, co moja ukochana dziewczyno moja miłości.

Powinieneś znaleźć kogoś bardziej kompetentnego do pomocy Staremu Tomowi - powiedziała Jessie bratu następnego dnia, gdy jechali do Blackhaven Bay turkoczając bryczką. Ranek był przejmująco chłodny, lecz bezchmurny. Słońce odbijało się w błękitnych wodach zatoki, ale Jessie widziała jedynie wznoszące się jak forteca grube, kamienne mury więzienia.

Warrick spojrzał na nią i jego doskonale piękne rysy wykrzywił chłopięcy wyraz przekory.

- Miałem kogoś. Najlepszego znawcę koni. Dopóki ty nie posłużyłaś się nim do czegoś całkiem innego. - Uderzył lejcami zad jabłkowitz klaczy, zachęcając ją do jeszcze szybszego biegu. - Powiem ci coś, Jessie. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek wykręcisz Harrisonowi taki numer.

Przyglądał się siostrze, która przytrzymywała czepek, podczas gdy bryczka, podskakując na wybojach, toczyła się w dół stromego zbocza. Warrick zawsze lubił niebezpieczną prędkość.

- Ja się nie posłużyłam Lucasem Gallagherem, Warricku. Ja go kocham.

- Skazańca, Jess? Cholernego irlandzkiego przestępcę?

- Mój Boże - odparła, spoglądając na brata z niesmakiem. -

Mówisz zupełnie jak matka. Nie wiedziałam, że jesteś takim snobem.

Na policzki Warricka wystąpił rumieniec.

- Nie jestem snobem - rzekł zakłopotany.

- Ale mówisz tak, jakbyś nim był. Och, Warricku... - Dotknęła ramienia brata. - Myślałam, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz moje wątpliwości co do ślubu z Harrisonem.

Milczał, zacisnąwszy wargi, ale rumieniec na jego twarzy stał się mocniejszy.

Wjeżdżali na peryferie miasta. Jessie spostrzegła stojące na kotwicy trzy lub cztery żaglowce i jeden mniejszy statek, należący do brytyjskiej floty przybrzeżnej. Dokładnie obejrzała kołyszące się kadłuby oraz wysokie maszty i odnalazła „Agnes Annę”.

- Jess, czasami przyjaźń może się pogłębić - powiedział Warrick niespodziewanie. - Nawet jeżeli się tego nie spodziewasz.

Spojrzała na brata ze zdziwieniem.

- Ta przyjaźń się nie pogłębi.

- To dlaczego wychodzisz za mąż w przyszłym miesiącu? - zapytał, zatrzymując konia i bryczkę przed stajnią zajazdu. Jessie tylko pokręciła głową. - Nie puszcę cię do więzienia - dodał - jeżeli to miałaś na myśli, zabierając się ze mną do miasta.

- Oczywiście. Wiem - odparła z wymuszoną beztróską, wysiadając z bryczki bez pomocy brata. - Chcę tylko wstąpić do krawcowej i może przejdę się wzdłuż zatoki. Spotkamy się tutaj, powiedzmy, za dwie godziny.

Jessie siedziała na kamiennym murze naprzeciw plaży i patrzyła na wysokiego marynarza o jasnych bokobrodach, który szedł ku niej, spoglądając przed siebie z charakterystyczną dla Amerykanów otwartością.

Nie podszedł wprost do niej, lecz zatrzymał się w pewnej Oległości i spojrzał na niewyraźną linię horyzontu, gdzie niebieskie morze stykało się z błękitem nieba.

- Powiedziano mi, że chce się pani ze mną zobaczyć.

- Nie baw się ze mną w salonowe gierki, panno Philippo. wzorze doskonałości. - Wymierzył w nią palec wskazujący. - Dobrze wiesz, że tak powiedziałaś.

- Byłam rozgniewana.

Sądził, że będzie się wypierała, czym utrudniłaby mu następne pytanie. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ważna była dla niego jej odpowiedź. Zawsze traktował sympatię Philippe jak coś, co mu się należy, i nie zauważał, jak bardzo jej potrzebuje

- Mówiłaś poważnie?

Uniosła brodę, a Warrick wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź.

- Tak.

- Od jak dawna? Od jak dawna mnie kochasz? - Westchnął boleśnie.

Cichutko parsknęła śmiechem.

- Nie pamiętam, bym cię kiedyś nie kochała.

- To była dziecięca miłość - zauważył, ostrożnie do niej podchodząc.

- Dopóki byłam dzieckiem. Ale wyrosłam z dzieciństwa.

- Tak. Wyrosłaś. - Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ciemnych włosów, które opadały na piersi, lecz widząc, że palce mu drżą, zakłopotany opuścił rękę. - Chcesz powiedzieć, że nawet gdy byłaś zaręczona z Cecilem i Reidem, kochałaś tylko mnie?

- Tak. - Patrzyła na niego spokojnie i pewnie.

- Gdyby Cecil nie umarł, poślubiłabyś go, chociaż kochałaś mnie?

- Mówiłam ci, że jestem konformistką. - Wyminęła Warricka i podeszła do zamkniętego okna. - A zresztą wtedy interesowała cię wyłącznie morze, pamiętasz?

- Mówisz tak, jakbyś była zazdrosna.

- O morze? - spytała, rozsuwając zasłony i spoglądając na oblane księżycową poświatą ogrody. Jej delikatnie wyrzeźbione rysy odcinały się na tle bladego niebieskawego światła. - Bo byłam o nie zazdrosna.

- Kilka dni temu powiedziałaś mi, że powinienem powrócić do żeglarstwa.

- I powrócisz? - Odwróciła się do niego.

- Możliwe. - Warrick podszedł do niej tak blisko, że widział pulsującą u podstawy jej szyi tętnicę. - Jak bardzo mnie kochasz? - zapytał.

Przechyliła głowę i przyglądała mu się. Jej długie włosy ciemniały na tle białej koszuli.

- Wystarczająco, by ci się oddać - powiedziała ochrypłym głosem. - Zaraz, jeżeli tego zechcesz.

- Sądzę, że nietrudno składać taką propozycję, wiedząc, że nigdy z niej nie skorzystam. - Starał się, by te słowa zabrzmiały beztrąsko.

Patrząc mu prosto w oczy, zacisnęła dłonie na obszernej lnianej koszuli. Płynnym ruchem zadarła ją, ściągnęła przez głowę i odrzuciła na dywan. Sącząca się przez okno poświata oblała jej nagie ciało, delikatne i tak piękne, że Warrick doznał uczucia bólu. Philippa była drobniejsza i bardziej pulchna od Faine. I biała, bardzo biała, bo nigdy nie wystawiała się nago na promienie słońca. Jej piersi unosiły się i opadały wraz z oddechem. Wielkie ciemne oczy lśniły w bladej twarzy.

Powoli wyciągnął rękę i pogłaskał grzbietem dłoni policzek Philippy. Zsunął palce po smukłej szyi aż do piersi. Przez chwilę gładził kraglę wypukłość, wreszcie przesunął rękę niżej. Myślał, że dziewczyna skurczy się z obrzydzenia i strachu, ale nie. Westchnęła z zachwytem i Warrick zrozumiał, że mówiła prawdę. Że kocha go i pożąda.

Opanował się z trudem i odsunął rękę. Cofnął się o krok i szybko podniósł nocną koszulę, bielejącą na dywanie jak symbol nieskalanej cnoty. Podał ją Philippie.

- Nie pragniesz mnie - szepnęła rozczarowana, odbierając koszulę.

Warrick musnął palcami jej pełne wargi i poczuł, że drżą.

- Pragnę cię. Uwierz mi, Philippo, pragnę cię. Ale nie chcę tego robić w taki sposób. Nie tu i nie teraz.

Uśmiechnęła się czule, a po chwili ona także się uśmiechnęła. Warrick zagłębił palce w jej włosach, przyciągnął ją i pocałował.

35

Harrison popędzał kasztanowego wałacha, który mknął w stronę zamku. Z trudem panował nad niecierpliwością. Nie widział Jesmondy od miesiąca, a przedtem czekał na nią ponad dwa lata. Był niespokojny i stęskniony. Niebawem, uspokajał się, już niedługo, będzie moja. Kiedy o tym myślał, jego oddech stawał się szybszy, a krew zaczynała żywiej pulsować w żyłach. Ta trudna do poskromienia żądza przerażała go i napawała lekkim obrzydzeniem.

I wtedy ją spostrzegł. Wysoką, smukłą, długonogą kobietę, idącą przez park owym charakterystycznym, niemal męskim krokiem pewnej siebie osoby. Tego sposobu chodzenia nigdy nie lubił. Musiała wracać ze spaceru i właśnie kierowała się na podjazd przed domem. Dzień był chłodny, szary i pochmurny, typowy u schyłku wiosny. Nad gałęziami drzew unosiła się leciutka mgiełka. Jessie miała na sobie granatową pelerynę ze złotym obramowaniem i granatowy czepek z szerokim rondem. Twarz miała bladą i szczuplejszą, niż zapamiętał, i tak piękną, że od samego patrzenia czuł ból.

- Jesmondo - przemówił, zatrzymując kasztanka i zsuwając się z siodła. Nie chwycił jej w ramiona, ponieważ takie demonstracyjne zachowanie nie było właściwe, a Harrison pozostawał nieskończenie poprawny, nawet gdy był targany pożądaniem. Ujął tylko obie jej ręce, uściśnił je mocno i uniósł do ust. Cienkie rękawiczki z kozłej skórki były gładkie i chłodne pod jego rozpalonymi wargami.

- Harrisonie - rzekła. - Witaj w domu.

Uśmiechnęła się niepewnie i odniósł wrażenie, że w jej oczach zabłyśły łzy. Zaskoczyło go to, ponieważ Jesmonda rzadko płakała, nawet jako dziecko, ale gdy po chwili, trzymając się za ręce, zmierzali razem w stronę domu, uznał, że musiał się pomylić. Nie widzieli się od miesiąca, a ona wydawała się taka obca, jakby myślami przebywała gdzieś bardzo daleko. Wprawdzie nigdy przedtem zbytnio za nim nie tęskniła, ale teraz, gdy patrzył na jej bladą twarz, pierwszy raz w życiu przyszło mu do głowy, że Jesmonda nigdy go nie potrzebowała, przynajmniej nie w taki sposób, jak pragnął. Czasami wydawało mu się, że bardziej niż jego potrzebuje spacerów wzdłuż oceanu, dzikich przejażdżek konnych po okolicy oraz wysoce niekobiecego dążenia do wiedzy.

Ta myśl była tak niepokojąca, że czym prędzej wyrzucił ją z głowy.

Wieczorem Jessie podeszła do szafy i wyjęła białą jedwabną suknię, haftowaną w białe pączki róż. Miała to być jej suknia ślubna. Kazała ją uszyć, zgodnie z instrukcją matki, jeszcze przed wyjazdem do Londynu, w czasach, które teraz wydawały jej się inną epoką.

Ułożyła suknię na łóżku i pogładziła gładki jedwab i koronkowe przybranie. Kiedyś odczuwała dzieciinną przyjemność, przymierzając suknię, którą miała włożyć w dniu swego ślubu. Teraz ta radość minęła, pojawił się natomiast smutek, zabarwiony poczuciem winy. To, co razem z matką miała zrobić Harrisonowi, było podłe.

Harrison w ogóle się nie zmienił. Nadal był godny szacunku, a jednocześnie zabawny i lekko nudnawy. On się nie zmienił, ale Jessie się zmieniła. A może po prostu zaczęła lepiej rozumieć swoje potrzeby.

Przyłożyła suknię do siebie, wtuliła twarz w jedwabne fałdy i rozpłakała się. Płakała jednak nie nad Harrisonem, tylko nad dumnym irlandzkim skazańcem, zamkniętym za grubymi murami więzienia w Blackhaven.

Szkoda że mi nie powiedziałaś - mówiła Jessie, idąc za Genowefą wzdłuż zalanej przypływem płazy w Zatoczce Rozbitków. Rozbryzgujące się o brzeg fale huczały donośnie. Mokry piach był zbity i twardy. Nad ich głowami, na szarym niebie pokrzykiwały mewy. Deszcz ustał niedawno, ale powietrze wciąż było chłodne, a fale wysokie i spienione. Pogoda harmonizowała z nastrojem Jessie: morze było ciemne, ponure i groźne.

- Złożyłam twojej matce obietnicę. - Genowefa przytrzymała pasma siwych włosów, które wiatr zwiewał jej na twarz. - Mnie za to winisz?

- Nie - odparła Jessie z uśmiechem. - Rozumiem cię. I cieszę się, że poznałam prawdę.

Była to jej pierwsza wizyta w Zatoczce Rozbitków po tym, jak dowiedziała się, że Genowefa jest jej ciotką. Od tamtej pory zdarzyło się tak wiele i tak bardzo pragnęła jej o tym opowiedzieć, a uważała, że nie wolno jej tego robić. I tak załowała, że musiała w to wciągnąć Starego Toma i Charliego.

- Słyszałam, że Harrison już wrócił - odezwała się nagle Genowefa.

- Tak.

- Ludzie w mieście powiadają, że wychodzisz za niego za męża.

- To prawda.

Genowefa przystanąła, położyła dłoń na ramieniu siostrzenicy i odwróciła ją twarzą do siebie.

- Dlaczego, Jessie? - zapytała. - Wydawało mi się, że chciałaś odwołać zaręczyny.

Dziewczyna westchnęła głęboko, podniosła głowę i popatrzyła na niespokojne mewy.

- Lucas jest w więzieniu i czeka na odesłanie do Hobart.

- Och... Nakryli was?

Jessie pokręciła głową i odwróciła się, by ciotka nie zobaczyła, że kłamie.

- Myślisz, że matka pozostawiłaby go przy życiu, gdyby się

o nas dowiedziała? - Wpatrzona w spienione fale, czuła w piersi nieustający ból. - Genowefo, chcę cię prosić, żebyś była tego dnia przy mnie i żebyś mi pomogła ubrać się w suknię ślubną.

- Z przyjemnością. Dobrze wiesz, że możesz na mnie liczyć, ale twoja matka...

- Jej tam nie będzie. Ślub ma się odbyć w kościele Świętego Antoniego.

- Tak? Przecież ceremonia miała być w głębi łąd.

- Tak było zaplanowane, lecz ja zmieniłam plany.

- Dziwię się, że Beatrice się na to zgodziła.

Jessie rozejrzała się.

- Uparłam się - oznajmiła z dumą.

Beatrice rzeczywiście nie była zadowolona, ale w końcu dała za wygraną. Najważniejsze przecież było to, żeby córka wyszła za męża, i to szybko.

- A Harrison? - cicho spytała Genowefa. - Czy on wie, że mnie o to prosisz?

- Jeszcze nie, ale nawet jeżeli nie zgodzi się, żebyś była na ślubie, chcę, abyś tam poszła ze mną wcześniej.

Genowefa bacznie przyjrzała się siostrzenicy.

- Coś przede mną ukrywasz.

Jessie chwyciła rękę przyjaciółki... rękę ciotki i ucisnęła ją mocno.

- Nie pytaj, proszę. Po prostu pomóż mi się z tym uporać.

Genowefa patrzyła na siostrzenicę z napięciem i niepokojem.

- Dobrze, zrobię to dla ciebie. Skoro tego pragniesz...

- Tak. Tego właśnie pragnę.

Dwa dni później Jessie pojechała do Blackhaven Bay ze Starym Tomem i Charliem. Podczas gdy chłopiec spacerował wokół więzienia, oglądając mury z piaskowca i najbliższą okolicę, Jesmonda toczyła boje o to, by zobaczyć się ze służącym swego brata, Lucasem Gallagherem.

Pomieszczenie, w którym czekała, było chłodne, nisko skle-

pione, z małym zakratowanym okienkiem i kamienną posadzką. Mimo otwartego okna powietrze było gęste od więziennych woni: odoru niemytych ciał, zmieszanego z przytłaczającą atmosferą rozpacz i beznadziei.

Jessie stała pośrodku pomieszczenia, zaciskając pięści. Niepokojnie nasłuchiwała odgłosów otwierania ciężkich drzwi wiodących na podwórze, i stukotu grubych buciorów na kamienną podłodze. Przyszła tutaj dopiero pierwszy raz, ponieważ obawiała się, że gdyby odwiedziła Lucasa wcześniej, matka mogłaby zapobiec dalszym wizytom. Teraz „Agnes Ann” była gotowa do drogi, więc przyszła opowiedzieć Lucasowi o planach ucieczki.

I pożegnać się z nim.

Wpatrywała się w otwarte drzwi, stęskniona za ukochantym. Nie widziała go od tyłu tygodni. Na myśl, że zaraz ujrzy go po raz ostatni, czuła ucisk w gardle. Czy Lucas obwinia ją za swój pobyt w więzieniu? Czy żałuje długiego łańcucha wydarzeń, które go tutaj przywiodły?

Wychowana na Tasmanii Jessie dobrze wiedziała, co minionie tygodnie mogły zrobić z uwięzionego mężczyzny. Spodziewała się, że ujrzy go zmienionego, ale i tak doznała szoku na widok postaci, która ukazała się w drzwiach. Był bardzo wychudzony i blady, a jego twarz pokrywał kilkutygodniowy zarost. Brudne ubranie zwiślało na nim w strzępach. Wspaniałe zielone oczy ukryte były pod czujnie opuszczonymi powiekami.

- To wszystko, dziękuję - powiedziała Jessie, skinąwszy głową strażnikowi. - Mój stajenny zawoła pana, gdy skończę z nim rozmawiać.

Na jej widok Gallagher zatrzymał się gwałtownie.

- Ale, proszę pani... - wybełkotał strażnik i przełknął ślinę. - Ja nie mogę stąd wyjść...

Jessie spojrzała na niego z góry.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Ten człowiek nie siedzi tutaj za jakieś zbrodnie, po prostu zwracamy go do dyspozycji rządu. Pewne szczegóły dotyczące prowadzenia stajni mego

brata wymagają wyjaśnienia, a ja nie mam zamiaru omawiać ich przy świadkach. Proszę wyjść i zostawić nas samych.

Mężczyzna zaczerwienił się.

- Tak, proszę pani - wymamrotał i wyszedł, mijając czekającego przy drzwiach Starego Toma.

Jessie odwróciła się do Gallaghera, spoglądając z przerażeniem na jego zapadnięte policzki i wychudzoną postać.

- Mój Boże - wyszeptła, gdy drzwi prowadzące na podwórze zamknęły się. - Co oni z ciebie zrobili?

Lucas chwycił ją za ramiona i przytrzymał, widząc, że ma zamiar paść mu w objęcia.

- Spokojnie, dziewczyno. Nie dotykaj mnie. Przesiąkłem zapachem więzienia.

Jessie wywinęła się i przylgnęła do niego całym ciałem, zaciskając dłonie na szorstkiej tkaninie jego kurtki.

- Mam cię nie dotykać? - Wspięła się na palce i przytuliła twarz do jego policzka. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. - Jak mam cię nie dotykać, skoro od wielu tygodni marzę tylko o tym?

- Ach, Jessie - wyszeptał, zanurzając twarz w jej włosach i głaszcząc ją po plecach. - Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę i zostanę z tobą sam na sam. - Pocałował ją, wkładając w ten pocałunek całą dziką rozpacz.

Odsunęła się od niego z ociąganiem.

- „Agnes Ann” odpływa w poniedziałek - powiedziała szybko, patrząc na otwarte drzwi, przy których czekał Tom. - Chcemy cię stąd wydostać.

- W poniedziałek? - Spojrzył na nią z natężeniem. - Słyszałem, że w sobotę wychodzisz za Harrisona.

Skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Pogładził ją po policzku i zapytał łagodnie:

- Dlaczego, dziewczyno? Dlaczego zdecydowałaś się nie zrywać zaręczyn?

- Mam swoje powody.

Zacisnęła szczęki.

- Tylko nie mów, że to ma coś wspólnego ze mną. - Ujął

podbródek Jessie i przytrzymał, gdy chciała odwrócić się twarzą w stronę okna. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że to nie ma nic wspólnego ze mną. Jeżeli nosisz dziecko...

Odskokczyła od niego, przerażona, że wyczyta z jej twarzy straszliwą prawdę.

- Nie spodziewam się dziecka. Choć, Boże przebac, pragnę tego. Przynajmniej zawsze miałabym przy sobie jakąś cząstkę ciebie.

- Ach, tak - powiedział z westchnieniem. Pogłaskał ją lekko po karku i odsunął się od niej. - Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z Harrisonem, Jessie. Niczego tak nie pragnę, jak szczęścia dla ciebie.

- Lucasio... - mówiła z trudem. - O, Boże. Nie wiem, jak to zniosę. Myśl o tym, że nie zobaczę cię nigdy więcej, przesywa mnie niewysłowionym bólem. - Chwyliła poznaczoną bliznami dłoń i przytknęła do policzka, wpatrując się w jego twarz i starając się zapamiętać każdą zmarszczkę. Uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Powiedz, czy kochałeś mnie chociaż trochę?

Pogładził ją po policzku.

- Zawsze cię kochałem, *mo chridh*. Zanim jeszcze na niebie pojawiły się gwiazdy. I będę cię kochał długo po wygaśnięciu ostatniej gwiazdy. Przez całą wieczność.

Następnego ranka Jessie była w ogrodzie. Ścinała i układała w koszyku kwiaty na ślubny wianek. W pewnej chwili uniosła głowę i zobaczyła Harrisona, który właśnie pojawił się w oplecionej różami pergoli, przez którą wchodziło się do ogrodu.

- Tu jesteś, Jesmondo. - Podszedł do niej wąską ścieżką wyłożoną kamieniami. Jego palce niespokojnie skręcały złota dewizkę zegarka. Rysy miał napięte, a spojrzenie pełne dezaprobaty, na której widok Jessie poczuła bolesny skurcz żołądka. - Właśnie się dowiedziałem, że twoja matka nie będzie uczestniczyła w sobotniej uroczystości.

Jessie pochyliła się, by ściąć następny jaskier.

- Z kościoła Świętego Antoniego roztacza się widok na zatokę - odparła z przesadnym spokojem. - Moja matka nie bywa w miejscach, z których widać morze.

- Tak. Wiem o tym, ale... - Zamilkł i wziął od niej koszyk z kwiatami, jakby nie mógł pozwolić, by dźwigała taki ciężar. - pozwól, że cię od niego uwolnię. - Przełożył rękę przez kabłąk. - Matka panny młodej musi być obecna na ślubie córki. Co sobie pomysła ludzie? Sądziłem, że nasz ślub odbędzie się w którymś z miast w głębi wyspy.

- Nie. - Wypowiedziała to słowo bardziej zdecydowanym tonem, niż chciała. Harrison spojrzał na nią zaskoczony. - To znaczy... - Uśmiechnęła się z przymusem i położyła mu dłoń na ramieniu. - Należymy do parafii kościoła Świętego Antoniego, Harrisonie. Do tego kościoła będziemy chodzili na niedzielne msze, tam będziemy chrzcili nasze dzieci i...

Głos zamarł w jej gardle, gdy zobaczyła, jak patrzy na nią serdecznie i ciepło. Poczuła się jak zdręczyni i zawstydzona, że jest taka nieuczciwa. Ale co miała zrobić? Wyznać prawdę? Harrison nie należał do osób, którym można było powiedzieć: „Nie dbam o to, co pomysła ludzie. Nie chcę, by moje życie wciąż zależało od opinii innych. Nie chcę, by moja matka była obecna na ślubie, ponieważ to, co mi zrobiła... nam obojgu, jest niewybaczalne”.

- Uważam, że powinniśmy się pobrać tutaj, w Blackhaven Bay, gdzie przeżyjemy resztę życia - rzekła niewzruszonym tonem.

- Cóż, skoro tego pragniesz... Ale z pewnością chciałybyś mieć przy sobie matkę, by ci pomogła włożyć suknię i towarzyszyła ci w tak ważnej chwili.

Jessie spojrzała na znajomą, arystokratyczną twarz Harrisona i westchnęła głęboko.

- Muszę ci coś powiedzieć - powiedziała szybko, bojąc się, że opuści ją odwaga. - Chcę, żeby na naszym ślubie była Genowefa Strzelecki.

- Genowefa Strzelecki! - Harrison gwałtownie wypuścił jej

dłoi. Przez chwilę milczał, spoglądając na nią spod uniesionych brwi. - Czy to ma być żart?

- Nie. - Jessie wyjęła koszyk z jego ręki i odwróciła się, by ściąć pęd gipsówki. - Nie. Mówię to z całą powagą. Genowefa od wielu lat jest moją najbliższą przyjaciółką, a także moją ciotką. Chcę, żeby była na ślubie.

- Twoją ciotką? - Harrison cofnął się o krok i z niedowierzaniem potarł czoło. - Na Boga, jak to możliwe? To nie jest odpowiednia osoba na przyjaciółkę dla ciebie.

Zupełnie jakbym słuchała matki, pomyślała dziewczyna z rozpaczą. Poślubiam Beatrice.

- Genowefa jest siostrą mojej matki, Harrisonie -oznajmiła. - O tym pokrewieństwie dowiedziałam się niedawno, ale przyjaźnię się z nią od lat i chcę, żeby była na moim ślubie. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała dobitnie: - Zwłaszcza że moja matka nie będzie obecna. - Odłożywszy koszyk i sekator, podeszła do Harrisona, objęła go w pasie i delikatnie ucałowała w policzek. - Proszę.

Po raz pierwszy spontanicznie dotknęła go w tak intymny sposób. Spojrzał na nią zaskoczony i uradowany.

- Jeżeli to cię uszczęśliwi.

Nie mogła znieść jego rozpromienionego wzroku. Czuła się jak najgorsza oszustka. Żeby osiągnąć to, czego pragnęła, użyła fałszywego uśmiechu, manipulacji i pieszczot - pełnego zestawu kobiecych wybiegów, którymi zawsze pogardzała. Nigdy przedtem nie robiła czegoś podobnego, ale właśnie się przekonała, że te sposoby staną się bardzo użyteczne w jej małżeństwie.

Harrison nie należał do mężczyzn, którzy widzieliby w kobiecie równoprawną inteligentną partnerkę, mającą własne poglądy i pragnienia, kogoś, czyje zdanie trzeba brać pod uwagę, organizując wspólne życie. Jeżeli będzie usiłowała szczerze z nim rozmawiać, jeśli ośmieli się mu przeciwstawić jak mężczyzna, Harrison nigdy jej nie ustąpi, tylko się rozgniewa i w końcu ją znienawidzi. Właśnie dlatego, myślała, kobiety podlegające władzy męża nauczyły się stosować kłamstwa i pochlebstwa, by osiągnąć to, czego pragną. Muszą stosować wybiegi, ponieważ są słabe.

Zastanawiała się, jak długo można uciekać się do metod, jakimi zawsze się pogardzało, zanim się znienawidzi samą siebie.

Genowefa siedziała na niskim trójnożnym stołku. Na kolanach miała szkicownik, a w palcach węgiel do rysowania. Mrużąc oczy przed silnym wiatrem, przyjrzała się poszarpanym skałom. Cicho nucąc pod nosem, naszkicowała na papierze kilka linii. Kiedy pogoda się poprawi, na niebie zabłyśnie słońce, a morze stanie się błękitne i rozmigotane, dokończy obrazek, używając akwareli. Ale teraz, gdy obietnica nadchodzącego lata rozwiewała się w podmuchach zimnego wiatru, wiejącego od Antarktydy, uważała węgiel za odpowiedniejszy środek wyrazu.

Obejrzała się w stronę zarośniętej drogi, słysząc, że ktoś najężdża. Po chwili zobaczyła jeźdźca na kasztanku.

Odłożyła szkicownik, wstała i przyjrzała się przybyszowi. Powoli ruszyła w stronę domu, zamiatając długą spódnicą wilgotną trawę. Z napięciem patrzyła, jak przybysz zsuwa się z siodła. Wysoki młody mężczyzna o jasnych lokach i twarzy ponurego anioła wpatrywał się w drzwi domku. Nie widział jej.

- Czego pan sobie życzy?! - zawołała.

Młody człowiek obejrzał się, podniósł rękę i zdjął kapelusz.

- Pani Strzelecki?

- Owszem, tak właśnie się nazywam - odparła z uśmiechem. - Choć z pewnością wie pan od matki, że nie mam prawa do tego nazwiska.

W jego szarych oczach zauważyła błysk zrozumienia.

- Nazywam się Warrick Corbett - powiedział, nie wiedząc, że od lat patrzyła z daleka, jak dorastał.

- Wiem.

Uśmiechnął się z czarującą nieśmiałością.

- Rozumiem, że jest pani moją ciotką.

- Tak.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chciałbym panią bliżej poznać.

Podawała mu rękę i uściśnięła mocno, może nawet zbyt mocno bo chociaż była jego ciotką, wcale jej nie znał.

- Wejdz do kuchni, naleję ci... - Już miała powiedzieć: filiżankę herbaty, ale spojrzała na gościa i roześmiała się na widok łez w jego oczach, więc zmieniła zdanie i dodała:- Sądzę, że na tę okazję najodpowiedniejsza będzie brandy.

36

Wdniu ślubu Jessie poranek wstał szary i wietrzny. Powietrze przesycone było wilgocią, zwiastującą rychły deszcz.

Jessie narzuciła płaszcz i wymknęła się bocznymi drzwiami na spacer po spowitym mgiełką ogrodzie. Starannie wytyczone ścieżki i równo posadzone kwiaty były zbyt uporządkowane i nie odpowiadały stanowi jej ducha, więc wyszła z ogrodu, przecięła park i skierowała się w stronę sadzawki. Wiatr chłostał jej policzki. Trawa pod podeszwami bucików z kozłej skóry była śliska od porannej rosy. Dziewczyna podeszła do nowego kamiennego muru, otaczającego rodzinne groby. Przystanąła i obejrzała się na zamek. Patrzyła na dwa rzędy piaskowcowych łuków i płasko ściętą wieżę, ciemną i ponurą w szarym świetle pochmurnego poranka.

Na myśl o tym, że począwszy od dzisiejszego dnia zamek nie będzie już jej domem, wciąż odczuwała ból, lecz gniew, który towarzyszył jej od kilku tygodni, znacznie go złagodził. Dawniej spodziewała się, że po ślubie z Harrisonem jej życie się zmieni, teraz jednak pojęła, że wszystko pozostanie takie samo, chyba że znajdzie dość odwagi, by zmienić siebie. Odwaga zawsze kojarzyła jej się z wyczynami fizycznymi, jak skakanie na koniu przez wysoki mur, wspinaczka po stromej skarpie, żeglowanie po morzach ku nieznanym łądom. Teraz pojęła, że istnieje również inny rodzaj odwagi, koniecznej, by pozostać sobą w świecie, w którym panuje konformizm i szczerłość. Ta

odwaga jest niezbędna, by odeprzeć próby ludzi, którzy chcą nas sobie podporządkować. Trzeba też mieć dużo odwagi, aby znieść ich gniew, gdy zobaczą, że im się nie udało.

Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze starała się być taka, jaką pragnęli ją widzieć rodzice. Chciała, żeby byli szczęśliwi i z niej mogli być dumni. Wydawało jej się, że kobieta nigdy nie może być zbyt lojalna, szlachetna i altruistyczna. Nie zdawała sobie sprawy, że starając się nie zawieść najbliższych, zdradza siebie. W którymś momencie zatraciła umiejętność rozróżniania tego, co winna jest bliskim, od tego, co winna jest sobie. Ostatnio ją odnalazła i postanowiła, że nie utraci jej już nigdy. Postara się być dobrą żoną dla Harrisona, lecz nie kosztem wyparcia się siebie.

Westchnęła i ruszyła wokół sadzawki, której szarą powierzchnię marszczyły podmuchy wiatru. Zatrzymała się przy starej jabłoni i zapatrzyła w koronę drzewa. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i niedojrzałymi owocami, lecz zamknawszy oczy, zdołała sobie wyobrazić, że jabłoni wciąż pokryta jest kwieciami.

Wychodząc za Harrisona, poślubi mężczyznę, którego nie kocha, aby ratować człowieka, którego pokochała. Wiedziała jednak, że czyniąc to, pozostaje wierna sobie. Decyzja została wymuszona przez matkę, ale ostateczny wybór należał do Jessie, która świadomie i z uczciwych pobudek zdecydowała się na to poświęcenie. Nie zatraciła się w miłości do Lucasa. Wręcz przeciwnie. Dzięki uczuciu wreszcie odnalazła siebie.

Teraz, w dniu ślubu, stojąc pod chłodnym, obojętnym niebem, odczuwała ból z powodu straty ukochanego. I wiedziała, że ten ból nigdy nie minie. Z czasem zelżeje, lecz teraz był ostry i głęboki, po prostu nie do zniesienia. Objęła się ramionami, przygarbiła i załkała bezgłośnie. Dokoła niej wiał przenikliwy wiatr, niosący mgłę. Usłyszała dźwięk spadających kropli i czyjeś spieszne kroki.

Wyprostowała się i przycisnęła do ust pięść, aby stłumić nieme łkania. Ból zmienił się w paniczny strach. I wtedy rozpoznała Starego Toma, który biegł przez park, zataczając się i potykając.

Rzuciła się mu naprzeciw, zamiatając trawę spódnicą.

- Co się stało? - zapytała, widząc jego wzburzoną twarz. Chwyciła go, gdy zachwiał się i omal nie upadł. - Co się stało?

Tom schylił się i oparł dłonie na udach. Z trudem chwycił oddech.

- Marynarz z „Agnes Ann” przyniósł mi wiadomość. Kapitan Chase spodziewa się burzy i chce odpłynąć z zatoki Blackhaven, zanim nadejdzie sztorm.

Jessie wpiła palce w ramiona starego człowieka.

- Nie mogą teraz odpłynąć! Chase obiecał zabrać Gallaghera. Powiedział...

- Posłuchaj, dziewczyno. Zgodnie z obietnicą, przyślą do zatoczki łódź wiosłową, która zabierze Gallaghera. Ale musi się to odbyć jeszcze dzisiaj.

- Dzisiaj? - Jessie wypuściła Starego Toma i rozejrzała się. - O, Boże, czy zdążymy?

- Zdążymy, zdążymy. Trzeba tylko przesłać wiadomość Gallagherowi i chłopakowi z kuchni więziennej. Nawet lepiej zrobić to dzisiaj niż w poniedziałek, bo twój ślub ma się odbyć w porze spaceru więźniów, co oznacza, że kapitan Boyd i jego oficerowie będą w kościele, gdy Gallagher przeskoczy mur.

Lucas zadarł głowę i mrużąc oczy, patrzył na ciężkie chmury, wiszące nisko nad podwórzem. Dzień był chłodny, ciemny i wilgotny, a wiatr niósł zapowiedź burzy. W więzieniu wszystkie dni wydawały się jednakowe, lecz dzisiejszy był dniem ucieczki, I ślubu Jesmody.

Chodził wokół podwórka wraz z innymi więźniami, z napięciem wyczekując na umówione odgłosy, które miały odciągnąć uwagę strażnika, lecz jego wzrok wciąż powracał do krzyża na szczycie wieży kościoła, widocznej ponad kamiennymi murami.

Nie mógł pojąć, dlaczego Jesmonda to robi. Dlaczego wychodzi za Harrisona. Zdarzało się, że podczas długich samotnych godzin nocnych, gdy Gallagher leżał na macie i wpatrywał się w nieprzenikloną ciemność, nachodziły go złe myśli. Wyobrażał

sobie, że Jessie żałuje spędzonych z nim chwil. Mówił sobie że jest głupcem, sądząc, że taka kobieta jak Jesmonda Corbett może kochać śmierdzącego skazańca, który sypia na kamiennej podłodze więzienia. Wydawało mu się wtedy, że Jessie z ulgą powróciła do towarzysza zabaw z dzieciństwa, do mężczyzny, który był jej od dawna przeznaczony.

A przecież znał ją i wiedział, że kocha tylko jego, że będzie go kochała zawsze, że jej miłość do niego jest silna, głęboka i wieczna, tak jak jego miłość do niej. I wtedy współczuł jej z całej duszy, myśląc, że może wychodzi za Harrisona Tate'a z rozpaczy, a także w nadziei, że znajdzie odrobinę szczęścia przy boku człowieka, który ją kocha, choć ona nie odwzajemnia tego uczucia.

Tylko że owa nadzieja była płonna. Harrison Tate mógł ją nawet kochać, ale jego uczucie było niszczące, pozbawione czułości i zachwytu, sprowadzające się do brania, a nie do dawania. Harrison będzie próbował zmienić Jesmondę na obraz swego wyobrażenia o niej, niszcząc cudowną istotę, którą była w rzeczywistości.

Rozległ się ryk syreny i Lucas dostrzegł czarny gęsty dym, wznoszący się ponad murem. Dobiegły go krzyki i tupot biegnących nóg.

Strażnik, stojący przy drzwiach w murze oddzielającym podwórko do spacerów od centralnego podwórza, także zauważył dym. Zaklął szpetnie i rzucił się, by otworzyć drewniane drzwi, a potem cofnął się na widok płomieni w oknach kuchni.

- Ruszajcie się! - krzyknął, chwytając za ramię najbliższego więźnia i wypychając go przez drzwi w murze w stronę studni. - Biegiem po wiadra. Wszyscy.

Był stary, gruby i niechlujny, ale pilnie uważał, by wszyscy więźniowie przeszli z wybiegu do spacerów na główne podwórze. Jednak nie zamknął za nimi drzwi. Potem był bardzo zajęty, ustawiając więźniów w szeregu od studni do centrum pożaru i nie zauważył, że Lucas odciągnął Lisa i szepnął mu do ucha:

- Szybko. Z powrotem przez te drzwi.

Lis wybałuszył ze zdumienia swoje żółte oczy, ale bez zbęd-

nych pytań pośpieszył za kompanem. Wrócili na spaceriak akurat w chwili, gdy przez mur przerzucono z zewnątrz pierwszą linę. Po chwili pojawiła się druga.

Mur miał zaledwie trzy metry wysokości i był nierówny, co ułatwiało wspinaczkę.

- Gdzie są konie? - zapytał Lucas, zeskakując obok Charliego, który czekał po drugiej stronie.

Chłopak wskazał ruchem głowy nieogrodzony teren, niedaleko więzienia.

- Tam.

Ruszyli biegiem. Lis poruszał się niezręcznie, przyciskając dłoń do boku i z trudem powstrzymując jęki.

Lucas chwycił go pod rękę.

- Dasz radę?

Lis skinął głową, jednak gdy dobiegli do drzew, ledwie stał na nogach. Stary Tom przysłał trzy konie, lecz wystarczył jeden rzut oka na pobladałą twarz Lisa i Lucas zorientował się, że wystarczyłyby im dwa.

- Gdybyśmy się rozdzielili - powiedział, sadzając kompana na silnym gniadoszu - kieruj się do Zatoczki Rozbitków.

Przerażony Lis odnalazł cugle.

- Nie umiem się tym posługiwać.

- Tylko się trzymaj - polecił Lucas, gdy chłopiec usadowił się za Lisem. - Cugle będzie trzymał Charlie. A teraz w drogę.

Klepnął gniadosza po zadzie i chwycił cugle siwka. Na chwilę przystanął, spoglądając na mały kościółek na wzgórzu górującym nad zatoką. Uroczystość wkrótce się zacznie, pomyślał z bólem w sercu. Na schodach wiodących do kościoła tłoczyli się elegancy panowie we frakach i cylindrach. Ich ciemne sylwetki odcinały się od barwnych sukien kobiet.

Przez chwilę wypatrywał w tłumie ukochanej kobiety. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby ją dostrzegł. Wyobraził sobie, że przeskoczyłby konno mur otaczający kościół. Wielkie kopyta wałacha wzbijałyby kawałki ziemi. Barwny tłum rozprysnąłby się na boki, a Lucas chwyciłby pannę młodą i przerzucił przez siodło jak porywacz z dawnych lat. Tylko...

Tylko że nie mógł jej narażać na niebezpieczeństwa ucieczki. Nie mógł żądać, by dzieliła z nim trudy, jakie go czekały na obcym lądzie, jeśli w ogóle uda mu się dotrzeć do Ameryki. Nagle uświadomił sobie, że Jessie jest teraz w kościele i z własnej woli wychodzi za Harrisona Tate'a. Nie zdecydowała się być tutaj, przy koniach, gdy on będzie uciekał z więzienia. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że miał skrytą nadzieję, iż będzie tu na niego czekała, gotowa dzielić jego los.

Wskoczył na siodło i po raz ostatni spojrzął na kościół w oddali. I wtedy w więzieniu rozległ się alarm.

- Cholera! - zaklął i spał konia piętami.

Żona pastora parafii Świętego Antoniego przeznaczyła frontową sypialnię w swoim domu na pokój dla panien młodych, które przybywały z okolicznych posiadłości, by zawrzeć związek małżeński w tutejszym małym kościółku. Dom pastora był duży, zbudowany z piaskowca. Jego okna wychodziły na szarą teraz zatokę, poznaczoną białymi grzywami fal. Na wodzie unosiły się statki, które schroniły się w zatoce przed nadciągającą burzą.

Spowita w liczne warstwy halek, przybrana w cienką koszulkę oraz gorset, Jesmonda Corbett stała przy oknie frontowej sypialni i spoglądała na widoczne w dole miasto. Widziała stąd prostokątne ponure więzienie położone na obrzeżu Blackhaven.

- Czas włożyć suknię, dziecko - odezwała się Genowefa.

Jessie odwróciła się od okna i spojrziała na pogodną twarz ciotki.

- Genowefo, co się stało z hrabią Strzeleckim? Nigdy mi nie powiedziałeś.

Ciotka obciągnęła obfitą spódnicę sukni i wygładziła haftowany jedwab na sutych halkach Jessie.

- Umarł. Dwa lata po naszej ucieczce z Tasmanii.

Jessie popatrzyła na siwe włosy i wychudzone ramiona ciotki.

- Żałowałaś, że z nim uciekałaś?

Genowefa wyprostowała się i spojrziała na siostrzenicę łagodnymi niebieskimi oczami.

- Nie, nigdy. Nie żałowałabym nawet wtedy, gdyby czekały

nas tylko dwa wspólnie przeżyte dni. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Obróć się, żebym mogła zająć się tyłem sukni.

Jessie posłusznie się odwróciła.

- Co robiłaś przez wszystkie te lata po jego śmierci, zanim wróciłaś na Tasmanię?

Genowefa zręcznie zapinała haftki na plecach dziewczyny.

- Podróżowałam. Byłam w Rosji, we Włoszech, w Bawarii. - Spojrzała w lustro, na odbicie Jessie. - I miewałam kochanków. W towarzystwie już i tak uznano, że jestem kobietą upadłą, więc nie miałam nic do stracenia. I sądzę, że mężczyźni bywają bardzo interesujący i zabawni, nie mówiąc o innych zaletach.

Roześmiały się obie. Potem Genowefa spoważniała i zamysliła się.

- Jednego czy dwóch nawet kochałam... ale już nigdy nie kochałam nikogo tak jak Stanisława. Myślę, że postanowiłam wrócić do domu właśnie wtedy, gdy to zrozumiałam. Wydawało mi się, że powinnam wrócić. I dobrze zrobiłam.

Ujęła siostrzenicę za ramiona i odwróciła ją twarzą do siebie.

- Jessie... - Zawahała się i zamilkła zakłopotana. - To, że ja nigdy potem nie znalazłam prawdziwej miłości, nie oznacza, że ty także jej nie znajdziesz. Teraz może ci się tak wydawać, ale nigdy nie wiadomo.

- Wiem - powiedziała Jessie. - Myślę, że zaznam trochę szczęścia w małżeństwie. Harrison zawsze był mi przyjacielem. Skoro nie mogę mieć miłości, będę przynajmniej miała przyjaźń.

- Jessie - zaczęła Genowefa, lecz zamilkła, gdy nad miastem rozbrzmiał dzwon alarmowy.

Jej siostrzenica przypadła do okna, chwyciła się drewnianego parapetu i wychyliła na zewnątrz. Z więzienia wznosiła się chmura czarnego dymu.

- To twój Irlandczyk, prawda? - spytała Genowefa, podchodząc do okna. - Ucieka.

- Tak. - Jessie przytknęła czoło do chłodnej framugi. Widziała strażników, wybiegających przez bramę w murze więzienia. I dwa konie pędzące w dół zbocza.

- To z jego powodu zgodziłaś się na ślub - domyśliła się Genowefa. - On jest powodem twego zamążpójścia. A wszystko przez Beatrice.

Jessie popatrzyła na ciotkę.

- Powiedziała, że Lucas zawiśnie za morderstwo. I doprowadziłaby do tego.

Genowefa skinęła głową, zaciskając usta.

- Jak się wydostanie z wyspy? - spytała po chwili.

- Na statku wielorybniczym. Czekaj na niego na wybrzeżu i zabierze go do Ameryki. - Jessie czuła taki ciężar na sercu że nie mogła swobodnie oddychać. Do oczu napłynęły jej łzy zacisnęła powieki, bojąc się, że jeśli zacznie teraz płakać, nigdy już nie przestanie,

- Chcesz z nim uciec, prawda? - spytała Genowefa, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Niczego nie pragnę bardziej - odparła Jessie z westchnieniem. Ból w piersi stawał się nie do zniesienia.

- To niebezpieczne. Uciec od wszystkiego, co znane, i znaleźć się w obcym kraju, bez pieniędzy i z człowiekiem, którego tak mało znasz.

Jessie przetarła oczy i poczuła wilgoć na dłoni.

- Nie o to chodzi. Wiesz, że nie o to.

- Więc o co?

Jessie spojrzała przez okno na cmentarz, oddzielający dom od kościoła. Przed kościołem było pusto. Wszyscy byli wewnątrz i czekali na nią.

- Na początku wyglądało na to, że statek odpłynie dopiero w poniedziałek, po ślubie. Tylko że skoro statek odbija dzisiaj... - Milczała przez chwilę. - Jak mogę uciec, skoro Harrison czeka na mnie przed ołtarzem? Nie zasłużył na taki ból i takie upokorzenie. On mnie kocha, więc nie mogę zrobić mu czegoś takiego.

A jednak myślała o tym, wypatrując pustego powozu.

- Jessie, poczucie winy lub obowiązku nie są wystarczającym powodem, by kogoś poślubić.

- Nie są? - Dziewczyna spojrzała na przyjaciółkę błagalnym

wzrokiem. - Chciałam wyjść za Harrisona, aby uratować życie mężczyzny, którego kocham. Może teraz powinnam to zrobić dla Harrisona?

- Wyjść za niego, by nie zadać mu bólu? Z litości? Jessie... - Genowefa chwyciła ją za ręce i mocno uściśnęła. - Myślisz, że on chciałby tego, gdyby znał prawdę? A co z twoim Irlandczykiem, z bólem, jaki mu zadajesz? I, co najważniejsze, co z tobą? Wiem, wyobrażasz sobie, że poślubisz Harrisona i wszystkim jakoś się ułożą. Ale to małżeństwo unieszczęśliwi was oboje.

Jessie spojrzała na wzburzone wody zatoki. Z trwogą zastanawiała się, czy uciekinierzy dotarli już do Zatoczki Rozbitków. I czy ona zdąży tam na czas, jeżeli teraz ucieknie? I czy w ogóle powinna to zrobić?

- To straszliwie trudna decyzja - powiedziała Genowefa.

Rozległo się niespodziewane stukanie i w uchylonych drzwiach ukazała się przyjazna twarz siwowłosej żony pastora.

- Już czas - powiedziała.

I wtedy odezwały się kościelne dzwony.

37

Jessie szła wyłożoną kamieniami ścieżką w stronę otwartych drzwi kościoła. Dłonie w koronkowych rękawiczkach zacisnęła na białej jedwabnej spódnicy. W piersi czuła ziejącą mroczną pustkę. Ze ścieżki nie widać było ołtarza ani pana młodego, ani pastora, którzy czekali na nią w głębi oświetlonego świecami kościoła, czuła jednak zapach pleśni, wosku i chłodnego, wilgotnego kamienia, słyszała pomruk ściszonych głosów i słodkie tony znanej muzyki. Bicie dzwonów kościelnych niosło się w dal ponad ciemnoszarymi wodami zatoki i ponad kamiennym miastem, wybudowanym przez zesłanych tu więźniów.

Przez całe moje dotychczasowe życie, myślała Jessie, zmierzałam ku tej chwili. Ku małżeństwu z Harrisonem i ku przyszłości, która została dla mnie zaplanowana w chwili, gdy przyszłam na świat. Jednak w miarę zbliżania się do drzwi kościoła coraz bardziej zwalniała kroku i coraz szybciej oddychała. Chłodny, niosący burzę wiatr pachniał morzem, odległymi lądami i wabił pełną tajemnic obietnicą nieznanego jutra. Jessie popatrzyła w ciemne wnętrza kościoła i poczuła nagle, że zaraz popełni niewybaczalny błąd, że nie taka przyszłość miała się stać jej udziałem. Jej przyszłość związana była z innym miejscem na ziemi i z innym mężczyzną. Zrozumiała, że nawet jeśli ona i Lucas zginą podczas ucieczki, tak właśnie musi się stać. Poczuła ból i wielki ciężar winy, bo pozostawiając Harrisona, bardzo go zrani, ale będzie jeszcze gorzej, jeżeli go nie porzuci. I to gorzej dla nich obojga.

Wydała jakiś nieartykułowany okrzyk i zwróciła się do idącej obok Genowefy:

- Nie mogę tego zrobić. Myślałam, że będę w stanie, ale jednak nie. Nie mogę i nie powinnam.

Ciotka chwyciła ją za ramiona i popatrzyła jej w oczy ciepło, serdecznie, jakby chciała dodać jej odwagi.

- Więc uciekaj, dziecko. Czasami... czasami ucieczka jest jedynym słusznym wyjściem.

Jessie mocno ją objęła.

- Powiesz im... powiesz im wszystkim... że mi przykro. Spróbuj wytłumaczyć Harrisonowi... i Warrickowi, i Philippie... dlaczego musiałam tak postąpić.

- Myślę, że Warrick i Philippa rozumieją. Mam nadzieję, że z czasem Harrison także. - Jedno imię pozostało niewypowiedziane, ale obydwie dobrze wiedziały, że Beatrice nigdy nie zrozumie córki i jej nie wybaczy. Uśmiechając się przez łzy, Genowefa ucałowała policzek siostrzenicy i lekko ją odepchnęła. - A teraz biegnij, dziecko, biegnij.

Jessie uniosła spódnicę i ruszyła biegiem. Usłyszała głos żony pastora i ostre krzyki jakiegoś mężczyzny, lecz ani nie przystanęła, ani się nie obejrzała. Skręciła ze ścieżki w zaułek cmentarny, popędziła wzdłuż rzędu szacownych, porośniętych mchem grobów i pomknęła dalej, przez bramę cmentarną. Potem skręciła w lewo, gdzie stał stary mężczyzna, trzymający cugle dwóch koni: dużego, rączego kasztanka i krwistoczerwonego rumaka irlandzkiego.

- Tom - wydyszała, chwytając cugle Lucka Finnegan. - Co tutaj robisz?

- Pomyślałem, że będzie ci potrzebny szybki koń - powiedział, sadzając ją na siodle. - Chociaż, jeśli wolno mi zauważyć, zdecydowałeś się trochę późno.

- Ale, Tomie... - Odwróciła wierzchowca w stronę krawędzi skarpy i uderzyła go lejcami po zadzie. - Dowiedzą się, że czekałeś na mnie z koniem, i domyśla się, że pomogłeś Lucasowi w ucieczce.

- Wiem - odparł Tom, ruszając za nią na kasztanku. - Dlatego pomyślałem, że dokonam żywota w Ameryce.

Lucas wjechał na szczyt urwiska i spojrzął na gniewnie spienioną wodę w Zatoczce Rozbitków. Wiatr się wzmacniał szarpiąc na nim ubranie. Lucas obawiał się, że zatoczka będzie pusta, lecz łódź ze statku wielorybniczego czekała, wyciągnięta do połowy na piasek; rufa unosiła się i z głośnym pluskiem opadała na fale.

- Dzięki Bogu - powiedział, zwracając się z uśmiechem do Lisa i Charliego. - Czekają na nas. - I skierował konia na ścieżkę wiodącą w dół.

Na oblewanym przez fale piasku stał jeden z oficerów „Agnes Ann”. Mały Portugalczyk o mahoniowej skórze i czarnych włosach i oczach.

- Już chcieliśmy dać za wygraną - powiedział.

- Całe szczęście, że jeszcze was złapaliśmy - odparł Lucas, zeskoczył z siodła i ugrzązł w mokrym piasku.

- Jeśli o mnie chodzi - pobladły Lis dyszał szybko i ciężko - wolałbym zostać i zawisnąć na stryczku.

Lucas roześmiał się cicho i pomógł mu zsunąć się z siodła.

- Rana ci się znów otworzyła? - zapytał.

- Nie. - Lis ruszył w stronę łodzi. - Ale myślałem, że narobię w spodnie, gdy ten dzieciak, którego za mną posadziłeś, zmuszał konia, aby sfrunął ze zbocza.

- Konie nie fruwają - powiedział Charlie tonem pełnym pogardy i wszedł do łodzi.

- Nie podoba mi się, że skały tak szybko chowają się pod wodę! - wrzasnął Portugalczyk, przekrzykując ryk morza i wycie wichru.

Lucas naparł ramieniem na łódź, by zepchnąć ją za linię falochronów.

- Znam tę zatoczkę. Trzeba się trzymać lewej strony.

Ogromny bałwan rozbił się o drewniany kadłub łodzi, opryskując pierś Lucasa lodowatą wodą. Zaciśnął zęby, podciągnął się i wskoczył do łodzi. Przypływ i wiejący w stronę lądu wiatr utrudniały im zadanie. Dziób wzniósł się na fali, a potem opadł z głośnym plaśnięciem. Sześciu mężczyzn chwyciło wiosła.

Lucas obrócił się plecami do morza i patrzył na porośniętą skarpe nad plażą. Jego przyspieszony oddech uspokajał się powoli. Zmęczenie ustępowało miejsca tęsknocie za tym, co pozostawiał za sobą. Utracił ją. Utracił na zawsze. Przez krótką chwilę nieomal żałował, że opuszcza to miejsce. Jej dom.

Nagle spostrzegł jakiś ruch na szczycie. Ktoś jechał ścieżką. Lucas patrzył i serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Znajomy krwistoczerwony irlandzki rumak pędził na złamanie karku w dół, na plażę. Za nim galopował także dobrze znany kasztanek. Lucas rozpoznał postać szczupłej kobiety, która poruszała się zgodnie z rytmem konia. Miała rozwiane złociste włosy i białą suknię, powiewającą za nią i za rumakiem.

- Zaczekajcie! - krzyknął. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, gdy zerwał się na nogi. Dopadł do oficera. - Zawróćcie! Szybko!

- Co pan wyprawia? - wrzasnął Portugalczyk. - I co, do diabła, ona tutaj robi?

- Popłynię z nami! - Lucas roześmiał się na całe gardło.

Jessie nie czekała, aż łódź dobieje do brzegu. Skierowała konia do wody. Rumak wysoko unosił nogi i zadierał łeb. Lucas zląkł się, że dziewczyna poprowadzi konia jeszcze głębiej, ale ona wysunęła stopę ze strzemienia i, otoczona białym jedwabiem ślubnej sukni, rzuciła się w spienione fale.

- Jesmondo! - krzyknął ochryplym z przejęcia głosem. Ogromna fala wyniosła łódź w górę i Lucas stracił ukochaną z oczu. - Jessie! - zawołał, wychylając się za burte.

Łódź zatrzęszczała i opadła. I wtedy ją zobaczył. Cała w bieli, unosząc głowę, biła wodę nogami. Po chwili chwycił ją za ramiona i wciągnął do łodzi.

- Chce się pani utopić, panno Corbett? - zapytał.

Zadarła głowę. Ociekające wodą złote włosy otaczały jej bladą twarz. Pociemniałe od emocji oczy spoglądały radośnie. Uśmiechnęła się, a Lucas poczuł, że topnieje mu serce.

- Umieć pływać - powiedziała, a raczej starała się powiedzieć, bo przyciągnął ją do piersi i zamknął usta dzikim pocałunkiem.

Za nimi coś huknęło i wpadło do morza, wzbijając wodny pył. Zatoczką odpowiedziała echem.

- Do diabła! - krzyknął Lis, pomagając Staremu Tomowi wciągnąć się do łodzi. - Strzelają do nas.

- Padnij! - wrzasnął Lucas. Chowając za sobą Jessie, odwrócił się w stronę brzegu. Czuł na plecach silne podmuchy wiatru. Wysokie fale rozbijały się o burtę łodzi. W dół zбочa pędzili dwaj jeźdźcy. Strażnicy z więzienia, pomyślał. Jeden z nich spojrzął na łódź i zawrócił konia pod górę.

- Co on robi? - zapytał Charlie.

Łódź podskoczyła na fali, jej dziób zadarł się wysoko, gdy marynarze znów wzięli się do wiosł, aby odpłynąć od brzegu. Lis chwycił się burty. W jego dziwnych żółtych oczach zabłyśło światółko zrozumienia.

- Zawraca, żeby zawiadomić flotę i wysłać za nami pościg.

Drugi strażnik, ten z muszkietem, dojechał tymczasem do brzegu. Zatrzymał konia i powoli metodycznie zaczął ładować broń.

Lucas poczuł na ramieniu lekką dłoń.

- Myślisz, że może nas trafić z takiej odległości? - spytała Jessie, spoglądając na mężczyznę na brzegu.

- Jeżeli jest dobrym strzelcem. Nie oddalamy się zbyt szybko. Wiatr nam przeszkadza. - Otoczył Jessie ramionami. Drżała z zimna i strachu. Lucas zasłaniał ją własnym ciałem. - Nie wychylaj się zza moich pleców.

- Spójrz - powiedziała, zaciskając palce na jego ramieniu.

Ale on także ich dostrzegł. Jeszcze dwóch mężczyzn, w czarnych frakach, galopowało w dół zбочa. Jeden z nich, szczupły młodzieniec bez kapelusza, z jasnymi anielskimi lokami, pędził jak wiatr. Zjechał na plażę, gdy strażnik podnosił muszkiet do oka. Młody człowiek wrzasnął tak głośno, że słyhać go było nawet na łodzi, i smagnawszy konia batem, pognął przez plażę. Strażnik obejrzał się, ale nie opuścił muszkietu. Jasnowłosa mężczyzna, nie zatrzymując konia, podjechał do niego i zrzucił go z siodła. Obydwaj upadli na piasek i muszkiet wystrzelił w górę, nikogo nie raniąc.

- Któż to taki? - zapytał jeden z wiosłarzy, nie przestając pracować.

- Mój brat - powiedziała Jessie. Spojrzała na drugiego jeźdźca. - I Harrison Tate.

Jessie patrzyła, jak Harrison pędzi naprzód, nie zatrzymując konia, dopóki spieniona woda nie sięgnęła mu powyżej kolan. Wyprostowany, z uniesioną głową, patrzył na Jessie poprzez rozdzielające ich zielonoszare fale. Było zbyt daleko, by wyraźnie widzieć jego twarz, lecz Jessie dobrze go znała i wiedziała, że jest rozgniewany i zraniony. Przepraszam cię, mówiła w myśli, czując w sercu dotkliwy ból. Harrisonie, mój stary przyjacielu. Tak bardzo mi przykro.

Lecz Harrison nigdy nie okazywał, że czuje się zraniony. Teraz pod jej wzrokiem usztywnił się i cała jego postać wyrażała tylko jedno: złość.

Wielką, przemozną złość.

38

Zwariowałeś? - wrzasnął strażnik, podpierając się na łokciach.

- Ja nie, ale ty na pewno - odparł Warrick, sięgając po muszkiet i potrząsając nim nad nalaną twarzą policjanta. - Na łodzi jest moja siostra, durniu. Mogłeś ją trafić. - Wstał i strzepał piach z ubrania. - Jasna cholera, Jess. Nowiuteński frak.

- Twój frak! - zawył strażnik. - Twój frak? Złamałeś mi nogę!

Ale Warrick wcale się nim nie przejmował. Powoli podszedł do drugiego jeźdźca, który wciąż trzymał cugle i patrzył na oddalającą się łódź.

- Kto to jest? - zapytał Harrison, nie odwracając głowy. - Kim jest ten człowiek? To ten skazaniec?

Warrick spojrział na przyjaciela, na jego dumny profil, odcinający się na tle pociemniałego nieba.

- To Irlandczyk. Widziałeś go. Był moim stajennym.

Harrison obrzucił niedoszętego szwagra twardym wzrokiem.

- Stajenny? Chcesz powiedzieć, że moja narzeczona uciekła ze stajennym?

- Przykro mi, Harrisonie - zaczął niepewnie Warrick i zamilkł, wiedząc, że nie jest to wystarczająca pociecha dla kogoś, kogo właśnie porzuciła panna młoda.

Harrison i tak go nie słuchał. Zacisnąwszy dłonie na cuglach, zawrócił konia i ruszył w górę skarpy.

- Dokąd jedziesz?! - zawołał za nim Warrick.

Przez chwilę sądził, że Harrison mu nie odpowie, lecz ten zatrzymał niecierpliwego konia i obejrzał się.

- Zawiadomić kapitana Boyda. Łódź nie dopłyne daleko na takim wzburzonym morzu. Nawet jeżeli czeka na nich statek, istnieje duża szansa, że Boyd ich dogoni. A wtedy powieszę tego irlandzkiego łajdaka! - To powiedziawszy, spiął konia kolanami i ruszył pod górę wściekłym galopem, wzniecając spod kopyt wierzchowca tumany piasku.

Marynarze z „Agnes Anne” byli silnymi doświadczonymi wioślarzami i szybko wpadli w odpowiedni rytm, niosący łódź przez wzburzone fale. Wydostawszy się z Zatoczki Rozbitków, gdzie groziły im podwodne skały i silne prądy, postawili żagle i pomknęli na północny wschód, gdzie na otwartym morzu czekał na nich zakotwiczony statek jankeski.

Jessie siedziała, opierając się plecami o pierś Lucasa, który ogrzewał ją, obejmując ramionami. Razem patrzyli na oddalającą się linię brzegu i rosnący przestwór szarozielonej wody. Jessie ze smutkiem żegnała dobrze znane wzgórza. Wiedziała, że nie ujrzy ich już nigdy. Bolało ją, że nie zobaczy także swoich bliskich, ale i tak nie żałowała tego, co zrobiła.

Nagle Lucas się poruszył i jego oddech owionął mokre włosy na karku Jessie.

- Dlaczego uciekałeś? - spytał cicho.

Ujęła jego rękę, ukochaną, spracowaną i pokrytą bliznami. Splotła palce z jego palcami.

- Nie chcesz mnie już?

Uścisnął ją mocno.

- Chcę - wyszeptał. - Ale, o ile pamiętam, miałaś dzisiaj wyjść za mąż. Za kogoś innego.

- Kiedy matka dowiedziała się o nas - Jessie spojrzała na groźne, pociemniałe niebo - zagroziła, że jeśli nie poślubię Harrisona, powieszę cię za zamordowanie Johna Pike'a.

Poczuła, że Lucas sztywnieje.

- I ty się na to zgodziłaś? Byłaś gotowa zrobić to dla mnie? Obróciła się w jego ramionach i spojrzała w ciemne zmrużone oczy.

- Miałam pozwolić, by cię powieszono?

Drżącą dłonią odgarnął włosy z twarzy Jessie.

- Myślę, że związek z Harrisonem oznaczałby dla ciebie powolną śmierć.

- Dla ciebie chętnie bym umarła - odparła z prostotą.

- A teraz możesz umrzeć ze mną. - Zaciśnął palce na jej włosach.

- Nic nam nie będzie - rzekła, wskazując ruchem głowy jankeski statek wielorybniczy. „Agnes Anne” stała na kotwicy z postawionymi żaglami. - Oto nasz statek.

- Tak - odparł Lucas dziwnie bezbarwnym głosem i Jessie zdała sobie sprawę, że patrzy na coś za nimi. - Coś mi się zdaje, że to „Repulse”, jednostka floty kapitana Boyda. I szybko się zbliża.

Jessie się obejrzała i serce jej stanęło.

Od strony Przylądka Ostatniej Szansy, rozcinając fale, sunęła „Repulse”. Jej białe żagle wyraźnie odcinały się na tle szarego nieba.

- Jasny gwint! - zaklął chudy mężczyzna, zadziwiająco podobny do ulubionego ogrodnika Beatrice. Przypadł do burty i, mrużąc dziwne żółte oczy, patrzył pod wiatr. - Toż to przekłęci Brytyjczycy!

- Nie dogonią nas, prawda? - zapytał Charlie, szcękając zębami.

Stary Tom parsknął gniewnie.

- Oczywiście, że nas dogonią.

Jessie oderwała wzrok od zbliżającego się statku.

- Dogonią? - spytała, zwracając się do Lucasa.

- Możliwe. - Uśmiechnął się z przymusem. - Prawdopodobnie by nas nie gonili, gdyby ciebie tu nie było.

Popatrzyła na czarny kadłub czekającej na nich barkentyny. Na jej pokładzie roіło się od nawołujących marynarzy, którzy szykowali się do pochwylenia i wciągnięcia ich łodzi, gdy się z nimi zrówna, tylko, że ona wciąż znajdowała się w pewnej

odległości od „Agnes Anne”. Patrząc na pomykającą fregatę, Jessie zrozumiała, jakie są zamiary kapitana Boyda.

- „Repulse” wcale nie musi nas doścignąć, prawda? - powiedziała, a jej słowa zagłuszał łopot żagli. - Wystarczy, że znajdzie się pomiędzy nami i „Agnes Anne”.

Lucas spojrzał jej w oczy i skinał głową.

Portugalczyk także pojał, co się dzieje. Nie wypuszczając rumpla, zaczął wydawać rozkazy. Wykonali zwrot przez prawą burtę. Bom gwałtownie przeleciał na drugą stronę i pochyłona łódź skoczyła do przodu, tnąc fale. Wciąż mieli bliżej do „Agnes Anne” niż „Repulse” do nich, lecz fregata płynęła szybciej.

Na otwartym morzu czuło się nadchodzącą burzę. Ich niewielka łódź wznosiła się i opadała na wysokich falach. Ostre powiewy wiatru huczały, wydymając płócienne żagle. Portugalczyk znów wykrzyczał komendę. Marynarze wybrali żagle, lecz uderzona przez wysoką falę łódź mimo to wytraciła prędkość.

Jessie z przerażeniem spoglądała na zbliżającą się fregatę.

- Jeżeli teraz nie zrobią zwrotu, nie uda im się - powiedział Lucas, obejmując ją i przyciskając do siebie.

Odwrociła się, by spojrzeć na czekającą barkentynę, i zrozumiała, co Lucas ma na myśli. Rozfalowana przestrzeń pomiędzy łodzią i statkiem wielorybniczym stała się zbyt wąska, by fregata mogła się w nią bezpiecznie wślizgnąć, lecz wciąż ich goniła; jej wystający poza dziobownicę bukszpryt sunął naprzód, tnąc powietrze jak lanca. Jessie przestraszyła się, że fregata staranuje ich łódź. Lucas przygarnął ją tak mocno, że nie wiedziała, czy czuje łomot jego serca, czy swojego. Wiatr szalał wokół nich, obryzując ich zimną wodą z fal rozbijających się o kadłub barkentyny. Na chwilę całe niebo przysłonił ogromny dziób fregaty. I nagle „Repulse” zadygotała, reagując na obrót koła sterowego, i zawróciła w stronę portu.

- *Dia* - powiedział Lucas, ściskając Jessie w mocnych i ciepłych ramionach, gdy łódź zakołysała się gwałtownie na falach pozostawionych przez fregatę. - Mało brakowało.

Już myślałem, że będę wyławiał z morza tylko szczątki - powiedział kapitan Chase. Stał na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając na fajce długie pożółkłe zęby.

Stali obok niego na pokładzie rozkołysanej amerykańskiej barkentyny. Ktoś przykrył plecy Jessie kocem. Kuliła się pod nim, dygocąc. Nogi miała tak słabe, że utrzymywała pozycję pionową tylko dzięki temu, że Lucas ją podtrzymywał. Wdychała woń farby i świeżego drewna, zmieszana z zapachem soli i odorem charakterystycznym dla wszystkich statków wielorybicznych.

Wokół niej rozbrzmiewały pokrzykiwania marynarzy, tupot bosych stóp o deski pokładu, szcęk takielunku i brzęczenie łańcucha podnoszonej kotwicy. Podniesiono grota i wiatr wyduł płótno. Statek zadygotał i Jessie straciła równowagę. Spojrzała na podtrzymującego ją Gallaghera.

- Jezu - wyszeptał.

Odwróciła głowę i zrozumiała, co go tak przeraziło.

Nabrany podczas pościgu rozpęd wyniósł brytyjską fregatę daleko w morze, poza jankeską barkentynę, bo potrzeba czasu, by statek pod pełnymi żaglami zawrócił, a jeszcze więcej, by się zatrzymał.

- O mój Boże - jęknęła Jessie. - Nie dali za wygraną. Płyną w naszą stronę.

Rozległ się hałas i nad ich głowami rozwinął się bezan. Pokład zachwiał się pod ich stopami i dziób barkentyny zwrócił się w kierunku otwartego oceanu. Ale statek wielorybiczny był powolny i miał niewielkie żagle, a jego kadłub głęboko się zanurzał po czterech latach wożenia ciężkiej zdobyczy.

- Dogonią nas? - zapytała Jessie.

- Tak - odparł kapitan, mrużąc oczy przed wiatrem. - Jeśli mają taki zamiar. Spójrzcie na ich żagle. Są zaprojektowane tak, by fregata mogła dogonić statek handlowy, a te mają o wiele większą powierzchnię żagli niż wielorybnicze.

Barkentyna nabierała szybkości. Płynęła na północny wschód. Czuło było zapach nadchodzącego deszczu, niesionego przez wiejący z południa huragan. Podmuchy wyły w żaglach, statek

unosił się i opadał na ogromnych falach. Zataczając się i potykając, Jessie podeszła do sztormrelingu i chwyciwszy się go oburącz, spoglądała na rozkołysane wody i pozostawiony z tyłu kilwater. Fregata była tuż za nimi. Przerazona dziewczyna widziała powiewającą na wietrze niebieską banderę straży morskiej.

Lucas stał obok koła sterowego i rozmawiał z kapitanem, lecz widząc przerażenie Jessie, podszedł do niej, otoczył ją silnymi ramionami i przyciągnął do siebie. Razem patrzyli na doganiającą ich jednostkę.

- Zatrzymaj nas - powiedziała, opierając głowę na jego ramieniu.

- Tak, lecz nie masz się czego obawiać. Nie sędzę, by ci coś groziło.

- Nie o siebie się martwię. - Spojrzała na niego i zobaczyła, że jego oczy mają barwę morskiej toni. Poczuła w sercu przypływ wielkiej miłości. - Niczego nie żałuję. Pamiętaj, bez względu na to, co się stanie, nigdy nie będę żałowała, że z tobą uciekłam.

Lucas zacisnął powieki i na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Potem zanurzył usta w jej włosach i powiedział ochryplym głosem.

- Bóg tylko wie, jak bardzo cię kocham.

Odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się.

- Ja także wiem - wyszeptała.

Fregata była teraz tuż przy nich. Sunęła równolegle do barkentyny, wyprzedzając ją nieco. Nagle z boku „Repulse” pojawił się obłok dymu i błysk ognia, a potem rozległ się huk. Strzelali, mierząc w kadłub „Agnes Anne”.

- Sukinsyni! - zaklął kapitan Chase i rzucił rozkaz swoim ludziom.

Fregata była teraz tak blisko, że wyraźnie widzieli pracujących na pokładzie marynarzy. Jessie spodziewała się, że dojrzy brata i Harrisona, ale rozpoznała tylko kapitana Boyda, który, wciąż w galowym mundurze, przywdzianym na jej ślub, wykrzykiwał rozkazy przez tubę.

- Hej, tam, na barkentynie! - wrzasnął nosowo. - Zatrzymajcie statek!

Amerykański kapitan podszedł do burty i krzyknął donośnie, nie potrzebując tuby:

- Mierzysz w Gwiazdzisty Sztandar, łajdaku!

Anglik wypiął dumnie pierś.

- Jesteście na brytyjskich wodach terytorialnych, więc podlegacie naszemu prawu! - odkrzyknął kapitan Boyd.

- Do diabła! - ryknął Chase. - Przekroczyliśmy granicę trzech mil. Nie zauważyłeś?

Boyd opuścił tubę i obrócił się, jakby słuchając kogoś, kto stał za nim. Skinał głową i znów przyłożył tubę do ust.

- Członkowie twojej załogi zabrali z brzegu trzech więźniów Jej Królewskiej Mości. To pozwala nam ścigać was i zatrzymać nawet na otwartym oceanie.

- Mój kodeks mówi co innego.

Nastąpiła przerwa, a potem Boyd ujął oburącz tubę.

- Nalegam, byście się zatrzymali.

Jankes wychylił się nad sztormrelingiem.

- To jest amerykański statek. W razie gdybyś nie pamiętał, przypomnę ci, że powstał przeciwko waszemu łajdackiemu imperium i wygraliśmy. A niedawno znów spraliśmy wam tyłki.

Kapitan „Repulse” zeszywniał.

- Zatrzymacie się? - zawył przez tubę.

Jessie ze zdumieniem patrzyła na szeroki uśmiech jankeskiego kapitana.

- Nie!

- Bardzo dobrze. Macie pięć minut, aby się zastanowić. Jeśli się nie zatrzymacie, będziemy musieli otworzyć ogień.

39

Dokąd idziesz? - spytała Jessie, chwytając Lucasa za ramię. Spojrzał na nią twardym wzrokiem.

- Odszukać Lisa i Charliego i powiedzieć im, że się podajemy.

- Nie ma mowy! - ryknął jankeski kapitan, przygryzając ustnik fajki.

Lucas stał nieruchomo. Wiatr rozwiewał jego ciemne włosy. Spojrzał na przyjaciela.

- Nie chcę, żebyś narażał dla mnie statek i swoich ludzi - powiedział.

Chase oparł ręce na biodrach. Jego szeroko rozstawione nogi z łatwością amortyzowały bujanie statku.

- Ja tutaj jestem kapitanem, więc nie masz na ten temat nic do gadania. To amerykański statek i niech mnie diabli porwą, jeśli posłucham tego nadętego Anglika. Brytyjczycy mogą sobie wyobrażać, że wszystkie morza i oceany świata należą do nich, ale ja nie mam zamiaru podtrzymywać ich iluzji. Nawet gdyby mieli odstrzelić mi tyłek. - Tu zamilkł zakłopotany i spojrzał przeproszająco na Jessie. - Proszę mi wybaczyć marynarski żargon, madame.

W oczach Gallaghery zabłysło zimne światło.

- A co z panną Corbett?

- Nie sądzę, by do nas strzelali, skoro mamy damę na pokładzie, jeżeli o to ci chodzi.

- A jeśli się mylisz?

Jessie rzuciła się pomiędzy nich i chwyciła Lucasa za koszulę.

- Nie chcę, żebyś cierpiał z mojego powodu.

- Jessie...

- Nie. Myślisz, że mogłabym żyć ze świadomością, że jestem odpowiedzialna za to, że cię pojмали?

Lucas zacisnął szczęki. Mocno ścisnął jej dłoń, a potem ją puścił.

- Kiedy minie pięć minut, sam się oddam w ich ręce.

Chase obejrzał się i krzyknął do pierwszego oficera:

- Panie Vieira, proszę zabrać pana Gallaghera pod pokład. Niech go pan skrepuje w razie potrzeby. Ma tam pozostać do czasu, gdy wydam następny rozkaz.

Oficer podszedł do nich z kamiennym wyrazem ogorzałej twarzy i z dłonią opartą na zatkniętym za pas pistolecie.

- Tak jest, kapitanie.

Chase spojrział na Lucasa, unosząc jasne brwi.

- No i co, Gallagher?

Patrzyli na siebie przez długą, pełną napięcia chwilę. A potem Lucas uniósł dłoń obronnym gestem.

- Wolę zginąć, czując na twarzy wiatr.

Warrick stał z tyłu fregaty obok osprzętu. Mimo silnego kołysania stał nieruchomo, bo od dziecka był obyty z morzem i czuł się na nim pewniej niż na lądzie, nawet wtedy, gdy skończyły się jego chłopięce marzenia. Płótno żagli nad jego głową łomotało na wietrze. Wpatrywał się w barkentyne, która wznosiła się i opadała na rozhuśtanym morzu.

Ze swego miejsca widział siostrę, opartą o reling statku, choć ona nie mogła dostrzec jego. Wciąż miała na sobie białą jedwabną suknię. Spódnica była mokra i brudna, jeden rękaw rozdarty. Pączki róż, które zdobiły jej włosy na ślub z Harrisonem, zniknęły.

Zawsze wierzył, że on i Jess są sobie bliscy. Czuł się zasmucony na myśl o tym, że w życiu siostry działo się coś tak ważnego,

a ona nic mu nie powiedziała. Potem jednak wytłumaczył sobie, że może miała rację, utrzymując wszystko w tajemnicy, bo przecież, gdy poznał prawdę, zaprzętało go wyłącznie to, jak postępek siostry wpłynie na pracę zatrudnionych w posiadłości skazańców. Nie zastanawiał się, kim był dla niej Gallagher ani ile dla niej znaczył. Przyszło mu do głowy, że jest bardziej podobny do matki, niż sądził, i ta myśl sprawiła mu wielką przykrość.

Stojący obok niego Harrison trzymał w ręku złoty zegarek, ale nie patrzył na tarczę, tylko tak samo jak Warrick wpatrywał się w statek jankeski, gdzie znajdowała się kobieta, która miała zostać jego żoną, oraz mężczyzna, z którym uciekła.

- Co ci przyszło do głowy? - powiedział Harrison przez zaciśnięte zęby. - Jak mogłeś takiego człowieka mianować stajennym siostry?

Warrick skrzyżował ramiona na piersi i beznamiętnie przyglądał się przyjacielowi z dzieciństwa.

- Niby jakiego? Doskonałego znawcę koni? Wykształconego człowieka, którego jedyną zbrodnią była miłość do własnego kraju oraz walka z uciskiem?

Harrison spojrział na niego z osłupieniem.

- Zwariowałeś? - spytał z oburzeniem.

- Dlaczego? Dlatego, że rozumiem, za co mogą nas nienawidzić Irlandczycy? Czy dlatego, że nie przyszło mi do głowy, że Jessie dostrzeże człowieka pod łachmanami skazańca i zakocha się w nim? Cóż, nie pomyślałem o tym, ale czy ty szczerze wierzysz, że dobrze znasz swoją siostrę?

- Oczywiście, że ją znam - odparł Harrison, zaciskając dłoń na zegarku.

Ale Warrick dostrzegł w jego oczach cień powątpiewania i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Wcale nie, przyjacielu. I ja także nie znam twojej siostry. Przyjaźnimy się od dzieciństwa, ale nigdy dotąd nie zauważyłem, jak bardzo jest piękna i skomplikowana.

Harrison roześmiał się szorstko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że nagle się w niej zakochałem?

- Tak - odparł Warrick, poważny jak nigdy dotąd. - Tak, zakochałem się w niej.

Harrison pochylił się do przodu, bojowo wysuwając podbródek.

- To się źle składa, przyjacielu, bo naszych rodzin nie połącz żadne śluby. Nie po tym, co się stało.

Warrick starał się zachować spokój, wiedząc, że człowiekowi porzuconemu przed ołtarzem należy się wyrozumiałość.

- Jeżeli myślisz, że Philippa pozwoli ci nie dopuścić do naszego małżeństwa, to znaczy, że znasz ją jeszcze mniej, niż sobie wyobrażałeś - rzekł spokojnie.

Harrison zatrzasnął zegarek i wsunął go do kieszeni.

- Już czas - powiedział, ruszając naprzód, zataczając się na rozbujanym pokładzie i chwytając się relingu. - Kapitanie?

Ze swego miejsca Warrick dostrzegał wyraz twarzy Jessie, z jakim spozjrzała na Harrisona, i zdał sobie sprawę, że miał rację, sądząc, że nie miała pojęcia o ich obecności na pokładzie „Repulse”. Widział, że siostra mówi coś do stojącego obok niej mężczyzny, który objął ją opiekuńczym gestem. Przez chwilę Warrick pragnął, by parze kochanków udało się uciec, nawet gdyby miał już nigdy nie zobaczyć siostry.

- Ahoj, wy, na barkentynie! - krzyknął kapitan Boyd przez swoją absurdalną tubę.

- Wasze pięć minut minęło. Zatrzymacie się?

Armata na nadburciu „Repulse” była załadowana i gotowa do strzału. W ponurym świetle pochmurnego dnia zabłyśły zapałki, jednak ludzie na barkentynie tego nie widzieli. Jankeski kapitan pragnął pomóc Gallagherowi, ale z pewnością nie zechce stracić statku. Wyglądało na to, że Harrison rzeczywiście postawi na swoim i powiesi Gallaghera.

- Powtarzam! - krzyknął kapitan Boyd, a wiatr zagłuszył jego słowa. - Zatrzymacie się?

Na opalonej twarzy amerykańskiego kapitana pojawił się szeroki uśmiech.

- Odep się, ty brytyjski strojnisiu. Strzelaj, jeśli chcesz, ale jeżeli spróbujesz wejść na nasz pokład, stracisz więcej ludzi niż ja.

Na twarzy angielskiego kapitana pojawił się gorący rumieniec.

- Odmawiasz zatrzymania statku?

- Tak, wasza lordowska mość.

Boyd spojrział niepewnie na Harrisona, który skinął głową i powiedział:

- Nie ma pan wyboru. Musi pan otworzyć ogień, kapitanie. Warrick gwałtownie skoczył do nich.

- Do stu tysięcy diabłów!

Kapitan Boyd odwrócił się od relingu i zawołał:

- Celuj w żagle i takielunek! Gotowi...

Warrick pchnął kapitana w plecy tak mocno, że ten się zatoczył.

- Co pan sobie wyobraża? To ma być jakiś bluff?

- Powiedziałem... - zaczął kapitan.

- Nie, to ja powiedziałem! - Warrick wycelował palec w pierś małego człowieczka. - Na tamtym pokładzie jest moja siostra!

Harrison chwycił go za ramię, próbując powstrzymać.

- Corbett, ona tam jest z własnej woli. Jeśli...

Warrick odwrócił się gwałtownie i trzasnął niedosłęgo szwagra pięścią w szczękę. Cios był tak silny, że Harrison upadł z hałasem na pokład. Z trudem chwycił oddech.

- Zamknij się - warknął Warrick, stając nad nim z zaciśniętymi pięściami.

- Ka, ka, ka... - jąkał się kapitan. - Każę pana zakuć w kajdany. Zostanie pan oskarżony.

Warrick powoli się wyprostował. Pięści wciąż miał zaciśnięte. Dyszał szybko i głośno.

- Tylko spróbuj strzelić, a obiecuję, że nie znajdziesz pracy nawet jako majtek.

Anglik spurpurowiał.

- Nie może mi pan grozić na moim statku.

Warrick uśmiechnął się lodowato.

- To nie są pogróżki.

- Ten człowiek jest zbiegłym więźniem Jej Królewskiej

Mości. - Harrison stał wierzchem dłoni kropkę krwi z kącika ust i niezręcznie się podniósł. - Dając mu schronienie, amerykańscy marynarze dopuszczają się przestępstwa.

- A Jess? - Warrick obrócił się i ze smutkiem spojrzął na starego przyjaciela. Nasze życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej, pomyślał. Ale przecież to dotychczasowe było jakieś nieprawdziwe. Westchnął z żalem. - I pomyśleć, że zawsze myślałem, że ją kochasz.

Harrison roześmiał się niepewnie.

- A jak myślisz, dlaczego tu jestem? Oczywiście, że ją kocham.

- Nie. - Warrick zdecydowanie pokręcił głową. - Gdybyś ją kochał, nie robiłbyś tego. - Gwałtownym ruchem sięgnął po tubę kapitana Boyda, wyrwał mu ją z ręki i rzucił w górę. - To nie jest miłość - powiedział, patrząc, jak tuba z pluskiem wpada do wody. - To chęć posiadania, władzy. Jess dobrze wiedziała, co robi, uciekając od ciebie.

Odrzuciwszy włosy z twarzy, spojrzął na siostrę, wciąż stojącą przy relingu. Gdy barkentyna zaczęła się oddalać, na ustach dziewczyny pojawił się smutny uśmiech pożegnania.

- Hej, Jess! - zawołał. - Jesteś mi winna nowy frak.

Jessie wychyliła się przez reling i wpatrywała się w brata, aż stał się małym punkcikiem na pokładzie fregaty. A potem obróciła się w ramionach Lucasa i zapłakała na jego piersi.

Lucas patrzył na żonę, stojącą na dziobie statku. Wiatr zwiewał z twarzy jej piękne złote włosy. Patrzyła na rozpłomienione o wschodzie słońca morze. Była jego żoną od prawie dwóch dni, a wciąż stanowiła zagadkę.

Ślubu udzielił im kapitan Chase. Pośpieszna uroczystość odbyła się, zanim zielone brzegi Tasmanii zniknęły im z oczu. A potem zaczął się sztorm i przez dwa dni i dwie noce statek

płynął wśród burzy i ulewnego deszczu. Fale zmieniły się w ogromne góry i doliny, na których małe barkentyna unosiła się i opadała. Dopiero drugiego dnia o świcie niebo się roz pogodziło, wiatr ucichł, a morze wygładziło.

Zbudziło ich łagodne kołysanie statku. Trzymając się za ręce, weszli po trapie na zniszczony burzą pokład i patrzyli na wstający nowy dzień.

- Przeżyliśmy - powiedziała, patrząc na słońce, wznoszące się nad horyzontem w glorii złocistych, pomarańczowych, czerwonych i różowych promieni. Na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech. - W pewnej chwili myślałam, że zatoniemy pośrodku morza.

- Czy nie żałuje pani swego nierozważnego kroku, pani Gallagher? - zapytał, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie.

Obróciła głowę i spojrzała na niego. Oczy miała wielkie i nieruchome. Patrzył na jej twarz, na rysy policzka, na pełne wargi i wyrazisty podbródek. Na myśl o tym, że w końcu jest wolny, a ona stoi u jego boku, odczuwał zachwyt i strach.

Zdawał sobie sprawę, że zachował się samolubnie, pozwalając, by z nim uciekła, by poświęciła dla niego tak wiele. Bał się, że nigdy nie zdoła zapewnić jej życia, do jakiego przywykła, i że nie jest godny jej miłości. Kiedyś był mężczyzną, jakiego mogła pokochać na zawsze i z całego serca, lecz wszystkie okropieństwa i cały ból, jakie przeżył w ciągu ostatnich kilku lat, sprawiły, że utracił część siebie. A teraz nie był pewien, czy kiedykolwiek znów stanie się taki, jaki był dawniej.

Jessie uniosła rękę i pogłaskała go po policzku. Spostrzegła, że mąż już się nie uśmiecha.

- Lucacie, jesteś moim przeznaczeniem. Cokolwiek się stanie, nigdy nie będę żałowała, że z tobą uciekałam. Już ci to mówiłam.

Zrozumiał wtedy, że obydwoje stracili coś w poprzednich latach, walcząc o przeżycie, a teraz byli panami przyszłości, mieli siebie nawzajem i zmierzali do nowego kraju, który czekał na nich za morzami.

- Kocham cię - powiedział, muskając ustami jej włosy. -
I zawsze będę cię kochał.

Lekki powiew wiatru zmarszczył powierzchnię morza i zatańczył w żaglach ponad ich głowami. Obejmując ramieniem ukochaną kobietę, Lucas zwrócił twarz ku niebu, by sycić się szczęściem i wolnością.